J. I. Kraszewski.

ŻELIGA

POWIEŚĆ

LWÓW.
KSIĘGARNIA POLSKA.
1877.

Część pierwsza.

Ow człowiek podżyły już, którego znano w Chełmskiem pod imieniem Żeligi, a o którym później tak dziwne chodziły wieści, że je nieledwie za bajki poczytać było można, przyszedł cale niespodzianie do państwa Barcińskich do Barcina i przyjęto go zrazu jako podróżnego na nocleg wedle starego obyczaju i dawnego przysłowia „gośc w dom, Bóg w dom.“ Cóż dopiero gdy tym gościem był człowiek zmęczony drogą, potrzebujący wypoczynku, ubogi?

Żeliga przyszedł pieszo, z kijem w ręku, tłumacząc się tem, że mu szkapa w drodze zdechła, a innej nie trafiło się kupić, lub się z niemi, korzystając z jego biedy, nad miarę drożono. A że naówczas szlachcic ze szlachcicem, bądź co bądź zawsze z sobą byli krewni, i składali wszyscy jakby jednę rodzinę, choć przybyły nie bardzo jasno ze swych kolligacyj i pochodzenia się tłumaczył, z jego rozmowy poznać było można, że nie ladajakim był karmazynem.

Mienił się on być obywatelem województwa Kijowskiego, ale szczegółowo opo-

*

wiadać się wzdrygał, jak i po co wędrował ztamtąd i przybył w Lubelskie. Przyciśnięty mocniej, począł nawet prosić, aby go o nic nie badano, gdyż ślub był uczynił o tych sprawach nie mówić nikomo, a łamać go nie chciał. Szanując to zobowiązanie i pan Marcin Barciński i pani Marcinowa już mu dali pokój, i o nic więcej nie dopytywali.

Wieczór spłynął na bardzo miłej gawędce, gdyż podróżny mimo pozornej i ubogiej powierzchowności miał o czem mówić i widział dużo świata, jak się to z jego rozmowy okazywało. Wyznaczono mu bardzo porządną izbę w oficynie na nocleg, a nazajutrz rano w dalszą miał wyruszyć drogę. Pożegnał się był nawet z gospodarzem i gospodynią z wieczora, pragnąc odejść o świcie, ale i pan Marcin oparł się temu stanowczo i pani Marcinowa, rada że tak miły gość przerwał tęskną czasem wiejską samotność, która zdawała się niekiedy ciężyć panu Barcińskiemu.

— Ależ proszęż cię, miły panie a bracie—odezwał się do przybysza, — jeśli cię tam nic w szyję nie pędzi, po cóż się masz zrywać do dnia, wypocznij sobie do woli.

— I bez ciepłego śniadania nie uciekajcie mi proszę — dodała jejmość, — każę wam piwa grzanego przygotować, bo ranki bywają dobrze chłodne.

Gdy wyszli na ganek, bo gospodarz choć ubogiego gościa odprowadził na kwa-

terę, aby się przekonać jak mu tu nocleg przysposobiono, przystanął pan Marcin, i szepnął cicho do Żeligi, ujmując go za rękę:

— Słuchaj bracie kochany, ja się waszmości o nic nie dopytuję, ale nie będziecie mi mieli za złe, gdy się dowiem, czy jesteście przy zapasie? bo to w drodze mospaneńku wyczerpuje się... nie ma w tem wstydu między swoimi, *hodie mihi, cras tibi.* Nie jestem ja bogacz, ale tem lepiej ci znam ludzkie potrzeby. Gdybyś był łaskaw, a przyjął odemnie kilka talarów na wypadek... bardzo by mi służyć wam miło było.

Że tam jakoś w izbie trochę ciemnawo było, nie dostrzegł pan Marcin, jakie wrażenie te wyrazy uczyniły na Żelidze, ale uściskał pana Marcina serdecznie i zawołał głosem wzruszenia pełnym:

— Bogdajmy się nam tacy ludzie na kamieniach rodzili, ze złotemi sercami braterskiemi, jak wasze. Bóg zapłać... nie! nie! chwała Najwyższemu, mam jeszcze tyle grosza ile mi go potrzeba... przyjmijcie dzięki serdeczne.

W oficynie znalazło się posłanie wygodne i co tylko mógł potrzebować podróżny; Żeliga był atencją gospodarzy dla ubogiego włóczęgi prawie rozrzewniony.

— Ale cóż to wy, — rzekł ze łzami w oczach i głosie, — tak biednego człowieka porządnie przyjmujecie, dla mnie byle

kącik, byle barłog, abym się tam jako tako przespał, to i dosyć... a wy jak jakiego wojewodę w te kotary mnie kładziecie, człek się tylko tam popsuje i rozpieści.

— Mój bracie — odezwał się pan Marcin — powiem ci rzecz jednę. Gdy do mnie wielki, a znaczny gość jaki zawita, nie tak znów ja bardzo troszczę się o niego; ma on z sobą swoją służbę, pościele i sam się też pieści, da sobie rady. mnie o to głowa nie boli; ale uboższemu bratu posłużyć, to prawdziwa gościnność, bo o nim nikt nie pamięta, bo on sam o siebie nie wiele się troszczy, a ludzie też nasi niezbyt spieszą, gdzie się datku nie spodziewają. Temu to wygoda należy od nas bo się o nią nie upomni, a więcej jej potrzebuje.

Żeliga ukrywał wrażenie, jakie te wyrazy czyniły na nim, pożegnali się oba, czując ku sobie skłonność. P. Marcin w istocie był człowiekiem rzadkiego serca.

Nazajutrz rano jakoś mżyło, deszczyk popruszał, dzień był wilgotny, wstał do dnia pan Marcin i zaraz poszedł do oficyny: — zastał właśnie gościa nad stołem odzianego już, bo mu była jejmość troskliwa przysłała piwa ogrzanego z dobremi grzankami. Powitali się oba wesoło

— E! słuchajcie — rzekł gospodarz — gdzie waść tam po tej ślizgawce i po błocie będziesz się wlókł, odpocznij dzionek z nami, mamy na objad barszcz z rurą i flaki...

bośmy wołu żabili... Zjesz co Bóg dał... i siły nabierzesz...

Żeliga nie dając się długo prosić przystał na to. Okazało się że dobrze zrobił, bo się jakoś zaniosło na srogą niepogodę, ranny ów wietrzyk wkrótce zmienił się na szczerą słotę, na kapuśniaczek, który u nas zwykle trzydziestkę wróży.

Poszli więc z panem Marcinem na gawędę do dworu, przegadali o tem i owem nie spostrzegłszy się cały czas do objadu, a po barszczu i flakach z majerankiem, które były przedziwne, grali w warcaby do wieczerzy. Wieczorem, gdy znowu począł się żegnać i dziękować państwu Marcinostwu za gościnność Żeliga, spodziewając się, że nazajutrz choć cokolwiek się rozjaśni, pani Marcinowa, żwawa kobiecina, ani mówić nie dała o odejściu, jeśliby pora nie była po temu. Rada była niezmiernie, że jej męża rozruszał i rozweselił, i że jegomość ani drzemie we dnie, co jest rzecz po objedzie nie zdrowa, ani gderać, ziewać i w szybę palcami bębnić, przeklinając słotę, co jest rzecz nudna, nie okazywał ochoty. A godzili się cudownie, jakby lata przeżyli.

— Co do waszego jutrzejszego wyjścia — odezwała się pani Marcinowa, dając mu rękę do pocałowania — szeroko o tem Dawid pisał... zobaczymy... zobaczymy... tym co powozami przyjeżdżają, koła zdejmują, a pieszemu gościowi postawimy wartę i bę-

dziesz jegomość w areszcie... abyś się na deszcz nie wyrwał.

Nie dziw, że się Żeliga powszechnie podobał wszystkim, bo choć *per pedes apostolorum* się przywlókł i nie zbyt wspaniale w szaraczkowej kapocie wyglądał, poznać było łatwo, że człek niepospolity, otarty ze światem i koło wyższych klamek, dużo widział, słyszał, zapamiętał i myślał, miał też co powiedzieć i na podziw do rzeczy. Całej rzeczypospolitej familje i ich kolligacje znał na palcach, kto kogo rodził, kto z kim był spowinowacony; ludzi znakomitszych, zdaje się że osobiście nawet i poufale miał gdzieś zręczność wybadać i stosunki krajowe, politykę, nawet zagraniczne państwa i panujących ilekroć wspominał, to tak jakby się o nią otarł, sądził jak prawdziwy statysta. Rzucił też czasem i łacińskiem słowem w rozmowie i sentencją jakąś, znać uczył się i czytywał. Słowem pod tą szaraczkową kapotą, ciężko się było coś podobnego spodziewać.

Mimowolnie uczuli gospodarstwo dla tego ubożuchnego wędrowca jakieś poszanowanie, choć był skromny nader, potulny a wszędzie się ostatniego miejsca dopraszał. Trzeciego dnia wstał Żeliga rano i przekonał się ze smutkiem, że co wczora mżyło tylko, dzisiaj już lało. Naprawdę pieszemu człowiekowi ruszyć się nie było podobna — psa by za wrota nie wypędził. Aż nadszedł

znowu i gospodarz do oficyny pod ogromnym na trzcinie osadzonym parasolem, śmiejąc się ze swojego gościa, który przez wszystkie szyby upatrywał pogodniejszego kąta na niebie.

— A co — rzekł — nie dobry ze mnie prorok? nie widzisz asindziej, że leje jak z cebra? a ja jegomości mówię, że to jeszcze tak jutro będzie.

— O! niechże pan Bóg uchowa! — zawołał Żeliga ręce składając.

— Pewien jestem, że dopiero pojutrze rano wybierze się na piękną pogodę. Księżyc się opłakuje, trzeba mieć cierpliwość.

— Ale ja państwu łaskawym dobrodziejom moim załogą jestem... zawołał skłopotany przybysz.

— No! no! dajcie temu pokój! to nam wiedzieć... moja jejmość aż się śmieje z radości, a co ja o sobie to już nic nie mówię. Chodź asindziej do mnie na śniadanie i nie mówmy już o tem.

Stary spojrzał niespokojnie przez okno, ale niebo całe powleczone było jakby jednym szarym obłokiem, ani nadziei, żeby się rychło rozjaśnić mogło, wiatru najmniejszego a deszcz nie padał, ale lał spokojnie z chmur prostopadłemi strugami na ziemię. Ledwie pod parasolem wielkim dostali się cało do dworu. Dosyć że i ten dzień przegawędzili wesoło; nad wieczór przeciwko przepowiedni pana Marcina, z wielką gościa pociechą tro-

chę się obłoki rozjaśniać zaczęły i deszcz niby ustał, słońce zaszło jaskrawo, ale zachodząc, jak to u nas zowią obejrzało się. Pomarańczowe jego promienie cudownie pozłociły całą okolicę, obmytą świeżą ulewą co widząc Żeliga, który jako pieszy podróżny a zapewne niegdyś i gospodarz znał się na pogodzie, pokręcił głową na to, i zarówno z p. Marcinem zmiarkowali, że nazajutrz znowu deszcz padać musi. Tak się też stało: zrana było pochmurno, wietrzno, chłodno i dżdżysto, nie ruszył się jeszcze i tego dnia Żeliga, wielce upokorzony tem, smutny, milczący. Grali gawędząc, w marjasza, na zdrowaśki za dusze zmarłe. Dopiero z południa dobrze rozeszły się chmury ostatecznie, błękit niebios zasiany złotemi obłoczkami się pokazał, i już śmiało wróżyć można było że podróżny wyruszy nazajutrz rano.

Tak nawet zrobiło się pięknie, że siedli w ganku z p. Marcinem i tu im p. Agnieszka przyniosła wódeczkę, pierwszą przed wieczerzą. Miał bowiem zwyczaj pan Barciński, zresztą nie lubiący trunków, pijać przed jedzeniem dla konkocji dwa kieliszki małe wytrawnej gdańskiej wódki, ale jeden na wpół godziny wprzód, drugi siadając do stołu. Przepiwszy nim do Żeligi, a zakąsiwszy kawałeczkiem toruńskiego piernika, uścisnął gościa swego.

— Ej kochany Żeligo — rzekł — co

cię tam tak korci ta dalsza droga, powiedz bo mi szczerze? masz tam co tak pilnego?

— Pilnego tak dalece — odparł Żeliga — Bogiem a prawdą nie mam nic, ale muszę iść.

— Po co? Jak pana mojego kocham— zawołał Barciński — tak mi z jegomością dobrze, wesoło, jakby mi Pan Bóg rodzonego dał brata, jejmość także z waszeci kontenta... wszyscy w domu radzi, łaskę nam prawdziwą zrobisz, gdy u nas sobie jakiś czas spoczniesz i przemieszkasz..., daj się nam namówić i uprosić.

Zeliga się uśmiechnął, ale łzy w oczach mu stały.

— Co wam z takiego jak ja niedołęgi? — rzekł powolnie—na co ja się wam zdam darmojad i nudziarz.

— No! no! to już nam powiedzieć!— począł p. Marcin, — cicho! cicho! mówię wam zabawcie, spocznijcie, a gdy się znudzicie, toć to nie turecka niewola, pójdziecie gdy zechcecie.

Tak został Żeliga na tydzień, z czego pani Marcinowa nadzwyczaj była rada, a po tygodniu, choć ubogi węzełek podróżnego stał jeszcze zawsze nie rozpakowany, jakoś już mowy o podróży nie było. Dziwnie bo podróżny ów przystał do tego domu i ludzi, a tak prędko zrósł się z nimi, jak gdyby się tu rodził, lub do rodziny należał.

Coś tak upłynęło bodaj czy nie parę

miesięcy. Żeliga przyjęty po bratersku, jak brat się też wysługiwał państwu Barcińskim, a nie był to człek prosty i nie taki próżniak jak najczęściej rezydenci, co się tylko w godzinie stołu regularnie do talerza stawiali. Znał się na wszystkiem bardzo dobrze, a szczególniej na koniach i stadzie, lubił też ogród i myśliwstwo, miał mnóstwo znać z doświadczenia nabytych sposobów i recept skutecznych na końskie słabości i różne łowiectwo znał doskonale, a ze psami ogarami, ba i ptakami, umiał się obchodzić jak nikt. Do gawędki też i opowiadania starych dziejów nie miał sobie równego, słowem był to nieoszacowany przyjaciel w domu, a co dziwniejsza nietylko u państwa, ale u czeladzi i najmniejszego człowieka umiał sobie miłość zaskarbić.

Najczęściej się trafia, że gdy się nowa postać zjawi we dworze, szukają na niej plam gwałtem, boją się ulubienicy stracić trochę miłości pańskiej, zazdrośnie patrzą starsi słudzy, szepcą, donoszą i usiłują czernić. Kto zna domowe sprawy wiejskiego dworu i życia, ten wie jak tu każdy nowy przybysz szpiegowany jest przez oczów tysiące, jakby radzi wszyscy co przeciw niemu wynaleźć. Nie minęło to i p. Żeligę, ale ci co się nań usadzili ze wstydem odeszli, bo przy najściślejszej pilności nic znaleźć nie mogli, coby mu w oczach państwa krzywdę robiło. I jak to zawsze po takich próbach bezskutecznych

bywa, zmuszeni do poszanowania ludzie, nisko się już kłaniali Żelidze, który niżej jeszcze im się odkłaniać miał zwyczaj.

Ale bo też przeciwko temu biednemu człowiekowi trudno było coś wynaleźć, tak życie jego było jawne, a czyste, tak niezmożonej był cierpliwości, pogody umysłu i wesela niezachwianego. Źle się może wyrażam, zwiąc to weselem, wesołym bowiem właściwie mówiąc nie był Żeliga, prędzej tęsknie zamyślonym, ale w mowie jego nigdy się ból ten wewnętrzny uczuć nie dawał. Ludziom zdawać się mogło, gdyby mu w oczy i na czoło patrzyli, że był najszczęśliwszym. Dopiero gdy sam na sam, a z boku nań kto popatrzał z nienacka, wydała się posępna myśl na sfałdowanem czole. To pewna, że coś na duszy tego człowieka leżało, nie świeża to snać rana była, ale bolesna. Panował on nad sobą, ale wysiłek niekiedy się zdradzał; zamyślał się głęboko, nie słyszał co doń mówiono, chodził posępny a w tych chwilach pogrążenia dziwne mu się trafiały dystrakcje. Przybierał minę jakąś butną, pańską, siadał na pierwszem miejscu, wyrwało mu się słowo rozkazujące, ale oprzytomniawszy sam się z tego śmiał i przepraszał. Gdy go co zniecierpliwiło, mieniła mu się twarz straszliwie, ręce dygotały, mimo to z zaciśniętych ust słowo się nigdy gorętsze nie wyrwało.

Po dłuższym pobycie u Barcińskich, sam

p. Marcin i żona, polubiwszy go jakoś, próbowali nieraz wybadać coś od niego z przeszłości, napróżno jednak: albo ich zbywał żarcikami, albo usiłował zmienić rozmowę lub milkł zupełnie. Więc też dali pokój, przekonywając się coraz mocniej, że tam niezagojona była blizna, której się dotykać nie dopuszczał.

Gdy się już miało ku zimie, wieczorem raz, a była w pokoju u komina i pani Marcinowa i on sam, stanął Żeliga przy oknie i rzecze:

— A toć by już przecie czas dalej.

— O czem to mówicie? — zapytał p. Marcin.

— Domyśleć się łatwo, bo to zawsze jedno po głowie mi krąży o mojej podróży.

A w tem pan Marcin śmiać się począł.

— Jużbyś temu dał pokój — zawołał rubasznie — po cóż ci to, co znowu zakorciło? Zapomnieliśmy i my, żeś waszmość obcy i wy powinniście już byli zapomnieć, że to był dom cudzy, trzymajmy się tak kupką, kiedy nam dobrze... Bo że nam dobrze — dodał — to kwestji nie ma, chybaby...

— Ale cóż znowu? mnie tu z wami jak w raju — podchwycił Żeliga — ale kto kiedy wnijdzie w raj a prawa do niego nie ma, toż kiedyś wyjść musi, albo go wkońcu wyrzucą.

— Ani mi mówcie o tem — przer-

wała żywo pani Marcinowa, z właściwą sobie prędkością, bo była kobieta szparka, otwarta i brzydząca się wszelką obłudą.

— A to pięknie! toćbyśmy z tęsknoty po was wszyscy pochudli, pozagryzali się, pomarli, przecież nie chcesz nam być przyczyną śmierci. Mój Marcin za waszmością przepada, ja się aż wstydzę, żem się tak do was przywiązała, Justysia już płacze na samą groźbę, a cóżby się dało powiedzieć o innych.

Tu odchrząknęła, było to wielkiego znaczenia i bodaj czy się nie stosowało do wielkiej przyjaźni pana Żeligi, dla panny Agnieszki, o której niżej się powie.

Łzy w oczach stanęły znowu biednemu Żelidze, począł po rękach całować panią Marcinowę, a p. Marcin go ściskać, i Justysia się też uczepiła mu do rękawa. Tak się to na niczem skończyło, że potem długo już wcale o podróży wzmianki żadnej nie było.

I ta izba, którą mu byli pierwszego dnia dali na nocleg, została już nadal jego mieszkaniem: nazywano ją nawet pokojem Żeligi, bo choćby najparadniejszego w domu miał gościa p. Barciński, nigdy ztamtąd przyjaciela ruszyć nie pozwolił.

Dziwna też rzecz, dawniej w gospodarstwie różnie się wiodło, a nie bardzo szczęśliwie państwu Marcinostwu, odkąd zaś przybył do nich nieznany człowiek, wszystko poczęło iść po maśle. Czy to że teraz dozór

był pilniejszy, bo Żeliga nie mając co robić ciągle się włóczył od kąta do kąta, czy że zdrowej nie skąpił rady, czy że z sobą istotnie przyniósł jakieś błogosławieństwo Boże, dość, że skutek ten od czasu jak zamieszkał w Barcinie był bardzo widoczny i wszyscy to uznawali. Ale gdy czasem pan Marcin śmiejąc się coś o tem, przy nim wspomniał, Żeliga się obruszał.

— Dajcież pokój, dajcie pokój—mówił — jak może człek z sobą to przynieść; czego nigdy w życiu nie miał.

Do Barcina należały dwa jeszcze folwarki, Miękoszki i Sroczyn, i trzy wsie roboczym ludem zasobnym i pracowitym osiadłe. Gospodarstwo nie było nazbyt wyszukane, ale dosyć zapobiegliwe i staranne. W Barcinie wśród starych olch stał dwór zbudowany jeszcze przez dziada p. Marcina, drewniany, na podmurowaniu, ale bardzo porządny. Oprócz tego była oficyna stara z dawniejszego przerobiona dworu i zabudowania rozległe i piękne. Folwarki wszystkie w dobrej glebie, pszenicy siać było można ile chcieć, byle trochę podsmarować, a oprócz zwyczajnego dobytku, Barciński kochał się w stadzie, i stadninę też miał bardzo piękną, słynącą wówczas na kilkadziesiąt mil w kraju. Konie te wszystkie pochodziły podobno od jakiegoś stadnika, którego był pradziad jegomościa przyprowadził chudego i skulawionego z pod Wiednia. Miała

to być wedle tradycji szkapa cisawa, niepokaźny dla pospolitego człowieka, ale w którym Barciński krew poznał i kupił go kulawego, wychudzonego, na pół żywego od jakiegoś rajtera. Potem go do swojego wozu przywiązawszy, z wielkim kłopotem ledwie do domu dowlókł, bo konisko w drodze coraz gorzej kulało. Ale też dopiero gdy koło niego pochodził. wyleczył, okazał się prawdziwy ogier dziwnej piękności, ognia wielkiego, ba i młody jeszcze wcale. Zęby ledwie na lat siedm pokazywały. W nodze też nic tak strasznego nie było, tylko kopyto srodze obrażone, które gdy odrosło, koń się wystał, odpasiono go, wyczyszczono, postrzyżono, wymyto, zdumieli się wszyscy, kiedy im po raz pierwszy Barciński wyprowadzić kazał. A był koń ów tak rozpieszczony, tak przywykł do swojego pana, że jak dziecko za nim chodził bez uzdy aż do iżby, głos jego poznał, rżał ino go zasłyszał z daleka i lizał po twarzy gdyby pies. Gdy go dosiadł, bo to był jeździec zawołany, to go nosił jak niańka dziecię ukochane, czuć nie było że się porusza, choć wiatry przeganiał, ino mu było cugle rzucić na kark. Ale obcemu doń się przybliżyć albo go próbować dosiąść nie łatwo było; stawał się dzikim i tak kąsał, że jednego z masztalerzy, który go był w złości potrącił, omal na całe życie nie uczynił kaleką.

Otóż z tego to stadnika, o którym do-

tąd jeszcze cuda rozpowiadano, a który żył lat dwadzieścia i kilka, po różnych niezgorszych matkach, poszło potem całe owo sławne stado Barcińskich, w którem cisawa szerść przemagała.

Trafiały się w niem takie konie, że je po dwieście i po więcej czerwonych złotych płacono, nie dziw też, iż w Barcinie około tego stada chodzono bardzo zabiegle, a pilnowano go może staranniej niż innego gospodarstwa; Barciński sam bardzo lubił konie.

Do tego Żeliga dziwnie się nadał panu Marcinowi, bo był znawca koni jakich mało; ledwie spojrzał, poznał zaraz w każdym krew, pochodzenie, ledwie nie naturę na pierwsze wejrzenie. Widać, że to był dawniej mąż rycerski i wielce doświadczony miłośnik koni. W wypadkach kalectwa, choroby, czy wąsacz napadł, czy odęcie, czy krew, natychmiast środek miał łatwy i prędki, aby zwierzęciu ulżyć. Ale mimo to choć nie stary, konia nigdy nie dosiadł.

Pyta go tedy raz p. Marcin:

— A toż Waszmość musiał dawniej dobrze na koniu jeździć?

— No, nieźle — odparł Żeliga.

— A teraz że nie bierze ochota?

Ten oczy spuścił i westchnął.

— E! — rzekł z cicha — dajcie pokój... teraz wolę nie próbować... swojego

człek konia nie ma, a na cudzych nie zwykł był jeździć...

Tymczasem zebrało się sąsiadów trochę do p. Marcina na S. Zofję, bo samej pani imię było Zofja, choć ją mąż Zońką i Zonią i Sonią przezywał z czułości. Więc po objedzie i po miodzie, wyszli wszyscy na ganek i nuż się końmi chwalić, okazywać, przejeżdżać, handlować, czynić popisy, jak to był zwyczaj szlachecki. Osobliwie też koniarz rzadko do domu temi końmi powrócił któremi wyjechał.

Stał sobie pokornie w ganku i Żeliga, ale poglądał milczący, mało się co do tego mięszając, bo był przy gościach mniej jeszcze śmiały niż za zwyczaj. Jęli tedy jedni z wozów wyprzęgać szkapy i handlować niemi a dobierać, drudzy ścigać się a gonić to kłusem w koło dziedzińca, to kroczą, to w cwał, osadzając w miejscu. Przyszła też kolej i na gospodarskie konie, a miał tę słabość p. Marcin, że się ze swojemi bardzo popisać lubił. Stadninę i stajnię miał, nie ma co powiedzieć bardzo ładną, jak na szlachecką, ależ znowu tak je cenił, że dlań na całym świecie drugiej takiej nie było. Wybaczyłby był chętnie, bo człek był dobry i serca miękkiego, gdyby kto co jemu zarzucił, ale koniowi... nigdy. Unosił się, gniewał strasznie i końskiej krzywdy nie darował. Wiedzieli o tem wszyscy, że z najbliższym sąsiadem, który jednego z ulubionych jego koni,

kłapouchem nazwał, bo miał uszy przedłuższe, zupełnie żyć przestał i sam go też inaczej odtąd nie nazywał tylko — ten kłapouchy.

Otóż kiedy się tak popisywać zaczęto, powiada niejaki p. Bogusz do p. Marcina (był to szlachcic, który chodził po dzierżawach i zastawach.)

— No! już to co konie, to konie, u waszmości, ale co prawda to nie grzech, że one wszystkie ile ich jest kłusa nie mają, zaraz każdy zrywa się cwałem... a tak wyciągniętego, dobrego co się zowie kłusa, nie pójdzie żaden.

— O! o! o! co waćpan pleciesz — zawołał zrywając się p. Marcin — moje konie kłusa nie mają?... A no chcesz spróbować, każę wyprowadzić siwego...

— Którego chcesz — rzekł Bogusz,

Siwy był wałach piękny bardzo, pod wierzch jeżdżony, koń co się zwie, zbudowany jak pod husarza, tylko lewą zadnią nogę miał do kolana białą i to go nieco szpeciło. Gdyby też nie ta noga, byłby stadnikiem pewnie, bo piersi, szyję, łeb, oko miał tak udatne, że choć go było malować.

— Okulbaczyć siwego! — wołają.

W mgnieniu oka podprowadzili go pod ganek, Bogusz też szkapę swoję przyprzężoną, niepokaźną, chudawą, w czarnem ścierwie, kazał osiodłać, bo w wózku zawsze siodło woził. Poszli na wyprzódki kłusa.

Dosiadł swojego konia pan Marcin, ale nieszczęście chciało, że Bogusza szkapa tak kłusowała potężnie, iż siwy jej wydążyć nie mógł. Powrócili do ganku, a p. Marcin tak zgryziony, taki chmurny, że gdyby mu najlepszy koń zdechł, nietyleby może był bolał. Spojrzał nań Żeliga i zmiarkował widać że Barcińskiemu nie tyle o siebie szło i reputację jeźdźca, co o dobrą sławę stada. Ozwie się tedy po cichuteńku:

— Z przeproszeniem waszem, panie stolniku — a był naówczas stolnikiem Barciński — nie koń to winien, ale może wy sami.

— Jakto? ja? — ofuknął się pan Marcin.

— Nie gniewajcie się tylko, jesteście doskonałym jeźdźcem, nie przeczę, ale za gorącoście się wzięli do konia. Koń czuje człowieka, rwał też sobie.

— No potraficie lepiej?

— Lepiej nie, ale wziąwszy się powolniej — rzekł Żeliga — ręczę, żebym p. Boguszowego konia zostawił za sobą.

Pan Bogusz począł się z Żeligi śmiać i przedrwiwać.

— A no! a no! toć służę i jeśli chcecie, pięć czerwonych złotych w zakład stawię.

Mrugnął Żeliga na p. Marcina, aby nie kazał koni odprowadzać, poszedł do oficyny,

przyniósł pięć obrączkowych, położył na ławie w ganku.

— No a teraz,—rzekł trąc czuprynę—sprobujemy się... Zebrał lejce, nie tknąwszy prawie strzemienia skoczył na konia, ale tak jakby z siebie dwadzieścia lat zrzucił, zdawało się, że odmłodniał.

Gdy go zobaczyli na koniu ci, co go jeszcze dotąd nie widzieli nigdy na kulbace, nie wyjmując p. Marcina, wszyscy się zdumieli. Inny był człowiek, ani go poznać, wyprostował się, wyrósł, spoważniał razem, rzekłbyś, że hetmanić jechał wojsku, tak mu z oczów błyszczało jakimś ognistym wodza wzrokiem; koń poczuwszy jeźdźca i rękę poszedł zaraz inaczej, jak posłuszna dziecina.

Bogusz zobaczywszy co się święci, jużby był może rad się cofnąć, ale go jakoś wstyd wziął, zaczął tedy junaczyć sobie i żartować myśląc że tamtemu fantazję odbierze.

Ledwie staje odsadzili się od ganku, ak się siwy wyciągnął, jak począł iść, tak goguszowa szkapa w galop, bo była siarczyście gorąca, ten ją po łbie, ta jeszcze gorzej, dosyć że w dziesięć minut zakład został zwycięsko rozstrzygnięty i honor stada ocalony. A owych pięciu kulfonów, które Bogusz dobyć musiał rad nie rad z mieszka, Żeliga ani tknął, oddał je masztalerzowi.

Bogusz nań spojrzał z podełba i potrząsł głową.

— Oj to... ptasio !—szepnął po cichu— oj to ptasio !...

Ale na tem się skończyło.

Jak go później p. Marcin i ściskał i całował, jak mu dziękował, wypowiedzieć trudno; bo istotnie chodziło o honor koni, a gdyby się raz była fama rozeszła, że tej krwi konie kłusa nie mają, byliby je ludzie łacno sponiewierali. A w koniu kłus dobry to wszystko; mała rzecz gdy stąpa idzie porządnie, gdy kroczą ruszyć umie, choć to chód nie rycerski, gdy cwałuje i szybki jest a pewny w nogach rozbiegawszy się, ale kłus to chleb powszedni, tyle konia, ile kłusa: stępą nie daleko zajdziesz, cwałem także w wypadku się salwujesz chyba, a kłusem po wsze czasy i koło roli, i w podróży i na wojnie koń iść musi, bo to jego chód przyrodzony. Szkapka żeby najlepsza, gdy nie wykłusowana, kaleka.

Gdy się goście rozjechali, przyszedł do Żeligi p. Marcin.

— Mój dobrodzieju! cóż to ci się stało to ty konno jeździesz jak dwudziestoletni chłopak, czemużem ja o tem dotąd nie wiedział?

— Ale bo to wszystko przypadek — odparł stary — trochem się podpalił, no... i szczęście miałem, i siwy koń to taki dobra szkapa.. o dobra!

— Więc jeśli ty mnie kochasz, Żeliniu,

— zawołał ręce składając p. Marcin, weź ty sobie tego konia.

— Co znowu? a mnie on na co? — zapytał obcy — żebym mu musiał owies kupować i masztalerza najmować, albo go na waszej łasce trzymać, nie dość że sam na niej siedzę? bo jużcić go nie sprzedam.

— Ale ja ci go do zdechu trzymać będę... zakrzyknął Barciński.

— A cóż mi po nim?

— Toćbyś się czasem przejechał do Chełma, kiedy teraz pieszo chodzic musisz.

— Gdybym jeździć chciał, tobyście mi konia nie pożałowali, odparł Żeliga, ale nie... przyznam się wam szczerze, postanowieniem sobie takie uczynił, aby się od konia wstrzymywać... ot! mam moje dziwactwa. I zmydlił jakoś spuszczając oczy.

Chciał Barciński, w grzeczny sposób nagradzając przysługę, konia darowanego potem odkupić niby, ale Zeliga się obraził i znać było, że go to zabolało, więc już p. Marcin dał pokój.

Nie pierwszy to raz spostrzegł gospodarz, iż gość jego o grosz wcale nie dbał, a widać go nie potrzebował. Było około niego ubogo dosyć, rzeczy mało, oszczędność jednak jakaś, jakby nie szczera i dla oka, bo po kątach dowiadywano się nieraz, że dał po pańsku, szczególniej czeładzi.

A ta zwąchawszy, że dobrym był, często gęsto mu się do kieszeni nastręczała.

Raz pod niebytność p. Marcina na przednowku jakoś, gdy o grosz najtrudniej, przyjechał szlachcic, któremu się zaległy procent od pięciu miesięcy należał. Szlachcic ów mieszkał aż pod Kowlem, nie łatwo mu się było wybrać w podróż drugi raz, a spieszył z powrotem, bo mu ktoś w drodze powiedział, że słyszał jakoby w jego okolicy bydło strasznie padać zaczęło. Pani Marcinowej brakowało jak na toż pieniędzy, posłała do Moszka arędarza, ten znowu nieszczęściem wyruszył był do Włodawy, i sumka była znaczna, bo za lat kilka do pięćset złotych się przyzbierało. Poili i karmili wierzyciela w oficynie, wyglądając pana Marcina, ale szlachcic się codzień gorzej niecierpliwił i wyrzekał; Marcinowa gorąca kobieta aż spać ni jeść nie mogła.

Wieczorem przychodzi Żeliga z polowania, zastaje ją po izbie latającą, zburzoną całą.

— Co pani dobrodziejce takiego?

— A toć się domyślać musicie, że mi ten szlachcic choroby przyczynił. . ja tu z nim zwarjuję. Mały dłużek, a wielkie strapienie... Dosyć tego, żeby mi trzy razy w dzień przyszedł, stanął u drzwi i zapytał cienkim głosikiem: kiedyż p. Marcin powróci... Od tego jednego licho weźmie... Gotowabym trzewiki sprzedać, a oddać należytość... tak mi wstyd.

— Ale moja dobrodziejko — rzecze

Żeliga żywo—trzebaż mi było zaraz pierwszego dnia powiedzieć, toćby się może rada znalazła... ja tam mam w Chełmie znajomych...

— Toć i my ich mamy, kiedy goli...

— E! to jużby człek i sam węzełki porozwijawszy coś znalazł — rzekł Żeliga— wieleż to tam tej biedy? co jejmości brak?

— Co mi brak? ba! ba! trzysta złotych mój drogi, to nie żart.

— No! no! jeśli tylko trzysta, to ja moje pogrzebowe rozpieczętuję, pójdę do oficyn i przyniosę.

Pani Marcinowa o mało go nie pocałowała; jak rzekł tak się stało, pobiegł do swojej izby i w tej chwili owe trzysta złotych przyniół złotem obrączkowem i talarami bitemi.

Zdziwiła się niepomało gospodyni, dziwił się Barciński potem wróciwszy.

Gdy mu je p. Marcin pospieszał oddać, Żeliga odrzekł:

— To nie pilno, wszakże nie uciekam, ani umierać myślę; oddacie później.

Choć go już wprzód szanowali pp. Barcińscy, teraz nie wiedzieć dla czego jeszcze w większem go mieć poczęli poszanowaniu, bo u ludzi tak zawsze grosz w kalecie i mizernemu człowiekowi wagi dodaje.

— To jakaś doprawdy zagadka, ten nasz poczciwy Żeliga — szeptał potem jegomość do żony, — nie pierwszy raz dał mi do myślenia, że gruby grosz mieć może.

— Waćpan nie uwierzysz, serdeńko moje, — dodała żona — jak on honeste ludzi obdarowuje i tego kozaka Sawkę, co mu posługuje czasem, tak oporządził i opłaca, że najbogatszy pan nie mógłby lepiej.

— W tem jest bo jakaś tajemnica — mówił Marcin — to nie pospolity człek.

— W roku przeszłym — przerwała żona — gdy tu do nas ze mszą św. przyjechał Reformat, dał mu w sekrecie na nabożeństwo żałobne za duszę Elżbiety, Jana i Karola, złotych dwieście obrączkowemi dukatami, aż się u mnie ojciec Kalikst dopytywał co to za jeden.

— Tak, tak — powtórzył swoje gospodarz—zauważałem ja to od dawna, że to nie jest lada włóczęga i hołota... Bóg wie co to takiego jest... czy dziwactwo, czy jaki go też wypadek kryć się przymusza... nie godzi się może w tem szperać, ale coś jest, coś jest... Bo znowu pieszo przybył, mając grosz, o niczem nie myśli dalej... a człek coby i rozumem mógł się go dorobić, gdyby chciał... taż to jak z nieba spadł dla Justysi naszej... czego on jej nie nauczy!

Justysia była to śliczne dziecię, jedyna córka Barcińskich, do której w istocie Żeliga przywiązawszy się bardzo, jakby madame jaka lekcje jej regularnie dawał — ale o tem niżej będzie.

Barcińscy oboje choć się czegoś domyślali, postrzegłszy, że byle zaczepić go o

przeszłość, chcieć dopytywać o życie, o stan, o rodzinę, zaraz posępniał i zamykał się w sobie, niekiedy nawet w pole uciekał i nie rychło się pokazał potem, poszanowali nieszczęście i milczeli. Ale w sąsiedztwie nie mając co robić, nieraz niestosowna wymyślano o nim baje.

Szczególniej go śledził, choć potajemnie, o miedzę tylko mieszkający niejaki Achinger, herbu jak wiadomo, Wiewiórka, wywodzący się od Achingerów Holzackich, a potomek onego Zybulta, który był na Rusi pierwszy się usadowił. Tym Achingerom Rudolf cesarz za ich zasługi przekształcił rodzinny herb Wiewiórkę, dodając doń wieżę i rycerstwa na hełmie, z czego się dosyć chlubili. A byli to ludzie bystrego umysłu wszyscy. I ów też, co sąsiadował z Barcińskimi, miał nie mało przyrodzonego dowcipu, ale że go była natura upośledziła, bo był na jednę nogę nieco kulawy, i z lica szpetny, więc się mścił na rodzaju ludzkim nieco lepiej wyglądającym, a zgryźliwym i szyderskim stał się nad miarę, zwłaszcza gdy postarzał, a żadna niewiasta, choć bogatego kuternogi nie chciała za męża. Zwano go też poufale kuternogą, a niekiedy i przyjaciele w żarcie pozwalali go w oczy tak mianować.

Achinger złym tak człowiekiem nie był, ale kwaśnym, a że próżnował, więc go ludzie niepotrzebnie, a do zbytku zajmowali.

Nikt z całego sąsiedztwa lepszych nad niego wiadomości nie miewał, bo też mu je wszyscy znosili wiedząc, że był ich ciekawym, i on sam z pajęczyny sobie nieraz płótno wytkał, tak był srodze uważającym i niezmiernie przenikliwym. Bano się go jak ognia, ale z tem źle mu nie było, bo też ten i ów ugłaskać pragnął, aby się na szorstki język nie popaść. Achinger pod ten czas był już dobrze kawalerem, ale młodości za wygrane nie dał, a złe języki utrzymywały, że nie mając miru po pańskich dworach, do Nastek i Parasek z cicha koperczaki stroił.

Zaraz gdy Żeliga przybył, a Achinger go zobaczył, obejrzał, rozgadał się i dowiedzieć do gruntu nie mógł, co to był za jeden, markotno mu się zrobiło. Począł pana Barcińskiego jątrzyć że nieznajomego tak łacno do domu i poufałości przypuścił, z czego ten się tylko śmiał, ruszając ramionami; potem go żgał nieustannie prześladując, że w takiej nieświadomości żyć może, naostatek sam się uwziął coś koniecznie dójść o Żelidze, ale na tem sobie zęby ścierał próżno, co go z każdą chwilą bardziej drażniło. Niezrażony wszakże, na każdy krok jego czatował, i najdrobniejsze plotki o nim zbierał. Z tego jednak wszystkiego ścisnąwszy dobrze nic wydusić się nie dało.

— Ale poczekajcie — mówił Achinger — pomaleńku, pomaleńku, taki ja się tam czegoś domyślam.

Tak się to w zawieszeniu zostało.

Żeliga zresztą wyjąwszy to dziwactwo i milczenie o sobie uparte, człowiek był choć do rany przyłożyć. P. Marcin powtarzał przy nim i bez niego:

— Błogosławię ten deszcz, co mi go tu zatrzymać pomógł, i dzień i godzinę co go tu przyniosła.

Od Barcina do Chełma było dobrej półtora mili po dosyć górzystej drodze, w większej części lasem idącej, więc choć w Barcinie było oratorjum i najczęściej ksiądz rezydował na kapelanji jednego z sąsiednich klasztorów, Żeliga widać nabożny będąc wielce do obrazu Matki Boskiej, często do miasteczka chadzał pieszo. Czasem i pół dnia i dzień nawet cały spędził tam na nabożeństwie. Państwu Marcinostwu aż tęskno bywało po nim i chcieliby mu oszczędzić przykrej wędrówki, obawiając się aby w drodze czasem nie miał jakiego przypadku, ale na wózek i konia namówić go nie było podobna. Ująwszy kostur w rękę, szedł sobie z różańcem takim żwawym i spiesznym krokiem, że się mało kto z nim zejść potrafił.

Jak skoro wpadł do miasteczka, już tam nikt nie odkrył ani co robił, ani gdzie się podziewał. Raz zdarzyło się, że pani Marcinowej wypadło jechać do Chełma na nabożeństwo i po małe sprawunki na święta; chciała z sobą zabrać Żeligę, bo cały tam dzień miała przepędzić. Wcześniej jednak je-

szcze niż się ona wybrała, nie wiedząc o wyjeździe, pieszo ruszył Żeliga. Dziwiła się pani Marcinowa nie spotkawszy go nigdzie po drodze, ale domyśliła się że przez las krótką ścieżkę obrał; nie widziała go też ani w kościele, ani mogła odszukać w miasteczku, choć wcale wielkie nie jest. Była więc o niego bardzo niespokojną, ale gdy mrok nadszedł, a znaleźć go nie było podobna wróciła sama do domu. Dopytywano go potem gdzie był i co przez cały dzień robił, Żeliga pół żartem, pół serjo niby się ze wszystkiego wytłumaczył, Achinger wszakże przytomny tej indagacji wypadkiem kiwnął głową i dowodził, że coś innego było w tem wszystkiem. Nikt też go tak nielitościwie nie szpiegował jak on.

Wpłynął nawet podejrzliwością swoją na państwo Marcinostwo, którzy poczuli się trochę obrażeni, że jakieś tajemnice tak starannie przed nimi ukrywał, ale go tak kochali, że mu nawet mówić nie śmieli. Kilka tak razy do roku w sposób nie wytłumaczony znikał na dni parę i powracał albo smutniejszym albo weselszym, zawsze pomięszanym nieco, zwłaszcza gdy go się pilniej o to, gdzie był co robił dopytywano. W końcu już musiano udawać, że się tego nie spostrzega.

— Wiesz asińdźka co — mawiał często p. Marcin do żony, — gdyby ten poczciwy Żeliga nie był taki jakiś zacny i obu-

dzający poszanowanie, jabym się go obawiał. Ta jucha Achinger ciągle dowodzi, że to być musi jakiś kryminalista. Bo i prawda, po co się tak kryje? zkąd pieniędze? prawdą a Bogiem czy ja wiem, nazywa się on istotnie Żeliga albo nie? nawet familji takiej nie znam nigdzie. Jest w tem licho jakieś, że się z sekretami nosi; że milczy, człowiek czysty nie boi się odkryć z sobą! Jest jakieś licho... słusznie mówi Achinger.

— Ale dajże pokój z tym twoim Achingerem — odpowiadała pani Marcinowa, ten kuternoga rodzonego ojca by posądzał i obgadywał, na kimże on kiedy suchą nitkę zostawił?

— No! to prawda! — bąkał pan Marcin.

— Co nam tam do tajemnic biednego człowieka — dodawała p. Marcinowa, która go bardzo lubiła — sam widzisz kochanie moje, jaki to dobry człowiek, łagodny, pobożny... juścić nie żaden zbójca i zbrodzień ani wywłoka...

— Ja też tam tego nie mówię, uchowaj Boże — tłumaczył się p. Marcin — ale ten Achinger... ja go o nic nie posądzam, choć po świecie różnie się trafia. Słyszałaś pewnie moja duszko, że sam Bolesław śmiały zabiwszy św. Staniaława, pod obcem nazwiskiem ukrywał się w klasztorze w Ossyaku... kto tu odgadnie, co tam jest na dnie? jak powiada Achinger. (Trzeba wiedzieć, że

Achinger miał nieznośny zwyczaj rymowania w rozmowie, co uważał za dowcip i słynął z niego bardzo.)

— Człowiek w grosz zapaśny — dodawał pan Marcin — a bez majątku ziemskiego, stroniący własnego kąta, boć gdzieś swój kąt mieć musi, wzdrygający się mówić o przeszłości.

— Że nie bez kozery obrał sobie to życie, to pewna — szeptała jejmość, ale mój kochany, ty wiesz, jak to między rodzinami bywa, nie wszyscy do siebie podobni, przyjdzie do sporu, zajmie się kłótnia, ludzie się znienawidzą, jeden potem od drugiego ucieka, człowiek sobie i kąt swój i braci obrzydzi.

Odgadywali tak nieraz, silili się. Achinger plotki nosił wszelkie, ale na żaden trop wpaść nie mogli, a gdy Żeliga dostrzegł, że go kuternoga szpiegował, takie mu figle płatał, że się stary kawaler wściekał ze złości. Pan Marcin wszakże codzień na to był obojętniejszym, i za grzech sobie poczytywał potajemnie dochodzić, co gość przed nim z powodów sobie wiadomych, ukrywać musiał. Parę razy i to mu dało do myślenia, że Żeligę po tych wycieczkach zastawał z rana zszedłszy niespodzianie nad jakiemiś papierami, listami, raptularzami, które ten starannie zaraz do szuflady ukrywał. Mimowolnie rzuciwszy okiem na nie, widział pan Marcin na listach świecące jakieś ogromne

pieczęcie, na papierach cechy urzędowe, a przynajmniej nie lada jakiej kancelarji. Do jakiego to stopnia drażniło ciekawość, wypowiedzieć trudno. Achinger się zakradał, pod oknami podglądał, nigdy jednak nic nie wypatrzył takiego, coby go na ślad jakiś naprowadzić mogło i głowa mu pękała.

Już i miłość własna przenikliwego człowieka w grze była, upokorzonym się czuł nadaremnemi zachody, zawstydzony i tem, iż Żeliga wcale nań nie uważał, a w rozmowie zbywał go półsłówkami i dwuznacznemi uśmiechy. Przyczyniała się też do rankoru przeciw obcemu, jeszcze jedna okoliczność nie małej wagi.

Rezydowała wówczas na dworze państwa Marcinostwa już od lat kilku krewna samej jejmości, panna Agnieszka Przecińska, niegdyś bardzo majętnych rodziców córka, którzy wszystko stracili przez nieszczęsne pieniactwo. W tym żywocie naszym szlacheckim proces nie zawsze był dla grosza i interesu wiedziony, poczynał się on zwykle od majątkowego sporu, ale kończył walką, w której więcej szło o zwycięstwo, niż o pieniądze. Strony nieraz obie poszły z torbami, ten co wygrał zrujnował się i ten co przegrał, wieś musiał na opłatę rzeczników puścic, ale oba się nie dali do końca. To „nie daj się!“ zapalało do ostateczności a interes szedł na ostatku. Tak właśnie co się stało z rodzicami p. Agnieszki, którzy straciwszy

chodząc po trybunałach wioskę ostatnią, ze zgryzoty pomarli. P. Agnieszka, lub jak ją pospoliciej tam zwano Agnusia, była pięknością jakich mało, ale roje pretendentów razem z majątkiem ją opuściły. Z całej spuścizny zostało jej trochę rupieci kosztowniejszych i dziesięć tysięcy złotych. Z tych pobierając prowizję po pięć od sta, miała na trzewiki i sukienki Agnusia, ale nie na zwabienie męża. Żyjąc zresztą u krewnych, którzy ją kochali, nic nie potrzebowała. Zrazu rachowała na swą niezrównaną piękność, i pewną była, że prędko za mąż wyjść potrafi, choć bez wielkiego posagu. Ufała zwłaszcza niejakiemu porucznikowi Trzylateckiemu, który się w niej śmiertelnie kochał, i wiekuistą jej był miłość poprzysiągł, ale ten ją potem opuścił, a tak rok za rokiem osmutniała biedna i wszystkie swe dawne przeżyła nadzieje. Achinger, który zawsze o ożenieniu przemyśliwał, a już pary sobie nigdzie dobrać nie mógł, człek zresztą majętny, bo miał i wioskę porządną i kapitał znaczny u Radziwiłłów ulokowany, za który mu zastawem wioskę dać chciano, rozsądny, niezbyt stary, tylko kuternoga i szpetny, rzucił był wędkę na pannę Agnieszkę. Ta jednak na pierwszą oznakę afektów, zżymała się i tak zakrzyczała, że ani słuchać o tem nie chciała

— Nic pilnego, poczekamy — mówił w duchu stary kawaler — niech troszynę

podwiędnie, będzie tańsza. — I czekał tak spokojny, gdy licho przyniosło Żeligę.

Żeliga nie był zalotnikiem, ani pierwszej młodości człowiekiem, do tego ubogim i pokornym, ale mimo swych lat dojrzałych, mimo ubóstwa, miał wielki urok, zwłaszcza dla niewiast, był niesłychanie miłym i poważnym. Nic tak nie odstrasza kobiety jak szyderstwo, a te co się na dowcip biorą, nie wiele są warte. Achingera bała się panna Agnieszka jak ognia, mimo że ją bawił, śmieszył i pochlebiał: milczący Żeliga ze swą powagą smutną, zaraz się jej podobał. Wcale się on o to nie starał, unikał raczej pozoru nawet jakiego sentymentu, bo w jego położeniu mógłby się narazić na wstyd i przykrość, nie było też nic pomiędzy nim a panną Agnieszką, coby najsurowsze oko obrazić mogło; ale od pierwszych dni zawiązała się przyjaźń wielka. A że najniewinniejsze nawet przywiązanie dwojga ludzi wolnych i niezbyt starych musi dawać do myślenia, państwo Barcińscy nieraz sobie o tem kręcąc głową szeptali.

Żeliga unikał panny Agnieszki, ona go też nie szukała, jakoś się to przecie zawsze tak złożyło, że się niechcący znajdowali... czasem mimowoli zagadali się zbyt długo, czasem on spojrzał i wzrok jej zawstydzony spotkał, czasem się i on zarumienił obaczywszy ją, koniec końcem hamowane uczucia trzymane na wodzy serca, wyrywały się ku

sobie. Oboje wszakże zapewne nie łudzili się wcale, aby te darowane im chwile marzenia u słońca zachodu, miały się kiedy rzeczywistszem szczęściem zakończyć. On nie był młody, a znać przecierpiał wiele, ona zachowała i wielki wdzięk i piękność jeszcze niepospolitą, a powagę pańską królowej; miłość też to była jesienna, dziwna, wstrzemięźliwa, osobliwego rodzaju, tak że nie wiem czy ją tem imieniem nazywać było można.

Kiedy się czasem p. Marcin prześmiewał nieco z Żeligi, on mu odpowiadał spokojnie:

— Ale mój dobrodzieju, chybażeście zapomnieli kto ja jestem... możnaż takie rzeczy przypuszczać!—A gdy pani Marcinowa w cztery oczy badała pannę Agnieszkę, to nie bez rumieńców wypierała się przed nią wszystkiego, przyznając tylko do szacunku.

Ten dziwny dwojga biednych ludzi stosunek tak święty i czysty, że go pewnie żadna myśl nawet namiętniejsza nie pokalała, wcześnie zwrócił uwagę Achingera, i jeszcze w nim większą dla obcego przybyszą obudził nienawiść.

— Ot! czego mu się chce, tej hołocie! widzieliście! panienki! A taki skromny, a taki niewinny... I ona też woli pono jego proste nogi, niż moją krzywą, ale z tego nic nie będzie... Łaska Pana Boga, wygra kuternoga. I mu zedrę tę maskę z twarzy

którą się okrywa... ja go obnażę i pokażę. Ale pokazać mimo usiłowań nie było co i to właśnie bolało p. Achingera.

Postanowił obudzić baczność p. Marcina i rzekł mu wręcz.

— Słuchaj stolniku... niech tam sobie panna Agnieszka ze mną robi co się jej podoba, ale tu o honor domu waszego idzie. Ten przybłęda, włóczęga bez łomu i domu, on panienkę durzy... przypatrzcie no się z bliska... tam coś jest... żeby czasami ślub nie przyszedł zapóźno i z musu, bo tacy poważni ludzie, poważni, mądrzejsi są jeszcze od młokosów.

— Co ty pleciesz kuternogo! — wołał p. Marcin na pół rozgniewany... a toć to Agnieszka to święta...

— Choć święta Agnieszka... a djabeł w niej mieszka! — odpowiedział Achinger — nie darmo kobieta... no! no!

— Ale on i ona Bogu ducha winni, im się nie śni...

— No! no! bodaj się nie śniło... — szeptał Achinger, — dobre ja mam oczy.

I prawda to, że oczy zazdrośnika pierwsze zawsze upatrzą rodzące się uczucie...

Panna Agnieszka jednak, ani Żeliga nie przyznawali się nawet sami przed sobą do miłości, tak im się ona zdawała niepodobną, a mimo to kochali się sami o tem nie wiedząc może. I była to miłość niezwyczajna, spokojna, beznamiętna a niepokonana; więcej

miłość ducha i powinowactwo serc, niż burzliwa żądza, którą wybucha młodość. Miała ona wszystkie cechy miłości dziecinnej, przeczucia tęsknoty, jasnowidzenia, które obojgu przychodziły mimowoli i z wielkiem podziwieniem ich własnem, a mimo to i panna Agnieszka wypierała się sama przed sobą kochania, i p. Żeliga wzruszał ramionami, kiedy mu na myśl przyszło, że to ktoś miłością nazwać gotów.

Doświadczeńsi od nich obojga państwo Barcińscy, czasem między sobą rozmawiali, trochę się niepokojąc wreszcie.

— Moja dobrodziejko — mówił pan Marcin, mów ty sobie co chcesz, a to taki między nimi coś jest.

— Ale Agnieszkę przecież znasz i tego człowieka także, nie posądzaj że ich, nie sąć to dzieci.

— Otóż to najgorzej — przerwał pan Marcin — bo w młodości ogień się łatwo zapali i rychło zgaśnie, a w dojrzalszym wieku to rzecz niebezpieczna.

Achinger przypatrywał się zdaleka, a coraz go na Żeligę złość większa brała, ostatnią nadzieję ożenienia odbierał mu ten człowiek. Z tego domu już rugować go niczem nie było podobna, bo się nie tylko gospodarstwo oboje, panna Agnieszka, ale i mała Justysia do niego przywiązała niezmiernie, a Justysia w Barcinie była pierwsze oko w głowie.

Pieszczotka, jedynaczka ukochana, jak aniołek śliczna, Justysia była niepospolitem na wiek swój dziecięciem, Bóg ją obdarzył tak, jak tylko wybranych swoich zwykł uposażać. Co do wdzięku i urody nie zrównała jej żadna rówieśnica, ludzie nawet w kościele stawali się w nią wpatrywać, gdyby w obraz cudowny. Biała była jak lilja, oczy miała ciemno szafirowe jak bławatki, włosy jasno orzechowe, a kształtna jak młoda sarneczka. Rączka, nóżka, wszytko w niej było urody cudownej, tak że patrząc na tę powietrzną istotę, strach brał aby lada powiew nie porwał do nieba, z którego zda się chmurką jakąś spłynęła. Ale niczem to jeszcze było wszystko przy duszyczce tego dziewczęcia, tak czystej, świętej, anielskiej, iż gdy się ozwała czasem, zdumiewali się słuchający słowem z jej ust płynącem. Rodzice ją sami wychowywali, potem trochę matce pomagał Żeliga, najwięcej rozmową lub opowiadaniem przy czytaniu, wychowanie więc to było bardzo proste, jednak Justysia szerzej i więcej widziała niżeli jej pokazywano, jasnowidzenie miała świata, życia, niebios i duchów. Było to prawdziwie cudownem w niej szczególniej dla matki, która słuchając jej rozrzewnienia, często siebie porównywała do kury, która wychowywała młodego łabędzia i łabędź popłynął... a ona u brzegu zostać musiała... Zkąd się w niej myśli te biorą, zkąd ona

to bierze co mówi? czy jej aniołowie szepcą we śnie?

Żeliga też słuchał, uśmiechał się, i łzy mu czasem w męskiem oku kręciły się, a gdy dziewczę nadto wysoko myślami wzlatywało, on je sprowadzał zabawką dziecinną na ziemię... i nie dawał bujać w niebiosach do zbytku. Przy tym niezwyczajnym rozumie i wcale nie dziecinnej powadze, Justysia miała prostotę niemowlęcą, wesele aniołka, pokorę zakonnicy. Ukochana przez rodziców kochała ich gorąco, a serce jej tylko też kochać umiało, i nie było istoty, do którejby się nie przywiązała, którejby nie otaczała troskliwością i opieką. Przez nią płynęło wszelkie dobro na wieś i okolicę, ona była tłumaczem biednych, ich pośrednikiem, obrońcą przed rodzicami. Chory, ubogi, obawiający się kary za winę, wszyscy szli do Justysi, i przez nią trafiali do matki i ojca. Był to istotnie anioł opiekuńczy dworu i wioski, a z okolicznych osad i miasteczka, kto tylko ciężką miał sprawę, pewnie do niej pierwszej biegł by mu pomogła. Justysia z uśmiechem, z radością wywiązywała się z tych dobroczynnych poselstw, których co dnia było pełno. Śmiał się z niej czasem pan Marcin, gdy którego dnia milczała i zapytywał:

— A cóż to dzisiaj Justysia żadnej sprawie za odwokata nie służy? czyby to waszmość pannie klientów zabraknąć miało?

Albo się odzywał: — Co ci tam za to dali, żebyś za nimi mówiła?

Dziewczę się rumieniło, uśmiechało, lub ojca za szyję ująwszy, okrywało pocałunkami.

Dni jej płynęły jak w raju na tej poczciwej pracy, na rozmowach długich z Żeligą, przy książkach pobożnych, w ogródku, za krosienkami, lub po pieszczotach z matką i kochanym ojcaszkiem, w swawoli wesołej z panną Agnieszką.

Rzadko kiedy jeździły w sąsiedztwo, do kościoła, lub na dalsze ku Lublinowi wycieczki. Domyśleć się łatwo, jak gorącą była przyjaźń dziecięcia dla nauczyciela i piastuna Żeligi. Nikt też go zapamiętalej nie bronił nad nią, nikt lepiej nie pilnował, aby mu na niczem nie zbywało, czuwała nad nim jak on nad nią, i pieściła go niemal tak, jak ją rodzice. Przy niej słówka nań pisnąć nie było wolno. Pamiętała o wszystkich jego potrzebach, wiedziała najlepiej co on lubi, domyśliła się zawsze najpierwsza czego mu zabraknąć mogło. Nawzajem Żeliga też znosił jej kwiatki, podlewał ogródek, budował altanki, i zajmował nieskończonemi opowiadaniami. Nosił jej ciche jałmużny dziecęce na wieś, był posłem i pomocnikiem; ale dziwne z tego trafiały się jakieś omyłki, bo zawsze zaniósł więcej niżeli mu dano. Pytany potem nie dobrze się umiał wytłumaczyć, i nie bardzo chciał rozumieć o co go pytano, ba-

łamucił, zagadywał, udawał że się przesłyszał. Justysia mu groziła, ale kończyło się zgodą.

On, Justysia i panna Agnieszka stanowili prawie nierozłączną trójkę, wśród której zawsze panowało wesele i niczem niezmącony pokój.

Gdy Żeliga się na jaki dzień oddalił, chodziły na jego spotkanie, wypatrywały powrotu, a Justysia umiała go przeczuć za wrotami, zobaczyć w ciemności, i poznać po chodzie. Naówczas rzucała się na powitanie śpiewając i zbiega ująwszy za poły, prowadziła jak swego niewolnika. Idąc na przechadzkę, Justysia zawsze stawała pomiędzy nimi, trzymając ich za ręce, spoglądając na przemian to jemu to jej w oczy i wypowiadając za nich myśli, jakby w obojgu sercach czytała.

Roskoszne były to chwile, a tak płynęły im szybko... Tylko Achinger coraz to posępniej mruczał, coraz to się więcej niecierpliwił.

— Wołokita jakiś — mówił do siebie — ni to z pierza, ni z mięsa, hołysz rezydent... sam się nie ożeni a mnie psuje.

Nie mogąc na to poradzić, wypatrzył nareszcie kuternoga dzień, gdy Żeliga poszedł do Chełma, dali mu znać szpiegi jego we dworze, a że drożynę znał, którą zwykł był powracać, zasiadł na niego w chacie leśnika postanowiwszy sam na sam stanowczo się z nim rozmówić.

Nad wieczór już było, gdy spieszący do Barcina Żeliga, postrzegł na drodze na kamieniu młyńskim dawno porzuconym nad rowem czatującego Achingera. Byłby go minął, ale unikać nie wypadało... uciec się wstydził... musiał tedy iść przebojem.

Pokłoniwszy się grzecznie, już miał nie zatrzymując się pójść dalej, gdy kuternoga wstał z młyńskiego kamienia i zatrzymał go.

— Za pozwoleniem, panie, za pozwoleniem...

Żeliga stanął.

— Przepraszam, ale chciałbym pomówić.

Zeliga się skłonił milczący.

— Dawno mi to leży na sercu — rzekł kuternoga — trzeba raz się roztłumaczyć.

Odchrząknął, ale mimo zuchwałości i dowcipu trudno było zacząć.

— Czekam — ozwał się Żeliga.

— Zaraz — rzekł Achinger. — Pan wiesz czy nie, że ja mam zamiar starać się o rękę panny Agnieszki?

— Nie wiem... a co to do mnie należy?

— No tak, to nie do waszmości należy, ale mi waszmość przeszkadzasz.

— Ja? czem?

Achinger splunął.

— E! e! *kruty ne werty!* co to długo gadać. Waszmość do niej cholewy smalisz...

— Ja? co panu jest? ja?

— Nie?

— Nie...

Znowu się kuternodze urwało.

— Ale ja mówię waszmosci że mi przeszkadzasz!

— Dalipan nierozumiem...—odparł sucho Żeliga — panna Agnieszka jest woli swojej panią, a ja nie śmiałbym nawet pomyśleć sięgnąć po jej rękę...

— To po cóż ją durzysz? — zawołał ze złością Achinger.

Żeliga ramionami ruszył.

Kuternoga jakoś sobie był zawczasu inaczej rozmowę ułożył, nie szła mu, zwrócił ją na żart.

— Kochany panie Żeligo — rzekł — obaśmy nie młodzi, niech kruk krukowi oka nie kole... nie psuj mi interesów...

— Ani psuję, ani naprawię — odparł przybysz — wiesz waćpan położenie moje w tym domu... wysokie progi na moje nogi... dobranoc!

— Ale zaczekajże—krzyknął Achinger— poradź mi.

Żeliga się uśmiechnął.

— Zle to już, gdy do małżeństwa cudzej rady potrzeba, to tak jak gdy się jeździec na konia podsadzać każe... nie zajedzie daleko... Zdrową jednę dam panu radę, porzuć waćpan amory...

— I powracaj do nory! — zgrzytając zębami i udając wesołość dodał kuternoga. Dobryś ty! dobry! ale słuchaj, ktokolwiek

ty jesteś ja cię odkryję, ja się pomszczę... ja ci nie daruję...

— Za co? — spytał Żeliga.

— Tyś mi wszystko popsuł... No! no! dobranoc, ale jak Boga kocham, że się jeszcze gdzieś zobaczymy.

Żeliga, który już odchodził zatrzymał się, zdawał się z sobą walczyć, twarz mu krwią nabrzmiała i kij, który w ręku trzymał począł trzeszczeć bo go w pięści zdusił; Achinger uląkł się i pobladł.

— Nie daj ci Boże, abyś ty się ze mną spotkał tak jako myślisz! — rzekł ponuro.

Słowa więcej nie rzekli, kuternoga poszedł cicho do chaty leśnika, gdzie był konie zostawił, a Żeliga do dworu pospieszył. Achinger nigdy nikomu o tem spotkaniu nie wspominał.

Wszelako od imprezy swej nie odstąpił, unikał spotkania z Żeligą, ale starał się zbliżyć i rozmówić z panną Agnieszką. Sam bowiem dotąd z nią otwarcie jeszcze się był nie rozgadał; wiedziała ona dobrze co się święci, bo któraż kobieta się tego nie domyśli, ale Achinger pochlebiał sobie, iż gdyby sam jej przedstawił ofiarę ręki i majątku, nieochybnie by ją przyjąć musiała. Szukał więc tylko sposobności, aby z nią pomówić o tem.

Nadarzyła się wkrótce jak najprostszym sposobem. Żeliga bowiem na polowanie wyszedł, a Marcinostwo wyjechali do sąsiadów

z Justysią, tak, że nie rada odwidzinom panna Agnieszka, została sama i siedziała w ganku upatrując rychło li Barcińscy powrócą, gdy ją niespodzianie zszedł Achinger. Być bardzo może, iż sobie przez swe szpiegi to spotkanie przygotował. Z razu spostrzegłszy go panna Agnieszka uciekać chciała i skryć się, ale pomiarkowała, iżby ta obawa zbyt była znaczącą i pozostała w ganku.

Kuternoga pospieszył z powitaniem i żarcikiem.

— Pani, jak widzę, nie obawia się rozbójników, kiedy tak sama w domu siedzi.

— Ja prócz pana Boga niczego się nie boję — odpowiedziała panna Agnieszka.

— A ja to jeszcze w dodatku i djabła... pani dobrodziejko — rzekł Achinger, boć często się z nim choć w ludzkiej skórze, spotkać można.

To mówiąc zasiadł kuternoga na przeciwko panny Agnieszki na ławie, otarł pot z czoła i począł myśleć od czego począć, aby do swojego przyjść. Westchnął tedy.

— A! pani! pani! gdybyś pani wiedziała co dla niej ludzie cierpią...

Panna Agnieszka spojrzała nań i poczęła się śmiać.

— A toż co? — spytała — czy i pan takie rzeczy mówić umiesz?

— Jakto i ja? dla czego? czym to za stary?

— Tak mi się zdaje, boć to czcze

słowa i dla pustej młodzieży zabawka, ani ja ani pan jużeśmy nie do tego...

— No dobrze, tem lepiej — zawołał Achinger — po prostu z mostu mówmy, jak dojrzalszym ludziom Pan Bóg przykazał. Ja pannę Agnieszkę bardzo kocham.

— A ja pana nie...

— Nic a nic?...

— Ani trochę...

— To jeszcze nic nie szkodzi — przerwał kuternoga — miłość jak apetyt nabywa się, nie wierz gębie, połóż na zębie... ja miłości Leonildy dla Koloandra nie wymagam, bo ostateczne postanowienie i małżeństwo święte mam na myśli... Chcesz mnie pani czy nie?

— Ale zdaje mi się, kiedym panu powiedziała, że do niego nie czuję afektu...

— To nic nie dowodzi... ja żądam trochę tylko respektu, tylko...

— Ja zamąż wcale iść nie myślę...

— Bo się pono nie trafiało od niejakiego czasu, ale pomyśl asińdźka teraz, człek ze mnie nie chwaląc się nie ostatni, siebie ani żony w kaszy nikomu zjeść nie dam, majątek jest dobry... tytulik jak się postaram, będzie... familja Achingerów od Rudolfa cesarza...

Panna Agnieszka, która o tym Rudolfie już nie jeden raz słyszała, uśmiechnęła się i przerwała:

— Toć wiem.

— No! to tak jak wszystko — rzekł gość — jak mię asindźka widzisz tak pisz. Kuternoga to prawda, aleć małżeństwo nie taniec.

— Nic przeciwko panu nie mam... ale...— dodała ciszej rumieniąc się panna, ja za mąż iść nie myślę...

— Ej! ej! czemu? czy to miło doczekać na starsze dni łaskawego kąta u familji kiedy swój własny mieć można? po co być na obcych łasce...

— Ale to nie obcy i jam nie na łasce, oburzyła się Agnieszka — bardzo panu dziękuję za tę o mnie troskliwość, ale mi tak jest dobrze...

Achinger potargał wąsa.

— Moja mocia dobrodziejko — rzekł — możeby wziąć do namysłu dłuższego sprawę bo się Achingery nie codzień trafiają.

Czuć było w głosie, że już w nim kipiało, ale panna Agnieszka z uśmiechem odparła:

— Dziękuję za uczyniony mi honor, ale stanowczo za mąż iśc nie myślę.

— Tak?

— Tak panie — dodała — nie poszłam będąc młodszą, dziś zapóźno o tem marzyć.

— Lepiej późno niż nigdy.

— Lepiej nigdy niż późno.

Stuknął Achinger laską w podłogę gankową aż się zatrzęsły słupy.

— Ej wiem ja wiem — rzekł — co to jest... nie małżeństwo pannie wstrętliwe jest ale ja... gdyby tak inny...

— Nie, zaręczam--zawołała już gniewna panna Agnieszka.

— I wiem nawet kto inny...

— O tem wątpię, bo byś pan więcej chyba wiedział niżeli ja sama.

— Podobał się podobno tajemniczy człowiek, ów przybłęda. co to nie wiadomo czy się gdzie z szubienicy oberwał, czy z pod ekonomskiego bizuna...

— Mości panie — porywając się z siedzenia ofuknęła się panna Agnieszka cała pąsowa — ani słowa więcej, lub...

— Nie wiedziałem, że nawet mówić nie wolno... ale pozwól asińdźka dać sobie przestrogę... niebezpieczna to gra, gdzie jeden w masce chodzi, drugi z twarzą odkrytą... byle nie żałować.

— Nie wiem zkąd pan mogłeś posądzić mnie... — zawołała panna — domysł jego fałszywy, ale na przyjaciela domu moich krewnych i człowieka którego szanuję, nic powiedzieć nie dam.

— No! no! proszę się nie gniewać, coś się przebacza miłości — rzekł miarkując się Achinger — prawda żem za gorąco się wyraził, ale też i gorąco poczułem... więc o pardon i milczenie proszę...

W tej chwili szczęściem nadjechali państwo Marcinostwo, zaczęli żartować ze sa-

motnej pary i na tem się skończyło, ale Achinger jeszcze większą i zaciętszą powziął do Żeligi nienawiść, jemu przypisując swe niepowodzenie.

Być może iż miał trochę słuszności, ale Żeliga będąc w najlepszych stosunkach z panną Agnieszką, pono w istocie nie myślał, aby one kiedy ściślejszemi węzły mogły się zakończyć: unikał nawet pozoru przypodobywania. Mniej ostrożną może była sama panna Agnieszka, nie myśląc aby ją posądzić miano o co innego jak o przyjaźń, której się wcale nie wstydziła. Pani Marcinowa z lekka jej czasem napomykała, aby była ostrożniejszą i ludzkim językom nie dostarczała pastwy; rumieniła się naówczas panna Agnieszka i milczała; żartował też niekiedy sam pan Marcin.

— Ej panienko, — mówił grożąc — coś mi waćpanna myślisz widzę Żeligę bałamucić? czy ci tak w oko wpadł? Niebezpieczna to rzecz rozmiłować się w podżyłym człowieku, bo takie kochanie, jak mówią, do żywota trwa.

— Ale dajże mi pan pokój — broniła się panna Agnieszka — z palcaście to państwo wyssali...

Tak mówiła, ale nazajutrz, w długiej przechadzce z Justysią i Żeligą, wszystkie te przestrogi i żarty się zapominały. Mówiliśmy już, że panna Agnieszka była niegdyś bardzo piękną, mimo lat z górą trzydziestu wdzięk

ten zachowała cały, stała się tylko poważniejszą, smutniejszą, ale przebyte strapienia zniesione mężnie nie starły z niej wiekuistego uroku młodości, która nie zużytkowana cała przy niej została. Była więc jeszcze majestatycznie piękną i czas zdawał się oszczędzać to wspaniałe dzieło ręki Bożej.

Zeliga co do powierzchowności był najdziwniejszym człowiekiem w świecie, w ogóle postawę miał męską, wzrost słuszny, czoło odkryte, oko wypukłe, rysy pełne szlachetności, ale się mienił jak nikt. Jednego dnia wydawał się starym, przybitym, znękanym, innych czasów gdy się ożywił, gdy go coś mocniej choćby boleśnie dotknęło, zadziwiająco młodniał, prostował się, krzepił i naówczas obudzał we wszystkich podziwienie pięknością jaśniejącego oblicza. Oczy jego czasem zaszklone, mętne, niekiedy połyskiwały ogniem prawie przerażającym. W tych paroksyzmach młodości widać było, że się hamował i na wodzy trzymał, aby nie dać sobie wybuchnąć, trwały też one krótko, a po nich wracał do spokojnego jakiegoś zdrętwienia, do którego widocznie siłą starał się nawyknąć. Było w nim jakby dwóch ludzi: jeden dawny, drugi nowy, tamten lotny i śmiały, ów cichy i spokojny, ostatni się wszakże rzadko cały objawiał, zasłaniał go pokorny wędrowiec, pragnący zapomnieć jakiejś dokuczliwej przeszłości. Mimo to walka była widoczną i nie zawsze kończyła się

zwycięstwem cichego pielgrzyma; gdy człowiek przeszłości brał górę, naówczas Żeliga uciekał w las i nie pokazywał się przez dzień cały, dopóki nieprzyjaciela nie złamał. Powracał też istotnie jak po boju znękany, milczący i osmutniały. W chwilach roznamiętnienia fizjognomja jego nabierała dzikiego wyrazu, fałd przez czoło idący, gruby jak blizna, nadawał jej cechę gniewu przestraszającego; naówczas źrenice jego rozogniały się i nos rozdymał jak nozdrza konia biegiem zdyszanego, ale miarkował się prędko i mając wielką moc nad sobą. powracał do zwykłego oblicza pełnego pokory.

Jak zwykle bywa z ludźmi pozbawionymi długo rodziny, przyjaciół i serdecznych związków, Żeliga był nadzwyczaj czuły na okazywaną mu przyjaźń w domu Barcińskich, przywiązał się do nich, do dziecka i do panny Agnieszki, gorącością człowieka który kochać potrzebował.

Rok już drugi upływał od czasu, jak się Żeliga w Barcinie znajdował, a położenie jego w tym domu wcale się nie zmieniło. Achinger zdaleka tylko i ostrożnie wszystkiemu się przyglądał, panna Agnieszka okazywała mu zawsze jednę i serdeczną przyjaźń, podejrzenia przeszłości dotyczące, niekiedy czemś podsycone wznawiały się to znów usypiały i p. Marcin wreszcie ufał poznawszy bliżej Żeligę, że się on z niczem tak bardzo strasznem kryć nie mógł.

Przybysz zdawał się szczęśliwym i spokojnym.

Tak stały rzeczy, gdy jednego wieczora, podczas gdy Achinger w Barcinie gościł i szpiegował, z cicha śledząc każde słowo i wejrzenie mieszkańców, z zawziętością skrytego nieprzyjaciela, nadjechał z dalekich stron ksiądz staruszek powracający z ziemi świętej. Był to bernardyn kwestujący na ołtarz jednej z kaplic jerozolimskich, w której chciano obraz Matki Boskiej Częstochowskiej dla Polaków pielgrzymów umieścić. Człowiek był już dosyć w lata podeszły, ale przywykły do niewczasów, różnych klimatów, niewygody wszelakiej, i jak to mówią zwiędły; trzymał się więcej duchem niż ciałem, bardzo jeszcze silen i zdrów. Przyjazd jego, pamiątki z ziemi świętej i Rzymu, które przywiózł z sobą, różańce, krzyżyki, agnusy, oliwki z ogrojca, świętości i relikwie, cały dom poruszyły i skupiły w pokoju w którym zasiadł. We drzwiach nawet i pod oknami pełno było sług i czeladzi.

Ksiądz ów miłej twarzy, łagodny, z długą brodą siwą wyglądał patrjarchalnie i cudnie był piękny, a ciekawe też i serdeczne opowiadał rzeczy o kraju uświęconym stopy Chrystusowemi, o Betleem, Nazarecie, Jordanie i Jerozolimie; a mówił tak pięknie, że się go nasłuchać dosyć nie można było.

Podówczas jakoś nie było Żeligi we dworze, wyszedł na polowanie i do dalszego

gospodarstwa, gdy powrócił nie było komu dać mu znać o gościu, bo wszyscy skupili się do koła księdza. Przebrawszy się nieco i i niczego się nie domyślajac Zeliga pospieszył zdać sprawę p. Marcinowi z przechadzki... wszedł niespodzianie do izby, w której ksiądz ów siedział, ale zaledwie drzwi uchylił i spostrzegł starca, w progu stanął jak wryty.

Ksiądz też na skrzypnięcie drzwi obróciwszy oczy, zobaczył Żeligę, otworzył usta widocznie zdziwiony, porwał się z krzesła i stanął z wyrazem przerażenia i strachu, jakby osłupiały. Przez krótką chwilę oczyma mierzyli się i jakby porozumieli, oprzytomnieli oba, obecni nie wiedząc co ta scena znaczy, czekali jej rozwiązania, gdy staruszek powoli spuściwszy oczy osunął się na krzesło, a Żeliga przywitawszy się jak zwyczajnie, zajął pokornie miejsce swe u progu, milczący i zmięszany.

Obu tych ludzi wzruszenie było tak jawne, że się z niego przecie przed świadkami wytłumaczyć było potrzeba. Bernardyn przeprosił wszystkich, mówiąc, iż sam nie wiedział, jak i czego się uląkł, a Żeliga pozostał milczący uniewinniając półgłosem, że tak niespodzianie, nagle wszedł do pokoju. Uwierzono temu czy nie, to pewna, że Achinger mrugnął sam sobie dając znak jakiś i księdza do siebie zaraz nazajutrz na rybę zaprosił, zacierając ręce. Wszystkich, nawet pana

Marcina dotknęło podejrzenie, iż ci ludzie gdzieś kiedyś, dawniej znać się musieli. Zatrzymano księdza na noc, ale z Żeligą słowa do siebie nie przemówili, owszem zdawali się unikać wzajemnie. Nazajutrz rano odprawiwszy mszę św. w oratorjum, pielgrzym sowicie obładowany odjechał.

Chodziła tylko głucha wieść pomiędzy czeladzią, że gdy ojciec odszedł do oficyn na spoczynek, widziano skradającego się do izdebki Żeligę, który znaczną część nocy z nim przepędził... Ktoś nawet dopatrzył że klęczał przed staruszkiem jakby się spowiadał, że płakał, że głosy ztamtąd wielkie, ale wnet hamowane wybuchały kilka razy, przerywane jakby łkaniem i jękami.

Nazajutrz jednak po odjeździe bernardyna do Achingera, na Żelidze nic znać nie było nadzwyczajnego, owszem weselszym zdawał się niż wprzódy, a spytany nawiasem czy tego księdza nie znał kiedy, milcząc ruszył tylko ramionami.

Bernardyn zaproszony i znęcony obietnicą ofiary pojechał nazajutrz do Achingera, który niby przez zapomnienie nawet pana Marcina do siebie z nim nie prosił. Wszystko było jak najzręczniej obrachowane, aby z staruszka tajemnicę, której się gospodarz domyślał, koniecznie wyciągnąć. Podano objad postny, bo to był piątek, a do niego wino przednie węgierskie i miód stary. Achinger nalewał gościowi pełną, a gdy się

dobrze rozgadali, napomknął o Barcińskich, ich domu i Żelidze.

— Ten to podobno asana dobrodzieja, ojcze mój, dawny jest znajomy! — dodał kuternoga.

— He? znajomy? kto? — spytał powolnie staruszek.

— Żeliga...

— Żeliga? żadnego Żeligi nigdy w życiu nie znałem — rzekł spokojnie bernardyn.

— A to może dawniej inne nosił nazwisko — rzekł powoli Achinger — ale ten, ten... coś to się jegomość tak przestraszył gdy wszedł..

— Ale bo to ja taki jestem — przerwał śmiejąc się stary — od czasu jak mnie Arabowie ściąć chcieli, lada czego się wstrząsam... Trzeba wam wiedzieć — dodał, żem już klęczał i poganin dziki dobył miecza by mi głowę odciął, świsnął nim i jam się mimowoli ugiął... Otóż od tej pory wszelki hałas wznawia mi ten przestrach... słabość ludzka.

Achinger popatrzał na staruszka, który miód smoktał i smakował.

— Dobry miodek — rzekł bernardyn.

— A ja myślałem, że to jaki stary znajomy...

— Miodek? miodek? o! o! znałem ci ja różne miody, ale tak dobrego, wytrawnego rzadko.

Kuternoga dał pokój na ten raz, ale

po kilku kieliszkach począł opowiadać o Żelidze, jak się on do domu Barcińskich wśrubował, jak opanował ich umysły, jak to był człowiek zagadkowy i niebezpieczny.

Bernardyn słuchał, smoktał powoli i głową kiwał.

— E! — rzekł w końcu — czy to się jegomości nie przydaje tak?... czy nie masz do niego jakiej osobistości? To się człek zdaje spokojny i uczciwy... dalibyście mu pokój...

Achinger znów zmilczał, ale po chwili dorzucił:

— A dałbym też na klasztor czy na ołtarz jaki z kilkaset złotych, żeby tego człowieka odkryć co jest za jeden.

— I nie wwodź nas na pokuszenie! — cicho szepnął staruszek stawiając kieliszek... Ja doprawdy nic nie wiem, nic nie wiem, a gdybym wiedział nawet, jeśli to tak waszmości korci, bałbym się, abyś na złe nie użył wiadomości... ale nic nie wiem.

— E! e! ojcaszku — rzekł podochocony Achinger, — ty wiesz ale nie chcesz mówić...

— A może i nie chcę.. ot i kwita — dodał stary — ale najpewniej nie wiem nic. Co mam wiedzieć i dla czegobym miał wiedzieć?... nic nie wiem! — mruczał z cicha — nic nie wiem...

— Duchownemu nie godzi się mówić

fałszywie — odparł Achinger — choćby w dobrym celu...

— No i to wiem! wiem, wiem! — przerwał stary — masz słuszność, nie chcę kłamać, znam go doskonale, wiem jego życie ale tajemnicy mu zobowiązany jestem dochować — i dochowam... Więcej wam nie powiem słowa.

Napróżno go na wszystkie strony obracał Achinger, ust mu już więcej otworzyć nie potrafił. Staruszek odmówił modlitwę, przeżegnał się i nie wiele podobno zyskawszy tu, prócz dobrego objadu, natychmiast do Chełma odjechał.

Trzeciego dnia i p. Marcin udał się do Chełma, bo wiedział, że się tam staruszek miał zatrzymać w klasztorze i zastał go tam w istocie. Po różnych rozmowach obojętnych poszli razem do ogrodu, a Barciński otwartszy przystąpił wprost do rzeczy.

— Mój ojcze — rzekł — gdyście byli łaskawi nawidzieć mój domek ubogi, spotkaliście tam Żeligę.

— Kogo! jak nazywacie? — spytał stary.

P. Marcin zdziwiony tą niewiadomością powtórzył imię.

— No... Żeligę, Żeligę. Nie uszło to niczyjego oka, żeście się na widok jego zdumieli... jušci to nie przypadek, jest jakaś tego przyczyna. Człowiek ten parę lat już gości u nas, kochamy go jak brata. Zdaje

się zacny i poczciwy, ale się z sobą kryje... przeszłości jego nie wiemy wcale. Zdajecie się go znać, nie chcemy badać tajemnicy, jeśli tam jaka jest, radzibyśmy przecie wiedzieć czy w tem nie ma coś... rozumiecie mnie — dodał p. Marcin.

Bernardyn stanął i popatrzał smutnie.

— Zeligi nie znam — rzekł.

— Aleście go może pod innem znali dawniej nazwiskiem?

Staruszek opuścił głowę, wziął za rękę Barcińskiego i odparł głosem łagodnym:

— Nie badajcie mnie tak proszę... nie badajcie, nic wam powiedzieć nie mogę — i westchnął głęboko.

Stali właśnie w ogrodzie klasztornym nad kwaterą. w której chwasty ogromne bujały, staruszek schylił się ku zielsku i począł ręką między liśćmi jego przebierać.

— Patrzajcie no — rzekł jako osty i łopuchy i pokrzywy wysoko głowy ku słońcu jasnemu podnoszą, a spojrzyjcie co się pod niemi niziuchno kryje... oto zwiędły krzaczek lewandy... oto pożyteczna macierzanka i skromny fiołek... tak i na świecie, co się ukrywa, nie zawsze najgorsze, co się świeci nie koniecznie najlepsze...

Pan Marcin wysłuchał z powagą tej przypowieści, łza mu się w oku zakręciła i zamilkł nie dopytując więcej.

Widocznem bylo dlań, że tajemnica ja-

kaś na dnie tego wszystkiego spoczywała, ale jej należało poszanować.

Bernardyn milczał, rozstali się mówiąc już o czem innem.

— Niech się więc dzieje wola Boża — rzekł w duchu—szło mi o Agnieszkę, która się z dniem każdym więcej przywiązuje do tego nieznajomego człowieka, ale na to radzić trudno...

Żeliga znać się domyślał celu podróży do Chełma p. Marcina, chodził cały dzień trochę niespokojny, czekał jego powrotu w dziedzińcu, potem ruszył na spotkanie za bramę i spotkał go też na dobrą staję od dworu u rogatki. Spojrzeli na siebie oba, a nim usta otwarli, Żeliga go już oczyma do głębi wybadał, jakby odkryć pragnął myśl w duszy tajoną; uśmiech pana Marcina i dłoń przyjacielsko podana uspokoiły go.

Barciński zlazł z bryczki i poczęli iść pieszo. Po krótkiej chwili Żeliga zatrzymał się i począł głosem drżącym:

— Mój dobrodzieju, potrzebuję się rozmówić z wami, cięży mi na sercu wiele.. a że brzemienia zrzucić pora przyszła, a z każdą godziną wam ze mną trudniej, mnie z wami przykrzej w tem położeniu, pono panie Marcinie na ten raz rozstać się potrzeba...

Chciał przerwać Barciński, ale mu nie dał Żeliga.

— Dajcie mi się wygadać — rzekł

powoli. — Znam ja dobrze położenie moje i com wam winien i sercu waszemu, ale nie znany, okryty dla was jakąś tajemnicą, jestem dla was niespokojem i kłopotem. Za cóż byście mieli dla cudzej winy... Panie Marcinie — dodał — wierzcie mi, że waszego serca dla ubogiego włóczęgi, waszej dobroci, tych chwil które pod waszą przeżyłem strzechą nie zapomnę nigdy, ale opuścić was muszę... Niepokój wniosłem z sobą, potrzeba was od niego uwolnić.

Barciński znowu chciał przerwać, Żeliga go uścisnął i mówił dalej po cichu:

— Nie wiem za co Achinger mnie nie znosi, szpieguje i grozi. wzbudza może i w was jakieś podejrzenia, co dzień wyraźniejsze... pozwólcie mi odejść, to będzie najlepiej.

— Na to nie pozwolę stanowczo wam powiadam — odezwał się pan Marcin, po dwóch leciech pobytu uczynilibyście mi krzywdę bolesną. Gdybyście drugiego lub trzeciego dnia byli odeszli, nie śmiałbym wam zapierać drogi, dziś, jeśli innych powodów ku temu nie macie, nie godzi się to kochany Żeligo, nie godzi. Myśmy przyrośli do was, dziecię nasze kocha cię jako ojca... Macie tu serca wszystkich, a jednego próżniaka zgryźliwa ciekawość wam nie zaszkodzi.

— Kochany mój gospodarzu — rzekł Żeliga — prędzej czy później musi nadejść

chwila rozstania... nie dziś, to jutro... nie lepiejże teraz?...

— Nie, nie lepiej, bo widzę, że innego ku temu powodu nie macie, jeno obawę, aby nam nie ciężyć a to jest trwoga próżna... daremna... Więc dajmy temu pokój. Patrzcie z ganku już bieży do was i żona moja, plaska nam w dłonie obu... nie mówię — dodał ciszej — że tam ktoś jeszcze trzeci stoi i nieśmiało na was spogląda.. wszystko to serca przyjazne... Chcieliżbyście to życie tak spokojne, szczęśliwe, rozerwać tęsknotą, za wami, którego myślą nawet nie wiedzielibyśmy gdzie szukać.

Mówił to tak serdecznie, iż Żeliga umilkł.

— Stań się więc wola wasza — rzekł namyśliwszy się — a daj Boże, bym wam to poczciwe serce braterskie mógł kiedykolwiek zawdzięczyć... tego tylko u miłosierdzia opatrzności proszę.

Został tedy Żeliga znowu, i popłynęło życie swym trybem bez żadnej zmiany, a gdy ono tak płynie jednostajnie, wówczas płynie najskorzej... niepostrzegli, już kilka lat uleciało.

Justysia wyrosła na zachwycającą dzieweczkę, jak była anielską dzieciną, kwiatkiem przecudnym, którego i blask i woń podziwiali wszyscy. Żeliga przyczynił się też wielce do zbogacenia jej umysłu rozlicznemi wiadomościami, ale dorastając można

powiedzieć dziewczę wybujało, i stało się aż do zbytku jakąś nieziemską istotą. Było w niej coś wieszczego, natchnionego, jakieś jasnowidzenie niby prorocze, jakaś wszechwiedza i przeczucie przerażające. Nie żyła życiem powszedniem, ale jakby wygnaniec z innego świata, z oczyma wlepionemi w niebo, zasłuchiwała się w milczeniu, jakby jej uszy niepochwyconemi dla innych napawały się dźwiękami, zamyślała się godzinami, budziła nie łatwo do rzeczywistości, niby żałując straconych widziadeł... Matka i ojciec przelęknięci tym niezwyczajnym stanem dziewczęcia, czynili co tylko mogli, aby ją tym zachwytom odebrać, obawiali się o nią... starali się bawić, rozrywać, rozweselać... Justysia była im posłuszną, ale od zabawy w chwili, gdy najmniej można się tego było spodziewać, wracała do swej zadumy i snów niebieskich.

Najmocniej przerażoną tym stanem córki była matka, jej serce widziało w nim jakąś nieokreśloną groźbę dla życia i przyszłości jedynaczki. Sam p. Marcin, chłodniej się na to zapatrujący, utrzymywał, że przejść musi później, gdy małżeństwo i życie domowe na ziemię ją sprowadzą... ale Justysia o pretendentach, którzy się zjawiać zaczęli, nawet słuchać nie chciała.

Zagadywana ostrożnie, parę razy odpowiedziała, że jej najlepiej jest w domu, że o mężu myśleć nie chce... a gdy raz rozma-

rzoną matka badała, jakby nie chcący odezwała się:

— Żeliga o tem pomyśli... on mi da tego, na którego ja czekać muszę...

Było to tak zagadkowe, tak dziwaczne, że biednej pani Marcinowej aż się serce ścisnęło, modliła się, płakała, wreszcie gdy to parę razy powtórzyła Justysia zawsze prawie słowy jednemi, biedna matka Bóg wie co myśląc postanowiła rozmówic się z Żeligą.

— Mój dobry przyjacielu — odezwała się gdy została sam na sam, — cóżeś to ty w głowę nabił Justysi... co to jest, powiedz, ciągle mi prawie że... ty jej tam jakiegoś męża masz przyprowadzić?

— Ja?—zawołał zdziwiony Żeliga—ja?

— Jakto? alboż o tem nic nie wiesz?

— Pierwszy raz jak żyw słyszę...

— Cóż to jest? nie domyślasz się.

Żeliga spuścił głowę, ruszał ramionami, dumał długo.

— Nie rozumiem, — rzekł — Justysia ma czasem takie przeczucia dziwne, że ich rozum zwyczajny nie doścignie... to jest coś takiego o czem ja wyobrażenia nie mam...

Gdy później toż samo Justysia znowu powiedziała matce, pani Marcinowa reflektując ją odezwała się:

— Ale moje serce, Żeliga o tem nic nie wie...

— Tak jest, Żeliga nic nie wie o tem, odpowiedziało dziewczę uśmiechając się spo-

kojnie, ale to się stanie jak ja powiadam... niech już matusia będzie pewna...

Jednego jesiennego wieczora, pani Marcinowa, że we dworze było trochę duszno, a roje much dokuczały, pod starą lipą nakryć kazała do stołu; wszyscy się tedy wynieśli i zasiedli na rozmowę. Był i Żeliga, ale od dwóch dni chodził dziwnie jakoś zamyślony i smutny.

— Co to tam waszeci? — spytał go p. Marcin, — chodzisz coś jakby nie swój, gdybyś się zwierzył, możebyśmy co poradzić potrafili.

— Ale co jegomości w głowie! co mi ma być! — odparł Żeliga — nic mi nie jest tylko że parno, a na burzę się gotuje, to człek w istocie chodzi jak osowiały... Dobrześ waszmość rzekł, prawda żem nie swój, ale to nic...

— To nic?—spytał patrząc mu w oczy p. Marcin.

— A no nic... I umilkli.

W tej chwili podobne usłyszawszy pytania panna Agnieszka mrugnęła na gospodarza i odprowadziła go nieco na bok.

— Zdaje mi się — odezwała się nieśmiało — że Żeliga do drogi się jakiejś gotuje.

— Zkądże to wnosisz?

— Kozaczek mnie ostrzegł, że go widział jak układał i pakował.

— To go wręcz o to zapytam, — rzekł p. Marcin.

— A! niech Bóg broni! nie mów pan nic, tylko go trochę miejcie na oku.

I zarumieniła się mocno, Barciński spojrzał na nią, łzy kręciły się jej w oczach, ale szybko odeszła. W tej chwili nadbiegła Justysia...

— Słuchaj — rzekł ojciec, — tobie to wolno, pono Żeliga coś myśli o podróży. Spytaj go.

— Nie trzeba — odpowiedziało zamyślając się dziewczę — nie trzeba.

— Dlą czego?

— Już ja wiem dla czego, ale powiedzieć nie mogę — szepnęła Justysia — zostawcie mu wszelką swobodę...

— Dla czegoż mnie zbywasz zagadką? zapytał p. Marcin.

— Ojcze! — zawołała ściskając go — w tem jest wszystko zagadką, ale dzień przyjdzie, gdy się ona rozwiąże... ja to czuję. Nie męczcie go...

Smutnie popatrzył na dziewczę Barciński, a tak był nawykł czynić wolę jej, że i tym razem uległ.

W istocie inaczej jakoś tego dnia chodził Żeliga pod lipą, śmielszy, weselszy chwilami; panna Agnieszka spoglądała nań z jakimś strachem, on na nią z niezwyczajną czułością. Była chwila gdy państwo Marcinostwo oddalili się ku gospodarstwu, a Ju-

stysia jakby naumyślnie odbiegła za niemi i Żeliga sam na sam pozostał z panną Agnieszką. Milczeli długo oboje, wreszcie przybysz usiadł przy niej i począł głosem, w którym niezwykłe wzruszenie czuć było.

— Człowiek nie wie dnia ani godziny... — rzekł powoli — zawsze więc pora, gdy serce pełne, wylać z niego uczucie poczciwe którego się może wypowiedzieć nie zdarzy. Mam wielką dla was wdzięczność...

— Za cóż takiego?

— Za dobre serce wasze, dla nieznanego przybysza... za wiarę waszą w poczciwość, za zaufania trochę, za litość i miłosierdzie... Powiem wam teraz, że żyłem długo oczekując kobiety, którąby zawierzyć chciała, i miłosierdzia jałmużnę szczerej przyjaźni mi wyświadczyć, a nie znalazłem nikogo litościwego i dobrego, dopókim was nie poznał... Nic nie mówi za mną, jestem ubogi, bez imienia, włóczęga, prędzej mieliście prawo po mnie złego niż dobrego dorozumiewać, a jednak... Bóg wam zapłać, pocieszyliście mnie, i dali mi lat kilka nie zmąconego niczem szczęścia, gdy mi się ono nie należało. Ubogiem słowem wdzięczności dziś się tylko wypłacić mogę, lecz wierzcie mi, panno Agnieszko, że bądź co bądź nigdy tego nie zapomnę, a wiekuistą wdzięczność poniosę z sobą do grobu...

Słowa te jakoś uroczyste, smutne, potwierdzając domysły panny Agnieszki, prze-

raziły ją bardzo, zmięszała się i cała drżąca chciała coś odpowiedzieć, słów jej zabrakło; on mówił dalej:

— A wy nie zapomnicie też o mnie?

— Mój panie—odezwała się kobieta — dochwaliliście może nie zasłużone serce moje; znacie więc je, że złem nie jest. Bolało ono wiele, pragnęło przyjaźni, znalazło ją i nie rzuci tego skarbu nigdy w życiu... Ale dla czego mi to mówicie?...

— Sam nie wiem — odparł Żeliga — cokolwiek by się stało, proszę was, zaufajcie mi... Na świecie nic powiedzieć niepodobna... wszystko się stać może co najnieprawdziwszem się zdaje... gdyby się kiedy los mój zmienił, gdybym miał strzechę ubogą... imię i rodzinę, czybyście też nie wzgardzili mną i biedą moją?

Było to bardzo wyraźne, chociaż warunkowe oświadczenie, panna Agnieszka spłonęła cała, znowu zabrakło jej głosu.

— Będę na was czekać — rzekła — choćby do śmierci...

Żeliga zerwał się z siedzenia, do ust przyciskając jej rękę; szczęściem stary pień lipy i cień wieczora tę scenę oczom państwa Barcińskich zasłonił.

Zasiedli tedy wszyscy do koła stołu i jedna tylko panna Agnieszka na chwilę odbiegła aby ukryć pomięszanie swoje.

— Mój Boże — ozwał się po długim przestanku milczenia Żeliga — co też to

życie ludzkie warto? ledwie się gdzie przywiąże, już mu odstawać potrzeba.

— Dla czego wy to mówicie? — zapytał p. Marcin.

— Ot tak mi przez myśl przeszło! — westchnął stary, a po chwili dodał:

— Któregoż to dzisiaj mamy?

— Wszakże pierwszy Semptembris, Idziego opata... a jutro Stefana... Na święty Szczepan, każdy se pan... ale to pono nie o tym Szczepanie mowa...

Żeliga się zamyślił.

— Tak — szepnął — nie ma wątpliwości, pierwszy Septembris, wszystko się kończy.

— Co się kończy? — spytał pan Marcin.

— A! lato! Czas płynie rączo... osobliwie też te roczki, którem z waszej łaski przebył w tym cichym zakątku.. będęż je będę całe życie pamiętał...

— Po co je pamiętać — przerwał markotno Barciński, — wszak ci je dalej snuć będziemy, spodziewam się długo jeszcze.

Żeliga nic na to nie odpowiedział.

W tem Justysia, która była wbiegła pomiędzy olchy stojące nad stawkiem, powróciła niosąc narwane przez siebie niezapominajki. Jednę ich gałąź rzuciła na kolana Żelidze.

Ten jakby przestraszony spojrzał jej w oczy, ona mu uśmiechnęła się tylko.

— Dla czego mnie tem darzycie? — zapytał.

— A cóżeście to wy tu mówili, kiedy mnie nie było?—szepnęła figlarnie.

Żelidze dwie łzy perliste zakręciły się w oczach, pochyliła się przed nim i ojcowski pocałunek złożył na jej czole dziewiczem.

— Ja pamiętam, ale wy? — spytał cicho.

— O! my! o nas się nie obawiajcie, u nas z niezapominajkami pamięć o was rosnąć będzie... bodaj tylko gałązka ta u was nie zeschła.

— Ale cóż tak u kaduka rozczulacie się dzisiaj? — przerwał p. Marcin — dalibyście temu pokój, oto wazę na stół niosą, a ja myślę gorzałki przepić do przyjaciela Żeligi... W ręce wasze...

— Za zdrowie was wszystkich — zawołał podnosząc kieliszek Żeliga.

— Za pozwoleniem, to w ręce moje! ozwał się głos śmiechem przerywany z za lipy. Poznano po nim przychodzącego od wrot kuternogę, który wózek u bramy zostawiwszy, przystykulał do wieczerzy.

— Zkądże tak poźno?

— Z Chełma wracam...

— A nowego co przynosisz? — spytał Barciński.

— No nic, pustki i cisza...

— Ależ przecie? — zawołała Marcinowa — mogliście choć plotkę jaką upolować.

— Kiedy mi się nie powiodła wycieczka — rzekł posępnie Achinger. — Wystawcie sobie państwo, jak jest trzy lepsze gospody na całe miasteczko, wszystkie zastałem zajęte, ani nosa wetknąć. Konie słuchały kazania na rynku... a ja odprawiwszy interesa moje drapnąłem co prędzej.

— A cóż to tam tak pełno w Chełmie? spytał pan Marcin, toć nie jarmark i nie odpust...

— Ani jedno, ani drugie — zawołał Achinger — ale to moje szczęście kulawe jak ja sam kulawy... Jeśli się wybiorę kiedy, nawet ducha nie znajdę.

— Pewnie kupcy z Rusi?

— Gdzie tam! jakiś dwór jaśnie wielmożnego pana, kozactwo zamaszyste, a wozy, a powodne konie, a hajduki, a różnego tałałajstwa co niemiara.

— Cóż to takiego?

— Ani się nawet dowiedzieć?

— Popasali?

— Na nocleg się roztasowali i na kogoś tam czekają... alem się reszty nie pytał, bo to lud butny a przyznam się żem się zaczepić obawiał.

— Miałeś pan dobrodziej wielką słuszność, odezwał się niespodzianie z końca stołu Że-

liga — ja tych kozaków spotykałem nieraz w Chełmie, pewnie w sinej z żółtem barwie.

— Jakbyś ich jegomość widział — rzekł zdziwiony Achinger.

— To strasznie lud zawadjacki..., mówił Zeliga.

— Czyjeż oni są?

— Doprawdy nie wiem — rzekł pierwszy — ale oni często się tym gościńcem przejeżdżają i nigdy pono bez jakiej awantury się nie obejdzie... zwyczajnie widać lud wojenny, to mu się bitwy pragnie, aby zaczepka.

— Srodze ci wyglądają—dodał Achinger — dwór dobrany, chłop w chłopa, wąsy jak miotły, a bary jak u wołów. Pomknąłem się był pod gospodę do Chaima, ale jakem ich w szopie zobaczył, co prędzej się wycofałem; bo mi się już odgrażać zaczęli...

— Dobrześ asindziej uczynił — dodał Zeliga z dziwnym uśmiechem—ja ich znam, to hajdamaki mości dobrodzieju...

Na tem skończyła się rozmowa o Chełmie, mówiono o tem i owem, a Zeliga i nie jadł i milczał. Po wieczerzy odjechał zaraz sąsiad, a oni siedzieli długo jeszcze pod lipą. Gdy rozchodzić się przyszło, Zeliga żegnał się i dawał kilka razy dobranoc, a jakby odejść nie mógł, czy nie miał siły, wciąż do Marcinostwa powracał.

Było we wszystkich jakby jakieś prze-

czucie rozstania. jakby groźba z której sobie nie zdawano sprawy, bo nikt wszakże żadnej zmiany gwałtownej nie przypuszczał, oprócz może niespokojnej Agnieszki i jasnowidzącej ale dość wesołej Justysi.

Gdy się nareszcie rozstali, a panna Agnieszka poszła sama z Justysią, dziewczę odezwało się smutnie:

— Szkoda mi starego!

— Czy się lękacie o niego?

— Nie.., ale mi go żal...

— Myślicie że nas opuści? — spytała panna Agnieszka bledniejąc.

Na to nic nie odpowiedziała Justysia, ale powtórzyła parę razy po cichu:

— Szkoda mi starego.

Z rana zaledwie trochę już niespokojna wstała panna Agnieszka, a była zawsze najwcześniej ze wszystkich zbudzona i słudzy się jej bardzo obawiali, bo zaraz do pracy ich też budziła. Kozaczek posługujący zawsze Żelidze, nadbiegł zadyszany, zapłakany do pokoju, stanął w progu i ręce załamał.

— A! panienko — zawołał — panienko! stało się nieszczęście... nie ma mojego starego...

— Jak to nie ma? cóż? co się stało!... krzyknęła ręce załamując panna Agnieszka... cóż? mów... umarł... o Boże!...

— Nie! nie! ale... przepadł .. znikł...

— Jakto znikł! może tylko swoim zwyczajem do Chełma poszedł.

— Ale nie! już to ja wczoraj zmiarkowałem, że się coś złego gotuje, bo wieczorem mnie w głowę pocałował, dziękował mi, żem mu dobrze służył... i dał mi dziesięć bitych talarów... przez co potem prawie całą nockę oka zmrużyć nie mogłem, bom jeno myślał a myślał, co ja z niemi będę robił, czy luzaka kupić, czy cielaka... czy z przeproszeniem panienki... kobyłę...

— Ale mówże co się stało!

— A no. rano ja przychodzę, jak zwyczajnie po jegomościne buty, otwieram drzwi powoli, szaro było... mac... mac... szukam, gdzie zawsze stawia obówie... nie ma! aj źle myślę sobie... kiedy ja do łóżka... patrzę a ono nawet i nietknięte, jak była pościel z wieczora, tak została... tylko na stole papier leży... a starego ani słychu.. ani duchu i tłomoczka też.

— Gdzież ten papier?

— Papier? a no gdzie położył tam i leży, ja go tykać nie śmiałem...

Panna Agnieszka zerwała się spiesznie i pobiegła do oficyn; w izbie starego było w istocie pusto, na stoliku tylko znalazła kartę zapisaną, na której stały te słowa:

„Niechaj wam Bóg błogosławieństwem swem za długą gościnę zapłaci, za przyjęcie braterskie i ludzkie nieznajomego człowieka, za powolność i przyjaźń cierpiącemu okazywaną. Darujcie mi, że tak odchodzę... było potrzeba was opuścić i opuścić w ten spo-

sób. Bóg, który losami ludzi rozporządza, sam jeden tylko wie, czy się kiedy jeszcze w tem życiu zobaczymy, ja mam nadzieję, że tego szczęścia doczekam.

Wspomnijcie też czasem przyjaciela, który po was jak po rodzinie serdecznej tęsknić będzie. Nie znaliście mojego prawdziwego nazwiska, kiedyś się go jednak dowiecie, były powody ważne, które mi je ukrywać nakazywały. Dla was ja zawsze zostanę wdzięcznym waszym

Zeligą."

Porwawszy papier, z którego tyle tylko zrozumiała panna Agnieszka, że żeliga nie był Zeligą,—pobiegła ze łzami w oczach, z sercem bijącem obudzić natychmiast pana Marcina i panią Marcinowę, zwiastując im ów wypadek. W jednej chwili cały dom był na nogach, wszyscy poruszeni do żywego. Justysia tylko uśmiechała się tęskno ale spokojnie szepcąc: że go jeszcze zobaczymy. Pani Marcinowa gniewała się, Marcin był mocno zakłopotany, sam zaraz siadł na koń i pięciu ludzi w różne strony rozesłał, przykazując aby koni nie żałowali. Tknięty jakiemś przeczuciem Barciński dotarł do Chełma i zetknął się w samej bramie miasteczka z ową kalwakatą, o której wczoraj wspominał Achinger, magnata jakiegoś jadącego zapewne na Ruś do dóbr swoich w której szło parę kolebek, kilka wozów, konie powodne i kozaków w barwie sinej

z żółtem kilkunastu. Ledwie się z nimi rozminął bez szwanku, bo nie wiedzieć dlaczego spieszyli gdzieś i gnali, a jemu też pilno było i poczekiwać nie chciał... Dobiwszy się do gospody, dowiedział się tam tylko, że dwór jakiegoś kasztelana przybył na nocleg wczora, oczekując na niego samego do późnej nocy, że ów magnat nadjechał czy nadszedł gdy kury pierwsze piały, a rano spiesznie ruszyli dalej. Jedni utrzymywali że to był któryś z Potockich, drudzy że Lubomirski, ale służba miała usta zamknięte i od niej nic się dowiedzieć nie można było.

O Żelidze zaś nigdzie języka nie dostał. Smutny też do Barcina powrócił, gdzie gdy tego jednego człowieka nie stało, wszystko się teraz pustką wydawało. Siedli do stołu krzywi, miejsce jego zostało próżne, w rozmowie go brakło, brakowało go w gospodarstwie, wieczorem przy gawędce; panna Agnieszka nie pokazywała się nawet, a kozaczek mimo dziesięciu talarów bitych, długo płakał w oficynach. Szczęściem kupił sobie zaraz łoszaka, to go nieco pocieszyło, ale że się nie opatrzył i wziął niewyzołzowanego jak się okazało, zdechł mu później i dziesięć owych talarów przepadły. Wychudł też Sawka z tęsknoty i utrapienia tego tak, że go trudno było poznać.

Nie rychło też w Barcinie oswojono się z tem sieroctwem, a co gorzej, różne też klęski, jedna po drugiej na tych biednych

państwa Marcinostwa spadać poczęły. Gospodarstwo jakoś się znowu nie powiodło, piorun spalił stodołę i oborę, proces stary o granicę został przegrany, przyszła druga familijna sprawa o sukcessję i zaplątała się wciągając w długi, słowem jak to najczęściej bywa w świecie, jedna bieda nie dokuczy, sypnęły się razem nieurodzaj, niedostatek, kłopoty i chorobska. Jeszcze to wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie najboleśniejszy cios, — słabość ukochanego dziecka, Justysi. Kwiatek ten doszedłszy do największego blasku, nagle schnąć i więdnąć począł; radzono po domowemu, nic nie pomagało, sprowadzono lekarzy, sypano jałmużny, odbywano podróżne pielgrzymki, Justysia widocznie usychała. Stała się milczącą, smutną nawet; dawne jasnowidzenia prorocze ją opuściły: wybielała jak lilja, krew z warg i oblicza uciekła, schudła, zdawała się codzień przezroczystsza i wiotsza. Cudnie jej było nawet z tą chorobą dziwną, ale rodzice patrząc, krwawemi łzami płakali. Na różne wpadano pomysły i środki ratunku, aż nareszcie doktor Merkel zadecydował, że koniecznie potrzeba było zmienić powietrze.

Wprawdzie tem ci ona powietrzem oddychała od urodzenia, niem wyrosła i rozkwitła, nie wiedzieć dlaczego miało się jej tak nagle stać szkodliwem, ale doktor zawyrokował, potrzeba było słuchać. A tu właśnie i procesami i lekami i niefortunnem go-

spodarstwem Barcińscy przywiedzeni byli do takiej ostateczności, że o grosz w domu coraz było trudniej, tego roku i grad ich jeszcze nawidził. Wszelako pan Marcin dla dziewczęcia nic nie szczędząc, musiał dać Boguszowi Sroczyn w zastaw za sumę nie wielką, i to bez rachunku, żeby mieć o czem z domu wyruszyć. Podróże naówczas nie mało kosztowały.

Już się wieść o tej umowie rozeszła była po sąsiedztwie i wszyscy żałowali Barcińskich, bo Bogusz sławnym był z tego, że z interesu nikt z nim na sucho nie wyszedł, Sroczyn więc zawczasu uważać było można za przepadły, a folwark był co się zowie piękny, intratny, najlepszy może ze wszystkich trzech. Szczęściem, że jeszcze transakcja zastawu spisaną nie była, raptularz tylko przygotowano, a na ten jakoś obie strony się nie zgadzały, różnych wymagając zastrzeżeń i dodatków.

Życzył p. Bogusz utrudnić wykup, a dziedzic sobie ułatwić i nie mieć potem rachunków, więc punkta tyczące się zabudowań, zasiewów, remanentów, itd. szczelnie roztrząsano i jak to się niestety między ludźmi wiedzie, Bogusz widząc, że łyka się drzeć daje, ciągnął sobie jak mógł, a pan Marcin tarł biedaczysko czuprynę, tylko gdy na Justysię spojrzał, o wszystkiem zapominał.

— Niech tam Sroczyn licho bierze, byle dziecko żyło, — zawołał w ostatku —

będzie dla niej i tego co zostanie, byle Bóg dał zdrowie.

Był więc już zdecydowanym, gdy Bogusz nadjedzie podpisać co zechce, byle pieniędzy dostać. Nie można było powiedzieć całe, ile ta podróż kosztować miała, bo doktorowie warszawscy ostatecznie dopiero wyrokowali, jakiego to tam potrzeba było powietrza, aby kochane dziecię uzdrowiło.

Tego dnia, gdy się prawie na pewno przychodziło ze Sroczynem pożegnać, pan Marcin całą noc nie spał, wyrwał się rano z izby, i z oczyma załzawionemi prawie, chodził modląc się po sadzie. Serce mu się ściskało... W Sroczynie mieszkali dawniej jego rodzice za życia nieboszczyka dziada, tam się on sam urodził, tam dziecinne lata przebiegał, żegnać mu się było z tą ziemią, oddawać ją w obce ręce, tak boleśnie, tak trudno, że niemal dzieckiem się stawał, gdy pomyślał o tem. Znał każdy kamyk, pamiętał tam każdą ścieżynę, gromada tamtejsza do chrztu go trzymała, ludzie wszyscy stanowili jakby rodzinę, żyła jeszcze staruszeczka mamka, co go wykarmiła, piastunka Marysia, dotąd choć 60-letnia, gracjalista Mateusz, który na rękach go nosił, gospodarze, których on znał małymi chłopakami... co z nim razem polowywali i swawolili w lasach i stawie sroczyńskim. Bogusz był dosyć ostrym panem i to go więc martwiło, że ci ludzie od niego ucierpią, a choć ich z pod jury-

sdykcji jego wyjął i od roboty uwolnił, wiedział dobrze, że na gruncie siedząc, do tysiąca uciążliwych robót i posług mogli być tak lub owak zaprzęgnieni.

Wszystko go to martwiło... chodził i gryzł się, a tu gdy się u furtki ogrodu pokazał, postrzegł całą niemal gromadę ze Sroczyna, smutnie stojącą w dziedzińcu; starą Marysię, starego Mateusza i gospodarzy z pospuszczanemi głowami. Wieść się już była rozeszła o zastawie, o Boguszu, i ludzie przybiegli, chcąc się jeśli można, wyprosić od grożącego im nieszczęścia.

Zobaczywszy ich p. Marcin aż ręce załamał, serce mu bić zaczęło... A tu z drugiej strony córka, dziecię jedyne... co począć... co począć? Dałby chętnie w zastaw Miękosze a choćby i Barcin, ale z niemi taż sama sprawa Miękosze były jejmościną kolebką, a w Barcinie i dwór i stado i zasób cały i owa skarbniczka szlachecka. Gdyby Bogusz chciał się zgodzić i dać pieniądze choć na grubą prowizję; żeby się wyrzekał zysku pewnego dla cudzego smutku? O tem i pomyśleć nie było można.

Spojrzawszy na furtę, na tę ludzi gromadkę, stojącą tak smutnie, zobaczywszy, że staruszka łzy ociera, a Mateusz z łysą głową w ziemię spuszczoną stoi pogrążony w myślach jak przybity, p. Marcin wyjść do nich nie śmiał i poszedł ukryć się w gąszcze, aby rozstanie i rozmowę odwlec trochę. Sam

już nie wiedział co robić. W tem zatętniało w dziedzińcu.

— Otóż masz i Bogusza! — zawołał z rozpaczą prawie... — ależ mu pilno, tak rano... poznaję kłus jego przebrzydłej szkapy. Nie ma co robić, trzeba wyjść z nory.

Wychodził właśnie na ganek od ogrodu gdy zdyszana wybiegła na przeciw niemu Agnieszka

— Ależ proszęż no jegomości! a prędko... a prędko... ktoś z listem pilnym przyjechał...

— To nie Bogusz?

— A! nie... musi być ważny jakiś interes, bo kozak nikomu oddać go nie chce, tylko do rąk samemu panu.

— Ale co? od kogo? zkąd? — spytał p. Marcin, który i czytać listów i odpisywać na nie szczególniej nie lubiał.

— Otóż to, że kozak gadać nic nie chce — odpowiedziała Agnieszka — zsiadł z konia przed gankiem... barwa granatowa z żółtem... ubrany pięknie aż strach, stary, siwy jakiś, ino wąsa pokręca, i mówi, że musi się prędzej z jegomością widzić, bo sprawa jakaś bardzo pilna...

Pan Marcin zaciekawiony wszedł do izby, a tu z drugiej strony drzwiami od dziedzińca wsunął się kozak i pokłonił mu się do ziemi. Oczyma wskazał na pannę Agnieszkę dając do zrozumienia, że przy niej poselstwa sprawiać nie może; domyśliwszy

się o co idzie, p. Marcin dał jej znak, aby ustąpiła, choć niechętnie więc, musiała się usunąć.

Kozak był jak dąb ogromny, barczysty, stary, posiwiały, wąs spuścisty wielki spływał mu na usta, czoło miał wygolone, tylko osełedce biały za ucho zakręcony czupurzył się na głowie, szrama na czole jedna od szabli, druga przez policzek głęboko czerwieniała od zmęczenia, z oczów mu patrzały bystrość dziwna i rozum.

Jak tylko zostali sam na sam, kozak powoli dobył z pod kontusza pismo uwinięte w chustkę, potem w oka mgnieniu odpasał trzos skórzany, który miał pod suknią, położył go cicho i ostrożnie na stole, sam się znowu nisko pokłonił, a gdy pan Marcin zdziwiony i zaciekawiony, pieczęcie łamał, stary wyszedł na palcach, konia dosiadł przy ganku, chwycił cugle i ledwie na łączek skoczył, jak go smagnie nahajką... tyleście go i widzieli, tuman tylko kurzu poleciał za nim po drodze i znikł jak w wodę. Ludzie którzy na to patrzali, zlękli się, czy jakiego kryminału nie popełnił, jedni rzucili się za nim, drudzy do izby... Ale kozak ledwie się wychwyciwszy z dworskich opłotków, nie pojechał drogą, szczwany lis przesadził rów i znikł w krzakach i lesie.

Wybiegł natychmiast i p. Marcin szukając go, wykomenderował w pogoń ludzi najżwawszych, kazawszy ścigać do zdechu,

ale wszyscy popowracali znużywszy szkapy bez skutku. Masztelarz Onufry schwycił był kozaka na oko i formalne nań odbył polowanie, ale dopędzić nie mógł. Kozak oglądał się stawał, kłaniał mu się, żartował sobie, udawał że go na tabaczkę prosi, a gdy ten już się doń przysuwał, znikał w takich dziurach, kędy płochliwy koń Onufrego i przecisnąć się nie mógł.

List, który kozak wręczył p. Marcinowi był napisany znanym charakterem Żeligi' z treści następującej:

Wielmożny panie a bracie!

Doszła mnie dopiero w tych dniach wiadomość o wielkich utrapieniach i stratach jakiemi się Panu Bogu podobało dotknąć państwa moich — odbolałem ja je z wami. Boję się tylko teraz aby spiesząc z przyjacielską pomocą, nie przybyć za późno. Mówiono mi że stolnik zmuszony jesteś puścić Sroczyn zastawą p. Boguszowi, nie czyń że tego proszę, a przyjm natomiast prostą pożyczkę trzech tysięcy czerwonych złotych, które oddawca listu wam złoży. Justysi na jałmużny jej i zabawki niech służy póki się przyjaciel stary nie przyjdzie upomnieć.

Wasz

Żeliga."

Czytali ten list raz jeden i drugi i trzeci i nie wiedząc co myśleć sami; płakali, pan Marcin się modlił, pani Marcinowa szalała

z radości, a panna Agnieszka uśmiechała się dziwnie jakoś.

— Już co teraz — rzekł Barciński — ani wiem co myśleć, czy królewicz zaklęty, czy czarnoksiężnik, czy alchemista, czy uchowaj Boże rozbójnik... kiedy tak sypie złotem to pewna, że nie lada kto, i że serce ma też złote.

— A widzicie, ja zawsze mówiłam! — dodała Marcinowa — że to jest wielki magnat, tylko mu coś jest, że się w biedaka poszył...

— Ja się tego spodziewałam!— dodała dosyć spokojnie Justysia.

— Ale to cuda, to istne cuda! — powtarzał p. Marcin,

Rozwiązali trzos nie dowierzając jeszcze, a nuż żart... posypało się z niego złoto, jak jeden holenderskie, nowiusieńkie dukaty... Przy nich jeszcze znaleziono cztery opieczętowane małe pakieciki w jaszczur oprawne z napisami na kartkach; Pani stolnikowej— Panu stolnikowi — Pannie Justynie — JM. Pannie Agnieszce.

Trzeba było patrzeć jak się to tam rwało wszystko z ciekawością wielką do tych podarków, jakby z nieba spadłych.

Dla Justysi były zausznice dwie, w każdej po niezapominajce turkusowej jednej, a pośrodku brylant jak dobre ziarnko grochu. Klejnoty były prawdziwej włoskiej roboty i kunsztu wielkiego. Dla pani stolnikowej

łańcuszek wenecki nie wielkiej wagi, ale jakby z pajęczyny dziany i wielkiej ceny dla misterstwa swego; na nim balsaminka z jednej sztuki agatu w złoto oprawna. Dla jegomości sygnet z herbem jego Wierzeja i cyfrą na szmaragdzie cięty osobliwie, a tak oprawny, żeś mógł oczko obrócić i cyfrą lub herbem pieczętować wedle upodobania. Dla panny Agnieszki prezent był prawdę rzekłszy najlichszy i wcale niepokaźny: prosty pierścień złoty, na którego widok tak się zarumieniła, spłonęła i zawstydziła, jak piętnastoletnia dzieweczka. Wstyd jej było nawet pokazać upominek, bo złota owa obrączka nader prostej roboty, wyobrażała dwie ręce złożone ściśnięte, które naówczas „parolem“ nazywano. Co rzecz szczególna, nie był ów pierścień nowy, ale nieco używany i trochę wytarty. Biednej łzy się w oczach zakręciły, bo to niby tak jakoś na żart zakrawało. Widząc jej zakłopotanie, stolnikowa odezwała się po cichu:

— Agnusiu, kochanie, nie jest to taka licha rzecz, jak ci się wydaje, a dalipan znaczenia pełna...

Marcin też spojrzał, uśmiechnął się i brwiami poruszył.

W pół rozczulona, na wpół spłakana panna Agnieszka nieznacznie pierścień na palec włożyła.

Ranek był ze wszech miar wesoły i szczęśliwy; p. Marcin wyszedł zaraz do gro-

mady sroczyńskiej; pozdrowił ją i zapewnił, że wioski już nie wypuści; wszyscy mu do nóg padali i popłakali się wszyscy. Częstowano ich potem na folwarku, a prawdę rzekłszy p. Marcin choć uspokojony sam i ludzi uspokoił, nie zupełnie był wszakże pewien, jak sobie da radę z Boguszem... Słowo się rzekło bowiem, i gdyby Bogusz na warunki przystał, nie było sposobu inaczej od niego się uwolnić, tylko opłacając mu się, aby spuścił z umowy. Cała nadzieja była w tem, że on sam drożyć się jeszcze będzie, a coraz więcej wymagać, o niczem nie wiedząc i sądząc p. Marcina w potrzebie.

Jeszcze tam wrzało we dworze, gdy bryczka zaturkotała i p. Bogusz z pisarzem grodzkim Szuszkowskim na dobicie targu się przystawił. Za nim wnet chłopak wniósł szkatułkę do sieni i siadł na niej pilnując. Struło to panu Marcinowi dobrą myśl trochę, ale powiedział sobie:

— Poczekaj że bratku, cisnąłeś ty mnie, zażartuję ja może dziś z ciebie.

Prosi tedy zaraz do izby i siadają, pani Marcinowa kazała zararaz przynieść wódkę gdańską i przekąskę, nikt do rzeczy nie przystępuje, gadają o tem i owem jakby oba sprawy unikali, tylko po Boguszu widać, że wąsa zacina niecierpliwiąc się. Po gorzałce Szuszkowski stary wyga, poprawiwszy pasa nareszcie się odezwał:

— Może by tedy nie tracąc czasu *ad rem* przystąpić?

— A czemu nie — odparł p. Marcin — siadajmy.

— Dobrze — dodał p. Bogusz — a pan pisarz nam tranzakcją odczyta.

Odchrząknął tedy Szuszkowski i dobył raptularza z kieszeni i zaraz począł, przyszedł do punktów, *ad primum*, w tem p. Marcin przerywa:

— Tego przyjąć nie mogę — rzekł — musicie zmienić. Gradobicie na mnie, pożar na mnie, a toćby już p. Bogusz winien przynajmniej rachunek, kiedy ważyć nic nie chce.

— Jak mi Bóg miły, ja od tego nie ustąpię... nie mogę, — rzekł Bogusz krótko.

— No i ja też, — rzekł uradowany stolnik.

Zamilkli jakoś; widząc, że twardo stoi przy swojem pan Marcin, Bogusz odrobinę mięknąć zaczął i na małą zmianę się zgodził, aby szkody szły po połowie. Marcin milczał, zaczęli gdy mrugnął Bogusz, czytać dalej punkt drugi, znowu *veto* stolnik kładnie, znowu spór, ale rzecz była małej wagi co do inwentarza, remanentu, zrecesował się p. Marcin, poszli dalej, punkt trzeci do wykupu. Ten był najważniejszym. Barciński podniósłszy się z krzesła powiada:

— Kochany bracie a sąsiedzie miły, toć

widocznie na moją zgubę dybiesz, chcesz abym już nigdy do Sroczyna nie przyszedł, toć moja ojcowizna... zlituj się.

— Mój panie — odparł Bogusz — kołem się fortuna toczy, co dziś wasze, jutro być może moje, człek głupi, gdy ze szczęścia i losu nie korzysta.

— Aleć nie ze szkodą drugiego.

— Gdzie jeden zyskuje, wszak ktoś tracić musi.

— Proszę cię...

— Nie mogę...

— Nie możecie? — zapytał Barciński.

— Jakem szlachcic nie mogę.

— No to bywajże mi waszmość zdrów, a Sroczyna nie powąchasz! — odparł żywo stolnik.

Ten aż się porwał ze stołka.

— To tak?

— A no, tak... kwita.

— Ostatnie słowo?

— Najostatniejsze — rzekł pan Marcin sucho — napijmy się wódki, pójdźmy zjeść co Bóg dał i powrócicie sobie do domu ze swoją szkatułką...

— No to pojadę... zobaczymy czy jegomość tak łatwo innego ochotnika z pieniądzmi znajdziesz, bo o grosz gotowy codzień trudniej...

— Zobaczymy!

Przestali tedy mówić o interesie. Szuszkowski parę razy próbował pośredniczyć,

ale mu się nie udało, tymczasem przyszli oznajmić, że rosół na stole, gospodarz prosił na co Bóg dał, a Bogusz zadumany powlókł się za innemi. Ale mu w gardło nic nie szło. Pocieszał się tylko mówiąc sam do siebie:

— Szlachcic goły a potrzebuje, jak go wytrzymam, to go wezmę...

Postanowił tedy trzymać. Przy objedzie choć wszyscy jeszcze byli rannym wypadkiem pomięszani, nikt o nim ust nie otworzył tylko po twarzach patrząc, począł się Bogusz domyślać czegoś, bo byli jakoś niezwyczajni weseli i dobrego humoru, a nawet na bladej twarzyczce Justysi i wybielałych jej ustach grało jakieś pół uśmiechu.

Gdy od stołu wstali, p. Marcin wcale już interesu nie zagajał, rad że go się pozbył, mówili o koniach, o stadzie, o tem i owem, Bogusz wciąż czekał czy do rzeczy nie przyjdzie, ale napróżno. Zaczynało zmierzchać, chłopiec na szkatułce zdrzemnął się w sieni, konie z pospuszczanemi łbami stały zaprzężone, a pan Marcin baraszkował jakby na świecie Sroczyna nie było.

— Jakieś tu się licho przyplątało — rzekł na ucho Szuszkowskiemu Bogusz — wczoraj był miękki jak wosk, dziś inaczej głowę nosi, jest coś nowego.

Spróbował już sam przebąknąć o zastawie, o punktach, ale p. Marcin skłonił się i rzekł:

— To już rzecz zerwana.

Bogusz aż się strząsł, ale nie było czego czekać, począł wziąwszy za czapkę stroić się do drogi.

P. Marcinowi aż ślinka ciekła, żeby sobie z niego zażartować jeszcze.

— Hej! — rzekł — chłopię wasze dobrze się w sieni na szkatułce przespało, a toście byli widzę już i pieniądze przywieźli.

Na te słowa Boguszowi ducha przybyło, pomyślał: Tu go mam

Ale p. Marcin dodał zaraz.

— A jakąż monetą? bo byście mi nie małą przysługę wyrządzić mogli...

— At po szlachecku! ozwał się Bogusz, talary bite, i tynfów trochę.

— No tynfy mi na nic, bo to kapryśny pieniądz, ale gdybyście mi jakie tysiąc dukatów na talary zmienić chcieli, to by wam lżej było do domu, a mnie byście zrobili przysługę, srebro w drodze do wymiany dogodniejsze...

Bogusz się uśmiechnał, myśląc że mu tamten chce imponować.

— Czekaj, — rzecze w duchu — zrobię ja ci wstyd, bo pewnie i jednego hollendra w domu nie masz a tysiącem się przechwalasz...

— Po czemu chcecie za dukaty?

A szły naówczas po trzy talary bite z górą.

Bogusz na żart się zgodził po trzy i

po tynfie, pan Marcin przyjął ofertę, wniesiono szkatułkę do pokoju, wyszedł na chwilę pan Marcin do bokówki i powrócił trzos dźwigając okrutny, jakby starego węgorza złowił. Bogusz osłupiał, gdy posłyszał szmer dukatów w worze, a gorzej gdy ujrzał z otwartego sypiące się hollendry gdyby gwiazdy świecące. Zdało mu się z podziwu że ich tam było Bóg wie wiele tysięcy... Więc jak trzymał klucz z sakiewką w ręku, niby mając szkatułę otwierać, tak go na ziemię zgłupiwszy opuścił.

— E! e! panie bracie — zawołał ze złością nietajoną — mądryś ty mądry! podszedłeś mnie gracko... djabli ci pieniędzy przynieśli... ale poczekaj! poczekaj! Będziesz ty mnie może jeszcze potrzebował, zobaczymy czy ja ci wysłużę.

Nie było już nawet mowy o zamianie, wnet zawołał chłopca aby szkatułkę precz zabierał, siadł na wózek nie żegnając się i pojechał tak szparko, że nawet o Szuszkowskim zapomniał.

Pan Marcin go na gawędę i wieczerzę zatrzymawszy, dopiero nazajutrz swojemi końmi do Chełma odesłał

Nie myślał wcale pan Marcin taić się z tem zkąd mu Pan Bóg niespodziewaną pomoc zesłał, przy wieczerzy o niczem nie mówiono tylko o tem, a rodziły się na rachunek tego tajemniczego Żeligi najdziwniejsze domysły.

Nazajutrz wiedziało już o tem całe sąsiedztwo, ktoś szepnął Achingerowi, a ten jak stał dopadłszy ledwie chłopskiego wozu przyleciał. Cały był pomięszany i kwaśny. Naprzód prosił p. stolnika aby mu całą rzecz jak była opowiedział, potem milcząc oglądał i dukaty i pamiątki, na ostatek padł na krzesło z frasunkiem wielkim.

— Jakież to tam licho przewiedzieć mogło, że pod tą szarą kapotą jakiś magnat pokutuje — i zawołał: — Ot tom sobie nawarzył piwa... a tożeśmy się tu żarli z nim nieustannie... i w drogęm mu lazł! Gdybym był wiedział... ba! ba!

— Otóż masz nauczkę, sąsiedzie, jak się to z każdym, by i z ubożuchnym człeczkiem obchodzić potrzeba.

Achinger więcej był przelękły niż zmartwiony.

— Jeżeli on mospanie — mówił — tak przyjaciołom się wywdzięcza wspaniale, toć pewnie ostro obchodzi się z niechętnymi a ja mu nieraz zalał za skórę... więc mi nie daruje!... Ot tom sobie biedę kupił!

— E! nie frasujcie się znowu tak bardzo — rzekł pan Marcin — złe się rychło zapomina.

— A! licha tam, ja nigdy, prędzej dobrego zapomnę co mi kto wyświadczył, ale złego... do śmierci.

— Zła natura waszeci! — odparł śmiejąc się Marcin.

— Ale już jej nie przerobić! westchnął sąsiad.

Znowuż tedy jął się rozpytywać i głowę łamać nad tem, coby za jeden mógł być, co znaczył kozak siny z żółtem, czyja to była barwa, itp.

Marcin mu pomagał i niestworzone rzeczy tak marzyli a Achinger jak litanję coraz to westchnąwszy powtarzał:

— Da mi też pieprzu! da!

— Już chyba wy mnie bronić będziecie, albo panna Agnieszka — dodał — bo się sam takiemu magnatowi nie opędzę. Dobrze to mówić szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, ale ta równość szlachecka... rzecz to jest zdradziecka..

I z rymu wielce uradowany powtórzył sobie śmiejąc się kilka razy.

— Równość szlachecka... rzecz jest zdradziecka.. To mi się udało.

Znów tedy puścili się w domysły, dla czego taki człowiek lat kilka mógł potrzebować ukrywać się, udawać ubogiego i rezydować u szlachcica?... Co mogły za powody skłonić magnata do ponoszenia dobrowolnego upokorzenia, niewygód itp.

Nie było na to w wyobrażeniach owego wieku innego tłumaczenia nad pokutę za czyn występny, bo choć wiara zachwiana została w XVIII wieku, jeszcze gorąco była tam, gdzie zepsucie dworu i cudzoziemczyzna nie doszły.

Prawdę rzekłszy, gdy ów Żeliga po raz pierwszy do Barcina zawitał, nikt a nikt się w nim nie domyślał ukrytego pana; teraz wszyscy utrzymywali z kolei, że się czegoś zaraz dorozumiewali, przeczuwali, że coś w nim tajemniczego odgadli. Każdy się z przenikliwością swą popisywał. Jeden Achinger nie mógł się do niej przyznać. W istocie jeśli kto, to panna Agnieszka i Justysia miały prawo pierwsze utrzymywania, iż w Żelidze widziały wcześnie jakąś niezwyczajną postać, a trzeci może kozaczek, który nie po cholewach u butów kozłowych, co je czyścił, ale po talarach pana wcześnie zwąchał. Pan Marcin przypominając sobie, jak się nieraz w kwaśny humor z Żeligą obchodził, jak go niekiedy połajał przy marjaszu, aż czuprynę tarł, pani Marcinowa rumieniła się też opowiadając, jak się nim posługiwała, że czasem z kluczem za nią do spiżarni chadzał i tp.

A Achinger wciąż powtarzał na różne sposoby:

— O tom sobie piwa nawarzył! ale ktoby się go tam domyślił pod taką kapotą!

Śmieli się tak, przypominali, domniemywali bez końca.

Przygoda owa tak rozbudziła wszystkich, a ciekawych napędziła do Barcina, że przez kilka dni ino przyjmować musiano, opowiadać, pokazywać, i prostować pogłoski, które o parę mil już ze trzech zrobiły

trzydzieści tysięcy dukatów, a z parę klejnocików, całą pereł i djamentow szkatułę. Osoby podejrzliwsze, dotknąwszy nawet darów, przekonawszy się w miejscu o ich ilości i wartości, odjeżdżając posądzali Barcińskich że się nie do wszystkiego przyznawali. Stare panny, których jakoś pod tę porę było w Chełmskiem dosyć, z zazdrością spoglądały na p. Agnieszkę, ukrywającą się ze swym pierścionkiem, któremu wszyscy wielkie przyznawali znaczenie. Domyślała się też i panna Agnieszka sama, co wyrażały dwie złączone dłonie, i przypominając przyjaciela, dla którego czuła afekt prawdziwy, marzyła także o przyszłości.

Tak ona przychodziła niespodzianie z dłonią pełną nadzieji, gdy już o życiu swem zwątpiła była i o szczęściu marzyć nie śmiała, że jej się to wszystko snem wydawało dziwnym.

Ale jak i w jaki sposób miało się to zakończyć... kiedy miał się zjawić ów narzeczony, którego pierścień nosiła na palcu? Kto on był w istocie? Co mu przeszkadzało że dotąd sam się nie pokazywał, że tail się jeszcze z sobą? Wszystko to były nierozwikłane zagadki.

Pani Marcinowa co wieczora przychodziła do niej dopomagając domysłom i rojąc z nią o przyszłości.

— No cóż ty na to mówisz! co ty moja Agnusiu — wołała od progu — on

ci pewnie wprzódy musiał dawać do zrozumienia... nieprawdaż? Juściż, wszyscyśmy postrzegali to, że się bardzo miał do ciebie... Jak on ci mówił? czy ci co obiecywał?

Naówczas skromna panna Agnieszka po cichutku przypominając sobie swe rozmowy z nim, powtarzała je p. Marcinowej i przeczuwały jak to się skończy, jak z wielką przyjedzie kalwakatą itp.

Jakież to szczęście dla człowieka odrobina nadzieji, jakież to szczęście, gdy los da mu trochę tej pajęczyny złotej na tkankę, którą fantazja tak misternie przerabiać umie. Nigdy rzeczywistośc najcudniejsza nie karmi tak u piersi dzieci dobrej nawet doli,

Ale kiedyż marzenie się wyśniło? Kiedy człowiek tworząc tysiące obrazów na odgadnienie przyszłości, spodział sią jaka ona będzie... Nigdy! Najczynniejsza wyobraźnia nie sprosta zwierzęcej ironji losu, który naigrawać się zdaje z myśli, i iść na wyprzódki z fantazją, aby jej rzucić w oczy niespodziankę Ten co nocy bezsenne przetrwał na wyrachowywaniu wszystkich możliwych kombinacyj losu, i doli swojej, kiedyż zgadł jutro i przewidział jego barwę? Serce czasem przeczuwa, rozum w dochodzenin przyszłości jest zawsze zawodnym; bo serce ma instynkt nieochybny, siłę jakąś mistyczną, której rozsądek się wyrzekł. On rachuje tylko, ale niestety, rachuby jego oparte są zawsze na

cyfrach lub nieznanych, lub fałszywie postawionych tak, że ostateczny wniosek, zawsze chybiać musi. Ale któż w życiu nie bawił się po tysiącznych zawodach, jeszcze raz w tę grę liczb nieznanych, w tę loterję doli, na której się zawsze przegrywa?

Tak teraz odgadywała panna Agnieszka, pani Marcinowa sam p. Barciński jak dalej, z tym tajemniczym Zeligą sprawy pójść miały.

Tymczasem krzątano się do prędkiej podróży, do której teraz już żadnych przeszkód nie było, a przyspieszenia jej, zdrowie Justysi wymagało. Pan Marcin nawet przypuszczał że w drodze może spotkają się gdzieś zasłyszą coś, dowiedzą się o swym nieznajomym, którego nie wiedzieli nawet kędy szukać mieli.

— Juściż kiedy dosłyszał coś o mojej biedzie, czuwa tedy nad nami — mówił p. Marcin — ale nie rychło przyszedł mi w pomoc, więc znać kędyś mieszka daleko. W której stronie, to Bóg jeden wiedzieć raczy...

Na samo pakowanie się nadjechał jeszcze raz Achinger, ciekawość połączona ze strachem, spać mu nie dawały, śledził on troskliwie nadzwyczaj tego Żeligę, którego się tak obawiał. Z różnych plotek w Chełmie dowiedział się, iż tej nocy, gdy znikł właśnie ów Żeliga z Barcina, a miasteczko było pełne jakiegoś dworu i kozactwa, przy

kalwakacie i powozach pańskich nie było pana samego, oczekiwano nań noc całą. Nad ranem, już mu żyd trzymający gospodę opowiadał, coś zastukało do okna trzy razy, marszałek dworu, który ubrany siedział, zerwał się z ławy i poszedł sam nie wielkie wrota, ale małą furtę otworzyć, tą furtą wcisnął się do karczmy ktoś... Przed drzwiami na drodze nigdzie żadnego wozu ani koni nie było, nie dosłyszano żadnego turkotu, mimo to nagle w gospodzie powstał ruch nadzwyczajny, kozacy ruszyli się z ław, poczęto wozy i konie gotować, służba latała wołając że pan przybył. Gdy Chaim ubrany w nowiuteńki atłasowy żupan i czapkę szabasówkę zapragnął tego pana zobaczyć i powitać, popchnięto go dosyć niegrzecznie, internowano w izbie, grożąc najsrożej jeśliby śmiał wyjść za próg i koniec końcem nie widział on tego kasztelana na oczy. Kozacy wszyscy należacy do dworu, byli w barwie jednostajnej sinej z żółtem.

Achinger więc wnosił, że nie kto inny był tym panem, co po nocy przyjechał czy przyszedł, tylko zbiegły z Barcina Żeliga. Wszakże i kozak który pieniądze przywoził, miał na sobie barwę siną z żółtem?

Wiele prawdopodobieństwa było w tych domysłach jedno wszakże nadwerężało je znaczenie, to obrachowanie godzin, których droga z Barcina do Chełmą wymagała. Najspieszniej idący człowiek, nie mógł jej prze-

być w tym czasie, jaki z rachuby wypadł między prawdopodobnem zniknieniem Zeligi z Barcina, a przybyciem jego do Chełma. Wprawdzie mógł gdzie i dostać, nająć konie, ale w miasteczku najlżejszy turkot w nocy dawał się słyszeć daleko, a po drodze nie łatwo też było natrafić na wóz i konie.

Tem tylko zbijał pan Marcin upierającącego się przy swojem Achingera, który im możniejszym wyobrażał sobie swego przeciwnika, tem bardziej fantazję tracił.

— Państwo jedziecie — mówił kuternoga — a ja tu sam zostaję... nie będzie mnie nawet komu obronić jeśli mu przyjdzie ochota mnie najechać albo mnie jaką psotę wyrządzić.

P. Marcin ramionami ruszał.

— Zkąd waści te myśli? to człek nie mściwy!

— Ale ba, — szeptał Achinger — któryby to człek mający siłę a obrażony nie chciał jej użyć na powetowanie krzywdy?

— A jakążeś mu waćpan wyrządził?

Milczał Achinger, ale miał na myśli swoje spotkanie przy chacie leśniczego i odgróżkę, którą dobrze słyszał, choć się nie rad był do tego przyznać.

— Nie powiem asindziejowi — rzekł w końcu — gdzie i jak to było, ale gdyśmy się raz przemówili, to jak kija, który trzymał w ręku, ścisnął, powiadam wam aż trzeszczał, a oczy mu się iskrzyły jak ślepie u

kota. Wyglądał tak, że jego oblicza dopóki żyw nie zapomnę.

— A o cóż to poszło? — spytał pan Marcin.

— A! to tak, o fraszkę... ja to jestem niepotrzebny gorączka... lada co mnie zburzy, jest to w rodzie Achingerów. Mój przodek Zybult, miał także zatarg z jednym Lubomirskim że aż do szabel przyszło... nie zważając na imię i senatorską godność i to pod bokiem J. K. Mości. Drugi z Achingerów ze trzema tureckimi czauszami się starłszy, mało życia nie postradał...

— Ale cóż znowu — zawołał p. Marcin — o naszego Żeligę nie masz się czego obawiać, w drogę ci nie wejdzie, byleś ty mu jej nie zaszedł.

— No! no! widać żeście mu nigdy nie spojrzeli jak ja w oczy.

Polecając się opiece p. Barcińskiego, odjechał nie bardzo uspokojony o siebie kuternoga do domu, a tuż i państwu przypadała podróż do Warszawy, w którą się natychmiast wybrać musieli. Jechała z nimi i panna Agnieszka, jako nieodstępna towarzyszka. O mil pięć od Warszawy, na wielkim trakcie, stała naówczas karczma w lesie, której nikt nie mijał. Stary gracjalista, niegdyś kucharz podrózny wojewody Ogińskiego, który miał ten wielki przymiot, że umiał z niczego smacznie przyprawiać objadki i nabył wielkiej sławy z jajecznicy i bigosów,

i założył w niej był pierwszą na cały kraj garkuchnię na gościńcu, dając przykład, że gospoda podobna przez katolika utrzymywaną być może.

Na owe czasy było to taką nowością, że wygoda chwilowo zyskała nadzwyczajną wziętość.

Impan Izydor Pastuski, tak się zwał ów staruszek przedsiębiorca, niczego nie żałował, aby swój (jak dziś mówią) zakład postawić na wytwornej stopie. Kupił był nawet mały billardzik w Warszawie, używany wprawdzie, ale jeszcze dosyć przyzwoity, i urządził bufet, w którym wódki gdańskiej, wina węgierskiego, pierników i tłuczeńców domowych dostać było można, miał zapas wiktuałów mniej więcej świeżych, piwo butelkowe marcowe, kawę nie złą i do posługi chłopca, ubranego w liberję przenoszoną cynamonową, kupioną na tandecie. Leżała ona trochę wolno na wyrostku, ale zawsze się spodziewano, że z latami on ją wypełni. Sama powierzchowność tej oberży postępowej była pociągającą. Naprzód na przyczułku stał wielkiemi literami napis.

WYGODA
Traktyer, Oberża i Billard
Izydora Pastuskiego
b. kuchmistrza Wojewody Ogińskiego.

Potem okiennice wszystkie ozdobione

były obrazami rodzajowemi, umyślnie na ten cel malowanemi w Warszawie.

Ten co je dla Pastuskiego malował, naówczas początkujący bazgracz, później był wielkiej sławy artystą. Na pierwszej z nich był rodzaj trofeum z kijów billardowych, gałek, butelek, kieliszków i godeł wesela i biesiady, oplecionych bluszczem i liśćmi winnemi.

Na drugiej dwaj ichmościowie Polak i suknią zagraniczną przyodziany człowiek, grali w billard. Polak miał poły zakasane i robił bilą z zapałem, z jakim jego przodkowie łby rozcinali niewiernym. Nowomodny jegomość stał patrząc nań w pozycji menuetowej, uśmiechnięty. Były to postacie, w których przyszły talent karykaturzysty już bardzo wybitnie się objawiał.

Na trzeciej okiennicy widać było stół nakryty z lasem butelek, szklanek i kieliszków i przy nim znowu tych samych dwóch ichmościów, z dodatkiem jednej pani w kapeluszu z piórem, w szalu pąsowym i okrutnie wygorsowanej, zajadających, o ile się można było domyśleć, wielkiego pozłocistego indyka.

Na czwartej podochoceni dwaj panowie tańcowali z kieliszkami w ręku rodzaj drabanta, w oddaleniu kapela grała na trąbkach i różnych instrumentach, których podobno nigdzie nie widziano. Artysta puścił nieco cugle swej wyobraźni, ale się za to Pastuski nie gniewał.

W tej to wspaniałej gospodzie przypadł nocleg państwu Marcinowstwu i pannie Agnieszce, która w miarę jak się zmierzchać zeczynało wśród lasu, bardzo karczmę spotkać pragnęła, posądzając Mazowsze o przechowywanie Rinaldinich w głębi szumiących sosnowych borów.

Było to już o zmierzchu, wiosenny dzień majowy, pogodny, lasy pełne zapachów rozkwitłej czeremchy, i świeżo jeszcze rozwiniętych balsamicznych liści brzozowych, cisza razem z rosą spadała na usypiającą ziemię. Księżyc w pełni, czerwony jakby się zadyszał spiesząc do swych obowiązków, pokazywał z za drzew nabrzękłe oblicze; powóz stanął, a znający się na dworskich obyczajach p. Pastuski w białej na głowie szlafmycy, fartuchu świeżym, wybiegł pozdrowić przybywających państwa, zapewniając im, że nocleg będą mieli wygodny.

Tylko co się powoli wydostali z kolebki, gdy pan Marcin oczy zwróciwszy ku drzwiom gospody ujrzał w nich bardzo urodziwego młodzieńca, ubranego skromnie ale smakownie, który zdawał się z niezwyczajną ciekawością wpatrywać w nowoprzybyłych. Oczy jego wlepione w nich błyszczały niepokojem widocznym, w rękach miał jakiś papier i wahał się, czy z nim zbliżyć się do nich czy nie.

Justysia pierwsza go spostrzegła, nie wiedzieć dla czego zarumieniła się mocno,

młody człowiek jeszcze mocniej i oboje zapomniawszy obecnych, stali tak chwilę jakby starzy znajomi, co po długich latach niewidzenia spotykają się znowu, a nie są pewni jeszcze, czy widma widzą, czy dawnych lat przyjaciela.

Upewniony wszakże jakby widokiem Justysi młodzieniec, żywo się posunął kilka kroków naprzód i z bardzo grzecznym ukłonem zbliżył się do p. Barcińskiego.

— Wszak p. stolnika Barcińskiego mam zaszczyt widzieć! — rzekł z uśmiechem.

— Tak jest! tak jest! lecz zkądże? zdaje mi się że nie mam przyjemności...

— Osobiście nie znałem p. stolnika — rzekł śmielej nieznany młody chłopak, — ale wiele, wiele o nim i o jego domu nasłuchałem się od mego wuja, od którego i list im przynoszę.

Na kopercie już poznał Barciński pismo Żeligi i aż zakrzyknął:

— A! jakże się ma? co porabia? i jakże się złożyło?

— Zdrów jest — odpowiedział, wciąż oczyma goniąc za Justysią młody chłopak — bardzo żałował że sam nie mógł dla ważnych spraw z domu wyjechać na spotkanie państwa... ale domyślając się... wiedząc, że tędy jechać musicie, mnie wysłał, abym w jego imieniu ich pozdrowił.

— Jakto? więc to wuj...

— Rodzony mój wuj — odpowiedział

nieznajomy chłopak. — Mam mnóstwo od niego poleceń różnych, a najpierwsze, najważniejsze, abyście raczyli przyjąć gościnę w gospodzie przygotowanej na ich przyjęcie, nim może zdołamy kiedyś zawdzięczyć im ich gościnność długą pod własnym dachem. Czuję bardzo nieudolność moją w zastąpieniu wuja, ale spodziewam sią, że państwo młodości mej i niedoświadczeniu raczycie wiele przebaczyć

Wszyscy patrzyli z natężoną ciekawością na ślicznego chłopaka, który mimo atencji starszym należnej niedyskretnie oczyma ścigał Justysię. Trzeba też przyznać, że i młode dziewczę z całą prostotą wieśniaczki wpatrywało się w niego jąk w tęczę... jakiś urok dziwny ciągnął ich oczy ku sobie...

Scena ta odbywała się na podwórzu, ścieżka wiodąca do oberży p. Pastuskiego usypana była zielonym tatarakiem, u drzwi wisiały wieńce z liści dębowych. Młody gospodarz podał z wielkiem uszanowaniem rękę pani Marcinowej i zdziwioną tą niespodzianką wprowadził do pokoju, w którym wieczerza dla podróżnych była przygotowaną.

Zdumieli się niezmiernie wchodząc, gdyż izba gospody wcale niepodobną była do zwykłych najwystawniejszych nawet pokojów gościnnych.

Sciany jej całe wybite były makatami tureckiemi od góry do dołu; podłoga zarzucona zielenią i kwiatami, przy drzwiach pęki

świec woskowych w lichtarzach pozłocistych rozlewały światło rzęsiste na salkę istotnie wspaniale wyglądającą.. Po kątach w chińskich wazonach ogromnych stały bukiety olbrzymie, w pośrodku stół przepysznie przystrojony. Zdobiła go srebrna waza, posążki porcelanowe, wiązki kwiatów w kryształowych naczyniach i nader wspaniała zastawa stołowa. W kącie jaśniał kredens od półmisków srebrnych, czasz, puharów, nalewek i stosów talerzy. Za krzesłami stali służący w liberji szafirowej z żółtem.

Biedna p. Marcinowa w swej sukni podróżnej nader skromnej, p. Marcin w kitlu płóciennym ze skórzanym pasem, panna Agnieszka w perkaliku w kwiaty, Justysia w prostej białej sukience zmięszane się uczuły w obec tego przepychu; zawachały się nieco w progu.

— Ale mój mości dobrodzieju! — rzekł Barciński — jeśli już tak biednych ludzi chcecie konfundować pańskiemi magnificencjami, to pozwólcież byśmy się trochę z podróżnego pyłu otrzęśli i przebrali.

— Wszakże państwo jesteście w gospodzie i jak u siebie, czyńcie więc jak się podoba, ale powtarzam, że nic ich to obchodzić nie powinno. Jeślibym ja był zawadą i mógł inkomodować, ustąpię chętnie choć z żalem...

— Ale nie, — zawołał pan Marcin — tylko...

— Państwo będziecie sami, a ja pierwszym ich sługą.

To mówiąc skłonił się grzecznie, a że panie szeptały chcac się nieco przystroić, otworzył boczne drzwi do pokoju, który dla nich był przygotowany.

I tu paliły się świece, dywanami pozaścielane były siedzenia i wszystko co w wygodzie służyć mogło, znajdowało się.

Pan Marcin pomięszany, zdumiony, przejęty, patrzał, oczom nie wierzył i łzy mu się kręciły pod powieką.

Gdy panie poszły się nieco przebrać, zostawszy sam na sam z młodym człowiekiem ujął go pod rękę i począł powoli rozpytywać się o Żeligę, ale zaraz na pierwsze słowo siostrzeniec odparł żywo:

— Co się tyczy wuja mojego, nie dozwolono mi wiele objaśnić pana stolnika, chce on sam mieć przyjemność wszystkie swoje dziwactwa, jak je zowie, wytłumaczyć... muszę więc zamilczyć prawie...

— Jak to? nawet jego nazwiska wiedzieć nie możemy?

— Niestety... właśnie go powiedzieć nie mam prawa... Mam tylko zlecenie prosić stolnika, abyś był cierpliwym jeszcze... i za złe mu tego nie poczytywał.

P. Marcin skłonił się milczący.

Przerwana tak w najinteresowniejszym początku rozmowa z trudnością się mogła skleić, gdyż jedyny jej przedmiot został z niej

wykluczonym. Poszli prawie milczący przechadzać się oczekując na kobiety, które tymczasem co krok jakieś spotykały w swym pokoju niespodzianki, ukrytą ręką przygotowane. Justysia wianuszek niezapominajek, pani Marcinowa jakiś przysmak który lubiła, panna Agnieszka osobny bukiet kwiatów uwiązany wstęgą, na której wyszyte było jej imię. Na małym stoliczku stało puzderko gdańskie z wódkami, do których przywykł był p. Marcin, z kieliszkiem tąkiego rozmiaru jak używany był w Barcinie i przy nim olbrzymi złocony piernik toruński.

P. Marcinowa wykrzykiwała co chwila, ale się nie pomału gniewała na Żeligę że sam się im pokazać nie chciał.

Po długich przyborach dano do stołu; zebrali się wszyscy i zasiedli, trafem młody chłopak przy Justysi... która od razu była z nim jak z bardzo dobrym znajomym. Poczęli rozmowę od kwiatków, a że do niej nie wiele im było potrzeba wątku, snuła się wesoło i ochoczo. Znać było, że wieczerzę zapewne nie p. Pastuski gotował, była bowiem aż do zbytku wytworną. A ryby w podziwienie wprawiały p. Marcina, który je bardzo lubił. Pieczeń była z daniela, po niej nastąpił deser, cukry i sztucznie przechowane owoce.. słowem króla by było można u stołu tego posadzić, nawet takiego smakosza, jak Stanisław Poniatowski.

Gdy po tej cichej uczcie wstali znużeni

wypiwszy zdrowie Zeligi starym węgrzynem z omszonych butelek, młody człowiek pożegnał gości, i oświadczył, że nie chcąc im być na zawadzie do spoczynku, natychmiast odjeżdża...

Prosił go p. Marcin, aby wujowi wdzięczność za tak miłą niespodziankę oświadczył i odprowadził młodego człowieka do sieni... Panie weszły do swojego pokoju... Barciński chciał dopilnować się i tym razem zaspokoić swą ciekawość, sam lub przez służbę rozpytując ludzi i gospodarza.

— O! teraz to mi się nie wyśliźnie — rzekł — już po tajemnicy, ktoś się tu wygadać musi przecie.

Gdy młody człowiek chodził jeszcze przed gospodą czekając na konie z panem Marcinem, ludzie stół, makaty, światło i przyrządy kuchenne w mgnieniu oka popakowali i raz jeszcze uścisnąwszy Barcińskiego młody chłopak skoczył na wózek lekki, który nań czekał, puszczając się w las drogą...

Z żywą niespokojnością pobiegł pan Marcin do gospody, w której drzwiach zetknął się z zadumanym gospodarzem panem Pastuskim.

— Powiedzże mi wasze — rzekł — bo dalipan już mnie niecierpliwość bierze, kto to był ten młody człowiek? czyj to dwór? ludzie?

— Z przeproszeniem JW. pana — od-

parł Pastuski zdejmując szlałmycę, alboż to nie J. W. pana ludzie i dwór odjechał?

— Jak to? mój? ale cóż znowu?

— Ale bo oni się mienili być ludźmi stolnika Barcińskiego.

— Jak to? waszmość ich nie znasz?

— Ja? pierwszy raz widziałem w życiu.

— A zkądże przybyli?

— Powiedzieli mi, że jadą z pod Chełma dla przygotowania przyjęcia pod przyjazd JW. pana.

Stolnik osłupiał, ale mu bardzo zrobiło się markotno.

— Komedja jakaś, czy co? tłu! cóż u kaduka!

Gospodarz patrzał nań z jakąś miną pół głupkowatą pół chytrą.

P. Marcin dobył dukata i wcisnął mu go w rękę.

— No gadaj bo wasze — rzekł — nie bałamuć.

— Radbym z duszy coś powiedzieć.., ale istotnie... istotnie nic nadto nie wiem. com miał szczęście mówić.

Popatrzał jeszcze Barciński na niego, ale nie było sposobu nic dobyć, powrócił więc do żony dosyć kwaśny.

— Wszystko to śliczne i piękne, ale po cóż jeszcze sekreta? przecież widzimy że magnat... a z imieniem się tai. Wystaw sobie jejmość, serce najdroższe, wszak to gospodarz udaje czy istotnie... kto go tam zro-

zumie,—nie wie nic zkąd to się wzięło. To moja dobrodziejko, czysto jak w bajce... czarodziejstwo, stół, sługi, makaty, srebra... wszystko znikło...

I otworzył p. Marcin drzwi od jadalni, z której w istocie z dawnego stroju zostały tylko porozrzucane kupy pachnących kwiatów, a na stole wielki kosz pokryty białemi serwetami.

Do kosza pobiegły kobiety, ale nic w nim nie znalazły prócz zapasów podróżnych, bułek, wędlin, pieczystego, win itp.

Panna Agnieszka, która dotąd ciągle była milczącą i zamyśloną, chwyciła bardzo ciekawie za bieliznę, sądząc, że na niej znajdzie cyfrę, znak lub jakąś poszlakę pochodzenia.

Ale i to oczekiwanie zawiodło, wszystkie cztery rogi były czyste, na jednym tylko ślad pozostał jakiś wyprutych starannie hieroglifów.

— Bądź co bądź — odezwał się siadając na ławie pan Marcin. — los nam dał zetknąć się z jakimś bardzo możnym człowiekiem, ale dziwak też niepospolity. Uważałaś asindźka srebra?

— Widziała mama malowanie na porcelanie? dodała Justysia.

— Czy państwo spostrzegli wspaniałe chińskie naczynia w których były kwiaty?

— A sztućce do deseru przy końcu, podawali złote!—ozwała się pani Marcinowa.

— Zgadnij Jezu kto cię bije! — westchnął p. Marcin — dalipan okrutnym być potrzeba, żeby tak ludzi drażnić i nie zaspokoić ich słusznej ciekawości.

— Ale któż to wie? — odezwała się nieśmiało i z cicha panna Agnieszka, mnie się zdaje, że nie może tego czynić dla fantazji, musi mieć słuszne powody...

— Dziwactwo je zawsze wynajdzie!— rzekł Barciński — mnie to już nudzi, moje państwo... i trochę się gniewam, bo go kocham, bom mu wdzięczen, a tak się mi kryje jakby siebie lub nas się wstydził.

— A ja powiadam, bądź serce cierpliwy — odezwała się pani Marcinowa — wszystko się w porę wyjaśni i roztłumaczy.

— Ja także — dodała Justysia.

— O! i ja też! — szepnęła Agnieszka.

— Moście kobiety—rzekł p. Marcin,— wam w to graj, żeby cudami samemi życie się plotło, ja wolę to, co rozumiem i co jasne jak słońce.

Na tem skończyła sie rozmowa, rozeszli się wszyscy, aby nazajutrz wstać rano i stanąć nie zbyt późną porą w stolicy, do której przyjazd w nocy dla nieznajomych był niewygodnym.

Zostawał im na pół drogi jeszcze jeden popas, bo ciągle swojemi jadąc końmi, musiano ich oszczędzać, a nikt tak, nawet powozowych nie żałował jak Barciński.

Słońce przygrzewało mocno, co na wieczór zdawało się grozić burzą, konie szły po piaskach jak w pługu, a karczmy jakoś widać nie było, choć u nas prędzej ich za wiele niż za mało stało po gościńcach, wszelkiego rodzaju, począwszy od chaty z wódką aż do austerji z miodem. Barciński pochmurny, zadumany siedział w kolebce, bo go droga nużyła, a jeszcze bardziej nieustanny spór z woźnicą, który mu nigdy dogodzić nie umiał. Miał bowiem w tem nie dobry zwyczaj, że nie powożąc sam, bo by to godności jego ubliżało, ciągle wszakże mięszał się do koni. Nieszczęśliwy Hryszko furman był już z tem obeznany i milczał na koźle nic nie odpowiadając na gderanie. Barciński albo żżymał się i klął, albo go nieustannie strofował, co bywało powodem, że Hryszko czasem głowę tracił i wiózł coraz gorzej.

— Słyszysz, przyprzężonego batem, opuszcza się, — i wołał: klacz zawsze pierwsza się spoci, a dyszel idzie na rewizora. Rewizora pilnuj. Łowczy także sobie folguje, proboszczychę smagnij. — Były to wszystkie imiona koni. A po chwili znowu: Jużeś to waszeć kamieniowi nie przepuścił, a toć osie gdyby były djamentowe, nie wytrzymają, wolno... licowe batem. Rewizor się opuszcza itp. Czasem Hrysza się zniecierpliwił, wynikał spór od słowa do słowa, poważnili się starzy przyjaciele pan z woźnicą, ale talar i poczciwy wyraz załagodził sprawę.

— Gdyby to nie był taki dobry pan, — mówił czasem Hrysza, żeby mi miljony płacił nie woziłbym go. Aby za próg domu, czy sobie wątrąbę strzęsie czy co, zaraz się do człowieka czepia. Ale dobre takie panisko niech już sobie kaprysuje, kiedy mu to na zdrowie.

Taka była natura stolnika; żona i córka w drodze, aby go nie drażnić, milczały.

W tem pokazała się koło południa mała karczemka w której popasać nie było można ani myśleć, bo szopy nawet przy niej nie było, ale Hrysza nagle zatrzymał konie, p. Marcin że mu to nie wiele potrzeba było do gniewu zerwał się:

— A to co jest? czego stajesz? co ty myślisz popasać?

Ale tych słów domawiając, aż krzyknął:

— W imię Ojca i Syna... toć pan... toć... Zeliga!

Prawie, niżeli powóz stanął, już pan Marcin był na ziemi i z otwartemi ramiony biegł do przyjaciela, który stał sobie w kubraku letnim, płóciennym, ubrany nader ubogo, poglądając z gorącem uczuciem ku przybywającemu.

Był zrazu tak wzruszonym Barciński, że o domniemanej dostojności nieznajomego zapomniał, ale w chwili, gdy mu się miał rzucić w objęcia, obawa go opanowała, przyszła na pamięć wczorajsza wieczerza i wspaniałość, zdjął czapkę i zawachał się.

Przeczuł to znać Zeliga, sam wystąpił doń i ściskać go począł ze łzami. Potem poskoczył do p. Marcinowej, a Justysia sama już do niego biegła. Zaczęły się przywitania serdeczne. Panna Agnieszka cała drżąca pąsowa, gdy ją po rękach całować zaczął, słowa nawet ze wzruszenia przemówić nie mogła.

Ów Żeliga, którego posądzali o wielkie państwo, nic a nic się nie był zmienił od ucieczki z Barcina, tylko trochę lepiej wyglądał, rumieńszy był, jaśniejszego czoła, taki właśnie jak gdyby siwosza dosiadł i honoru stada bronił. Myślał p. Marcin, że tu za nim zobaczy dwór, kozaków, kolasy, ludzi, ale przy karczemce stał tylko wózek mały parokonny, mucami zaprzężony i chłopak wyrostek w szarej barwie bardzo skromnej.

— Panie a bracie! — zawołał Barciński — czapkę trzymając u kolan, dalipan raz już mnie przecież nauczcie, jak was mam nazywać, jak szanować, kim wy jesteście... Boć znacie poczciwe serca nasze, zdrady po nich obawiać się nie możecie, a boli to, gdy zaufać im nie chcecie.

— Cierpliwości chwilę, tylko chwilę— rzekł uśmiechając się Żeliga — pozwólcie panie stolniku, abym czas jakiś jeszcze pozostał dawnym Żeligą, mnie z tem lżej, a wam istotnie jedno, bo serce się nie zmieniło. Jeszcze chwila a wyjaśni się wszystko, przebaczycie mi, gdy się przekonacie, że ina-

czej być nie mogło. Chciałem was wczoraj jeszcze tam powitać w Wygodzie, ale mnie sprawa główna zatrzymała w Warszawie, ledwie że dziś rano wyrwać się mogłem. Wierzcie mi, że na milczeniu i tajemnicy ja najwięcej cierpię. Folgi zatem krótkiej już proszę p. Marcinie. Alboć by wam lepiej smakowało imię słynniejsze niż to moje dawne, z którem przecież przyjęliście mię tak poczciwie, tak serdecznie, że tego pókim żyw nie zapomnę... No... a gdybym też, mimo wszystkich tych pozorów państwa i bogactw był chudym pachołkiem, jakeście mnie wprzódy znali?

— Tobyśmy waszmość jeszcze lepiej kochali,—gorąco przerwała p. Marcinowa — bo mówcie sobie co chcecie, między człowiekiem a człowiekiem, imię i majątek znaczne zapory kładną.

— No więc nazywajcie mnie Zeligą i myślcie po staremu żem ubogi, a dalipan... dalipan... — dodał wzdychając — nie omylicie się wiele. Wszystko się wkrótce wyjaśni. Dysponuję ja bogactwy, ale się sam za bogatego nie uważam, a ta rodzina, którą najwięcej miłuję, była ubogą szlachecką rodziną.

Spojrzał na pannę Agnieszkę, w której oczach błysnęła radość widoczna... nie tyle smakowało jej państwo, ile się go obawiała. Gdy z dwojga ludzi kochających się jedno nadto wiele obowiązanem jest drugiemu, za-

wsze ciężar dźwiga, który się często czuć daje.

Któż zresztą nie doświadczył, że jak nabywanie pieniędzy często polepsza i podnosi człowieka, tak nabytych posiadanie niemal zawsze go psuje, wbija w pychę i obałamuca. Panna Agnieszka wolała kochać ubogiego (bo kochała go) niż magnatowi być za miłość jego obowiązaną, miłość, która już była zniżeniem się ku niej i ofiarą. Kobiety zawsze prawie wolą ku sobie podnosić, niżby się ku nim schylano.

Pan Marcin popatrzał i głową pokiwał.

— Panie bracie — rzekł — dużo w tem zagadki dla mnie, ale...

— Ale nie odgadniecie ich i nie frasujcie się o nie — przerwał wesoło Żeliga. — Tandem cóż? Wszak myślicie popasać?

— Gdyby było można — odparł Barciński — ale nie ma nawet koni gdzie postawić.

— Na to rachowałem — zawołał Żeliga — więcem czekał, aby drogę pokazać do folwarczku, w którym się wszystko znajdzie i dla koni i dla państwa. Siadajcie panie moje do kolebki, ja z panem Marcinem siądę do wózka mego i poprowadzę was przodem.

— Daleko to? spytał p. Marcin.

— Ale pół godziny drogi...

— Ja więc z waszmością na wózek a chłopiec kędy?

— Uczepi się z tyłu, jest tam miejsce dla niego.

Siedli tedy rązem, kobiety nazad do kolebki, Hryszka uwolniony od pańskiej komendy palnął z bicza zamaszysto, i w lewo małą, ale dobrze utrzymaną drożyną ruszyli od gościńca.

— Ale dokądże to jedziemy? — spytał po chwili Barciński — może znowu jaka niespodzianka w rodzaju wczorajszej?

— Nie, nie, jeśli niespodzianka, to w innym już rodzaju. Z tamtą wystąpił mój siostrzeniec, bogaty panicz światowy, z tą biedny pokutnik Żeliga.

Słysząc westchnienia dobywające się z piersi, p. Marcin o więcej się już dopytywać nie śmiał. Droga coraz gęstszym i ciemniejszym szła lasem, otoczona niebotycznemi sosnami.

Kto takiego sosnowego starego boru nie widział, kto w nim ciszy nie kosztował, i nie poczuł wrażenia, jakie ona czyni, ten i w kościele modlić się nie potrafi.

Stoją sosny jak zajrzeć, gdyby słupy w gotyckiej świątyni, po nad któremi szumi modlitwą nieustanną zielonych gałęzi sklepienie. Igłami posypana ziemia, rzekłbyś posadzka marmurowa, po której biegają wystające korzenie sosen, jak mozajkowe wysadzanie. A piękne są te kolumny uciekające w górę ku niebu, pnące się do światła i słońca, siwe u spodu, czerwieniejące się jakby

się paliły ku wierzchołku, piękne, jakby je ręka budowniczego rozmierzyła i różnobarwnemi wysłała marmury. W taki to las prastary, nietknięty siekierą, wjechała kolebka, a mimo skwaru dnia gorącego, miłe obwiały ją chłody... rozwite świeżo igły balsamiczne roztaczały wonie. Aliści po kwadransie jazdy rysować się zaczęły owe drzew słupy i z po za nich ukazała się polanka, wskróś taką samą puszczą okolona w dali. W pośrodku niej jakiś dziwny widać było budynek na wzgórzu. Droga wiła się po piaszczystej dolinie, potem bokiem pagórka, ku wielkiej bramie drewnianej, wśród wysokiego ostrokołu otaczającego niezbyt rozległą przestrzeń z zabudowaniem i dworem. Ztąd tylko wysokie i spiczaste dachy widać było i wznioślejszą kopułkę jakiejś stojącej w pośrodku kaplicy.

— Niechże tam Hryszka ściągnie dobrze licowe i w garść je weźmie — rzekł Żeliga odwracając się ku powozowi — bo konie zlęknąć się mogą niedźwiedzi.

— A gdzież są niedźwiedzie?—zapytał nieco strwożony Barciński.

— Głupstwo to moje... parę ich chowam, na warcie są przy bramie — rzekł Żeliga, — ale dla nowyh koni to postrach.

— Przecież na łańcuchach? — spytał p. Marcin.

— Dziś w budach—odparł wiozący— ale gdy ja tu sam jestem, to je wolno po-

dziedzińcu puszczam, bo Marucha i Meszka dobrze mnie znają. Wychowało się to ze szczeniąt we dworze.

P. Marcin rozciekawiony, przypatrywał się dworowi, którego budowa wcale do zwykłych szlacheckich podobną nie była.

Brama drewniana wysoka, pod gątem z dwiema po bokach furtami, ze wschodkami do nich, zamczysta, kuta, wyglądała niemal na forteczną. W szczycie jej pod osobnym daszkiem, tkwił krzyż i na nim rozpięty Chrystus jak to bywa po klasztorach.

Zaraz za nią ukazał się dziedziniec trochę większy niż się spodziewać było można, zapełniony wielą dziwacznemi budowlami drewnianemi. Cieśle co ją wznosili, niepospolici być musieli mistrze w swem rzemiośle, bo budynki stały, gdyby cacka, pięknie rzezane, ozdobne, jak u nas nie widać, a mało gdzie podobnych i na obczyźnie chyba w Szwecji.

Przedniejsze miejsce zajmował dosyć duży dwór z wysokim dachem o dwóch kondygnacjach, do którego przytykała kaplica otoczona gankami i połączona z domem galerją krytą.

Dwór nie bielony z posiwiałego drzewa, był pozoru poważnego a smutnego, przecież wspaniały dosyć. Jodły pozasadzane po bokach, wyrosłe ogromnie, stulały go z boku czarnemi gałęźmi.

Szarpnęły nieco konie poczuwszy nie-

dźwiedzie, które stały po obu stronach bramy w rodzaju bud strażniczych przekroczystych, z mocnych belek zbudowanych. W nich widać było Meszkę i Maruchę, które wdrapawszy się na stojące w pośrodku drzewa, ciekawie wyglądały na wjeżdżających. Były to dwa bure niedźwiedzie tłuste i wypieszczone, a mimo tuszy tak po drzewach łaziły jak koty.

W dziedzińcu wolno chodziły psy niemal takiego wzrostu jak niedźwiedzie; ale znać łagodne, bo ledwie na nieznanych ludzi szczeknąwszy, odeszły zaraz na boki i i pokładły się przypatrując się im z daleka.

Gdy wózek do ganku poszedł, a z niego wysiedli panowie, Żeliga lice rzucił koniom, które wolnym truchtem do stajni same pobiegły, i u jej wrót stanęły. Przywitał je tam brykając ogromny kozioł, z którym widać dawno przyjaźń je łączyła, bo się im zaraz począł po nogach plątać i aż do pysków podskakiwać.

— Miły Jezu! a cóż to tu u waszmości wszelakiego stworzenia — zakrzyknął pan Marcin postrzegłszy z sieni wychodzącego na spotkanie młodego lisa, hodowanego wilczka i psiarstwa różnego co niemiara. Wszystko to rzuciło się witać skomląc Żeligę, obrywało mu poły, i lizało po nogach, aż widząc też tu przybywającą kolebkę, musiał ich rozpędzić na zwykłe legowiska.

Na świśnięcie jedno i skinienie, jak cza-

rodziejską laską tknięte stworzenia te odeszły i pochowały się w swem miejscu, znać bardzo do posłuszeństwa nawykłe.

— Był czas, panie bracie — rzekł Żeliga — gdy prawie z ludźmi żyć przestałem, naówczas potrzebując jakiegoś żywego towarzystwa, zamknięty w tej pustelni hodowałem zwierzęta, uczyłem je, zabawiałem się niemi; i powiem wam, nieraz łatwiej mi było z nierozumnemi istotami dać sobie radę niż z ludźmi, braćmi mojemi. Wszystkom to u nich znajdował czem grzeszym my, krom jednej obłudy, dopiero zły człek, złe zwierzę kłamstwa nauczyć może.

Powóz pani Marcinowej potoczył się w tej chwili przede dwór z niemałem zdziwieniem służby, która za ten pustynny, nie wiedzieć ostróg czy klasztor, z jakąś obawą spoglądała. Sama nawet pani przestraszona była dziką fizjognomją ustroni tej, której straż zwierząt nadawała osobliwą powierzchowność.

— Weselej tam u was w Barcinie — odezwał się Żeliga, wysadzając z kolebki p. Marcinowę, — ale się nie lękajcie, zwierzęta oswojone, posłuszne i łagodne. żadne ani zaburczy na człowieka. Witam was w mojej pustelni, w której smutnych lat dużo przeżyłem w rozmyślaniu. Przebaczcie, że popas wasz tu nie będzie bardzo wygodny.

Dotąd żywy duch się nie pokazywał, bo nawet wrota otwarły się jakby same i,

odźwiernego widać nie było, ale nareszcie na odgłos dzwonka zawieszonego w ganku, który Żeliga poruszył, z bocznego budynku wyszedł naprzód staruszek, odziany biało, poważny i miłego oblicza, za nim dwa karły po węgiersku przystrojone i dwa chłopaki w szarej barwie, jak ten co z wózkiem Żeligi przyjechał. Znać to wszystko nawykłe było do wielkiego porządku i nie miało prawa ukazać się dopóki nie było zawezwanem. Staruszek wiodąc za sobą ten dwór, przystąpił milczący do ganku, a służba rozdzieliła się na swoje miejsca, karły stanęły w sieni przy ławie, na której widać było sieci, które wiązały, gdy nie było co innego do roboty; chłopcy przy drzwiach prowadzących do wnętrza domu.

— Otóż i mój caly dwór, rzekł Żeliga, proszę państwa do środka.

Tak to jakoś mimo jasnego dnia białego na bajkę wyglądało, tak było dziwaczne że Barcińscy i panna Agnieszka nawet, patrzali ust nie śmiejąc otworzyć: Justysia tylko cieszyła się znajdując wszystko dziwnie pięknem.

W sieni na powbijanych rogach wisiały już gotowe sieci na grubego zwierza, rogi, trąby, torby i najrozmaitsze przybory myśliwskie. Do koła otaczały ją ławy dębowe, z boku stały dwa wielkie stoły na krzyżowych nogach. Zegar, zwykły stróż przedsieni, w dębowej także szafie zamknięty, po-

ważnie sobie w kącie klekotał. Ale był też osobliwszy jak i cały dom. Na cyferblacie z kosą i klepsydrą, wyrażony był czas lecący, a kosa urządzona misternie cięła nieustannie. Sypały się z pod niej głowy ludzkie, połamane laski, buławy, berła, korony i potargane wieńce i poszarpane księgi. Na czarnej karcie po nad godzinowem kołem, białemi głoskami z kości ludzkich stało wypisane:

Momento mori.

Krótko zatrzymali się tu goście, Żeliga wprowadził ich zaraz do głównej izby, która była cała dębiną ciemną wykładana, z obrazami w ramach i lisztwach wielkiemi niepospolitego pęzla. Pierwszy rzut oka na nie dał zaraz rozpoznać historję Abla i Kaima. Wybór tego przedmiotu zadziwił wszystkich, a główny obraz zabójstwo wyrażający, przeraził okropnością, którą malarz umiał nader silnie wystawić. W rysach Kaima z podziwieniem postrzegli jakby odmłodzoną twarz Żeligi; udali wszakże iż jej nie poznają, pan Marcin tylko pobladł i zmięszał się.

Okna tego pięknego pokoju wychodziły na ganek z balasami zwieszony nad urwiskiem wzgórza, na którem stał dwór cały, i widać ztąd było naprzód rzeczkę z drugiej strony dworu zakrytą, dalej wielką przestrzeń piasków i sine lasy pasami porozkładane daleko na widnokręgu. Czarna jodła opierała się tak o balkon, że gałęzie jej pra-

wie w okna wchodziły. Obraz był dziwnie dziki a smutny, ale wspaniały rozmiarami; ani jednej budowy ani chaty, ani wioski, jak okiem zajrzeć tylko żółte piaski i sine lasy, a u góry nieba przestrzeń ogromna.

I całe wnętrze tego domu, jak ten krajobraz w oknach, oblane było wyrazem jakiejś niewysłowionej tęsknoty bez nadziei, smutku bez końca, bolu rozłożonego na wieki, wyglądało na klasztor pokutnika, na pustkę, której wrota mogą zapaść, i wieki przytrzymać człowieka w głuchej ciszy, w odosobnieniu od całego świata. Wszyscy goście uczuli zarówno niepokój jakiś i ogarniającą ich tęsknotę, nikt nie śmiał ust otworzyć, stali, patrzyli zdumieni, a gospodarz obok nich milczący także i pogrążony w sobie. Jakaś tajemnica straszna wycisnęła piętno na tem schronieniu do więzienia za karę podobnem.

— Spocznijcież państwo w tej smutnej pustelni mojej — rzekł wreszcie Zeliga — prawda ponurą jest, przerażającą, alem ja przywykł do niej przebywszy długie lata sam jeden w tej ciszy. Ona mnie nauczyła wiele, ona zrobiła człowiekiem. Wy z sobą przynosicie tu trochę wiosny, młodości, wesela, rozbudzacie ściany milczące, które prawie ludzkiego nie słyszały głosu, zostawiacie mi po sobie niezatarte wspomnienia, ale was ta lodownia ostudzi.

Klasnął w ręce Żeliga i we drzwiach pokazały się karły.

— Do stołu? — spytał.

— Gotowo — odpowiedziano.

— Dobrze — rzekł, podając rękę pani Marcinowej — proszę państwa; ale nie spodziewajcie się wytwornej kuchni ani wspaniałego przyjęcia, chciałem was tak ugościć, jak sam żyję, po wiejsku.

— Niepospolity dziwak z tego Żeligi — szepnął na ucho pannie Agnieszce Barciński, tegom się nie spodziewał, powiem asińdźce, to do niczego niepodobne.

Przeszli jeden pokój dosyć nagi, w którym tylko wisiał jeden wizerunek mężczyzny dość z twarzy do Żeligi podobnego, ale we zbroi i płaszczu z gronostajami; znaleźli się zaraz w izbie jadalnej od dziedzińca, w której stół zastawiony był skromnie, istotnie po wiejsku, ale dziwnie ze staroświecka. Obrusy były odwieczne, szyte bogato, ciężkie misy i talerze z fajansu wrzożystego dawnego, dzbany gliniane polewane, kształtów niezwyczajnych, szkło weneckie, wielce misternej roboty, nawet sztućce z rękojeściami rzeźbionemi z koralu i kości słoniowej, nosiły na sobie cechę niezwykłą i starą. Sreber było prawie nie widać, cynę, glinę, szkło tylko, ale może nad srebro kosztowni jsze. Karły z chłopcami posługiwali do stołu. Staruszek siwowłosy, kredencerz czy marszałek dworu, po cichu nimi dowodził, ale

przybrany bogato i przy szabli. Objad składał się z potraw prostych, zwyczajnych, lecz wielce starannie przyrządzonych.

— Jeszcze jak ten dom mi za schronienie służy drugi pono raz gości przyjmuję — rzekł gospodarz — nie mam więc nawet potrzebnego ku temu przyboru i staremi gratami obchodzić się muszę, pradziadowskich to jeszcze kredensów ostatki. Lepsze one widziały czasy.

— Długoż pan tu samotnie tak zamieszkiwałeś? — zapytał Barciński, który wszystko oglądał nader ciekawie.

— O długo, bardzo długo! odparł Żeliga smutnie — ale o tem lepiej nie mówmy, dziś już to przeszło, bom na świat powrócił. Panno Agnieszko dobrodziejko — przerwał gospodarz — proszę, racz rozgospodarować za mnie, jeśli wolno tej łaski żądać, jam zły w domu rządca, choćbym najgościnniejszym być pragnął. Bądź więc tak uczynna, jakąś być zwykła, a pomóż wiernemu słudze rozporządzając jak we własnym dworze.

Na te słowa pełne znaczenia, panna Agnieszka mocno się zarumieniła, ale mimo przywiązania do Żeligi, w tej chwili radaby się była wyrwać z gościny jego, tak jej ten posępny dwór i obyczaj jego przestraszał. Nie mogła sobie wytłumaczyć dla czego te karły, niedźwiedzie, psy, czarne komnaty, niezrozumiałe obrazy niepokoiły ją, jak zaklęty zamek w bajce jakiej dziecinnej. Sam Żeliga

otoczony tem wszystkiem, królujący w tem państwie tajemnie, inny i straszniejszy się jej wydawał.

Wszyscy byli posępni prócz Justysi, której wesołości nawet ta atmosfera ołowiana przydusić nie mogła, dziecinnie bawiła się, zaglądała, śmiała, ciekawiła, pytała o rzecz każdą. Na ścianach w jadalni pełno było wizerunków mężczyzn i kobiet, p. Marcin zauważał nad niektóremi mitry książęce, na kilku płaszcze gronostajowe, w rękach buławy i laski, dobrze znane herby u góry.

Starczyły one za nazwisko, ale byli to przodkowie gospodarza, po mieczu czy po kądzieli? Rysy twarzy Żeligi wymownie świadczyły o pokrewieństwie ze staremi portretami.

— No, ale pan teraz już tu mieszkać przestałeś? spytał Barciński.

— Teraz już tu nie mieszkam — odparł wzdychając Żeliga — przyjeżdżam czasem, a trzymam wszystko jak było, aby uchowaj Boże burzy mieć się gdzie schronić.

Zamilkli znowu, tylko Justysia z dawną poufałością zaczepiała starego przyjaciela, uśmiechając mu się.

Tak dosyć smętnie przeszedł objad cały, i po obfitym ale skromnym posiłku, wstawszy od stołu, znowu wrócili do dawnej salki z widokiem na piaski i bory; ale tu ich nie długo zatrzymał gospodarz, postrzegł-

szy z jaką obawą oczy się zwracały na ów obraz Kaima.

— Widzę — rzekł — że ta moja pustelnia trochę was zaciekawia — rzekł — więc już może i resztę jej obejrzeć zechcecie.

To mówiąc odemknął drzwi boczne i powiódł ich do obszernej izby od dołu do góry założonej księgami, tak że wcale w niej ścian nie widać było. Justysia rzuciła się z radością i okrzykiem postrzegłszy razem ksiąg tyle, ile ich jeszcze przez całe życie nie widziała.

Klasztorem i pustką wiało wszakże od sali ciemnej, ponurej, w pośród której niski stół pokryty suknem dźwigał ogromne foljanty z klamrami, nie mieszczące się na półkach, i szacowne rękopisma w futerałach. Z okna widać było tylko wnijście do kaplicy.

— Cóż to? koniec domu? spytał pan Marcin, nie widzę dalej drzwi, a zdawał mi się większy?

— Jest tu przecie ich aż dwoje — odparł gospodarz — tylko misternie schowane jedne wiodą do sypialni, drugie do pokoju w którym się czasem coś zrobiło.. ot zaraz...

Wszyscy patrzali po ścianach, gdy Żeliga dotknął sprężyny, szafa z księgami poruszyła się, odskoczyła i po za nią ujrzeli maleńką, prawdziwą celę pokutnika. Zajrzawszy w nią kobiety krzyknęły, a p. Agnieszka cofnęła się przerażona.

Opasywały ją cztery nagie białe ściany; na jednej z nich wisiał wielki krucyfiks, pod nim klęcznik z trupią głową, dalej stół, stołek, dzban do wody, a co najstraszniejszem się im wydało, to zamiast łóżka, stojąca na podstawach trumna czarna dębowa, której wieko obok oparte było o ścianę. W niej widać było posłanie z grubego sukna, małą poduszkę podobną i grubą wełnianą kołdrę.

Pan Marcin nachmurzył czoła, drzwi się lekko przymknęły, a panna Agnieszka dojrzała jeszcze na kołku pas żelazny, dyscyplinę i włosiennicę.

— O! o! coś ten człek grubo musiał nagrzeszyć — rzekł sobie w duchu Barcinski, kiedy się na taką skazał pokutę.

Żeliga z drugiej strony przycisnął guz na pułce i druga szafa otwarła się, a gospodarz wprowadził ich do obszernej izby, nieco jednak od poprzedzającej weselszej. Tu też i sprzęt był wykwintniejszy, bióro, księgi, przybory kancelaryjne staroświeckie, a po ścianach wisiały przepyszne zbroje, buławy, hełmy, misiurki, koszule żelazne, rzędy na konie, sadzone kością i macicą, sztućce, pistolety i szable bogato oprawne.

— Tu aż raźniej odetchnąć — zawołał p. Marcin—uśmiecha się człowiekowi sprawa rycerska, a masz też pan tak piękne tu rzeczy, jakich teraz nigdzie nie zobaczy.

I oko aż rozpaliło się szlachcicowi, a kobiety także jęły się rozglądać w ryn-

sztunku już podówczas ledwie kędy spotykanym. używanym więcej do parady jak do boju.

Naprzeciw bióra nad stołem, zatrzymał Justysię portret kobiety, której rysy piękne, łagodne a smutne przypominały bardzo wczoraj poznanego młodziana.

— A! niech no matusia patrzy, jak ta pani do kogoś podobna — zawołała Justysia — do kogoś, cośmy go wczoraj widziały, ale to tak... ale tak...

— Jest wizerunek siostry mojej, a matki tego, który państwa wczoraj na noclegu miał szczęście przyjmować — odezwał się Żeliga — żywy jej obraz ten mój siostrzan, i za to go jeszcze więcej kocham że mi Teresę tak bardzo przypomina, ale bo też podobieństwo uderzające.

Wszyscy to potwierdzili... p. Agnieszka na której portret ten zrazu nieco przykre jakieś zrobił wrażenie, lżej potem odetchnęła.

Mimo zajęcia bronią i ozdobnemi rzędy na konie, Barciński wszakże dostrzegł przez okno od dziedzińca, iż konie jego zaszły przed ganek, wedle wydanej Hryszce dyspozycji; przypomniał, że miał jeszcze przed nocą kawał drogi niemałej a po piaskach, i chwycił się napędzając swoich do wyjazdu.

— Czego się państwo tak spieszycie? zapytał ich smutnie Zeliga — prawda że to

tu u mnie nie wesoło, ale znalazła by się inna chata do przenocowania.

Wszystkim na myśl przyszła trumna z kołdrą i trupia głowa i nikt próbować noclegu w tej cmentarnej pustelni nie miał wielkiej ochoty.

Żeliga na zbyt nie nastawał.

— Przenocowalibyście — dodał — nie tu, ale w innym dworku, w chacie mojej ogrodowej, przeznaczonej dla gości... bo tu ja sam wiem że klasztor, a wyście ludzie ze świata...

Barciński wahał się, a może trochę mu się chciało pozostać, gdy Żeliga zobaczywszy ogromnego pająka, który się ku stołowi spuszczał, niespokojnie kręcąc na nici, potrząsł głową znacząco. Pająk był tak tuczny ogromny, ruchomy, i tak sobie śmiało jakoś gospodarował, a wydawał się tak straszny, że Justysia postrzegłszy go aż krzyknęła.

— Nie lękaj się pani droga — rzekł przystępując Żeliga — to także jest mieszkaniec tutejszy a mój dawny wychowaniec, stary pająk, który tu żyje od lat nie wiem wielu, przychodzi on oznajmić że państwo choćbyście chcieli jechać, przenocować musicie.

— Jakto? czemu?—spytał p. Marcin— a cóż to ma do pająka?

— Zapewne... — odparł Żeliga — ale to nieochybna, że gdy on się we dnie kręci

niespokojny i wyłazi ze swego schronienia, tylko co nie widzi burzy...

Jakby na potwierdzenie tego domysłu, daleki huk grzmotu rozległ się po nad lasy.

— No! konie do stajni! — odezwał się nie pytając nawet już Barcińskiego Żeliga — burza w tych lasach to nie żart... nie jest bezpiecznie pod nią puszczać się w drogę i ja was już wstrzymać muszę... Zanosi się może i na całą noc. . chodźmy zobaczyć.

Kobiety pierwsze pospieszyły do pokoju z balkonem, z którego najlepiej widać było okolicę; chmura ławą szeroką zaległa widnokrąg, sina płowa, straszna, wrzało w niej i huczało. Wiatr, który się zrywać poczynał, szumiał już kręcąc wierzchołkami jodeł.

— Ponieważ nocować musicie, bo to już wątpliwości nie ulega — rzekł Żeliga — a tu siedzieć nie byłoby wam przyjemnie, idźmyż natychmiast do domku na zwierzyńcu bo za pół godziny już się nawet tam dostać będzie trudno.

Klasnął znowu w ręce i karły się zjawiły, które na skinienie pana zabrały rzeczy podróżnych i poszły przodem jakby zgadując dokąd iść było potrzeba.

Po za domem furta zamczysta wiodła do oddzielonej części lasu, przerobionej na rodzaj ogrodu a raczej zwierzyńca opasanego zewsząd wysokimi płotami.

Kilka spłoszonych danielów i sarn przebiegły im u wejścia drogę, ale jeden rogacz stary, który był zrazu pierzchnął zaraz się opamiętał, zwrócił i przyszedł Żelidze do ręki.

— Ruszaj sobie stary — rzekł głaszcząc go Żeliga—nie mam nic, nie mam nic.

Kozioł postał jeszcze, popatrzał, pociągnął powietrza i jakby zrozumiawszy wreszcie, poskoczył za swemi w gęstwinę.

Ścieżka usypana piaskiem kręcąc się pomiędzy drzewy prowadziła do stojącego w pośrodku starych dębów prawdziwie wiejskiego domku. Pnie gładkie i wyniosłe, kilkaset letnich owych starców, trafem były tak ustawione, że przypierając do czterech węgłów domu, zdawały się go podtrzymywać. Dach kryty był trzciną, ściany z bierwion korą odzianych na mech kładzionych wygladały dziko ale wdzięcznie. Daleko tu, było jakoś weselej niż w wielkim dworze a gdy weszli zdziwili się wszyscy wytworności mieszkaniu, którego powierzchownośo wcale nie była obiecującą. Zewnątrz był to mało co więcej niż porządna chata, w środku mało co mniej niż pałac. Posadzki marmurowe, kominy rzeźbione, zwierciadła weneckie wielkie, ściany makatami przyodziane, stoły mozajkowe, porcelanowe naczynia; słowem pańska wspaniałość i smak nader wytworny.

— U pana zajrzeć cuda tylko i dziwy!

— zawołał Barciński rozweselony — chowasz waszmość klejnoty i djamenty w pudełku z mchu i kory... a toć to choćby króla przyjmować...

Uśmiechnął się na to Żeliga.

— Zgadliście — rzekł — był tu jeden... ale o tem potem..,

Machnął ręką. —Nie ma co o tem mówić wiele.

Zaledwie mieli się czas rozpatrzeć, gdy karły kawę przyniosły już widać przygotowaną, na tacy srebrnej jak stół wielkiej, ale tuż i burza poczęła drzewami miotać, błyskawica jedna po drugiej oślepiały, huk grzmotów coraz bliższy przestraszył kobiety. Pozamykano okna, nie było w istocie ani sposobu myśleć o podróży, ulewa okrutna puściła się jak z cebra.

P. Marcinowa z Justysią i p. Agnieszką poczęły się modlić, a Marcin z Żeligą wyszli do bocznego pokoju.

Tu siedli na ławie kobiercami wysłanej.

— Rozumiem — odezwał się gospodarz po chwili milczenia — że cię już kochany stolniku niecierpliwić musi tajemniczość moja, to co mię otacza, co widzisz, wszystko to są zagadki, które się rozwiązania dopominają. Przyszła godzina, w której potrzeba żebyś się wszystkiego dowiedział, ale ja nie mam siły ci powiedzieć historji mojej, zbyt boleśnie odnowiłaby rany... Ot — rzekł —

księga z której ją sobie odczytasz, tu czy w Warszawie. Z tego, co się dowiesz możesz swoim opowiedzieć, co uznasz potrzebnem.

To mówiąc dobył Żeliga księgę z szafy i położył ją przed Barcińskim.

— Nie lękajcie się — rzekł — ogromu, nie całą ja ją zapisałem. Był w rodzinie naszej jak w wielu innych zwyczaj notowania wypadków życia i dziejów swojego czasu. Ci co tworzyli historję pisali ją, ci co żyli spokojnie spokój swój opisywali. Ojciec i dziad mój notowali tu sprawy i dzieła urzędzowe życia poświęcone krajowi; jam te karty zamknął osobistą a boleśną przygodą moją, która popchnęła całego mnie.,.

Zamilkł smutnie i książkę posunął.

— Dowiecie się — dodał — całych dziejów moich...

To rzekłszy ścisnął rękę Barcińskiego i mimo bijących piorunów wyszedł powoli z domku dążąc do swej pustelni. P. Marcin widział go kroczącego po ulewie, zwolna, wśród błyskawic, szedł tak aż do furty pogrążony w zadumie i znikł mu z oczów nareszcie.

Barciński chciwie księgę wziął w rękę i czytał.

Rękopism zostawiony rozpoczynał się notami z szesnastego wieku, w rodzaju tych, o których Paprocki pisze, że się w domu Tęczyńskich znajdować miały; zapisywali

różni z kolei życia swego główne wypadki, daty małżeństw, urodzin i śmierci. Szczegóły biograficzne przeplatały akta urzędowe, tak jak życie ówczesne na pół było domowem, pół publiczną służbą, często więcej nią niż spoczynek u rodzinnej strzechy. Zmieniło się nietylko pismo, ale notat charakter, ku końcowi i suchsze były i dłuższe, w epoce czynu wielkie fakta zapisywały się w dwóch słowach, później jedno nic rozlewało się na mnogich stronicach. Na końcu, rozpoczynało się opowiadanie Żeligi, pisane świeżo, prędko jakby umyślnie dla wypowiedzenia przed ludźmi tylko.

„Roku 1760 die Semptembris ultima, ojciec mój... wojewoda... w roku życia swego ośmdziesiątym i trzecim, zeszedł z tego świata do wiekuistej przenosząc się chwały, w majętności swej P..anach na Rusi. Ostatki życia jego ciężką nawidzone były niemocą, gdyż przez lat dwa z łoża już się nie podnosił, straciwszy w nogach władzę. Starszy mój brat Stanisław, z pierwszego jegomości p. wojewody małżeństwa zrodzony, z polecenia ojcowskiego i też z konieczności wszystkiemi sprawami się zajmował. Było nas troje z rodzeństwa, pomieniony Stanisław z pierwszego ślubu i ja z siostrą Teresą z drugiego jegomości małżeństwa. Niech Bóg uchowa bym sercu ojcowskiemu, które z razu nie wiele dla mnie i siostry okazywało czułości, wymówki miał czynić; wiele się

do tego okoliczności przyczyniło, winna też była niemoc i zgryźliwość z cierpienia ustawicznego pochodząca.

Małośmy też jegomość rodzica naszego znali oboje, i on nas też,ząwczasu bowiem, zaraz prawie po śmierci matki naszej, mnie odesłano do konwiktu OO. Jezuitów, zkąd nawet czasu wakacji do domu udać się nie miałem pozwolenia; siostrę zaś moją w klasztorze lwowskim panien Brygitek lokowano, jakoby próbując na niej wokacji, która się wszakże nie objawiała, bo do stanu duchownego nie czuła się powołaną. Obcy więc prawie byliśmy dla domu rodzicielskiego. To oddalenie nasze i małą przez długie lata czułość ojcowską, której pozbawieni prawie byliśmy dowodów, przypisać należało obcym nam nieprzyjaznym wpływom, rodziny pierwszej żony jegomości p. wojewody.

Matka nasza wcześnie zgasła, nie wniosła w dom starożytny do którego *insperate* wchodziła ani bogactw, ani zaszczytów, była bowiem ubogą szlachcianką a prawie sługą w tym domu, którego na krótką chwilę miała zostać panią; ale wielkiem poszanowaniem dla rodzica i miłością ku niemu nagrodziła pewnie na czem jej zbywało ze strony majętności i imienia.

Wielka niechęć całej zresztą rodziny p. wojewody przeciwko matce naszej, którą niegodną być tak wielkiego szczęścia sądzono, dziwując się trafowi i kaprysowi (jak

zwano) które ją wyniosły na dostojną senatora małżonkę, przyczyną była, że do niej i do dzieci jej się zniechęcił. Zaraz bowiem po weselu, na które nikt z zaproszonych familjantów przybyć nie chciał, rodzina pierwszej nieboszczki żony p. wojewody odebrała nawet syna z pierwszego małżestwa zrodzonego p. Stanisława, nie dopuszczając, aby się w domu przy matce naszej chował, a na swą go biorąc opiekę, gdyby sierotę. Goryczą to napoiło śp. wojewodę, gdyż do dziecięcia tego mocno był przywiązanym. Dopiero po śmierci matki mej, gdyśmy oboje ja i Teresa do klasztorów rozesłani zostali, z wyraźnem zastrzeżeniem żeśmy do życia zakonnego destynowani byli oboje, zwrócono p. Stanisława ojcowskiej opiece. Ta krzywda wyrządzona przez familję pierwszej żony panu wojewodzie, zamiast go ku niej zniechęcić, dla nas go tylko uczyniła obojętnym i prawie zagniewanym.

Pomnożyły okoliczności tę obojętność i gniew raczej ojcowski ku mnie i ku Teresie tak, żeśmy już rodzica prawie nie znali, bo wiele z naszego powodu, jakoteż dla powtórnego małżeństwa swojego cierpiał. Nic przecie nieboszczce matce naszej zarzucić nie mogła rodzina do której weszła, krom jej ubóstwa i szlacheckiego imienia, a ciężko opłaciła ona to szczęście swe, przepłakawszy resztę żywota, gdy ujrzała się odepchniętą a rodzica też z jej powodu umartwionego,

cierpiącego wielce i los dzieci swych, przewidując bezustanku, a nim sobie życie skracając, we łzach bezprzestannych.

Ponieważ na losy moje przyszłe, jakoteż ukochanej siostry mej Teresy, to małżeństwo rodzica wielce wpłynęło, a było można powiedzieć wyrokiem na nas, niżeliśmy na świat przyszli, muszę więc nieco obszerniej powiedzieć tu o niem. W pierwszem małżeństwie swem z księżniczką S. p. wojewoda nie bardzo był szczęśliwym, chociaż sobie do wyrzucenia nic nie miał. Już nieco podżyły umyślił się żenić, gdy siwieć poczynał, raczej ku temu familja go skłoniła sama mu stręcząc księżniczkę z rodu, bogactw i wieku za stosowną ją dlań żonę uważając. Nie była nigdy p. wojewodzina piękną, a wiek nieco poważniejszy, którego doszła w panieństwie z powodu, że dwóch narzeczonych z kolei umarło, uczynił ją nieco zgryźliwą. Może też i inny jaki afekt, którego się wyprzeć musiała, jak to powiadano, życie jej zatruł; dosyć, że wojewoda w tem pierwszem ożenieniu szczęścia, jak mówiono nie zaznał. Nie trwało ono nad lat kilka, a zostawiło mu po sobie jednego tylko syna, mego brata starszego p. Stanisława, do którego ojciec się bardzo przywiązał w braku innego afektu. Nieboszczka matka moja wychowała się we fraucymrze księżnej L. z księżniczki na dwór wojewody przybyła, a po śmierci jej pozostała dla zarządu domu. Charakteru łagodnego

i wielkiej piękności, słodziła jak mogła dobrocią swą i utrapienia lat pożycia małżeńskiego i później wdowieństwa ojca naszego, który się do niej powoli wielce przywiązał. Nigdy śp. matka nasza znając kondycję swą szłachecką i nierówność stanu, jakoteż ubóstwo i sieroctwo, myślą nawet nie sięgnęła po wysoki zaszczyt zostania małżonką wojewody, a gdy, jak mi to poufały przyjaciel jej opowiadał, bom ja jej prawie całe nie znał i nie pamiętał, gdy p. wojewoda pierwszy raz z życzeniem zaślubienia jej się przed nią otworzył, przestraszona, nie mało łez z tego powodu wylała i więcej uchronić się tej doli niżeli ją sobie pozyskać pragnęła. Owszem bardzo długo opierała się woli p. wojewody, reflektując go i prosząc, aby zamiaru swego zaniechać raczył. Na nic to wszakże się nie przydało, p. wojewoda na samotność bolejąc, szczęścia nie zakosztowawszy, postanowił niezmiennie, familji się nie radząc tylko serca własnego, uczynić po swej myśli. Matka moja błagała go i prosiła, dom nawet chcąc skrycie opuścić, aby przewidywanych nieszczęść uniknąć, nie żeby serca do p. wojewody nie miała (bo go kochała szczerze, i szanowała wielce,) ale że jasno widziała przyszłość i mogła wcześnie przeczuć, jakie to małżeństwo następstwo za sobą pociągnąć musi.

Wojewoda o zamierzonej ucieczce przez swych dworskich się dowiedziawszy, nietylko

siłą prawie stanął jej na zawadzie, straże porozstawiawszy pilne, ale zniecierpliwiony, nie pytając nikogo przyspieszył swój ślub, zaledwie na dni kilka przed nim listami dawszy znać o swem postanowieniu rodzinie.

Chociaż listy te dosyć późno wyprawione były, natychmiast wszakże dla przeszkodzenia małżeństwu zbiegli się bracia stryjeczni, siostry, siostry, stryjowie, synowcowie, siostrzeńcy i dalsza familja, perswadując, prosząc, błagając; a gdyby koniecznie żenić się zamierzał, stręcząc młode i urodziwe panny pięknych imion i kolligacyj, aby tylko osoby nieznanego imienia i krwi niepańskiej do domu nie wprowadzał, i sługi nie podnosił do tego zaszczytu, aby miejsce pośród patrycjatu zająć miała. Nic i to wszakże nie pomogło, wystawiony na prośby natarczywe, na błagania i groźby, wytrwał wojewoda oświadczając uroczyście, że nie odstąpi od zamiaru, co tak familję rozgniewało, iż nazajutrz wigilją ślubu, po ostatecznej rozmowie, wszyscy się rozjechali, a brat nieboszczki wojewodziny, dziecię jej z sobą niemal gwałtem zabrał, nie chcąc go przy macosze zostawiać, choć ta najstaranniej wychowaniem się jego zajmowała. Otóż jak w smutnych okolicznościach przyszło do skutku to nieszczęśliwe małżeństwo.

Na ślubie, w kaplicy zamkowej, nikogo nie było oprócz domowników, sług i dworzan, którzy wyniesienie matki mej złem wi-

dząc okiem, chociaż dla nich wszystkich najlepszą była, niechętnymi się jej stali. Od tego dnia poczęło się męczeństwo kobiety, która z anielską cierpliwością znosić je umiała Wojewoda wskutek rozdrażnienia, a potroszę wieku i słabości, odosobniony od familji swojej i pierwszej żony, pozbawiony dziecka, do którego był przywiązany, prędko wpadł w przykre usposobienie i nie wychodząc już prawie z nieustannych zatargów, waśni, .sporów ze swemi, stracił smak i ochotę do życia. Matka też nasza szczęścia nie miała, pozbawioną będąc przyjaciół, otoczona niechętnymi, cierpiąc wymówki od ojca częste, jak wielkie dla niej poniósł ofiary. We łzach przyszedłem ja na świat, a w rok po mnie siostra moja. Jakkolwiek przewidując losy, które nas czekały na świecie, matka nasza żyć pragnęła, aby czuwać nad nami i bronić swych dzieci, wkrótce sił jej nie stało, i wczesnym zgonem osierociła wojewodę, mnie z siostrą niemowlętami prawie zostawiając na łasce Bożej.

Nic z tych wypadków zapamiętać nie mogę, ale z opowiadania jedynego przyjaciela, staruszka, który matkę naszą jak własną córkę kochał, wszystkich jej nieszczęść będąc świadkiem, wiem, iż czując się bliską zgonu, prosiła wojewodę do siebie, i z łoża powstawszy, z wysileniem wielkiem do nóg mu upadła dziękując za wyniesienie swe, a razem błagając go za dziećmi swemi,

aby im krzywdy czynić nie dał, prawdziwie ojcowskiem sercem je miłując. Ostatni to był wysiłek nieszczęśliwej kobiety, która go zgonem tejże nocy przypłaciła.

Wojewoda słysząc boleściwy jej głos, widząc zbladłą a zalaną łzami twarz, sam też od łez powstrzymać się nie mógł, gdy mu raz ostatni otwierając serce przedłożyła wszystko co wycierpiała, co przebyła z pokorą, i jako wcale nie pragnęła zaszczytu i korony, która dla niej była cierniową. Pogrzeb nieboszczki matki naszej, pod wrażeniem żalu dotkliwego, odbył się ze wspaniałością wielką, a nikt z familji wojewody przybyć nie chciał, a staraniem pokątnem nieprzyjaciół matki, trumny nawet do grobów familijnyh nie wstawiono, ale ją na uboczu w pospoliych grobach umieścić kazano, aby i po śmierci prochy jej nie zmięszały się z kośćmi pańskiemi.

Wojewoda dosyć z przyczyny tego powtórnego małżeństwa ucierpiawszy, znękany, coraz starszy, po śmierci matki, ażeby się z rodziną pojednać i zgodę przywrócić, nas ofiarował się poświęcić. Obiecywano mu powrócić ulubionego syna Stanisława, z warunkiem, aby mnie i siostrę Teresę do stanu duchownego przeznaczył, do klasztoru zawczasu oddając. Zgodził się na to natarczywością rodziny złamany wojewoda, i dla dziecinnego naszego wieku, naprzód nas do oddalonej majętności wysłał, kędy uboga

krewna zajmowała się wychowaniem naszem, a gdyśmy nieco podrośli, natychmiast, dotrzymujac słowa, mnie do OO. Jezuitów oddał, siostrę do Lwowa do pp. zakonnic wyprawił.

Wiek, choroba, znękanie nieboszczyka rodzica, naleganie familji, dokonały tego, że się prawie nas zaparł, i żeśmy jego serca dla nas mało mieli dowodów. Ukradkiem niekiedy przywożono nas czasu świąt po błogosławieństwo ojcowskie, a na uboczu je odebrawszy niewiele pieszczot rodzicielskich kosztując, potajemnie wkrótce odjeżdżaliśmy z siostrą do naszych zakonników i zakonnic. Ze nas wcześnie oboje do stanu duchownego ordynowano, wychowanie też stosowne za młodu i surowe odbieraliśmy, prawie dziecinnej swobody i wesela nie zażywszy. Modlitwy, posty i ostre reguły, zawczasu przysposabiały do żywota klasztornego. Wiedzieliśmy oboje co nas czeka, a że niedola wspólna i sieroctwo serca zbliża, kochaliśmy się z siostrą Teresą, najbardziej nad tem bolejąc, że się nam z sobą na wieki rozstać przyjdzie. Projektowaliśmy też ja i ona, że kapłanem zostawszy w klasztorze, którego ona będzie ksienią, miejsca spowiednika dopraszać się i starać mam. Ale Bóg inaczej rozporządził.

Oboje jakoś pomimo wychowania, mimo pobożności, nie czuliśmy w sobie żadnego powołania do stanu duchownego; ale wie-

dząc o niezmiennem postanowieniu rodzica z rezygnacją się do niego przygotowywaliśmy.

Ciężko tylko było rozstać się nam z sobą, gdy przyszedł czas udania się do klasztoru; opłakaliśmy tę godzinę gorzkiemi łzami, ale młodość i jej siły boleść tę pokonały.

Wstąpiłem do szkół OO. Jezuitów a razem prawie do seminarjum ich i nowicjatu, naznaczoną mi oblekając sukienkę. Ciężyła ona a raczej przestraszała, bo czułem się stworzonym do czynnego życia. Przełożeni też moi wcale ze mnie nie byli zadowoleni, mając do czynienia z naturą twardą, nieugiętą, na wszelki gwałt jej zadany oburzającą się. Z początku usiłowano ją pokonać, później przedstawiono ostrożnie ojcu mojemu, że do ciszy klasztornej nie zdawałem się stworzonym. Ale on obstał przy swojem raz dawszy słowo, i obiecywał wiele ojcom, byleby bez użycia środków ostrych skłonić mnie do stanu duchownego potrafili. Nie opierałem ja się wcale otwarcie anim stawał krnąbrnie, lecz im mocniej i zapobiegliwiej chodzono koło mnie, tem ten nacisk silniejszą we mnie budził odrazę do klasztoru, do sukni; zamiast pokory rosła we mnie duma ludzka nieukrócona, chęć swobody nieprzełamana.

Toż prawie samo działo się z siostrą moją, w innym klasztorze zamkniętą, która pobożna była nadzwyczaj, ale nie mogła się

oswoić z myślą wyłączenia ze świata żyjących, nie własną wolą, a z góry narzuconym rozkazem.

Tłumaczono nam to obojgu tem, że rodzic przewidując, jakie w życiu trudności ciągnąć miało za sobą urodzenie i imię nasze a niechęć rodziny, dla szczęścia naszego pragnął od świata usunąć, aleśmy tego zrozumieć nie mogli.

Tymczasem wojewoda mając przy sobie brata starszego p. Stanisława, widząc go ciągle, obcując z nim, sam zaś siły i zdrowie straciwszy, szczególniej się do niego przywiązał, a nieustannie mając go z sobą, nałogowo się do niego przyzwyczaił. Stanisław owładnął nim całkowicie, a serca dla nas braterskiego mieć nie mogąc, bo nas za natrętnych jakichś przybłędów niemal uważać nawykł, jak cała rodzina, mocniej jeszcze utwierdzał ojca w postanowieniu rozporządzenia tak losem naszym, abyśmy ani w domu ani w sercu ojcowskiem żadnego nie mieli udziału. Nie jego w tem była wina może, gdyż mu od dzieciństwa wszystko tak przedstawiono, iż inaczej myśleć nie mógł. Zapomnieni, zaparci niemal, siostra i ja żyliśmy sierotami wśród obcych, z bolesnem uczuciem naszego odrzucenia: nieostrożne słowa zimnych ludzi, dawały mu coraz mocniej czuć krzywdę, jaka się nam działa. Ojciec starzał i słabł, coraz gorzej się mając... Po jego śmierci wiedzieliśmy, że całe losy nasze

i przyszłość zależeć miały od brata, który dla nas był dotąd obcym, braterstwa nie dając najmniejszego dowodu, niechęci bardzo wiele.

Stało się wszakże z woli Bożej inaczej niż było ułożone. Stanisław rosnąc w lata, słabym ojcem zawładnąwszy, znudzony ciągłym przymuszonym przy nim pobytem, stał się ostrym, niecierpliwym, dla rodzica nawet ciężkim. Nie żeby winnego mu uszanowania chybiał, ale panować w domu nawykłszy, mniej sobie coraz wolę ojcowską cenił, postępował często, jakby już nikogo nad sobą nie uznawał.

Chorobą dolegliwą złożony ojciec zatęsknił za kimś, coby mu jak dziecię służył, a nie jak starszy rozkazywał. Na pół roku przed śmiercią trafiło się, że Ojciec Ignacy przybył na święta do rezydencji. Znał on mnie dobrze, lubił dosyć, i zawsze śmiejąc się przepowiadał, że ze mnie dobrego mnicha nie zrobią. Począł go ojciec rozpytywać o mnie, bo mu chwilami teraz przychodziła troskliwość jakaś o nas, żal obojgu.

O. Ignacy nie wahał się wyznać przed nim całą prawdę, wyraził ojcu zdziwienie swe, że gwałt chce zadać sumieniowi dziecka, zmuszając je do obrania zawodu, którego obowiązków spełnić dobrze nie potrafi; dodał, że grzechem jest popychać do nieuchronnego grzechu. Sądzę że tym rozmowom z O. Ignacym winien byłem, iż

mi w końcu zjechać na czas jakiś do chorego rodzica dozwolono. Byłem tak z tego szczęśliwym, iż nie pomnę w całem życiu chwili błogosławieńszej, nad te niespodziewane powołanie i przybycie do domu.

Czułem jakbym przestawał być sierotą; do zupełnego uszczęśliwienia tylko siostry mi brak było.

Nie obrachowywałem wcale, że ten przyjazd nie w smak przyjdzie bratu starszemu, który przywykłszy być tu sam i rządzić, nie lubiąc z nikim dzielić się afektem ojcowskim, krzywem okiem patrzał na tego, którego przecież za brata uznawać musiał.

Pamiętam tę chwilę uroczystą, gdym przez O. Ignacego do łoża ojca był przyprowadzony, drżałem jak liść równie z obawy jak z radości. Leżał starzec od dawna już wstawać nie mogący, wychudły, blady, ale poważny jak patrjarcha z siwą po pas brodą, z wybielałemi chorobą rękami; podniósł się gdym się przybliżał i ukląkłem, patrzał na mnie długo milczący, wyciągnął drżące dłonie, położył mi je na głowie i rozpłakawszy się całować począł. Słowa nie rzekł, tak mu uczucie tłumiło oddech i wikłało myśli. Posadził mnie potem naprzeciw okna, i patrzał się długo; trzymał nie dając odejść od siebie, a gdym się na chwilę oddalił, wnet posyłał po mnie abym powracał.

Ta czułość ojcowska jeszcze bardziej rozdrażniła Stanisława, który od dnia pierw-

szego milczeniem mnie zbywał pogardliwem, lub szydersko o klasztor dopytywał. Nie wiele też z nim przestawałem, bom prawie nieustannie był przy łożu ojcowskiem na posługach. Stary, który dotąd miał najemników tylko, poczuł około siebie różnicę dziecinnego starania. Widocznie przywiązywać się do mnie zaczynał.

A i to uczucie taić musiał przed bratem Stanisławem, przy nim był zimniejszy, zdając się lękać więcej o mnie niż o siebie. Gdy chciał co dla mnie uczynić, świadczył mi ukradkiem; całował gdyśmy byli sami, przy p. Stanisławie spojrzeć się niemal obawiał.

A że często już wprzódy rozpytywał mnie i wspominał o Tereni, uprosiłem O. Ignacego, ktory był spowiednikiem wojewody, aby też i dla niej przyjazd do domu na czas jakiś wyjednał. Stało się to, ale nie bez wielkich trudności, bo p. Stanisław już i mnie samemu często powrót do klasztoru przypominał, a przyjazdowi siostry widocznie był przeciwnym, czując, żeśmy mu trochę serca ojcowskiego odebrać mieli. Przecież nam ono należało.

Stało się, że mimo przekąsów i dąsów p. Stanisława, który nawet ojcu był podobno swoim wyjazdem zagroził, Terenię z klasztoru powołano. Z nią pełniejsze jeszcze rozpoczęło się szczęście, gdy ta prawdziwie anielska istota, przyszła ostatnie chwile ojca

swym uśmiechem opromienić. Była ona tak piękną obliczem, a życie zakonne tak ją udoskonaliło i podniosło, iż nie podobna było patrzeć na nią bez głębokiego poszanowania. Czuł każdy spojrzawszy, posłyszawszy głos, że miał niemal świętą przed sobą. Ojciec sam zdumiał się jej, a pokochał ją wkrótce tak, że bez niej żyć nie mógł. Musiała całe dnie siedzieć przy nim, czytać z nim, modlić się, opowiadać, stary odżywać się zdawał, gdy ją miał przy sobie.

Już i ja trochębym był mógł zazdrościć gdybym mniej ją kochał, cóż dopiero p. Stanisław, któremu krzywda się działa widoczna. Codzień więc szło nam gorzej, a gdyśmy bodaj do stołu siedli bez ojca i zostali sami, brat starszy obchodził się tak z nami, że i rumieniec i łzy z oczów, a z serca żółć tryskać musiała.

Skutkiem wzruszenia czy słabości, mimo że z początku wojewoda zdawał się zdrowszvm i trochę był sił odzyskał, potem nagle osłabł bardzo i zdrowie jego bardzo szwankować poczęło.

Nie wiedzieliśmy nic, aniśmy mogli myśleć o tem, jak naszą przyszłością wola rodzicielska rozporządzi, aniśmy dorozumiewali się wyroku, jaki na nas już był dawno zapadł w testamencie ojca, zaraz po zgodzie z rodziną zawartej, uczynionym. Wola ta ostatnia, mocą której my z siostrą prawie wydziedziczeni byliśmy, gdybyśmy stanu du-

chownego obrać nie chcieli, złożoną była u wuja Stanisława, bo ją familja książąt L. na starcu wymogła. Poznawszy nas bliżej i pokochawszy, może idąc za poradą księdza Ignacego, poczuł wojewoda całą wielkość krzywdy nam uczynionej, ulitował się nad stanem naszym i w wielkiej tajemnicy nowy testament przygotować kazał. Spodziewając się zaś, iż pierwszy, którego dopominać się zwrotu obawiał, posłużyć może familji matki Stanisława, a drugi unieważnionym by być mógł, postarał się, aby ostatniemu wszelkie formy prawne nadane zostały. Nie wiedziałem naówczas o niczem. Korzystając z polowania, na które p. Stanisław na dzika wyjechał, sprowadzono prawników, rejenta, i potajemnie akt ten dla nas tak ważny spisano.

Ojciec nasz po wykonaniu tego spokojniejszym, a nawet nieco zdrowszym się być poczuł. Jednakże rodzina książąt L. coś o robocie tej zasłyszawszy przez zwolenników swoich na dworze, niebezpieczeństwo jakieś przeczuwając, baczną była i pilną nalegając coraz bardziej, aby nas do klasztoru wysłano. Ojciec się na to nie zgodził, i wręcz odmówił żądaniu.

Zostaliśmy więc w domu, i w nieszczęściu naszem tę przynajmniej mieliśmy pociechę, żeśmy na wieczny odchodzącego spoczynek rodzica pożegnać mogli.

Śmierć przyszła spodziewana a przecież

naglej niż przewidywano. Czasu pogrzebu zostawiono nas w spokoju, nie śmiejąc mieć za złe, żeśmy przy zwłokach rodzicielskich miejsce dzieci zajmowali. Wszakże z zimnego i prawie pogardliwego obejścia się brata Stanisława i familji matki jego, a nawet stryjów i dalszych krewnych, miarkować mogliśmy już, co nas w przyszłości czekało. Nie śmiano nas wypędzić, ale wśród tłumu wszędzie nas dwoje tylko było, rozstępowano się przed nami, wydzielając jak zapowietrzonych.

Miałem naówczas lat około dwudziestu, ale mnie surowe wychowanie zawczasu dojrzałym uczyniło a przywiązanie do Teresy wkładało obowiązki opieki, którą spełnić poprzysiągłem.

Zaraz po pogrzebie p. wojewody, pospieszono z uroczystem otwarciem testamentu jego, który się w rękach książąt L. znajdował. Cała rodzina przybyła na ten obrzęd, przytomna była czytaniu, my także staliśmy w kątku. Nikt najmniejszej opozycji woli nieboszczyka stawić nie myślał, my płakaliśmy tylko ; opiekę nad nami bezwarunkową testament zdawał na brata Stanisława, zlewając nań prawa ojcowskie.

Gdy się to czytanie pierwsze dokonało, po którem głuche zgromadzeniu panowało milczenie, p. starosta Bielski, stryjeczny p. wojewody, którego był do siebie wezwał na parę tygodni przed śmiercią, powstał i

poprosiwszy o głos, z zanadrza dobył opieczętowaną kartę.

Wszyscy z podziwieniem spoglądali po sobie.

— Upraszam — rzekł — p. rejenta aby był łaskaw powtórzyć datę testamentu p. wojewody.

Rejent głośno i wyraźnie ją odczytał, twarzy bladły, starosta po chwili dodał zwolna:

— Wezwany zostałem przez śp. brata mego na tygodni kilka przed zgonem jego, celem sporządzenia innego testamentu, gdyż ten pierwszy po rozmyśle sumiennym nie zdał mu się właściwym. Inny spisany został. Jako opiekun naznaczony małoletnim, za wolą zmarłego przed grobową, prawnie spisaną i poświadczoną, upraszam o odczytanie złożonego na ręce moje w odpisie uwierzytelnionym testamentu, który poprzedzającego dyspozycję obala.

Wrażenie jakie to oświadczenie starosty uczyniło na zgromadzeniu, nie daje się opisać, cała famil]a książąt L. tem okrutniejszym wybuchnęła gniewem, im mniej się tego spodziewała. Starosta, który był człowiekiem chłodnego charakteru, ale energicznym, cale się tem nie poruszył.

— Gdzież testament? jaki? kiedy sporządzony? poczęto wołać ze wszech stron.

— Testament, który mam honor i obowiązek przedstawić, — rzekł starosta spo-

kojnie — sporządzony jest formalnie, w assystencji osoby duchownej, dyrektora sumienia p. wojewody, O. Ignacego, oblatowany w trybunale. Oryginał przedstawiam.

Niecierpliwie zaczęto się domagać czytania, słuchano go z oznakami oburzenia i gniewu, zupełnie bowiem obalał pierwsze rozporządzenie, opiekę nad nami powierzał staroście a nas z siostrą do praw wszelkich spadkowych zarówno z p. Stanisławem, bratem przyrodnim, przypuszczał.

Wstyd tylko jakiś od wybuchu powstrzymał rodzinę L.. która natychmiast do wyjazdu sposobić się zaczęła. Testament był tak prawnie obwarowany, iż po długich naradach czy by go zaatakować nie można, pokusić się nawet o obalenie jego nie śmiano. Poszliśmy z siostrą spłakawszy się złożyć Bogu dzięki za niespodziane szczęście, potem do p. starosty opiece się jego oddając.

Wybrał go ojciec nasz nieboszczyk nie bez myśli, jeden on bowiem z całej rodziny nie miał przesądów rodowych, które magnata od szlachcica dzieliły. Sam prawie ubogi, bez rodziny bliższej, poniewierany przez krewnych dla tego, że się ze szlachtą rad bracił, żył po większej części z uboższymi od siebie i państwa się był wszelkiego wyrzekł, a nawet z niego sobie żarcików pozwalał.

Stał się też ulubieńcem drobnej szlachty, którą jak chciał kierował, co mu nie małe

dawało wpływy. Dogadzało mu upokorzenie familji L i dumnego p. Stanisława, który się z nim dawniej dość pogardliwie obchodził, i gdy do rezydencji przyjeżdżał, zawsze mu albo przy stajni, albo w kuchni kwaterę wyznaczał.

Starosta był nieporywczy, zimny, ale twardy do zgryzienia dla nich.

— Masz waćpan powołanie do stanu duchownego? — zapytał mnie od razu, gdym wszedł ze siostrą.

— Raczej do szabli stryju dobrodzieju, odpowiedziałem.

— Nic nie mam przeciwko szabli, jak i przeciw brewiarzowi, byleby coś robić — rzekł — do czegoby dążyć a nie próżnować. No, a panna Teresa czy myśli zostać w klasztorze?

— Stanowczo nie — odparłem za nią.

— Radbym to z własnych jej ust posłyszeć, rzekł stryj.

Teresa powtórzyła za mną, że nimby obrała stan, w którym życie całe spędzić ma, pragnie wprzódy poznać lepiej świat i samą siebie.

— Gdzież sobie obieracie rezydencję?

— Zostaniemy tutaj.

— Z p. Stanisławem? zapytał.

— Nie wiemy czy on tu zostać myśli,

— A jeśli i on, co być może, mieszkać tu zechce?

— Będziemy mieszkali razem.

Stryj zamyślił się chmurno.

— Czy to będzie dobrze i dogodnie? zastanówcie się — rzekł powoli. — P. Stanisław jest spodziewam się młodzieńcem zacnym, aleście osobno rośli, nieznajomi sobie jesteście, on tu nawykł rozkazywać.

— Gdybyśmy nawet uniknąć tego pragnęli — rzekłem — nie możemy. Jesteśmy małoletni, ojciec działu nie uczynił, my go dziś zrobić nie mamy jeszcze prawa. Gdzież szukać schronienia, jeśli nie tu? Gdybyśmy raz opuścili dom nieboszczyka rodzica naszego, jużby dla nas prawo doń niejako straconem zostało.

Nic na to stryj nie odpowiedział, wiem tylko, że gdy o tem postanowieniu naszem oznajmiono p. Stanisławowi, rzekł:

— A! dobrze, niech zostaną, zobaczymy jak długo tu wycierpią.

Powtórzono mi te słowa, oburzyłem się, alem postanowił przyjąć wyzwanie i prosiłem tylko stryja, aby czas jakiś z nami pozostał.

Życie w istocie obiecywało się nieznośne, ale musieliśmy pozostać w miejscu, nie mogąc ze strachu ani pomyśleć o jakich bądź układach, gdyż ufając w swe stosunki, odraczał wszystko na przyszłość, a miał nadzieję że dokuczywszy nam, zbędzie nas jak najmniejszem. W pierwszej chwili testamentowi nic zarzucić nie śmiano, ale poradziwszy się stronników, wyszukano w nim i w naturze

posiadanych majątków nieboszczyka wojewody łatwe do wykwitowania nas jak najmniejszą cząstką preteksta. Wszystko to działo się po za nami. Starosta mimo przenikliwości swej, grożacych nam niebezpieczeństw nie dorozumiewał się wcale. Z p. Stanisławem zgoda i zbliżenie się było całkiem niemożliwe.

Nie godziło się go nazwać złym człowiekiem, ale go rodzina czyniła nam nieżyczliwym, niechętnym. Dumny, przywykł był nas uważać za jakichś obcych, co się mu narzucili w dom, imię i majętność ukradłszy podstępnie; wychowany wśród rodziny przywykłej do wysokiego ocenienia się, mniemał się najsumienniej sam jeden prawym następcą imienia i majętności, za obowiązek swój ocalenie obojga od napaści naszej uważając. Był szorstki, twardy i nieugięty, zawarty w sobie, zimny, szyderski i do raz postanowionego celu idący z uporem, choćby mu największe przeszkody zwalczać było potrzeba. Wzmagały one tylko jego zaciętość młodzieńczą. Duma rodowa, pewność siebie, czyniły go w obcowaniu nieznośnym, chociaż w istocie gdy namiętności cichły, zdolnym był i miłym nawet, rozsądnym i wykształconym, pełnym szlachetnych uczuć człowiekiem. Ale w nim na przemiany zło i dobro z kolei przemagało, a miał to sobie za zasadę, że wartość ludzi zależy od pozbycia się serca i tkliwości, zwalczenia tego, co zwał słabością.

Usposobienie do szyderstwa nabyte w obcowaniu z rodziną L. nie dawało mu najczęściej widzieć strony rzeczy i spraw ludzkich prawdziwej, dopatrywał prędzej i łatwiej ułomności i śmieszności niż dobrego się domyślał; stosunki rodzinne, położenie u dworu, związki, znajomości, dawały mu wielką w istocie przewagę i oręż przeciwko nam silny.

Nie będąc już obowiązanym powracać do zarzuconej sukienki nowicjatu, potrzebowałem zająć się czemś, i coś na przyszłość przedsiębrać, alem to od dnia do dnia odkładał, bo z domu oddalić się nie mogłem na długo, zmuszony czuwać i opiekować się siostrą.

Próby zawiązania znajomości i stosunków ze znaczniejszemi domami za pośrednictwem starosty, wcale się nam nie powiodły. Sam on nie najlepiej był widziany, my jeszcze gorsze znaleźliśmy dla siebie usposobienie, objechaliśmy dwory, wszędzie nas grzecznie, zimno, odstręczająco przyjęto, tak że nigdzie potem powracać nie mieliśmy ochoty. Stanisław i jego rodzina lekceważeniem nas wpłynęli na sąsiadów; siostra więc i ja grzecznie odepchnięci, zostać musieliśmy w domu, szukając w nim sobie zatrudnień. Mieliśmy po ojcu znaczną bardzo bibljotekę, a ja dla siebie myśliwstwo i stajnię. Dla Teresy nie młodą już wdowę, daleką krewnę ubogą, uprosić musiałem do towarzystwa,

sam obchodziłem się bez ludzi, czytając, jeżdżąc i polując po dniach całych.

P. Stanisław dotrzymał co nam zapowiedział. Spotykaliśmy go jako zawadę i przeszkodę na każdym niemal kroku, przykrzył się nam umyślnie. Równe mając prawa do niedzielonego jeszcze po ojcu spadku, żyjąc pod jednym dachem, nieustannie coraz nieprzyjaźniej ocieraliśmy się o siebie. Jeśli ja sobie wybrałem konia do jazdy, pewnie on potrzebnym był p. Stanisławowi; jeśli Teresa chciała wyjechać do kościoła, konie i powozy zabierał wprzód pewnie dla siebie i przyjaciół. Służba, mieszkanie, kuchnia, stajnie, nawet książki były powodem nieustannych sporów. Brat umyślnie prawie się nie oddalał, aby nam chwili nie dać wytchnąć, my postanowiliśmy trwać, znosić i jakkolwiek przykrem było położenie, milcząco je przyjąć jako konieczność. Wzywany do gwałtowniejszej walki i kłótni, najczęściej zbywałem pogardliwem milczeniem brata, którego to bardziej jeszcze jątrzyło.

Szczególne też uczucie wyrodziło się we mnie z tego dziwnego, dwoistego położenia i pochodzenia. Krew pańska ojca płynęła w żyłach moich i burzyła się we mnie, szlachecka też matki całą siłą uciśnionych i upokorzonych z nią we mnie walczyła. Byłem naprzemiany pod wpływem jednej lub drugiej, ostatecznie jednak więcej szlachetką się czułem, bom w tem uczuciu był

drażniony i nieprzyjaźń ku magnatom wyrobiła się niechęcią ku bratu wzmagana. Chciałem był na złość rodzinie do imienia głośnego ojca, przydać sobie nieznane imię matki, i połączyć je umyślnie; przybierałem tem pokorniejszą powierzchowność im w głębi duszy w istocie duma więcej się srożyła. Często też w bracie widząc przedstawiciela pańskości, której nie nawidziłem, ostro na magnaterję przy nim odzywałem się, łatwych przeciwko niej używając argumentów.

Ale nękała mnie ta walka nużąca, którą on prowadził chłodno, ja gorączkowo. Ja i Teresa chcieliśmy się w końcu odosobnić zupełnie, zachowując tylko dla oka stosunek jakiś familijny, ale się to uskuteczinić nie dało, formy pewne do których poszanowania zmuszeni byliśmy, były dlań orężem do nowych i zręcznych prześladowań. Zwyczaj odwieczny wymagał tego, byśmy do jednego siadali stołu; zmienić to było bardzo ciężko, brat zwykle przyprowadzał kogoś ze swoich i wiódł przy nas rozmowy, któremi ranił nas najboleśniej. Teresa nieraz zalana łzami rzucała objad aby ujść przykrych wymówek, które ja cierpiałem jak głuchy i martwy.

Ale mimo najmocniejszych postanowień w końcu się miara cierpliwości przebierała, niepodobieństwem było wytrzymać kamieniem, usta drgały, słowo z nich samo się wyrywało. Chwytał je zręcznie Stani-

sław, a ostrzem nielitościwego wprawnego szyderstwa rozcinał.

Niekiedy wdzierał się pod różnemi pozorami aż do naszego mieszkania, aby nam nie dać chwili spokoju. Musiałem szanując pewne formy przyjęte okazywać mu deferencję jako starszemu bratu, a bronić się od ostatecznego z nim zerwania, do którego on widocznie dążył. Obrachował, jak się zdaje, że zmusi nas do ucieczki w końcu i przeniesienia się gdzieindziej. Szło mu o to abym rezydencji głównej na schedę moją nie wybrał. Z prawa jemu służył przywilej oznaczenia sched majątku, mnie zaś wybór pomiędzy niemi; chciał mi to miejsce zohydzić.

Zamykając gniew w sobie, cierpiałem coraz okrutniej, nienawiść braterska rosła.

Byłbym łatwiej zniósł własną boleść, ale patrząc na łzy Teresy, burzyłem się, kilka razy nawet jużem się miał wyrzec myśli pierwszej pozostania w miejscu i chciałem wynieść się do innej majętności, co by było ze wszech miar rozumnem, koniec końcem duma jakaś wstrzymała, nie chciałem aby się chlubił zwycięstwem.

Ale życie z każdym dniem stawało się nieznośniejszem, gniew wewnętrzny mnie pożerał, zatruwał wszystkie chwile, rozgorączkowywał do szaleństwa, mimo siły jaką miałem nad sobą, czułem czasami, jakbym mógł obłąkania dostać, owładywał mną szał zwie-

rzęcy, pragnienie zemsty dzikie. Naówczas starałem się je odpędzić rzewną, gorącą modlitwą, obawiałam się sam siebie. Zdaje się że Stanisław postrzegł te moje znękanie i postanowił z niego korzystać, podwajając dumę, lekcewazenie, wysilając się na urągowiska.

Raz zaprosiwszy na objad dwóch młodych ludzi, przyjaciół swych serdecznych, tak nielitościwie wprost nam dokuczał, lub słowy dwuznacznemi smagał, że mnie do największej pasji doprowadził. Drżeć mi poczęły ręce, w głowie splątały się myśli; Teresie łzy kroplami ściekły po twarzy, on nie przestał sobie żartować z nas obojga. Opowiadał zmyślone historje fąmilij różnych, czyniąc alluzję do matki naszej, słowem zdawał się pragnąć wybuchu i przyprowadzić mnie do niego. Ja poskromiwszy się siedziałem jak głuchy. Teresa i ja odeszliśmy od objadu co rychlej, zostawując młodzież przy kielichach śmiejącą się na całe gardło.

Nie przerwało im to szumnej zabawy, która się długo przeciągnęła. Ja czekałem aż goście odjadą, postanowiwszy rozmówić się z p. Stanisławem otwarcie, nie mogłem znieść by pamięci mej matki śmiał lekkiemi słowy dotykać. Zebrałem resztę sił, pomodliłem się aby ich nie utracić, a gdym wiedział że Stanisław sam pozostał, zszedłem do jego mieszkania.

Zdziwiło go to przyjście moje, bom

nigdy u niego, a on u mnie nie bywał, stanął we drzwiach jakby tamując mi przystęp i zapytał sucho:

— Cóż to jest? co go tu sprowadza? czem mogę mu służyć?

— Mamy z sobą do pomówienia — rzekłem, poważnie siłą wciskając się do pokoju i drzwi zamykając za sobą. Energja moja trochę go zmięszała.

— Służę — odparł — na rozkazy...

— Jakkolwiek się podoba panu bratu, rzekłem, mnie i siostrę moją uważać, prawnie przed Bogiem, światem i ludźmi, nosimy jedno nazwisko, jesteśmy rodzeństwem. Matka nasza byłą ubogą szlachcianką, wasza bogatą panią i księżniczką, ale ojciec jeden wasz i nasz dał nam jedno nazwisko i kochał nas miłością jedną. Jesteśmy tu, bo mamy prawo być tu tak dobrze jak i pan. Chcesz nas WPan wygnać ztąd obejściem braterskiem, to mniejsza, ale nie ludzkiem. O mnie nie idzie ale o siostrę moją. Dziś poważyłeś się WPan czynić boleśne dla nas przymówki do pochodzenia matki naszej, ja tego dłużej cierpieć nie będę....

— A któż WPana przymusza, abyś to cierpiał? spytał urągając.

— Zmusza mnie do tego — odparłem, konieczność pozostania tu aż do pewnego podziału majętności po ojcu naszym. Jest to tak dobrze moje jak twoje gniazdo.

— Zapominasz, żem starszy! rzekł.

— Ja o tem pamiętam, wy zapominacie, bo postępujecie nie po starszemu, obchodzicie się z nami nie jak brat, który się opiekować powinen, ale jak wróg, który prześladuje.

— Nie szafujcie tem braterstwem.

— Trudno się go zbyć, choć mi zaszczytu nie czyni, odrzekłem gniewny.

— No, więc czemże mi grozicie? — zapytał.

— Słuchaj — odparłem tamując się w gniewie który mną miotał — nie ja ci grożę, ale Bóg, postępujesz sobie nie ludzko, pastwisz się nad słabą, nieszczęśliwą kobietą, sierotą, pamietaj, że to nie uchodzi bezkarnie.

— Robię co chcę — zawołał — nikt mnie z czynności moich słuchać nie ma prawa.

— Ja, ja mam prawo za siostrą się upomnieć.

— Cóż to się jej za krzywda dzieje?

— Nie zmuszaj mnie, i nie kuś do złego! nie wyzywaj nieszczęścia, zawołałem. Jestem szalony, jestem wściekły, nie będę winien jeśli mnie uczynisz zbrodniarzem.

Stanisław rozśmiał się, ale nachmurzył brew.

— Cóż to myślisz, że się ciebie ulęknę? spytał.

— Siebie, nie mnie przestraszyć się powinieneś, krzyknąłem, postępowanie twe niegodne, okrutne, podłe jest.

— Coś powiedział! — zawołał Stanisław rzucając się ku mnie.

Na te słowa nic nie odrzekłszy powoli wziąłem za klamkę i zostawiwszy go drżącym od gniewu, wyszedłem nie spiesząc.

Myślałem, że pobieży za mną, ale pozostał, a ja wróciłem rozżarzony do mieszkania, długo się uspokoić nie mogąc.

Nazujutrz gdy wybiła godzina objadu, sądziliśmy że nie przyjdzie, ale blady wszedł świszcząc, siadł na swem miejscu, jakby nas nie widział, przyprowadził dwa psy z któremi się bawił i tak ucztowaliśmy nie patrząc na siebie. Podobnie było dni następnych, dopóki ktoś z przyjaciół jego nie nadjechał. Chcąc nam pokazać że się wcale nie uląkł, rozpoczynał na nowo swe szyderstwa i przymówki, niekiedy rzucając na mnie spojrzenie z ukosa i badając wrążenie jakie to czyniło. Zaciąłem wargi, milczący, gniewny, obróciwszy się do siostry, usiłując niesłyszeć nic i nie wiedzieć. Przez parę dni następnych powtarzało się to jeszcze, znosiłem, zuchwalstwo wzrastało, gniew mój także. Ani ja ani Teresa nie chodziliśmy już do wspólnego stołu i nie widzieliśmy się z nim przez dni kilka. Postanowiliśmy zerwać zupełnie z bratem i nie zważać nań wcale. Wydawaliśmy rozkazy, on także, ale dla gróźb Stanisława nikt do naszych stosować się nie chciał. Musiałem za każdą rzeczą chodzić sam, i zniżyć się do walki ze sługami. Wi-

dząc, że nie wytrwamy w tem piekle, wezwałem na radę starostę. Przybył na wezwanie nasze, opowiedzieliśmy mu wszystko. ja byłem już tego zdania, aby dla spokoju, dla zagrożonego zdrowia Teresy ustąpić.

Stryj zostawiał do woli mojej, ale siostra dla pamięci matki nie chciała dopuścić byśmy się poniżali ucieczką z rodzicielskiego gniazda.

— Rok jeszcze przecierpim, rzekła, dział musi nastąpić.

— Ale tu dnia wyżyć niepodobna — wołałem. Napróżno usiłowaliśmy ją uprosić; Teresia płakała, jej łzy wszechmogące były dla mnie.

— Cierpmy więc, rzekłem.

Stryj poszedł sam rozmówić się ze Stanisławem, ten przyjął go grzecznie, ozięble, ale udawał, że nie rozumie o co chodzi — odpychał wszelkie pośrednictwo. Postanowiliśmy znowu unikać go. udawać głuchych, lecz nie ustąpić.

Gdy w kilka dni po odjeździe stryja przekonał się, że usunąć się nie myślimy i czaszę postanowiliśmy do dna wypić, znowu go niecierpliwość gorętsza jeszcze niż przedtem porwała, rozpoczął walkę z gwałtownością większą daleko niż wprzódy. Wszystkie przykrości, jakie mógł nam tylko uczynić. robił jawnie i wsposób tak boleśny, że znowu zwątpienie opanowało, czy wytrzymać je potrafimy.

Zbliżam się do nieszczęsnej chwili, która o przyszłych życia mojego losach stanowić miała; było to jesienią, powróciłem był na godzinę objadową z polowania, znużony, sam nie wiedząc czego niespokojny. Wpadłszy do pokoju siostry zastałem ją spłakaną, mimo najusilniejszych wszakże próśb moich przyczyny łez wyznać mi nie chciała, złożyła je na zwykły swój smutek, na bolesne przeczucia, na życie któreśmy prowadzili.

Gdy wybiła godzina objadowa, napróżno ją namawiałem aby poszła ze mną, wyznała mi że brakło jej sił, że woli pozostać u siebie, mnie także chcąc namówić abym z nią objadował, ale nie wiem co pędziło mnie do sali. Poszedłem. Stół nakryty był w sali jadalnej, w której ojciec nieboszczyk obok innych dwa portrety żon swoich kazał umieścić. Ledwiem wszedł na próg, uderzyło mnie, że w czasie mej niebytności obraz matki naszej zdjęto. Gniew gwałtowny owładnął mną, rozdrażniony już byłem znużeniem rannem i łzami Teresy. Spostrzegłem w tej chwili Stanisława, który siedział już za stołem, podparty, gdym zawołał:

— Kto śmiał dotknąć obrazu matki mojej?

Odparł szydersko:

— Ja... Stosowniejsze dla niej miejsce we fraucymrze niż tu. Tam go powiesić kazałem zkąd wyszła.

Już nie wiedząc co czynię przybliżyłem się doń drżący.

— Tyś to uczynił? zapytałem.

— No, ja! odparł bledniejąc.

— Twoje więc miejsce nie tu u tego stołu, do którego mężowie zacni zasiadali, gdzie święte niewiasty przychodziły niosąc pokój i miłość — ale w psiarni, hultaju!

To mówiąc pochwyciłem go oburącz za ramiona i miotając nim szalonym gniewem, cisnąłem nim o drzwi. Ale rychło i on na chwilą straconą odzyskał przytomność i siły, pochwycił nóż z kredensu przy drzwiach i wpadł z nim na mnie. Anim już wiedział jak ręka moja porwała drugi i takieśmy my bracia.., zapomniawszy na wszystko... padli ku sobie zażarci...

Od tej chwili już niepomnę co się działo ze mną, ochłonąłem dopiero gdym ujrzał Stanisława przedemną leżącego na ziemi i broczącego we krwi, i ręką trzymał nóż mój, który tkwił w jego piersi.

Ja także ranny byłem w szyję, krew moja płynęła, alem zapomniał o sobie. Kain bratobójca stanął mi przed oczyma, padłem na kolana z okrzykiem boleści, usiłując wyrwać żelazo z rany. Stanisław zobaczył ten ruch i sądząc że go chcę dobić, omdlał. Cały dom na tę krwawą zbiegł scenę, której świadkiem było dwoje sług struchlałych w kącie stojących. Nadbiegła Teresa i jak nieżywa padła ujrzawszy krew naszą. Roze-

słano natychmiast po lekarzy, po rodzinę, gdyż Stanisław zdawał się ugodzony śmiertelnie. Mnie już nieprzytomnego zaniesiono na łoże, a gorączka nie tak od rany, jak z gwałtownego wstrząśnienia i doznanego gniewu, rozwinęła się straszliwa. Przy łożu mojem płakała klęcząc Teresa, wyrzucając sobie że mimowolnie stała się przyczyną bratobójstwa,

Nie śmiałem nawet spytać o Stanisława; później już nie wiedziałem co się ze mną stało.

Gdym niewysłowienie osłabiony oczy znowu na świat otworzył, długo przypomnieć sobie nawet nie mogłem co się ze mną działo, okoliczności poprzedzających chorobę, walkę naszą. Czułem się ledwie żywym, nie mogąc ocenić czasu który słabość moja trwała. Teresa i ksiądz siedzieli przy mnie. Otworzyłem usta chcąc ich pytać, ale mówić mi zakazano; pamięć opieszale przywodziła mi wypadki, w miarę jak odzyskiwałem siły przypominałem sobie wszystko, niepokój dręczyć mnie zaczął o życie Stanisława.

Mimo zakazu księdza, próśb Teresy, spytałem natarczywie.

— Co się ze Stanisławem dzieje?

— Żyje, — odpowiedział mi kapłan surowo.

Słowa już więcej nie mogłem z nich wydobyć, zawołano lekarza, który natychmiast kazał mi wziąć coś uspokajającego,

sen powoli skłeił mi powieki. Ale w tym śnie ciężkim dręczyły mnie marzenia piekielne. Widziałem przed sobą ojca i z nim brata, ukazującego mi szeroką ranę w rozpłatanej przezemnie piersi.

Choroba i słabość długo przeciągnęły się jeszcze, lecz na ostatek zwyciężyły siły młodości; począłem przychodzić do siebie, a im więcej odzyskiwałem zdrowia i pamięci, tem głębszy ogarniał mnie smutek, tem pełniejsze goryczy wymówki sobie czyniłem. Mówiono mi że Stanisław żyje, lecz tylko Opatrzność Boża znać go ocaliła, ja w mem własnem przekonaniu byłem bratobójcą. Wielka była wina jego, ale nie mogłem zataić przed sobą własnej. Dla czegóżem nie ustąpił przed dumą brata i ważył, dla próżności, przez miłość własną, jego i moje życie, aby koniecznie na swojem postawić? Dla czegom dopuścił, by gniew mną owładnęł i pierwszy rzuciłem się na brata?

Żal uciskał mi serce, w duszy ślubowałem sobie że przyszedłszy do zdrowia, oblokę suknię zakonną i życie poświęcę odpokutowaniu mej zbrodni.

Ale ile razy otwierałem usta o tem mówić z Teresą, z ojcem Ignacym, zbywano mnie nakazanem przez lekarzy milczeniem, o niczem nawet dowiedzieć się nie mogłem na pewno, co zaszło po strasznej owej scenie w izbie jadalnej. Ciekawość moja rosła z każdą godziną, tak dalece, żem

postanowił bądź co bądź od kogokolwiek zasięgnąć wiadomości.

Był przy mnie oddawna wielce przywiązany kozaczek, którego sadzono zwykle dla pilnowania mnie przy łożu, gdy siostra odchodziła znużona wypocząć nieco, a ksiądz musiał odprawiać swe modlitwy. Do niegom się więc zwrócił zaklinając go, aby mnie o tem co się stało, a czegom nie pamiętał, uwiadomił. Długom go prosić musiał, nim się dał wreszcie skłonić i przemówił. Oznajmił mi on, że p. Stanisław mimo zrazu bardzo wielkiej utraty krwi, żył i rychlej niż ja do zdrowia przyszedł, że familja książąt L. wywiozła go natychmiast i zabrała do siebie, że po kilkakroć przyjeżdzał stryj mój w czasie choroby, a lekarze w początku małą bardzo czynili wyzdrowienia mojego nadzieję. Od niegom się też dowiedział, że Stanisław jak tylko cokolwiek pozdrowiał, sam na siebie przyjął cała winę wypadku, najgorliwszym moim stawszy się obrońcą, że się zupełnie w usposobieniach swych zmienił, a czując przewinienie, dobrowolnie postanowił wyrzec się majętności i imienia rodzicielskiego i zamknąć się w klasztorze. Familja książąt L. napróżno wszelkiemi sposoby usiłowała go od tego postanowienia odciągnąć; jak tylko do zdrowia przyszedł, wdział natychmiast habit zakonny i rozpoczął nowicjat.

To opowiadanie kozaka przejęło mnie

niewymownie, czułem się upokorzonym jego skruchą i poprzysiągłem również życie przykładniej poświęcić pokucie. Nie wiedziałem o tem, że i Teresa gryząc się myślą, iż ona była rzeczywistą tego wypadku przyczyną, również powrócić do klasztoru zamyślała.

Uspokojony nieco, gorącemi zalawszy się łzami, modląc się i Bogu dziękując, że nam dał czas do pokuty, usnąłem. Od tej chwili, jakby życie nowe wstąpiło we mnie, począłem prędzej do sił i zdrowia przychodzić. Pomimo polepszenia mojego stanu, milczano i unikano jeszcze poważniejszej ze mną rozmowy. Kilka razy starałem się do niej skłonić Ojca Ignacego, odpowiadał mi zawsze surowo:

— Przyjdzie na to chwila.

Na ostatek, gdym się upierał, zakazał mi pod posłuszeństwem samemu o tem poczynać rozmowę.

Czekałem więc cierpliwie, aż mną rozporządzi.

Nierychło potem, gdym już mógł wychodzić i przechadzać się po ogrodzie, przybył mój stryj, kilku krewnych, i po odprawionej spowiedzi, otrzymanem rozgrzyszeniu, komunji i nabożeństwie, O. Ignacy wezwał mnie przed radę familijną, w której uczestniczył.

Prosiłem, aby mi naprzód głos zabrać wolno było, i przyznawszy się do mej zbrodni, wyraziwszy szczery żal za nią, oświad-

czyłem przed rodziną, że postanawiam zamknąć się na resztę żywota w klasztorze, by za bratobójstwo odpokutować.

Pod koniec mojej mowy, przerwał mi O. Ignacy, mówiąc, że chociaż Bóg mi przebaczył i skrucha zmazała winę, żaden jednakże klasztor nie przyjął by tak łatwo tego, który pierwszy w zapamiętałości rzucił się na brata. Dodał, że pokuta w klasztorze jest łatwa, i dla tego samego ona mi się nie należy, bo cięższą żyjąc na świecie w dobrowolnem odosobnieniu, ponieść powinienem. Był już O. Ignacy, jak się zdaje wcześnie przez rodzinę uproszony, a szczególniej przez brata Stanisława, aby mnie od mojego postanowienia odwiódł.

Gałąź domu naszego, po wstąpieniu do klasztoru starszego, kończyła się na mnie, nie chciano aby majętności przechodziły w dom obcy przez zamężcie Teresy, lub na inną rodziny naszej linję z którą stosunki były oziębłe oddawna i nie zbyt przyjazne.

Wszyscy więc, opierając się na słowach ojca Ignacego, prosić, zaklinać, rozkazywać powagą swoją zaczęli, abym od mojego postanowienia odstąpił. Najpoważniejszą dla mnie była wola Stanisława, zaklinającego mnie abym stanu duchownego, do którego nie czułem powołania, nie obierał. Poddałem się wyraźnie jego woli, ale zarazem oznajmiłem rodzinie, że pokutę mając naznaczoną przez siebie, spełnię ją, chociażby przeciw

surowości jej występowano i nic mnie od tego obowiązku sumienia odciągnąć nie potrafi.

Rodzina, O. Ignacy, brata Stanisław, w ostatku i ja także, sprzeciwialiśmy się postanowieniu Teresy, która również do klasztoru powracać chciała.

Występek mój był prawie publiczny, Stanisław dawał mi pierwszy przykład skruchy i ofiary, za którym ja pójść był powinien; postanowiłem więc opuścić gniazdo ojcowskie i nie powracać doń, aż po latach tylu ile ich naówczas miałem. Pokuta więc trwać miała lat dwadzieścia kilka. W ciągu tego czasu postanowiłem uroczyście żyć w odosobnieniu, lub jako wędrowny ubogi pielgrzym, nie zdradzając stanu jego i pochodzenia, narażając się na upokorzenia, których od brata znosić nie umiałem.

Zakrzyczano mnie zrazu, żem sobie zbyt ostrą zadał pokutę, alem już był niewzruszony; oddawszy Teresę w opiekę stryjowi, natychmiast udałem się w lasy na Mazowsze, gdziem sobie pustelnię tę pobudował, zapełniając ją dzikiemi zwierzęty. Przez długi przeciąg czasu wcale się ztąd nie oddalałem. Żyłem tu na modlitwie, rozmyślaniu, postach nabożeństwie, martwiąc ciało i pokonywując ducha. Zerwałem stosunki z rodziną, tylko w razie koniecznej potrzeby, zbliżając się do niej dla krótkiej narady.

Nie przyjmowałem też nikogo, oprócz księdza, który był moim kapelanem i spo-

wiednikiem. a dwa razy do roku dowiadywałem się tylko do siostry.

Jużem w lesie był zamieszkał, ale jeszcze w prostej budzie leśniczej, która tu stała poprzednio, zanim na jej miejsce dom wzniosłem, gdy O. Ignacy niespodzianie przybył do mnie.

Przyniósł mi on list od Stanisława, pełen pokory, serdeczny, proszący o przebaczenie i pojednanie zupełne, a razem wzywający mnie, bym to nie słowem ale czynem dopełnił, przybywając sam do niego.

Chwila to była jedna z najboleśniejszych w mem życiu, bo dawne odnowiła rany. O. Ignacy namawiał, abym spełnił wolę brata, serce samo ciągnęło mnie ku niemu, natychmiast więc umyśliłem stawić się na wezwanie, ale podróż odbywając pieszo i jako pielgrzym pokutujący. Zaraz nazajutrz grubą przywdziawszy siermięgę, boso, z sakwami na plecach, sam jeden wyszedłem z pustelni i rozpocząłem tę podróż, która trwała dni kilkanaście. Stanisław znajdował się naówczas w klasztorze Bernardynów około H. zasuniętym w lasy, w odległej i dosyć pustej części kraju. Przypadek raczej niż wola moja zrządził, żem tu przyszedł w samą wigilję wielkiego odpustu, który tysięce ludzi do cudownego obrazu gromadził. O zachodzie słońca, znużony przywlokłem się do bramy klasztornej i padłem tam straciwszy siłę i odwagę iść dalej.

Chwila, w której miałem ujrzeć znowu tego brata, ranionego śmiertelnie ręką moją, a ocalonego cudownie ręką Bożą, napełniała mnie trwogą niewysłowioną. Potrzebowałem nabrać odwagi, nimbym przed nim stanął. Leżałem tak na ziemi, wśród zachodzącego słońca blasków, gdym ujrzał przed sobą cień, który zatrzymał się i zasłonił mi jasność wieczorną.

Powoli usłyszawszy szelest bliski, zobaczywszy bose zakonnika nogi, który zaraz pokląkł przy mnie, podniosłem oczy.

Alem krzyknął, zakrywając je zaraz, był to bowiem Stanisław, który klęczał przedemną.

O mój Boże, jakże zmieniony, jak opromieniony pokojem i świętością, jak ubłogosławiony pokorą! Twarz jego blada, anielskiej była piękności..

Schylił się, ujął kraj mojej szaty i ze łzami całować ją począł, wołając:

— W imię ukrzyżowanego, bracie mój, przebacz mi winę moją.

— A! ja to, ja paść przed tobą winienem; rzekłem padając w proch twarzą, i błagać ciebie, abyś zabójcy swemu, jak Chrystus nieprzyjaciołom na krzyżu darował.

Tak we łzach oba, on klęczący, ja na ziemi leżąc, jużeśmy nie mówili słowa, modliliśmy się, aż uczułem dłoń jego na ramionach moich i rękę, która mnie podnosiła,

dźwignąłem się i klęcząc rzuciliśmy się na szyję wołając: *Parce nobis Domine!*

W jakiemś błogiem zachwyceniu powstaliśmy powoli z ziemi. Kościół był otwarty, tysiące ludu go napełniało, kończyły się właśnie uroczyste nieszpory, trzymając się za ręce, razem idąc weszliśmy do kościoła, przed sam wielki ołtarz. Aniśmy wiedzieli co czynimy, serca popędu słuchając tylko. Lud który był świadkiem pojednania i odgadł coś niezwyczajnego, kilku księży stojących we drzwiach, przejętych uroczystością tego widoku, otwarli nam drogę przez tłumy. Szeptano rozstępując się nam szeroko, aż pod wielki ołtarz, kędy przyszedłszy padliśmy na kolana razem, a potem razem krzyżem na ziemię. Nad głowy naszemi zabrzmiał ostatni psalm, potem pieśń, i przeleżeliśmy płacząc pokutnicy oba, aż póki nabożeństwo się nie skończyło, a tłumy nie rozeszły.

Przełożony klasztoru, uwiadomiony o tem, przybył nareszcie nakazując wstać bratu, jam także się podniósł, i razem udaliśmy się do klasztoru. Znano tam historją naszą, przyjęto mnie litościwie i serdecznie.

Jakże teraz Stanisław w rozmowie i obejściu się okazał nowym! jak istotnie odrodzonym człowiekiem! Jakże go te dni życia w samotności, na modlitwie przeistoczyły i oświęciły!

Przemieszkałem w klasztorze dni parę na nabożeństwie wspólnem z bratem, po od-

puście ukończonym odprawiliśmy żałobne nabożenstwo za rodziców naszych, za obie matki, Stanisława i moją egzekwie.

Przyjednanie w imię Chrystusa było tak zupełnem, tak szczerem, iż nas obu uspokoiło. Stanisław pozostał w zakonie, którego był już członkiem, jam powrócił do mojej pustelni i pokuty. Wiodłem tu życie ostre, i mimo nalegań O. Ignacego, mimo namów, abym ze ślubu uczynionego dał się rozwiązać dla powrócenia na łono rodziny, obstawałem przy wypełnieniu zadosyć uczynienia. Nawet ślub Teresy, która wyszła za mąż za dalekiego krewnego naszego, nie wyciągnął mnie z mojej pustelni. Przybyła ona sama po błogosławieństwo braterskie, ale zaślubiny musiały się odbyć bezemnie. Przed światem, któremu ukryć się starano rodzinne nasze zajścia, mówiono głośno, żem w daleką i długą puścił się podróż, która lata trwać miała. Starali się tymczasem usilnie bliżsi krewni moi, dla ziemskiego interesu rodu naszego, wywlec mnie z tego ustronia, namawiano gwałtownie na ożenienie, alem postanowiwszy dotrwać, mimo nalegań obstał przy swojem. A były tak silne prośby, że się im w istocie z trudnością opierać przyszło. Starosta, któremu pieczę nad majętnościami naszemi powierzyliśmy i szwagier mój, mąż Teresy, trafili aż do króla z prośbami, nasłano mi tu naprzód nominację na kasztelana, a gdy to nie pomogło, uproszono

Poniatowskiego, aby powagę swą monarchiczną upamiętać mnie spróbował. Król jako był w takich rzeczach do zbytku powolny, zgodził się nawet sam mnie w mej pustelni nawidzić.

Wypadek to nadto ciekawy i pamiętny w życiu mojem, abym go nie zanotował. Pod pozorem łowów w którejś z puszcz sąsiednich, wyjechał król z Warszawy, mnie o tem znać nie dano, obawiając się bym snać nie uciekł, tak że na przyjęcie przygotowanym nie byłem. Ze stacji, na której król nocował, w towarzystwie generała Komarzewskiego, lekkim powozem przybył do najbliższej gospody. Tu porzuciwszy konie, resztę drogi zrobił pieszo, prowadzono tylko za nim wierzchowca, na wypadek znużenia. Zdaje się że oprócz przyjaznego usposobienia dla rodziny naszej, której przysługę pragnął uczynić, Poniatowski ciekawością też pustelni mej, o której zasłyszał, silnie był pociągnięty. Nie widziałem był dotąd króla JMci oprócz na talarach.

Letniego dnia jednego z południa, ludzie posłyszeli stukanie do bramy zawartej wedle zwyczaju, u której zawsze straż stała; zbliżył się do okienka odźwierny i ujrzał dwie osoby dopominające się mocno, aby je wpuszczono. Ilekroć bowiem podobne trafiły się wypadki, była dyspozycja ogólna, aby odźwierny, czym ja miał się z kim widzieć, czy nie puścił każdego, i przyjmował podróżnych; po

większej jednak części mówiono, żem doma nie był. Stało się tak i tym razem, gdy król z generałem zastukali, stary im odryglował i na żądanie wprowadził do tak zwanego *foresterium.*

Na zapytanie, gdzie pan? odpowiedziano z razu, iż w domu go nie ma.

— Otóż ja, mój kochany — odparł król odźwiernemu — ja wiem że jest i widzieć się z nim muszę, a ponieważem przewidywał że mnie tu tak przyjmiecie, macie oto gotowy list, który go natychmiast pod gardłem oddajcie.

Nie opierał się odźwierny. Byłem w bibljotece na czytaniu św. Augustyna, gdy zapukawszy, sługa mi pismo w kopercie doręczył. Poznałem pieczęć królewską, w śroku na papieru karcie, jakiego król zwykle używał, stało jego własną ręką wielkiemi literami:

„Widzieć się z Jegomością, panie kasztelanie życzę.

Stanisław król."

Przyznaję się, że mnie te odwidziny z razu nie mało skłopotały, alem natychmiast wyszedł przeciwko królowi JMości jakem stał.

Król w podwórcu opatrywał z generałem dom mój, z żywą przyglądając mu się ciekawością. Przystąpiłem doń z poszanowaniem, cały pomięszany, prosząc aby dom mój zaszczycił wstępując doń.

Foresterium bowiem znajduje się w osobnym budynku, poza moją klauzurą.

Poniatowski wesołość udawał, chociaż dostrzegłem, że ponure to schronienie, lekkiego człowieka nabawiało jakimś smutkiem, przypominając mu żywot umartwień, ale nieznany i dlań niepojęty.

Rzucał oczyma na wszystkie strony z obawą jakąś i trwogą dosyć źle tajoną, zrozumieć zapewne nie mogąc uczucia głębszego, które tu człowieka wolnego żywcem zagrzebać mogło. Generał był także jak nie swój.

Nie wiedziałem zrazu kędy ich prowadzić, bo król z cokolwiek dziecinną ciekawością, którą starał się maskować niepokój, wszystko oglądał, w każdy kątek zazierał, rozpytywał chciwie o rzecz najmniejszą. Weszliśmy do domu: począł od wielkich pochwał smaku i fantazji właściciela i budowniczego, i prosił o pozwolenie obejrzenia szczegółowo; jednę więc po drugiej izbę egzaminował, pytał, bawił się niby, ale jakoś gorączkowo, więcej dla mnie niż dla siebie. Prosiłem, abym go mógł ugościć wedle przemożenia, na co zezwolił, przyjmując jednę tylko filiżankę czokolady, która szczęściem się znalazła, generał nie pogardził posilniejszą przekąską. Zostawiliśmy go w salce jadalnej za stołem, a król pod pozorem bibljoteki odciągnął mnie na bok.

Gdyśmy sami byli, stanął milczący. Od-

gadłem od razu cel odwidzin, jako po chwili Poniatowski począł:

— Kochany kasztelanie, pozwól do siebie przemówić szczerze, nie jako królowi, ale jako przyjacielowi rodziny. Ani Bóg, ani świat, ani sumienie wasze nie wymagają tak srogiej pokuty, jaką sobie naznaczyłeś... Ojczyzna mało ma ludzi zdolnych, a poważniejszych umysłów, głów dojrzałych potrzebuje. Czasy są ciężkie. Wiem ja, co WMości w to dobrowolne wygnanie popchnęło, nie tajne mi są najmniejsze okoliczności, które towarzyszyły temu postanowieniu; pojmuję, że WMości samo nawyknienie do tej ciszy, mogło ją drogą uczynić, ale mamy inne obowiązki, które spełnić należy.

— Najjaśniejszy panie, odparłem, najpierwszy to obowiązek uczciwego człowieka danego słowa dotrzymać. Część znaczna mojej pokuty już wypełnioną została, resztę też jej dokonać muszę.

— Ale są wyższe konsyderacje — zawołał król — ujmując mnie za rekę. Trzeba gasnącą familję utrzymać. Starszy brat W. Mości już się życiu klasztornemu poświęcił i dla świata jest stracony. Imienia pięknego i zasłużonego przyszłość na WMości ramionach spoczywa, winieneś być ojcem rodziny i synem kraju. Jako król, nie roszczę sobie prawa sięgać do sumienia moich poddanych, jest to rzeczą duchownych, nie moją. Ale godzi się władza duchowna na rozwiązanie

WMości z jego nierozważnych acz świętobliwych ślubów, familja się tego domaga, błaga i prosi. *Satis pro peccatis*, mości kasztelanie, powróć do nas i bądź pewien, że na dworze moim należne sobie urodzeniu i talentom znajdziesz miejsce. Jeszcze raz powtórzę WMości, czasy są takie, iż ludzi nam potrzeba...

— Najjaśniejszy panie, odezwałem się, powtóre, mało ja się na co przydam, a zbyt wielkim kosztem niepokoju sumienia przyszłoby okupywać ladajaką posługę. Od życia odwykłem, publicznegom nie kosztował wcale, mała ze mnie pociecha W. K. Mości i królewstwu, a wielkie utrapienie duszy mojej.

— Toż WMości znaczniejsza część życia tak przejdzie, a gdy termin upłynie, starym, złamanym powrócisz do świata, i już go nie użyjesz.

— Stanie się tedy wola Boża nademną, rzekłem, ale nie mam tej zarozumiałości, bym wiele osobą moją przyczyniał dobra. Podobno dziś już edukację statysty rozpoczynać za późno.

Król się nagle zadumał, jakby pańszczyznę odbywszy, i patrząc w otwartą księgę św. Augustyna, dodał, uderzywszy w nią ręką.

— Lepszą cząstkę obraliście! a! nie przeczę! ale pod pozorem dźwigania brzemienia wzięliście ów Ezopowy ciężar, któ-

rego, co dnia ubywa. Ażaliż na świecie żyć nie jest stokroć trudniejszą pokutą, niż w takim klasztorze? niżeli w tej trumnie? Nie łudź się WMość, dodał, zmiarkuj nie jest-li to lenistwo ducha? byś miasto ofiary nie powodował się egoizmem ubranym w pozory świętości i skruchy. Pozwól bym otwarcie to i po ojcowsku rzekł, ażali nie łudzisz się? jest-li to pokuta czy gnuśność?

— Przyjmuję z pokorą — odpowiedziałem — surowe napomnienie ojcowskie, W. K. Mości, ale na sąd Boży się zdaję... Ciężar to Ezopowy, przyznam, alem ja go sobie jak ów Ezop, z początku drogi wybrał, a cóżem winien, że mi go ubywa? Jam na to nie rachował.

— Łacniej — mówił król z uczuciem — żyć tu Waszmości z dzikiemi obłaskawionemi zwierzęty, niżeli z ludźmi, co się nigdy przyrodzonej swej dziczyzny zupełnie pozbyć nie mogą; mniej tu doświadczasz zdrady, a co najmilsza, mniej przewrotność ludzka cięży WMości na sercu, zyskujesz więc ze wszech miar.

Tak mnie przekonywać usiłował król, nie złamał wszakże, stałem twardy przy swojem, a on zmiękł... Obchodził więc potem raz jeszcze całą ustroń dziwując się, uśmiechając, pociągnął za sobą generała, a jako to był umysł lekki, który w poważniejszym żywiole długo wytrwać nie umiał, już

pod koniec tych odwidzin żartobliwego nabrał usposobienia i śmiał się z tego co mojem dziwactwem nazywał.

Na ostatek miał się ku wyjściu, a na wychodnem, zaręczając mnie o łasce swej monarszej, upewniał, że zawsze mile na dworze widzianym będę, zachęcając, abym w nadaremnym nie trwał uporze. Przeprowadzałem króla daleko za dwór mój, aż na koń siadł i pożegnał mnie. Wymógł to przecie rozkazem i powagę swoją, iż przyrzekłem raz w rok stawić się na jego dworze i choćby na dzień jeden do stolicy zjeżdżać.

Po królu zjawił się jeszcze z naleganiem O. Ignacy; namówiono znać mojego spowiednika także; zewsząd spłynęły się na mnie przekonywające dowody, żem był moją pustelnią opuścić powinien, lub w jakikolwiek sposób do życia czynnego się przygotować, które choć późno, rozpocząć na nowo byłem zmuszony.

Wyrwał mnie z pustelni dopiero smutny obrzęd pogrzebu siostry mojej i obowiązki opiekuna nad jej synem. Musiałem opuścić ukochaną już Tebaidę moją; chwilowo naówczas skłonił mnie dyrektor sumienia, abym przynajmniej pokuty się nie wyrzekając tryb jej odmienił. Przedsięwziąłem więc jako nowicjat do życia, podróż pieszą i ubogą niekiedy tylko chwilowo powracając na stare łożysko."

Przeszła już była burza, a księżyc na pogodne wszedł niebo, gdy p, Marcin księgę notat gospodarza złożył zadumany. Obliczał się właśnie z datami, że pokuta jeszcze w Barcinie dokonaną została, domyślił się też łacno iż ów ksiądz staruszek jeżdżący po kweście na ołtarz Jerozolimski musiał być zapewne bratem Żeligi; naostatek dumał chmurny jak się to wszystko skończy szczególniej z panną Agnieszką, dla której afekt kasztelana bardzo był widoczny. Mimowolnie wszakże historja matki kasztelana, nabawiła go niepokojem o los krewnej, która wnijść mogła do rodziny dumnej jak tamta, aby cierpieć jak ona i srodze przepłacić wyniesienie swoje.

Po rozmyśle więc krótkim, domyślając się, że zapewne panna Agnieszka jeszcze się do snu nie układła, postanowił wejść do niej i dać jej także do czytania notaty Żeligi.

Znalazł ją p. Marcin jak się spodziewał na modlitwie poruszoną tem, co we dnie widziała i czego się już bardzo domyslеć mogła.

— Moja Agnieszko — rzekł p. Marcin słodząc pieprz który przynosił — trzeba asińdźce jeszcze dziś trochę oczów namęczyć, i oto ten raptularz, dosyć zresztą wyraźnie pisany, z większego przepatrzeć. Są w nim rzeczy, które jak mi się zdaje, dobrze abyś wiedziała. Dał mi gospodarz te notaty, jam je odczytał, ale miarkuję, że nie zawadziłoby je wam także przewertować, może nawet

były mi udzielone w tej myśli, abym się z wami podzielił niemi.

— A! mój ojcze! to pewnie coś strasznego! zawołała ręce łamiąc panna Agnieszka, mam jakieś niedobre przeczucia.

— Już to tam asińdźka sama ocenisz— rzekł skłopotany trochę p. Marcin, ja tam sądzić o tem nie chcę. Dowiesz się z nich przeszłości człowieka, który cię jak sądzę, obchodzi. Dzieje się to nie z wyraźnej woli jego, ale i nie przeciwko tej woli, bo mi nie nakazywał sekretu i sądzę że dając to czytać, nie co innego miał na celu, tylko nas wszystkich objaśnić o powodach, które go do obrania sobie tego rodzaju życia zmusiły.

P. Agnieszka spojrzała mu w oczy, ale z nich prócz smutku nic wyczytać nie mogła; wzięła drżącemi rękami księgę, Barciński odszedł po cichu, a ona siadłszy, do białego prawie dnia, płaczem sobie tylko przerywając, cały żywot Żeligi przebiegła. Padła potem na modlitwę, a gdy z niej wstała, słońce już złocistemi promieniami wciskało się do okien domku, i ruch w pokoju pani Marcinowej dowodził że już wstawano. Wkrótce też wszedł i Barciński dla zabrania rękopismu i uląkł się znalazłszy ją poruszoną, zmienioną, zapłakaną.

Czekała już na niego p. Agnieszka i i ujrzawszy podbiegła żywo; poczęła go naprzód po rękach całować za to, że jej ten

rękopism udzielił, potem się rozpłakała okrutnie.

Milczał już zafrasowany p. Marcin, starając się ją uspokoić, ale pojął co się w jej duszy dziać musiało.

— Płacz nic nie pomoże — odezwał się — mówże no mi asińdźka proszę, co na to? czego się tam temi łzami zalewacie, wszystkoć przeszło, człek odpokutował.

Pannie Agnieszce rumieniec na twarz wystąpił, bo jeszcze nigdy z p. Marcinem o swem postanowieniu i projektach nie mówiła, więc jej się nie łatwo było zdobyć na szczersze wyznanie.

— Służyliście mi sierocie za rodziców, rzekła wreszcie, jak moich własnych was szanuję. Nic nie mam, i nie chcę mieć dla was tajnego, kocham i poważam tego człowieka z dawna, niemal od pierwszej chwili, kiedy go ubogim i biednym wędrowcem w dom wasz przychodzącym ujrzałam. Milczał on długo też, ale w końcu wyznał mi, że się do mnie przywiązał, daliśmy sobie słowo wzajemnie, cóż ja teraz pocznę! — zawołała ręce łamiąc p. Agnieszka.

— A no, kiedy tak jest, pójdziesz asińdźka za niego — odparł p. Marcin.

— Nie! — odpowiedziała stanowczo p. Agnieszka — ta księga otworzyła mi oczy, nie...

— Ot dziwactwo — szepnął Barciński,

ale z mowy miarkować można było, iż przekonania był innego.

— Nie, nie, nie dziwactwo — przerwała żywo Agnieszka. Sam to pan przyznasz, że w małżeństwie nierównego stanu szczęścia być nie może, bolesny przykład tego z jego życia czerpię. Tam tylko pokój i wzajemne zadowoleaie, gdzie z obu stron równo się przynosi, gdzie kondycje, urodzenie, majątek, osbie odpowiadają, ubóstwo z ubóstwem, a bogactwo z bogactwem się łączy, kiedym mu słowo dawała, nie wiedziałam wcale kim był, miałam go za równego stanu człowieka. Przekonywacie się sami z czytania żywota kasztelana, ile to nieszczęść spłynęło na jego rodzinę z powodu, że wojewoda ukochał i pojął najzacniejszą ale nierówną sobie urodzeniem niewiastę. A! panie! nie możeż to się powtórzyć na inny sposób choć mniej okrutny... i ze mną, gdybym była tak nieroztropną? Rodzina kasztelana, mimo srogich prób które przecierpiała, jest jaką była, nie zmieniła się pewnie, byłabym upokorzoną wciskając się do niej, upokorzyłabym ich narzucając się. I ja i on pozostalibyśmy odosobnionymi na zawsze, gdy właśnie jemu po długiem od świata i rodziny oddaleniu, do obojga się zbliżyć potrzeba Musi on teraz opłacać dług względem kraju i społeczeństwa zaciągnięty, ku czemu ja bym stawała zawadą. Zatem próżna myśl o tem...

Wdzięczną wam jestem, dodała, żeście

mi odczytać dali jego życie, ale teraz postanowienie mam niezmienne; dalibyście wy p. Marcinie, córkę waszą na ten świat, gdzieby jej nieznane imię i małe szlachectwo nieustannie, jeśli nie głośno, to po cichu... wyrzucano?...

— Masz asińdźka słuszność, w tem coś powiedziała, rzekł Barciński, nie ma co gadać. Tak to ono jest niewątpliwie, kochać i żyć w przyjaźni należy; ale łączyć się i bratać gdzie gra nie równa, nie można... Człowiek to zacny, ale go wiążą twarde węzły z rodziną, które by się jeszcze przykrzejszemi stały, gdyby swej fantazji i sercu dogadzając, do nas się zniżył. Równiśmy, słowa nie masz, ale świat między równemi różne stopnie potworzył, a złoto je jeszcze poczyniło wyższemi, tak że wyniosłe progi nie na wszystkie nogi, zwłaszcza kto się skaleczyć nie ma ochoty.

Łzy znowu skręciły się w oczach pannie Agnieszce, gdy począwszy ściskać, opiece się jego dalszej polecała, i jemu jakoś zwilżyły się powieki.

Wszyscy już dawno byli poubierani, a Justysia którą bawiła nowość, biegała po zwierzyńcu dawno razem z sarnami, sama do sarneczki podobna, tak swobodna, rozbujała i wesoła; na odgłos dzwonka zebrali się zaraz wszyscy na nabożeństwo.

Kaplica stała tuż przy dworze, okolona jodłami, choć drewniana, ale bardzo piękna.

W środku tylko jakoś wyglądała posępnie. Jeden ołtarz z Chrystusem konającym na krzyżu rzeźbionym, widać było w głębi, w pośrodku przed nim szare grube sukno, na którem przez czas mszy zwykł był leżeć krzyżem co dzień pokutnik. Miejsce to dawno już było przez niego zajęte. Na ścianach wizerunki rodziny na blachach malowane z podpisami nagrobkowemi, i prośbami o modlitwy. Byli tam ojciec, dziad, matka, siostra, szwagier, inni krewni bliżsi i dalsi. Wielkim kosztem sprowadzone z Rzymu kości jednego z męczenników pierwszych wieków, mieściły się w sarkofagu czarnym marmurowym, który zarazem menzę ofiarną stanowił.

Ze mszą wyszedł kapucyn staruszek, cała służba i czeladź była przytomną.

Po ofierze obyczajem miejscowym odśpiewano siedm psalmów pokutnych i suplikacje, na ostatek „Przed oczy twoje Panie.“ Kasztelan dopiero z ziemi powstał na kolana i jeszcze się modlił, gdy już wszyscy kaplicę opuszczali. Niespokojny o dalszą podróż swoją p. Marcin wcześnie prosił o konie, te też już zaprzężone stały przed gankiem, ale śniadanie czekało we dworze, na które i gospodarz z weselszą niż wczoraj twarzą się zjawił.

— Nie śmiem was o dłuższy pobyt prosić — rzekł — bo tu dobrze zajrzeć dla osobliwości, ale na pustyni tej zasiedzieć się, wiem najlepiej jaki smutek rodzi. O jednę

jeszcze łaskę, kochanych państwa moich prosić będę i od tego nie odstąpię.

— Rozkaż co chcesz, spełnimy—przerwała szybko p. Marcinowa.

— Słowo się rzekło, — pochwycił kasztelan, trzymam was za nie. Nie zajedziecie WMość w Warszawie nigdzie tylko do mnie.

— O! o! kasztelanie kochany — przerwał stolnik — tego już nadto! nie bierz że sobie na barki niepotrzebnego ciężaru.

— Co za ciężar! dom stoi pustkami! — odparł wpatrując sie w Barcińskiego Żeliga, siedziałem ja u was tyle lat, możecie mi choć tyleż dni darować, ja od tego nie odstępuję. Daję wam przewodnika, który doprowadzi i umieści, a dziś wieczorem i ja sam będę wam służył. Już od tego nie odstępuję.

Znać było, że kasztelan niespokojnie śledził wrażenia jakie przeczytanie jego rękopismu uczyniło na gościach, postrzedz też musiał na Barcińskim pewien rodzaj pomięszania, a na twarzy panny Agnieszki ślady bezsenności i wielkiego poruszenia. Tylko pani Marcinowa i wesoła zawsze Justysia nie wiedzące o niczem były swobodniejsze, przyjazne, poufałe jak dawniej.

— Ale bo my w Warszawie długo bawić nie myślimy — przerwał Barciński— parę dni, póki się lekarzy nie poradzimy, potem w imię Boże gdzie oczy poniosą.

— Tem ci bardziej — zawołał kaszte-

łan — musicie gospodą stać u mnie... to darmo... albo się pogniewamy.

I zwrócił się z kortezją do panny Agnieszki.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł, byłaś mi tak łaskawą i przyjazną zawsze, iż teraz śmiem się do niej o istancję odezwać, mając nadzieję iż poprzeć mnie zechcesz u państwa stolnikostwa...

Panna Agnieszka na tak wyraźną do niej odezwę spłonęła cała.

— Ale jakąż tu wagę pośrednictwo moje mieć może? szepnęła skromnie.

— Wielką, wielką — przerwał gospodarz.

— Zresztą — dodała spuszczając oczy panna, i ja się lękam abyśmy panu kasztelanowi nie byli ciężarem.

— A! na Boga! — zawołał ręce załamując Żeliga — takżeście zapomnieli jakim mnie znaliście! Za kogoż to mnie macie! za kogo! Tak że się to czasy i serca wasze zmieniły, dla tego żeście mnie teraz majętniejszym i głośniejszym ujrzeli, niżelim się wam przedtem wydawał! Zaprawdę przyjdzie mi pożałować owych lat szczęśliwych, kiedym u was był Żeligą, przybłędą, a dziś, dziś, dorzucił smutnie, przeczytaliście dzieje moje, i ot już serce straciliście do mnie...

— Kasztelanie, nie mówcież tak — zawołał z kolei pan Marcin — kochamy was pewnie nie mniej ani gorzej jak w on

czas, ale wiemy co tobie od nas należy, a same życie twe i cierpienia więcej cię czyni dla nas niedostępnym, i szanownym niżeli imię i bogactwa.

— Już mówcie sobie co chcecie, a stanąć u mnie musicie.

— Co ja, z przeproszeniem starszych, przerwała pieszczona Justysia, to doprawdy tych ceremonij nie rozumiem.

— Ani też ja... — mruknęła chętnie potakująca matka (która o rękopiśmie nic nie wiedziała), juściż mężu kochanie, jeśli pan kasztelan taki grzeczny i łaskaw, to nam tam pewnie lepiej będzie...

Nie dokończyła, spotkawszy wzrok męża, który surowo jakoś na nią spoglądał, kasztelan tego dostrzegł i nagle osmutniał.

— Róbcie jak wam dogodniej — dodał z powagą, ale mi odmową uczynicie wielką przykrość, będzie to brak zaufania, i zbytni szacunek tego, co świat czci do zbytku, grosza i imienia. Ja zaś powiadam wam, że jako was kochałem i szanowałem wprzódy, tak gdyby na was królewstwo spadło i korona na głowę, serca bym nie zmienił pewnie.

— Kasztelanie dobrodzieju — zakrzyknął p. Marcin — nie krzywdźcie serc naszych, a zrozumiejcie szacunek z dobrej, a nie ze złej strony. Zresztą, co powiesz familji i przyjaciołom gdy spytają dlaczego stojemy u ciebie gościną?

— Powiem im — zawołał kasztelan —

oto są prawdziwi druhowie i rodzina moja, bo oni mnie przytulili gdym był ubogi, bez imienia, gdy posądzać mnie mieli prawo raczej o złą niżeli o dobrą przeszłość...

Nastąpiły uściski i rozczulenie powszechne, opierać się więcej nie było podobna; Barcińscy przystali, a chłopak w liberji sinej z żółtem siadł na koń, aby ich przeprowadzić do miasta.

W progu kasztelan rzekł im jeszcze:

— Nie o wiele wyprzedzicie mnie, muszę tylko pożegnać pustelnię moją, uspokoić się na duchu i pomodlić, chwila to w mem życiu stanowcza...

To mówiąc zwrócił się do p. Agnieszki kryjącej się nieco za Justysię i w rękę ją pocałował; poczuła że łzy miał na oczach, a głos którym mówił był drżący.

Tak nareszcie wyjechali i w milczeniu przebywszy niedźwiedzią bramę, dróżynę w dolinie, znaleźli się znowu w lesie szumiącym, jakby to co niedawno widzieli snem było. Barciński był zadumany, Marcinowa wzdychała, Justysia tylko żwawo szczebiotała rozweselona, na oczach panny Agnieszki łzy się kręciły, które ukradkiem ocierać musiała... i myślała w duchu:

— Spełzła ostatnia mojego szczęścia nadzieja, ostatnie miłości marzenie... takiem go kochała... rozstać się z nim muszę... O nie, nie wejdę w tę rodzinę nowego strapienia i boleści, nie chcę mojego dobra okupywać ofiarą

drugich... nie, ja nie mogę pójść za niego. I żal chwytał ją za serce, gdy pomyślała, że roztać się z nim na zawsze będzie potrzeba, nieswidzieć go nigdy, oddzielić się, nie słyszeć o nim, wyrzec się jedynego na świecie przyjaciela.. Ale duma niewiasty walczyła z miłością kobiecą, wolała się poświęcić, niż jego poświęcać dla siebie. Straszliwe owe sceny o których czytała, przychodziły jej na pamięć, — czyliż się teraz na inny sposób odnowić nie mogły?

Łzy połykała strapiona, ale niemi coraz umacniała się w przekonaniu, że odmówić mu było jej obowiązkiem. Barciński, nie chcąc trapić żony i opowiadać przy córce tych krwawych dziejów, milczał posępny. Napróżno ożywiona tą podróżą Justysia ciągle wyglądając zwiastowała im nowe widoki, p. Marcin ani spojrzał, aż się nareszcie kolasa wtoczyła w bramę wspaniałą pałacu przy Krakowskiem-przedmieściu.

Na owe czasy był ten gmach okazały i piękny, kratą i podwórcem oddzielony od ulicy, architektury prostej i zarazem poważnej, bez zbytnich ozdób, których gdzieindziej w owym wieku nie szczędzono.

Służba liczna w barwie sinej z żółtem, natychmiast wysypała się na ganek, a marszałek przodkujący jej, z wielkim respektem wprowadził państwa Barcińskich do przeznaczonego im apartamentu, tem milszego dla nich, że im wieś nieco przypominał.

Był bowiem położony od ogrodu; ów ogród w piękne stare drzewa obfity, z ciemnemi alejami i zieloną łąką ciągnął się ztąd aż do brzegów Wisły, którą po za domkami rybaków widać było wspaniale szerokiem płynącą korytem.

Widok z okien, przez drzew zwieszone gałęzie, na wodę i lasy był bardzo piękny.

Pokoje wspaniale przybrane zdawały się oddawna oczekiwać na obiecanych gości, tak wygodnie dla nich urządzone były i zaopatrzone we wszystko, co im miłem być mogło.

Zdziwiła się nieco i zafrasowała razem panna Agnieszka, gdy marszałek dworu, mąż już podżyły i znać zaufany kasztelana, ukazał dla niej nie pokoik skromny jakiego się spodziewała, ale cały apartament osobny, zbytkownie urządzony i ze wszystkich może najwykwintniejszy.

Odmówiła mu więc wręcz, prosząc o skromniejsze pomieszczenie, ale marszałek z uszanowaniem oświadczył, iż w niczem woli kasztelana zmienić nie może i prosi, aby do przybycia jego i rozmowy z nim, przeznaczone sobie pokoje objąć była łaskawa.

Justysia, ciekawe ptaszę, pierwsza zaczęła biegać po wszystkich kątach, zaglądać wszędzie, pytać naiwnie o wszystko, nie mogąc się wydziwić i nacieszyć pięknością pałacu. Odkryła ona swą przenikliwością dziewczęcą w pokojach cioci Agnusi mnóstwo

jakby naumyślnie poznoszonych tam sprzętów, które rozmaitym jej gustom i przywyknieniom odpowiadały. W jednym stała ogromna mosiężna z kanarkami klatka, w drugim kwiaty niemal takie, jakie na oknie w Barcinie, tylko jakoś bardziej pańsko wyglądające, dalej krosna przy oknie ze wszystkiemi przyborami do roboty, a przy łóżku klęcznik wspaniały z oprawną w jaszczur książką do nabożeństwa. Na stole w sypialni misterne czarne szkatuły hebanowe, kością słoniową i bursztynem sadzone, nęciły okrutnie, bo też przy nich i klucze leżały, ale panna Agnieszka tknąć ich Justysi nie dozwoliła, która się napróżno skradała.

Pan Marcin pomrukiwał; po dworku w Barcinie pałac mu był za przestronny, za piękny czegoś, za pusty, radby był wynijść aby się gdzieś pod strzechą swobodniej roztasować.

Zaledwie się rozpatrzyli nieco w tych cudach, gdy marszałek dworu oznajmił im odwidziny siostrzeńca pana kasztelana, który w imieniu wuja pragnął gości powitać.

Justysia się mocno zarumieniła i spojrzała instynktowo ku zwierciadłu, ale w tejże chwili wpadł na próg znany nam już z noclegu w Wygodzie młody ów chłopak z rozpromienioną twarzą.

Był teraz taki strojny a tak inaczej piękny, że go tylko jedna Justysia poznała. Proste dziewczę powitało go też bez cere-

monij, po wiejsku, prawie po dziecinnemu z nieudaną i nieukrywaną radością, jak starego znajomego. Powitawszy rodziców i pannę Agnieszkę, gość się też do niej obrócił równie wesół i rad z bukietem, ktory trzymał w ręku.

— Oto pierwsze kwiatki warszawskie witają panią, ze strachem żeby się przy nowym kwiecie nie wstydziły... Mówiłaś pani, że lubisz kwiaty, pilno im było pokazać i pochwalić że brzydsze nie są od swej wiejskiej braci. — Ale czy będzie tu państwo dobrze? zapytał obracając się do Barcińskiego, który stał milczący pokręcając wąsa.

— Otóż nie, nie... szanowny mój wicegospodarzu, odpowiedział stolnik, nie... nie będzie nam tu wcale dobrze... A wiesz dla czego? ot dla tego, żeśmy my do strzechy słomianej, do skromnego szlacheckiego dworku przywykli, że nas te wspaniałości zawstydzają i straszą. Myśmy żyli całe lata długie w naszej chaeie ubogiej, obyczajem przywykliśmy do niej, jest to nasza rodzinna skorupka, do której przyrośilśmy wszystkiemi boki...

Młody człowiek zczerwienił się mocno, postrzegł się stolnik, że mu przykrość uczynił i począł go ściskać.

— Daruj pan weredykowi wiejskiemu— zawołał, takim Bóg gbura stworzył. Ale kiedy losy chciały, abyśmy kilka dni życia przebyli pod pańskiemi stropami, wyda się to

nam jak sen z jakiejś bajki, który przypomnieć będzie miło.

— Spocznijcież państwo — rzekł cofając się młody człowiek — pozwólcież w imieniu wuja powtórzyć prośbę, żebyście się uważali jak u siebie.

To rzekłszy w koło pożegnał wszystkich, i jeszcze się obróciwszy do Justysi, która patrząc w bukiet pełen róż, uśmiechnięta wdzięcznie sama jak róża spłonęła, rzekł wesoło:

— Pozwolisz mi pani być swym ogrodnikiem... póki gościsz w Warszawie?

Nie było czasu na odpowiedź, bo Barcińska gdyby zaraz nie wyszedł, możeby go była po macierzyńsku uściskała, stary tylko pot z czoła obcierał, ale mu było markotno widocznie. Chciał zaraz usiąść, i postrzegłszy aksamitem obitą kanapę, nie prędzej tego pozwolił sobie, aż na niej chustkę rozpostarł.

— Wszystko to nie dobrze, mruknął, ja tego nie lubię, młodzik mi coś bardzo do Justysi podjeżdża, a ta jak gapiątko cała ku niemu... nic potem! nic potem!

Justysia wybiegła z Agnieszką do drugiego pokoju szukać szklanki, w ktorąby swój śliczny bukiet zanurzyć mogła, swobodniej więc mogł gderać stary, bo sam z żoną pozostał.

— Słuchajno asińdźka... sama powiedz wcześnie Justysi, niech nie będzie głupią... To dziecko, nie wie co miejscy panicze,

gotowa się zadurzyć, a to na wierzbie gruszki, z tego nigdy nic nie będzie.

— A to czemu, jeśliby się sobie spodobali? — zapytała biorąc się za boki pani Marcinowa.

— Czemuż czemu? wiele by mówić o tem—odparł Barciński, dosyć, że i ja oświadczam asińdzce, że z tego nic być nie może. To są wielcy panowie, my chude pachołki, ja mojego dziecka na pozbycie ladajako nie mam. Pod temi złoconemi gzymsami rzadko szczęście mieszka... ot, wolę chatę.

— Słuchaj rybko, stanowczo odezwała się nie tracąc wcale fantazji jejmość, i ja wolę chatę, ale jak będzie wola Boża... to ją uszanuje.,. I jak ona postanowi o mojem dziecięciu, tak się stanie.

Barciński tylko splunął, ale zapomniawszy o posadzce i kobiercu, postrzegł zapóźno, że postąpił nieprzyzwoicie jak z sosnową podłogą w swym dworku, i z pokorą jął się błąd swój naprawiać, narzekając na pałace; na tem się też i rozmowa przerwała.

Wieczór już potem zszedł na cichej gawędce, ale Barciński poszedł do swego pokoju frasobliwy, i długo jeszcze wzdychał tam chodząc i modląc sie po cichu. Justysia i pani Marcinowa usnęły w różowych marzeniach, panna Agnieszka we łzach i niepokoju. W tych pokojach wielkich, pustych, jakiś strach ją ogarniał, zdawało się jej co chwila, że widzi po kątach przesuwające się

cienie mężczyzn i kobiece jakieś zakwefione postacie, dumne i groźne... ślizkie posadzki jakby świeżą krwią były pooblewane. W ciemnościach zarysowywały się na niej dusze pokutujące.

Było około północka, a panna Agnieszka próżno starając się przemódz jakąś trwogę, chodziła jeszcze po swoim pokoju, zamyślona głęboko, gdy do drzwi jej z lekka zapukano... W tej chwili obawa doszła do najwyższego stopnia, i już zebrała się krzyknąć, gdy z za lekko uchylonych podwojów ujrzała wchodzącą sługę, która na srebrnej tacce przyniosła jej list, wielką zamknięty pieczęcią.

— Najmocniej panią za śmiałość przepraszam, odezwała się służąca widząc jej trwogę — ale czuwając obok i słysząc, że pani się spać nie kładzie, myślałam że lepiej zrobię, gdy dziś przyniosę pismo, które dopiero rano miało pani być oddane...

To mówiąc popatrzyła, lekko się uśmiechnęła, postawiła tacę na stole i wymknęła się po cichu.

List leżał długo, nim p. Agnieszka dotknąć go miała odwagę, wreszcie przeżegnawszy się czytać go zaczęła. Był dosyć obszerny i znać już po wyjeździe Barcińskich z pustelni pisany, kasztelan przeczuł jakie wrażenie na stolniku i pannie Agnieszce spowiedź jego uczynić musiały, usiłował je rozprószyć, błaga-

jąc, aby mu dawną przyjaźń i zaufanie wrócili:

„...Uważałam — pisał w liście — żeś pani także zimniejszą, trwożliwszą była ze starym przyjacielem... dla tego spieszę się do jej serca zapukać, jak ów przed laty ubogi podróżny, któregoście w dom wasz tak gościnnie przyjęli... Za cóż byście teraz się mnie mieli wyrzekać? Małoż ja ucierpiałem? cóżem winien, że na mnie cięży przeszłość, której dwudziestoletnie łzy zmyć nie mogły? Będziecież mnie karać za grzechy, które Bóg przebaczył, każecież mi wyrzec się jedynego szczęścia, o jakiem marzę jeszcze, dla tego, że świat jest płochy i ludzie mają oczy skruszone...

Wiesz pani, jakiem się przywiązał całem sercem do waszego domu i do ciebie... wiesz, iż żyję tą nadzieją, że mi dozwolisz dozgonną nazwać się przyjaciółką... mam słowo wasze... Od wczoraj, widzę to dobrze, ulękłaś się nieszczęśliwego... trwożę się, ale szanować będę wolę twoją... nie żądam ofiary, bo sam potrafię poświęcić się... ale wiedz pani, że poprzysiągłem żyć z tobą lub umrzeć samotnym na pokucie w pustelni mojej...“

Panna Agnieszka czytała, płakała i wielka trwoga a niepokój wstąpiła w jej duszę... ale duma przemagała, i postanowienie odrzucenia ofiary kasztelana górę wzięło.

— Żal mi go niewymownie porzucić, mówiła w duszy — przywiązałam się do

niego, on do mnie, ale godziż się wnijść w tę rodzinę, aby za sobą wprowadzić nieprzewidziane nieszczęścia? Cóżby to było ze mną? Co on sam z mej przyczyny cierpieć by był zmuszonym? wstydzić się za wieśniaczkę... słuchać ich przekąsów z imienia nieznanego i ubóstwa,.. Nie, nie — powtarzała panna Agnieszka — Bóg tak chciał, byśmy się rozstali, on sam to uznać musi...

Ale mówiąc to płakała i czuła, że szczęśliwą nie będzie, iż nigdy nie odtęskni się po nim.

— Czemuż on nie jest jak ja ubogim? bylibyśmy tak szczęśliwi!

I wyrzucała sobie gorzko słabość swoją i łatwowierność, ale któż mógł pod tą szarą suknią domyśleć się wielkiego magnata, w pokornym Żelidze, sławnego imienia? Tem długi przeciąg czasu wszelkie w końcu zbijał domysły.

Nazajutrz rano, gdy Barcińscy zebrali się około śniadania, z wielką trwogą o porcelanę kosztowną na której było zastawione, bo stolnik cuda o cenach tego saskiego wyrobu rozpowiadał i wszyscy się bali dotknąć jej aby nie potłuc, wszedł na pokoje sam kasztelan z siostrzeńcem swoim, oba w paradnych strojach, przy szablach, z sobolemi kołpakami pod pachą, z gwiazdami na piersiach, jakby na królewskie szli pokoje. Na siostrzeńcu czerwona, u wuja ciemno-szafirowa pod kontuszem przezierała wstęga.

Stolnik starym szlacheckim obyczajem aż się uląkł tych luminarzów; ale pod aksamitnym kontuszem kasztelana i pod świetną wstęgą wynalazł się dawny Żeliga, który w ramiona potężne pochwycił go serdecznie, wzbraniającego się z uszanowaniem.

— Panie Marcinie, waść nie żartuj ze mnie, a tożem ja ten sam com włodarzył u waszeci, a u jejmości nieraz służył za szafarza, nie pognębiaj że mnie odpychając od siebie. Przyszliśmy z siostrzanem dziękować wam i jeszcze dziękować, boście mnie pogodzili ze światem, bom znalazł u was, czego Diogenes próżno w biały dzień z latarką szukał... człowieka.

Pani Marcinowej serce rosło, a na niej te splendory wielkiego nie czyniły wrażenia. Żeliga pozostał dla niej czem był, kiedy mu nieraz klucze do spiżarni dawała, aby ją wyręczył. Justysia też pozostała poufałem jego jak dawniej dziecięciem. Tylko Brciński i p. Agnieszka smutniejsi byli i widocznie pomięszani.

Pierwsze to jednak spotkanie z kasztelanem występującym w całym blasku, wesoło się odbyło, bo Barcińskiego niespodzianym sposobem ujął sobie. Szlachcic nie był bez pewnej odrobiny próżności, zmiarkował Żeliga, że przestraszonego i upokorzonego tą wielkością i pańskością podnieść potrzeba, postąpił więc sobie po ludzku, a może nie tyle przez rachubę jakąś ile przez wdzięcz-

ność. Wiedział, że niespodzianką, którą przynosił, Barcińskiego do siebie przywiąże i połechce.

Nie było naówczas trudno, umiejętnie chodząc, i u króla i w kancelarji, wyrobić order dla szlachcica majętniejszego. Kasztelan potajemnie przez Pinatolego postarał się o order S. Stanisława, dyplom i insignia oddano na jego ręce. Zdziwił się niepomału Barciński, gdy kasztelan po chwili wziąwszy z rąk siostrzeńca ozdobne pudełko, w te przemówił słowa:

— Przychodzę tu oprócz gospodarskiej powinności i przyjacielskiego obowiązku, jeszcze jako poseł J. K. Mości do JM. Pana stolnika. Znał oddawna najmiłościwszy pan, szacunek na jaki życiem prawem zasłużyłeś u całego ziemiaństwa, poznał bliżej cnoty jego z opowiadania ludzi wiarygodnych i *proprio motu*, chcąc okazać jak skromną a cichą ceni zasługę, przysyła na ręce moje dyplom i oznaki orderu św. Stanisława, które mam honor w imieniu króla złożyć nowemu kawalerowi i pierwszy mu tej łaski monarszej winszować.

— *Non sum dignus!* — zawołał — *non sum dignus!* wiem czyjej przyjaźni to winienem, a nie własnej zasłudze.

Marcinowa, Justysia, panna Agnieszka poczęła winszować ze łzami, Barciński istotnie był przejęty i zmięszany, i nie wiedział co już rzec, ściskając tylko kasztelana, ale

serce mu jakoś zmiękło i owe pańskie splendory mniej się strasznemi wydawać poczęły.

Nie dał też rozmowie ustać kasztelan i oddawszy przyjacielowi order, zwrócił mowę ku innemu przedmiotowi.

— Abyście waszmości po tych labiryntach warszawskich doktorów nie szukali — rzekł — dwóch tu najsłynniejszych już na dziś zamówiono dla panny Justyny, choć mi się wszystko zda, że młodość sama, ruch powietrze, rozrywka i bez nich ją uleczą. Zresztą lekarze niech mędrkują, a tymczasem bawić się, po ogrodzie biegać i zapomnieć trzeba o chorobie. Daleko jechać zdaje mi się że nie będzie potrzeby,

— A! dałby to Bóg, odezwał się pan Marcin wzdychając, bo to sekatura wielka dla domatora podróż w odległe strony. Przyznam się kasztelanie, że mi postrach awantur i niebezpieczeństw, zwłaszcza z kobietami jechać mającemi, spać nie daje. Człek, gdy bywalo z Chełma de Pińska ruszyć potrzebował, to się jak za kraj świata wybierał, cóż dopiero tam, kędy ani obyczaju, ani języka ani ludzi się nie zna?

Zamilkł i lżejsze nastąpiły pogadanki o tem i owem, naostatek gospodarz z siostrzeńcem umówiwszy się o przepędzenie dnia i rozrywki już uprojektowane dla gości, przeprowadzeni do ostatnich drzwi przez Barcińskiego, odeszli,

Domyśleć by się można reszty wyśmienicie, ale zwyczaj każe dopowiedzieć jak to było. Stało się jak łacno dorozumie każdy. Barcińscy zasiedzieli się nieco w Warszawie, dni spływały szybko, do widzenia było wiele, gospodarz uprzejmy, a nadewszystko lekarze oświadczywszy, że się bez podróży dalszej obejdzie, tak jakoś w mieście mimo to wstrzymywali, że można ich było posądzać o zmowę z kasztelanem. Przez ten czas wiele uprzedzeń znikło, trzymał się Barciński swojego ale coraz słabiej, stała przy postanowieniu panna Agnieszka, ale czekała tylko aby ją kto chciał nawrócić.

W parę tygodni po przybyciu, znowu któregoś rana wszedł wuj z siostrzeńcem w wielkiej paradzie do Barcińskich i odezwał się w te słowa:

— Nie mogę już dłużej ważnej dla mnie, bo całego mego życia sprawy zwlekać, przychodzę więc z pokorną prośbą do państwa dobrodziejstwa i panny Agnieszki, aby serca mojego ofiarę i rękę przyjąć raczyła. Nie obcesowo to czynię, myślałem nad tem długo, poznałem wysokie jej przymioty i uroczyście błagam was abyście mnie i prośbę moją poparli.

P. Marcinowa, której do śmiechu i do łez równie było łatwo, rozpłakała się, kasztelan po chwili ciągnął dalej:

— Ten zaś młodzieniec, przez usta moje jako najbliższego opiekuna i krewnego, do-

prasza się pozwolenia zasługiwania i starania o względy miłej panny Justyny. Niech się bliżej poznają, ocenią i przekonają czy szczęśliwymi być mogą.

— Panie kasztelanie dobrodzieju—rzekł Barciński — pozwól mi naprzód za honor rodzinie uczyniony podziękować, ale zarazem być otwartym, jak szlachcicowi przystało. Panie, miałeś w swej własnej rodzinie smutny przykład czem są, prędzej, później nierównych kondycyj małżeństwa.. Wielka to cześć dla nas i niespodziane szczęście, ale zważ też proszę jak niemi upokorzeni będziemy; ty nam przynosisz wszystko, my ci nic dać nie możemy.

— Serca! serca!— zawołał kasztelan — serca wasze złote, najdroższy skarb na ziemi. Mówicie po ludzku i po ziemsku panie stolniku, wedle świata ale nie podług Boga. Ceniciеż znowu tak bardzo te dary znikome, których zbytni szacunek krzywi pojęcia i tylu jest nieszczęść przyczyną. Bądźcie wyższymi nad to.

— Nie w naszej mocy tak wysoko się podnieść gdy tak nisko żyć musimy — rzekł Barciński. — Panie kasztelanie błagamy cię, odstąp od twojego zamiaru, szukaj bliżej siebie towarzyszki życia sobie i zacnemu siostrzanowi swojemu.

— A pani — spytał z wyrzutem niejakim zwracając się do panny Agnieszki ka-

sztelan, pani za mną i dla mnie nie zechcesz rzecz słowa?

— Panie, cóż mam innego powiedzieć nad to coście słyszeli?

— Chcieliżbyście nieszczęścia mojego? spytał gospodarz smutnie. — Nie! nie! zlitujcie się nademną, bo powiadam wam i przysięgam tu uroczyście, że albo p. Agnieszka będzie żoną moją, lub — żadna.

Wszyscy zamilkli, p. Agnieszka jeszcze z listu kasztelana o jego postanowieniu wiedziała.

— Macie tedy czas do rozmysłu nad losem moim — mówił dalej kasztelan, gdyż żadna moc ziemska ze słowa raz danego rozwiązać mnie nie potrafi. Co się tyczy mego siostrzana, — dodał spoglądajac na mocno zarumienioną Justysię, spodziewam się że mu czas dacie i sposobność aby się wam lepiej dał poznać.

To rzekłszy mocno poruszony pocałował w rękę pannę Agnieszkę i wyszedł prędko.

Barciński stał z razu jak słup z rękami założonemi, milczenie trwało długą chwilę, aż p. Marcinowa pierwsza wstała —to była kobieta prędka i serdeczna.

— No, o Justysi nie ma mowy — rzekła — na to jeszcze dużo czasu, ale co do Agnusi, jak Pana Boga kocham, oboje waszmość, choćby i ty Marcinie, słuszności nie macie. O sobie myślicie a nie o poczciwym

a nieszczęśliwym człowieku. Kochasz go waćpanna czy nie?

— Ale któżby go nie kochał? — odezwała się p. Agnieszka ze łzami.

— Tak, a siebie jezzcze więcej niż jego — mówiła pani Marcinowa — to ci się nie chce dlań nic uczynić, nic poświęcić, to ci twoja duma droższa niż jego szczęście?

— A dalipan ma rację! — rzekł Barciński — który już się słabiej coraz trzymał, tylko znowu...

— Cóż mi odpowiedzieć możecie? — pytała Marcinowa — więc się go boicie? więc mu nie dowierzacie?

— Ale rodzina! zawołał Barciński,

— Można nie zważać na nią, — odparła Marcinowa — przecież on, co cieniom matki krzywdy uczynić nie dał i żonie swej wyrządzić jej nie dozwoli. Albo go waćpanna kochasz to zań pójdziesz, albo nie... to ja sama iść nie życzę bo dla grosza lub śmiania się sprzedać rzecz nieuczciwa. Masz jak to mówią, wóz i przewóz.

Na ten raz rozmowa się przerwała, wzięto rzeczy do rozmysłu w milczeniu, ale już domyśleć się było łatwo końca.

Panna Agnieszka wahała się jednak długo, nim zgodziła się podzielić życie z człowiekiem, którego szczerze kochała. Cała rodzina kasztelana musiała, pierwsze czyniąc kroki i przekonywując ją że nie miała uprzedzenie, prosić aby przyjęła jedno z najpię-

kniejszych imion starych, w zamian za swe skromne imię szlacheckie. Tymczasem Barcińscy przekonawszy się, że podróż dla ukochanej córki ich nie była koniecznym przyjścia do zdrowia warunkiem, zabawili tylko dłużej w mieście, a siostrzan kasztelana skorzystał z czasu by się zbliżyć do Justysi.

Poznanie też lepsze tego świata, do którego wnijść miała, odjęło pannie Agnieszce zbytnie o przyszłość obawy.

Nie wydał się on jej rajem, ani idałem, ale wielce podobnym przy zmienionych nieco proporcjach, do mniejszych rozmiarów świata, w którym ona żyła. Przekonała się, że wnosząc z sobą w te sfery poczciwe zasady, niewzruszoną cnotę i męztwo, i w nim wyżyć było można. Raziły ją obyczaje; śmieszyły ceremonje, dziwacznie wydawały się formy, ale oswajała się z niemi, pocieszając tem, że zamknięta w domu żyć może, nie rzucając we wrzawliwy żywot miejski, do którego kasztelan ani ona pociągnioną się nie czuła.

Wszyscy powoli oswoili się nieco ze stolicą; jeden p. Marcin był w niej zawsze obcym i stęsknionym za wsią swoją. Chodził wprawdzie po miejskim bruku, ale duszą i myślą ciągle był w Barcinie, a nieustannie go sobie przypominał. Padał li deszcz, pan Marcin obrachowywał zaraz czy on pomocnym być mógł gospodarstwu czy szko-

dliwym; każda data i święto przywodziły mu na pamięć zajęcia wiejskie.

— Ciekawym też — odzywał się do żony — czy już len posiali? czy też owieczki postrzyżone?... A jak tam żyto kwitnie?... otóż deszcz na sam kwiat; gotowi się przypóźnić z sianokosem itp.

Listy odbierane z domu zawsze go na jakie parę dni niepokoiły, chodził i stękał, jak tam sobie dadzą radę bez niego, i bez czujnego gderania.

Przypomniało się też stado ilekroć lepsze konie zobaczył; żal mu nawet było że kilka z sobą młodzieży nie przyprowadził do Warszawy, aby się też popisać. Gdy już wesele panny Agnieszki z kasztelanem postanowione zostało, a ślubne zaprzęgi miano sztyftować, Barcińskiemu przyszła myśl ofiarowania czterech siwoszów kasztelanowi; napisał zaraz w sekrecie do domu, aby mu je wnet przyprowadzono nie męcząc, wiodąc w rękach, rankami i wieczorami, unikając upału. Czwórka, którą wyznaczył sam, była w istocie znakomicie dobrana i bardzo piękna, cboć konie nie zbyt rosłe. Niepokojąc się oczekiwał na nią stolnik, a gdy nareszcie znać mu dąno że nadeszła, gdy ją kazał odprowadzić do stajen pańskich, pokrywszy czerwonemi kapami, chodził tak niespokojny znowu o wrażenie, jakie szkapy jego uczynią w Warszawie, jakby nie o reputację stada, ale o jego własną chodziło. Sczęściem

konie w istocie bardzo piękne, powszechny aplauz zyskały, podobały się wszystkim, kasztelan przyjął je z wdzięcznością, stolica przez dni kilka o nich tylko mówiła, w gazecie nawet wzmiankowano o Barcińskich stadzie, a numer ten stolnik sobie zachował, włożywszy go w książkę od nabożeństwa.

Po zwłokach różnych, panna Agnieszka nareszcie oddała rękę przyjacielowi, którego pokochała ubogim; ale ślub odbył się po cichu na wsi, a zaproszono nań tylko kilka osób z rodziny i przyjaciół. Państwo młodzi zaraz potem do dóbr swych, na Ruś wyjechali, a Barcińscy do domu. Justysia też cudownie ozdrowiała, przed wyjazdem oświadczył się o nią formalnie siostrzeniec kasztelana i został przyjęty. Marcinostwo choć ślub odwleczono na pół roku, spieszyli do domu, aby godnie nowej kolligacji wystąpić. A tyle było do zrobienia! Dom, służba, przybory, wszystko dla znakomitych gości potrzeba było wyporządzić na nowo, stroić, ładzić, zaprowadzać. Pani Marcinowa odżyła przy tej pracy, ale Barciński trochę leniwy skwaśniał i postarzał, bo się do zbytku kłopotał o swą szlachecką sławę, pamiętając na stare przysłowie: zastaw się a postaw się.

Ale to było dla jedynaczki... drugiego też wesela już nikomu sprawiać nie mieli.

A gdy młodzi potem wyjechali z Barcina, przy huku moździerzy pożyczonych od księdza proboszcza z kościoła (strzelano z nich

na rezurekcję tylko), opustoszało po nich i bardzo posmutniało. Marcinowa siadła w oknie płacząc, i długo łez otulić nie mogła. Agnieszka i Justysia pisywały często; obie też odwidzały Barcin gdy mogły... a wówczas przynosiły z sobą radość wielką. P. Marcin pogodził się nawet z Boguszem, aby mieć kogo w słotny czas do marjasza, i Achingera odwidzał, choć u niego w domu zaszła nadzwyczajna zmiana, na którą koso spoglądano.

Achinger bowiem ożenił się, a co najgorzej, ożenił się z prostą chłopką. Napróżno zjeździwszy dwory do koła, odepchnięty wprawdzie wszędzie gdzieby był życzył się zbliżyć, kuternoga wybrał sobie z własnej wsi ładną i młodą dzieweczkę i mimo ogromnego larum, które podniosła familja, podziwu, śmiechu, urągań, poprowadził ją do ołtarza. Przebrana z sukmanki w do zbytku może wykwintne sukienki, młoda pani Achingerowa, bardzo piękna z twarzy, co jej wielce pomagało do przejednania niechętnych, niegorzej wyglądała w pokoju bawialnym na kanapie, od pań innych które nosem na nią kręciły. Czuć było w niej pomięszanie, zakłopotanie, zbyt często rumieniła się może, czasem jej słowa dobornego zabrakło, niekiedy biegła spłoszona kryć się do bokówki, ale jednak rady sobie dawała niezgorzej, a Achinger kochał ją niezmiernie i przysiągł się że był najszczęśliwszy z ludzi. Tylko

z sąsiadami ciężka była sprawa. Pani Achingerowej nie chciano z razu nigdzie przyjmować, w kościele choć w drugiej siedziała ławce i tam często albo miejsca brakło, albo nikt przy niej siąść już nie chciał. Achinger dużo miał jak powiadał szczęścia, ale i zgryzoty nie mało z tego heroicznego małżeństwa.

Postarzał też prędko, posiwiał i piękna Rózia zupełnie nim owładła, opowiadano dziwne rzeczy, ale też wszystkiemu wierzyć się nie godzi.

Pożycie kasztelana z żoną było szczęśliwe ale krótkie: osierociwszy dwoje dziatek, poszła kasztelanowa po nagrodę na świat lepszy za doznane strapienia i przerwane szczęście. Z historji Żeligi potworzyły się bajki dziwne, a Panie Kochanku, kuzyn kasztelana, opowiadał potem o samym sobie, jak służył za kuchcika u pana Gałeckiego...

Wszystkich tych powieści początkiem był ów pobyt kilkoletni pokutnika w Barcinie, z którego się opisane przez nas nawiązały wypadki. Na starość p. Marcin miał zwyczaj, złapawszy gościa tysiące szczegółów o Zelidze opowiadać, i trafiało się, że nieraz dni kilka miał o czem mówić, coraz sobie coś nowego przypominając. Wiedzieli już wszyscy jadąc do Barcina, co tam ich spotka, stolnik bowiem nabrał takiego nałogu do prawienia dykteryjek o kasztelanie, iż nie

było przedmiotu, z którego by asumptu nie znalazł do swoich powieści.

Powtarzali je potem, dodając potroszę swego ludzie, a co się z tego za historje potworzyły, domyśli się każdy, kto kiedy śledził jak to się powoli wspólnemi siły urabia podanie, stroi, przykrawa do ducha i myśli czasu, aż w postaci nowej z prawdy rzeczy i z prawdy ducha, prawdą później wyrośnie.

Koniec części pierwszej.

Część druga.

Są ludzie, których dola w szczególniejszy doświadcza sposób, i jak na miękkim piasku u brzegów morza fale nie biją, a o skały tłuką rozwścieczone bałwany, tak właśnie z ludźmi się dzieje i słabym życie uchodzi spokojniej. Silniejsi są do walk stworzeni, nie oszczędza im też bojów przeznaczenie.

Ledwie się wydobyli z jednego niebezpieczeństwa, już oto drugie nadchodzi; ledwie zapragnęli spoczynku, wnet potrzeba do nowych stawać zapasów, gdy zapragną śmierci, szyderski los uzbraja ich w nowe do życia siły.

Zdawało się panu kasztelanowi przebywszy lata długie w utrapieniu, osamotnieniu, pokucie, na wygnaniu, że nareszcie dościgniętego dziwnym trafem szczęścia i pokoju miał kosztować. Usunął się był prawie od dworu i wyższego świata, upatrując w nich dla siebie niebezpieczeństwo; po ożenieniu z panną Agnieszką zamieszkał na wsi, otoczył drużyną małą, a pilnie wybraną, i pragnął tylko aby w miękko usłanem gnieździe mógł bezpiecznie dożyć końca.

Ale czara nie była do dna wypitą. Szczęście miało chwilowem być tylko wytchnieniem.

Urządzało się wszystko na długie lata, obiecywało trwać jakby naumyślnie dlatego, by tem krwawszy zawód uczynić.

W pierwszym roku pożycia, pan Bóg pobłogosławił synem, w drugim córką. Ale wkrótce po przyjściu na świat, matka poczuła się słabą i mimo szczęścia, dostatku i pokoju domowego gasnąć poczęła, a niedługo cierpiąc rozstała się z tym światem uśmiechnięta do lepszego.

W niemej rozpaczy, ale z żelazną siłą, wytrwał ten ból, najcięższy ze wszystkich boleści ziemi rozstania się z najmilszą istotą, Bo choć silną jest wiara, choć ufa się Bogu i niebu, zawsze pożegnać towarzysza doli, widzieć go uciekającym w nieznane krainy, z których nikt z wieścią nie wraca, jest okropnem dla serca. Pustką staje się świat niezrozumiałą, dziką, z której by się także wynijść chciało, lecz wrota stoją zawarte, samotnie usiąść pod niemi trzeba i czekać i płakać.

Dwie kolebki, dwie główki dziecięce wzywały do życia, ale starszy synek przyszedł na świat słabiutki i wielką miłością matki utrzymywał się tylko przy życiu; córeczka zdawała się silniejszą, lecz zatęskniła za matką.

Postawiono naprzód trumienkę jej przy

matczynej w kościelnych sklepach. Żeliga nie odstępował już syna. W rok dzieciak usnął na jego rękach snem wiecznym. Czarny smutek nim owładnął.

— Zlem uczynił — powiedział sobie w duchu — żem się woli Bożej chciał opierać; otóż owoce, więcej boleści, i czarniejsze resztki żywota, i trzy trumny przy których wiecznie łzy płynąć będą.

Dowiedziawszy się o nieszczęściu przyjaciela i dobrodzieja, pan Marcin z Barcina pospieszył do niego po śmierci syna, choć mu podróżować nie było łatwo. Ale zastał go na poły tylko żywym, pogrążonym w żałobnej sukni, a tak straszliwie milczącym, iż się słowa z niego dopytać nie było można. Uścisnęli się, popłakali, usiedli, i rozmowa uboga nie dała się i kilka minut przeciągnąć, niestawało do niej wątku; trudno było wynaleźć taki przedmiot, któryby o drażliwą nie uderzył strunę.

Dnia następnego nie było lepiej, a i Barciński nie nawykły do takiej żałoby uczuł ucisk na sercu, ale myślał że to przejść powinno. Czwartego ani piątego jednak dnia, na Żelidze żadnej nie dostrzegł zmiany, a dopatrywał tylko coraz groźniejszych znaków jakiejś twardej, niepożytej niczem boleści, która się w sobie zamykała, aby jej ludzie tknąć nie śmieli.

Żal mu się zrobiło kasztelana, żeby mu tak marno ginąć nie dać; ale stolnik był

człowiekiem niezwykłym, nie umiał po nowych drogach szukać na stare choroby lekarstwa, i nie umiał nic tak dalece wymyślić. Łamał głowę, trafiał zawsze na bardzo pospolite środki, szukanie dystrakcji, pracę, modlitwę itp.

Trapiło go to że w głąb duszy Zeligi zajrzeć nie mógł, nic o sobie mówić mu nie chciał, planów na przyszłość uie czynił, zdawał się wlec aby dalej, wyrzekłszy się wszystkiej woli względem samego siebie; tem bardziej więc przyjaciel powinien był o nim myśleć.

Rezydencją kasztelana był stary dwór pański, na nowo z przyczyny ożenienia restaurowany, i urządzony z wielkim przepychem; ale tu co krok przypominała się przeszłość boleśnie. Stolnik więc naprzód osądził, że go ztąd koniecznie wyciągnąć potrzeba, ale obawiał się razem by do owej pustelni, w której lat tyle przeżył uciec nie chciał, bo by się tam pewnie na resztę dni do końca życia zagrzebał. Nie łatwo więc było wspomnieć mu nawet o wyjeździe.

Było to w lecie. Przy starym dworze ogród był także dawny, w ulice starożytne sadzony, z pięknym na końcu widokiem na szeroki, wspaniale płynący Styr. Po za rzeką ogromne się ciągnęły bory. Część znaczną dnia spędzali z panem kasztelanem na przechadzce po tych ulicach, milczący oba; czasem przysiedli na ławie. Zeliga podparł się na dłoni i dumał, ale na dłuższą

rozprawę wywabić go nie było podobna, a gdy się Barciński rozgadał, uważał, że choć go słuchał, nie wiedział o czem była mowa, i zdradzał się pytaniem nieforemnem. Myśl jego była gdzieindziej.

Znaczną część dnia spędzał Żeliga na modlitwie przy klęczniku u siebie lub w kaplicy dworskiej; co drugi i trzeci dzień jeździł na cmentarz. Barciński wychudł i posmutniał także, nie mogąc w tym smutku wytrwać dłużej; ale z temperamentu i obyczaju uważał sobie za obowiązek starać się o przywrócenie do trybu zwykłego życia.

Szczęściem nadjechał staruszek O. Ignacy; nim się jeszcze z kasztelanem zobaczył, stolnik go porwał do ogrodu, opisując mu stan duszy i umysłu kasztelana, i prosząc usilnie o radę. Nie tail się i z tego, że się obawia aby do pustelni wrócić nie chciał. O. Ignacy wysłuchał skarg cierpliwie, ale ani się zdziwił, ani zniepokoił.

— Mój stolniku — rzekł — inaczej być nie mogło, każde mizerne szczęście ziemi, człowiek odchorować musi i odboleć, nie jest ono tu przeznaczeniem naszem. Godzę się z waszmością, że ludzie światowi obowiązki względem świata mają, chociaż po bożych... jednakże gdyby się życie kasztelanowi sprzykrzyło wielce, a chciał zakonnego pokoju skosztować... możnaż mu tego bronić?

Właśnie tego najwięcej lękał się pan

stolnik i temu zapobiedz usiłował; jął więc dowodzić jak jeszcze Żeliga światu i Bogu na świecie mógł być wielce użytecznym.

Wszystkich tych argumentów wysłuchał ksiądz tak, jak by je znał oddawna; westchnął, uśmiechnął się i nic już nie odpowiedział tylko:

— Uczyni się stolniku kochany, co sumienie każe, co Bóg dozwoli i natura ludzka dopuści.

Niespokojny jeszcze Barciński napisał do siostrzeńca i do Justysi aby z nim razem przyjechała do Kniażej. Tak się zwała rezydencja pana kasztelana.

Ale oni z listem się rozminąwszy nadjechali, bo już i bez niego postanowili wuja odwidzieć. Radość Barcińskiego była wielką, a nawet kasztelan się na chwilę ożywił, ale wprędce zebrało mu się na łzy i wyszedł, a gdy wrócił po nich, był tak ciężko strapiony jak przedtem. Szczebiotanie Justysi, jej uśmiech, nieco mu jednak zdawały się słodzić boleść, mówił z nią więcej, przymuszał się nieco dla niej, i przyjazd ten zdawał się bardzo dlań pożądanym.

Staremu uśmiechało się w Justysi wspomnienie szczęścia i to życie rodzinne, do którego człowiek jest stworzonym, a gdy mu go niedostaje, niezapełnioną w sobie czuje próżnię.

— Już go ztąd nieodmiennie wyrwać muszę — rzekł stolnik — bądź co bądź, jak

się tu zasiedzi ztetrycznieje w niwec. A nigdzie mu nie jechać tylko do mnie, do Barcina.

— Ale w Barcinie to mu się biedna kasztelanowa przypomni jeszcze bardziej — rzekła Justysia.

— Jest to prawda — odparł stolnik — wszelako nie tak bolesna tam pamięć jak tu, gdzie z nią żył i gdzie go nieboszczka osierociła.

Postanowiwszy wyciągnąć kasztelana, jak mówił Barciński, czemu się O. Ignacy już nie sprzeciwiał, zaraz po objedzie począł o tem rozmowę.

— Mój poczciwy stolniku — odrzekł na pierwsze słowo kasztelan bez niecierpliwości i zdziwienia — co mi to pomoże gdzie ja będę? Noszę smutek w sobie i poniosę go z sobą choćbym za kraj świata powędrował. Tego co w człowieku jest, pozbyć mu się nie łatwo. Co to tam zresztą znaczy czy mi trochę gorzej czy lepiej... życie tak czy inaczej skończyć się musi, nie jest długie, znieść je potrzeba.

— Więc jeśli tak, to się też dla nas kasztelan namówić dozwolisz i pojedziesz z nami.

— Zechcesz, to pojadę wreszcie — odpowiedział Żeliga — ale wy ze mnie ciężar mieć będziecie, nie pociechę, a mój smutek z was resztę waszego poczciwego wesela wyssie.

Zdobywszy przyzwolenie, ucieszony stolnik, ucałował kasztelana, ruszył z dobrą nowiną do córki i odżył. Szło o to, aby zamiar jak najprędzej przyprowadzić do skutku. Kasztelan się nie opierał, dozwolił dzień wyjazdu naznaczyć, dał się rozporządzac siostrzeńcowi, sam do niczego się nie mięszając, dłużej tylko na cmentarzu przesiadywał dni ostatnich.

O. Ignacy wcale nie był wyjazdowi przeciwnym; cicha to była radość, ale wielka w tem kółku przyjaciół, którzy się wiele spodziewali po zmianie miejsca, towarzystwa i wyrwania się z koła żałobnych pamiątek.

Zdziwił się mocno stolnik, gdy rano przed odjazdem, kasztelan wyszedł do nich, wprawdzie w żałobie ale tym krojem zrobionej i tak niepoczesnej jak chodził w Barcinie, gdy był owym milczącym i pokornym Żeligą.

— Proszęż was — rzekł do Barcińskiego — mój panie Marcinie, nie nazywajcie mnie inaczej jak Żeligą, nie miejcie za kogo innego, zapomnijcie o tym nieszczęśliwym kasztelanie. Mnie z tem może lżej będzie. Lekką mi była u was pokuta, dobrowolnie ją znowu biorę na ramiona.

Dano znać przodem pani Barcińskiej, że kasztelan przyjeżdża, ale przestrzeżono zarazem, żeby mu innego mieszkania nie przygotowywano, tylko to, które miał w oficynie i żeby

żadnego dłań nie czyniono występu na przyjęcie bo tego wyraźnie żądał.

Droga przeszła w milczeniu, uważano wszakże, iż Żeliga był mniej w sobie pogrążony, częściej przemowił, uważniej się przysłuchiwał; Barciński nabrał wiele otuchy.

Siostrzeniec kasztelana był zmuszony udać się do stolicy w pół więc drogi ich pożegnał, a Barciński z Justysią przeprowadzili go sami.

Wieczorem jakoś przypadł przyjazd, w ganku przyjęła ich zapłakana pani Marcinowa, powitanie było milczące, do wieczerzy nie siadł nawet kasztelan, wyszedł do ogrodu i pod znajomemi drzewy do północy przesiedział.

Następnych dni mało się co zmieniło. Justysia była mimowolnie wesołą, latała po wszystkich kątach, witała znajomych, opatrywała czy jej co nie zginęło, dziwiło ją dziecinnie i cieszyło po dziecinnemu co jej się zastarzałem, innem wydało teraz, niż dawniej. I matka odżyła przy niej, a potroszę ojciec, który tylko pilnie i troskliwie miał oko na Żeligę.

Od pierwszego wieczora Żeliga przeniósł swój tłumoczek do pokoju w oficynie, nie można było nawet prosić żeby mieszkanie zmienił.

Z soboty na niedzielę późno już, bo około północy, Barciński się był spać układł i drzemał, gdy posłyszał pukanie do drzwi.

A że się mu na sen zbierało i w pierwospy go to zbudziło, począł gderać z pod kołdry sądząc, że kto z domowych niepotrzebnie mu przeszkadza do snu. W tem wszedł Żeliga wiedząc że Barciński był sam.

— Daruj mi, kochany przyjacielu — rzekł — alem cię musiał przyjść i zbudzić. Stało się ze mną coś tak dziwnego, zaprawdę, że aby oprzytomnieć i pochwycić zerwaną nitkę życia, musiałem szukać żywego i przytomnego człowieka, którym mi ją nawiązać dopomógł.

— Cóż to jest? — spytał chwytając się z łoża Barciński.

— Weź mnie za rękę, pomacaj pulsu, — zawołał Żeliga — przyłóż dłoń do czoła; powiedz mi szczerze, czy nie mam ja gorączki?

Barciński zdumiony uczynił co mu kazano.

— Przyjacielu, kasztelanie, — rzekł po chwili — cóż to tam jest takiego, ja cię widzę w zwykłym stanie.

— A ja się czuję przytomnym także, odpowiedział Żeliga, a przecież nie mogę uwierzyć, by na jawie mnie to spotkać mogło, co mnie przed chwilą spotkało.

— Ale cóż? co? na miłość Bożą? — zawołał stolnik zrywając się z łóżka.

— Gdy ci powiem, pomyślisz żem oszalał — smutnie dodał kasztelan.

Barciński się uląkł trochę.

— Czekajcie no, przerwał, wezmę co na siebie, wyjdziemy na ganek lub pod lipę, nuż tu kto nas podsłucha; jeśli to coś takiego dziwnego niech między nami zostanie.

Jak rzekł tak i zrobił natychmiast stolnik i przyodziawszy się pociągnął z sobą Żeligę pod lipę. Milczący siedli tu na ławie.

Kasztelan mu rękę położył na ramieniu.

— Wiem to — odezwał się powoli, — że Bóg cuda czyni i że to co powszednie życie stanowi, nie zamyka wszystkiego żywota w sobie... Jednak nie pojmuję dlaczegóż bym ja miał cudu doświadczyć.

— Ale już mów kasztelanie co się stało, bo i mnie ze strachu w głowie się miesza. rzekł Barciński.

— Nie ma temu i godziny — mówił zniżając głos Żeliga — moim obyczajem wyszedłem do ogrodu, w tę ulicę, po której nie jeden raz przechadzaliśmy się mile gwarząc z moją zacną świętą Agnusią. Jeszcze mi jej romowy w uszach tętniły a łza z oczów ciekła na te przypomnienie chwil, które nigdy nie powrócą nigdzie; boć i w niebiosach jeśli się duszy spotkają, to już inaczej. Szedłem tak zadumany i rozrzewniony gdy w drugim końcu ulicy postrzegłem postać niewieścią. Stała w blasku księżyca, nieruchoma; wydało mi się marą i przywidzeniem, żem w niej zdawał się poznawać moją Agnusię. Zrazu nogi podemną zdrętwiały, zrobiłem znak krzyża na piersiach,

począłem iść powoli, jak gdyby mnie tam ku temu cieniowi jaka siła ciągnęła niepohamowana. Włosy mi powstały na głowie, zimny dreszcz przebiegał po mnie, drżałem a szedłem, pchało mnie.

— I cóż znowu! to któraś z kobiet być musiała — zawołał Barciński.

— Słuchaj mnie waćpan do końca — ozwał się Żeliga. Mogę ci przysiądz na wszystko najświętsze że nie kłamię i nie dodaję nic. Im bardziej zbliżałem się, tem widoczniej ukazywała mi się postać nieboszczki. Nie znikała, nie poruszała się, nie bladła. Byłem już o trzy kroki, i w świetle księżycowem widziałem jej twarz smutną ale do mnie uśmiechniętą. Tu mi siły zabrakło, upadłem na kolana. Cień ów ruszył się, jakby wiatr powiał nim i poczułem podaną mi dłoń zimną, tak jak oto czuję że was dotykam.

Barciński się przeżegnał ze strachu.

— Gdybyś to nie waszmość panie kasztelanie mi mówił, istotnie nie wierzyłbym.

— Nie gniewałbym się na was, gdybyście i mnie uwierzyć nie chcieli — dodał Żeliga — ja sam zaledwie swej pamięci wierzę. Za dotknięciem jej dłoni wstałem lecz chwiejąc się patrzałem na nią tylko, ona też na mnie, nareszcie ozwała się:

— Dlaczegoś mnie z grobu żalem swoim wywołał? Nie płacz po mnie, z dwojgiem aniołów moich i twoich, mieszkam tam gdzie wiekuisty pokój panuje.

Barciński ze złożonemi rękami słuchał przelękły i drżący.

— Dla czego wy ludzie małej, słabej wiary — mówiła po cichu ale własnem głosem, płaczecie po umarłych i tęsknicie za tymi, którym jest lepiej? Tam do nas aż dochodzą te jęki i żale, i bole. Nam milej, gdy nie zapominając o nas, nie wstrzymujecie się dla nas na drodze. Między światem żywych i światem umarłych a żyjących jest przepaść nieprzebyta; co wasze życie przy żywocie naszym? Tyś duchem czysty mężu mój ziemski i przyjacielu jedyny ja ciebie kocham, ale nie tą miłością ziemską, wyłączną; ja ciebie kocham, bo kocham wszystko, bo żyję miłością, w miłości, bo miłość jest naszem życiem, bytem, istnieniem, wszyscy są jednem i w jednem...

— Powtarzam to niemal co do słowa, mówił Żeliga, bo pamiętam każdy wyraz. Nie śmiałem ust otworzyć aby jej odpowiedzieć, ona ciągle szeptała mi wdzięcznym, anielskim głosem dziwne objawienie.

— Wy i waszego — mówiła — i naszego nie rozumiecie życia, wyście biedni, ale też was ratować potrzeba i trzymać, bo o swej sile iść wam trudno. Z kim jest duch Boży, niewidzialny, ten drogę widzi i idzie nią śmielej, kogo on opuści błąkać się musi.

— Towarzyszu mój — dodała — nim twoja dusza powróci na łono Boże, jeszcze

musi cierpieć i walczyć na świecie. Życie twe nieskończone, praca niedokonana, jest dusza biedna, która na ciebie czeka abyś ją wybawił od zagłady. Musisz żyć, kochać, cierpieć, męczyć się, być po waszemu szczęśliwym, a o mnie zapomnieć. Zeszłam aby ci to objawić, bo wiem że cię pokrzepię i ośmielę. Z niebios nie ma zazdrości, na ciebie czeka kobieta...

Na te słowa przerwałem milczenie zdziwiony i przelękły:

— Przysięgam ci, rzekłem—i dochowam przysięgi.

— Dochowałeś jej — odpowiedziała — jesteś wolnym. Jak śmiesz sprzeciwiać się woli Bożej? a jeśli jesteś potrzebnym, jeśliś wyznaczony do trudu, do szczęścia, do pokuty, do spełnienia wyroku, którego nie rozumiesz, bo sięga po za życie twoje, i po nad twe życie? duchu mój—mówiła ciagle— oto dla upewnienia kroków twych, dla oszczędzenia walki, zgryzot, niepewności, schodzę i mówię ci: Żyj, kochaj, zapomnij...

— Na te wyrazy — dodał kasztelan, rozdarło się serce moje, łzy miałem w powiekach, jęk mi i łkanie mówić nie dało. Postrzegłem tylko, że mi krzyż uczyniła nad czołem i jakby wiatr przewiał nad twarzą, ku której się schyliła. Duch zniknął.

Barciński milczał długo, Żeliga spuścił głowę.

— Przyjacielu — rzekł po chwili stol-

nik — nie jeden raz człowiek własnego widziadła staje się ofiarą, jabym sądził, że tu jedyne lekarstwo modlitwa i pilna na siebie baczność aby nie dopuszczać...

— Mój stolniku — odparł Żeliga, — przecieżbym przeciwko sobie nie marzył i to jeszcze takich dziwactw, których spełna nie rozumiem. Jestem przerażony i boję się bym nie oszalał.

— Ale cóż znowu panie kasztelanie — odparł stolnik — nie trzeba takich myśli przypuszczać. Bywają hallucynacje i widzenia złudne, ale im się człowiek bronić powinien, aby nie popadł w sidła złego ducha. Przyznasz mi kochany przyjacielu, że to widmo dziwne jakoś prawiło rzeczy przeciwko samemu sobie, coś mi w tem jest podejrzanego.

Kasztelan westchnął.

— Kiedym waszmości zaczął o tem opowiadać, wiedziałem już z góry, że to na was takie uczyni wrażenie, obudzi niewiarę, zrodzi wątpliwość; ale znacie mnie przecie, jestem człowiek trzeźwego umysłu, chłodny, nie przypuszczający fantazji.

— Lepiej o tem milczmy — rzekł stolnik cicho — ludzie by to wzięli na języki i coby z tego zrobili, Bog jeden wiedzieć raczy.

— Ja też to waszmości tylko dla ulżenia sobie powierzam *sub rosa* — odparł kasztelan — a co zresztą Bóg da, to da.

— I dodam jeszcze jedno — rzekł stolnik — jeśli waszmość, co być może, nie oprzesz się chęci przechadzki po tej uliczce znowu, weźże kasztelan mnie z sobą, niech ja będę, a ręczę, że się tym razem nam nie pokaże.

— No to idźmy jutro wieczorem, gdy księżyc tylko zejdzie, — żywo zawołał Żeliga.

— A jam gotów — rzekł stolnik — człowiek na swoich śmieciach śmiały, i nigdym się duchów nie obawiał. Pójdziemy.

Z tem się rozstali, a następny dzień upłynął cały w posępnem milczeniu; kasztelan był zamyślony dziwnie, stolnik zakłopotany. Biały dzień przypomnienia wczorajsze uczynił tak jakoś nieprawdopodobnemi, że o nich nawet mówić nie śmieli przed sobą.

Po objedzie tylko uważali dziwne jakieś szepty i tajemnicze rozmowy, wychodzenia, narady niespokojne pomiędzy Justysią a matką. Trzy razy wychodziły obie, powracały, a na ostatek pani Marcinowa kiwnęła na męża i wyprowadziła go do bokówki.

— Nigdybym jegomości z takiego dzieciństwa się nie zwierzała — rzekła — ale bo mi Justysia dziwnego napędziła strachu.

— No coż tam takiego? — spytał stolnik ruszając ramionami.

— Jakaś osobliwsza historja — rzekła zniżając głos pani Marcinowa — wystaw sobie jegomość: z rana poszła Justysia przejść

się do ogrodu, bo to ona codzień musi oblecieć wszystkie kąty. Wczoraj respektem tego, że kasztelan często się po ogrodzie przechadzać lubi, kazałam późno wieczorem dziewczętom powracającym z pańszczyzny przynieść w fartuszkach piasku i posypać ścieżki w ogrodzie. Dałam im za to chleba i sera na podwieczorek. Justysia swawolna ciesząc się tak ślicznie zagrabionemi ulicami, że na nich jeszcze stopa ludzka nie postała, wbiegła do alei. Ale cóż? oto w rogu gdzie się kończy szpaler, znajduje na wygładzonym piasku dwie malutkie stopy wyciśnięte, widocznie kobiece. Nic by to nie było dziwnego, ale ulica i od nich i do nich nietknięta, śladu żadnego, tylko męskie z jednej strony stopy. Zkądże się tam wzięły, z nieba spadły? Obok nich wyciśnięte stopy większe mężczyzny, które wychodzą od dworu. Ale te kobiece, dwie, raz tylko zdaje się stąpiły na piasek i dalej ich już nie ma nigdzie. Justysię to tknęło. Trzeba wiedzieć że choć moja noga nie wielka, a Justysi jeszcze mniejsza, wszystko to nie w porównaniu do tej stopy, którą podobno miała tylko Agnusia. Takeśmy się tem zmięszały, żeśmy chodziły, stare jej trzewiczki, które tu były schowane na pamiątkę, mierzyć z tym śladem, i co jegomość powiesz, akuratnie tak przypadły, jakby ona z tamtego świata...

Stolnik ofuknął się nie dając żonie dokończyć.

— I co mi wasani durzysz głowę takiem bzdurstwem! Kto to co podobnego widział! słyszał! urojenie, warjacja! Stopy dziewczyna jakaś pochodziła, dziecko może, bzdurstwo! głupstwa! Tfu! tfu! Przeżegnajcie się i dajcie mi pokój.

Pani Marcinowa obraziła się także.

— No to idź sam, zobacz, przekonaj się i nie gderz. Ja cię się radzę poufnie, a ty na mnie krzyczysz, sam nie wiedzieć za co i po co?

Stolnik się zmitygował i pocałował jejmość w rękę.

— No! no! zgoda bo, — rzekł — cicho, zgoda; znowu nie ma się tak czego gniewać! Ale ja tych duchów, aberacyj, baśni przy kądzielach nie lubię, od tego ludzie głowy tracą. Z tamtego świata pono nikt nie powraca, a my powinniśmy pilnować tego, co tu do czynienia mamy, na naszym; ot basta.

Nie przyznał się stolnik przed żoną, że po nim ciarki przeszły, ale poleciał zaraz cichaczem w ulicę, i przypatrzył się tym dwom stopom na piasku, poczem starłszy ich ślad nogą powrócił do domu, próżno usiłując umysł do równowagi przyprowadzić. Przy wieczerzy wszyscy byli milczący, stolnik sam opowiadał dykteryjki, ale niemi śmiechu na usta niczyje wydobyć nie mógł.

Stolnikowa z Justysią poszły się potem modlić, a kasztelan pociągnął gospodarza

pod lipę, gdzie prawie milczący przesiedzieli do wschodu księżyca.

Wieczór był cichy, noc zrazu ciemna, spokojna, prawdziwa chwila spoczynku, do koła milczenie snu nad kolebką dziecięcia; potem zszedł zwolna księżyc zarumieniony, jakby się zmęczył w drodze, lekki zarazem zerwał wiaterek, który liśćmi drzew poruszał i powoli rozjaśniać zaczęło. Długie cienie ukośne powlokły się pod pniami starych lip, a smugi srebrnego światła drżącego przekroiły pasami ciemności. W końcu alei szpalerowej, którą ztąd widać było, wyglądał wielki księżyc przecięty wąskim na pół obłoczkiem, jakby ze związaną głową.

— Chodźmy — odezwał się po cichu kasztelan.

W miarę jak stanowcza zbliżała się chwila, stolnik znacznie stracił ochotę towarzyszenia kasztelanowi. Te dwie stopy na piasku przyminały mu się w sposób nieprzyjemny, i byłby chętnie się cofnął, ale pokazać obawy nie chciał i po cichu powlókł się za kasztelanem, który szedł jak w gorączce.

Rzuciwszy okiem w ulicę, przekonali się prędko oba, że w niej nie było nikogo; księżyc podnoszący się z wolna oświetlał ją całą wzdłuż, a między nim a niemi ani gałązki nawet. Zbliżali się zwalniając kroku już prawie do końca szpaleru, gdy się kasztelan zatrzymał, stolnik drgnął mimowolnie, milczeli oba. Gospodarz już miał

usta otworzyć chcąc powiedzieć: a widzisz panie kasztelanie, gdy głos mu zamarł na wargach nagle, oczy stanęły słupem. Jakby chmurka leciuchna przesunęła się pomiędzy księżycem a niemi, odpadła ku ziemi, poczęła się dziwnie zgęszczać, i w oczach ich stanęła nareszcie postacią wyraźną niewieścią, pół przezroczystą, lekką, nie ziemską. Stolnik przecierał oczy, kasztelan posunął się żywo, niepodobna było go opuścić.

Poszli więc oba, ale Barciński nieco wolniejszym krokiem.

Byli już tak blisko, że nieśmiało podnosząc wzrok w tę stronę stolnik dostrzegł bardzo wyraźnie nieboszczkę kasztelanowę, ale osobliwszym fenomenem jakimś, przez nią widział razem jakby zamglony księżyc. Uśmiechnęła się.

Wiatr zaszeleściał w gałęziach dziwnie, stolnik drgnął, głos łagodny bardzo, miły, cichy, ale wyraźny mówił do nich.

— Nie ściągajcie mnie na ziemię, widok jej obudza tęsknotę, przypomina cierpienie... Czemu nie idziecie o własnych siłach, czyż my wam potrzebni, my co już tego przebytego żywota tak nie rozumiemy, jak człowiek dojrzały smutków i radości swojego dziecięctwa?... Mój miły. czyżeś mnie nie zrozumiał, czyżeś mi nie uwierzył? Czytam w duszy twej! Oburzasz się na mnie. Ale miłość ziemska jest wcale inną od niebiańskiej, jest zazdrosną, bo jest ego-

izmu pełną; dla tego gdym wspomniała kobietę, oburzyłeś się. My ztamtąd patrząc na was litujemy się nad wami. Tu dwie dusze tylko mogą się kochać, bo miłość wasza starczy zaledwo na jedno kochanie, tam kochają się wszystkie i wszystkie zarówno, i pragną na ziemi i niebie powszechnej, czystej, spokojnej miłości. Nie pojęliście mnie, bo miłość wasza nie jest czystą, kala ją to ciało, które na sobie nosicie, a które z niej czyni namiętność zwierzęcą, ohydną. Niech się twa dusza ukoi, niech serce twe się uleczy i czeka, masz jeszcze obowiązki na ziemi i nie zejdziesz z niej, dopóki ich nie dopełnisz. Gdy ci będę potrzebną, znijdę do ciebie z radą i pomocą...

Obłoczek drżał jakby go wiatr miał porwać lub rozprószyć w powietrzu. Kasztelan wyciągnął ręce ku niemu i stanął w miejscu znowu, ale już głosu słychać nie było, tylko jakby wyciągnięta dłoń spoczęła na jego czole i Żeliga pochylił się, ugiął, i padł na ziemię.

Stolnik poskoczył ku niemu, aby go ratować, lecz gdy z trwogą oczy wlepiał w widzenie, postać skinąwszy głową na pożegnanie znikła, a czysty, jasny rąb księżyca po nad gałęziami drzew pokazał się znowu i oświetlił aleję.

Z wielkiego wzruszenia kasztelan był zasłabł, trwało to jednak krótko, natychmiast odzyskał władzę i przytomność. Obaj ze stol-

nikiem, nie naradzając się nad tem co począć mieli, uklękli się modlić i zmówili Anioł Pański.

Nie mogąc do siebie wyrzec słowa jeszcze, noga za nogą, oglądając się, wysunęli się ze szpaleru. Dopiero gdy siedli na ławce pod lipą stolnik rzekł po cichu·

— Wracam *activitatem* kasztelanowi, ale jeżeli wiem co to jest... Ruszył ramionami. W życiu mojem nigdy mi się nic podobnego nie przytrafiło, i prawdę rzekłszy, miałem podobne historje za wymysły zabobonnych, którym się przy rozgorączkowaniu lada co przywiduje. Ale teraz no jużem głupi i Pana Boga chwalę.

— Kochany stolniku — odparł wzruszenia pełnym głosem kasztelan — są cuda, ale one się nie przytrafiają ani ludziom siedzącym za stołem przy kieliszku, ani liczącym grosze, ani tym co leżą w błocie, ani takim, co mają oczy by nie widzieli i uszy by nie słyszeli, tylko ziemski szwargot i brudy nasze. Nie zawsze jednakim jest człowiek, sami to przecież uznajemy; są chwile, w których jaśniej widzi, lepiej rzeczy rozumi, pojmuje wyraźniej, czemużby władze nasze nie miały się w nadzwyczajnych momentach podnieść aż do widzenia rzeczy niewidzialnych i wkroczenia w świat duchów? Któż nam zaręczyć może, iż one nas nie otaczają niewidome nam, wśród życia powszedniego? Sąć przecie narzędzia ludzkie spotęgowujące wzrok, z pomocą których

spostrzegamy to, co gołem okiem widzianem być nie mogło? dla czegoż by stan duszy nie miał dla niej, a przez nią dla ciała nawet, być takiem narzędziem? Potrzeba nauczyć się wierzyć i nie zdumiewać niczemu. Otaczają nas cuda, my je sami do swej miary obcinamy, bo się ich lękamy podobno więcej, niż pożądamy.

— Ja już milczę — odparł stolnik — oczy me widziały, uszy słuchały. Ale mój kasztelanie kochany — dodał — bądź co bądź ja się boję aby to między ludzi się nie rozeszło; kobietom głowy się pozawracają; Justysia i tak bardzo jest do przeczuć i wizyj skłonna, ja się tego obawiam dla niej. Żyjmy już powszednim chlebem, a wola Boża niech się stanie z nami.

— Podzielam twe zdanie — rzekł kasztelan, — nie ma potrzeby żadnej mówić o tem, ani kobietom ani nikomu w świecie. Ja czuję się o wiele teraz spokojniejszym, smutek i żal po Agnusi zostaną mi na zawsze, ale widzę jaśniej, że człowiek stworzony jest do pracy, wezmę się do niej. Zwierzę musiał Pan Bóg głodem i chłodem do roboty zaprządz, człowiek idzie do niej przez rozum znając w niej lekarstwo na wszelkie bole, obowiązek razem i rozkosz Od jutra zatem dawajcie mi co robić lub jadę i szukam pracy, bo mi ona jak chleb potrzebna.

— Nicbym ja przeciwko temu nie miał

— rzekł stolnik — ale kasztelanie na świeże wspomnienie smutków sam jeden jeszcze nie jedź, nic potem by to było. Znajdziemy jakieś zajęcie, księgi. Poszlę po pożyczenie, jeśli się zda, do Chelma, to mi tam bodaj bazyljański przeor nie odmówi, choćby furę przysłać.

— Na coż słać, ja jutro sam starym obyczajem jako Żeliga ruszę do Chełma i księgi sobie wybiorę. Inne mi przysle siostrzan z domu, a w oficynie miejsca i światła dosyć; rozpocznę notować historję domu, której też nam braknie. Wiem dużo tradycyj nigdzie nie zapisywanych od ojca, od krewnych; gotowa praca na dobry czas, bo to tam od kilkuset lat jest się w czem grzebać.

Wstali z ławki żegnając się. Barciński jeszcze poprowadził kasztelana do oficyn, a sam powrócił do swojej sypialni.

Dziwił się bardzo zastawszy w niej p. Marcinową, która z koronką w ręku chodziła pomięszana i wzruszona, jakby oczekując na męża. Chciał udać wesołego i począł od powitania rubasznego, ale go stolnikowa powstrzymała.

— Nie bałamuć, — rzekła — nie bałamuć i tobie nie do żartów i mnie też. Coście wy tam po nocy robili w tej ulicy z kasztelanem? hę?

Stolnik się zmięszał.

— Cóżeśmy mieli robić, chodziliśmy.

— Czego się jegomość kryjesz przedemną, tam coś się pokazuje?

— A no księżyc, — rzekł stolnik — patrzaliśmy na księżyc, prorokując pogodę, *tertia, quarta qualis, tota luna talis,* mam pasję to obserwować i sprawdzać.

Stolnikowa aż splunęła.

— Co waść przedemną robisz sekreta? zawołała.

Barciński, im więcej nań nalegała, postanowił się trzymać mocniej.

— Jakie sekreta? żadnych nie mam, dajcie mi pokój, uroiło się wam coś.

— No to się uroiło, odparła pani Barcińska — ale i ja coś wiem, czego się też jegomość odemnie nie dowiesz.

Zabierała się z tem wychodzić, gdy ją stolnik wstrzymał całując czule w rękę.

— O! o! niechże się moja panna nie gniewa na mnie.

— Niechże jegomość mi też lepiej wierzy i ufa.

— Ale.

— Nie ma ale, mąż przed żoną, a żona przed mężem sekretów mieć nie powinni. Ja jegomości tylko tyle powiem, że stałam w ulicy, w drugim końcu, kiedyście tam z kimeś rozmawiali. Kasztelan kląkł, w rękę całował, potem się pochylił, a jegomość go ratowałeś. I doskonale widziałam trzecią osobę, która potem nie wiem gdzie i jak się podziała. Któż to był?

Stolnik ręce załamał.

— Widziałaś to jejmość? zawołał.

— A no tak jak na was patrzę!

— I cóż o tem myślisz?

— Alboż wiem, kto to był.

— Agnusia! zawołał głosem stłumionym stolnik.

Przerażona pani Marcinowa upadła aż na krzesło.

— Wszelki duch pana Boga chwali.

— A no tak! dodał Barciński, stała się rzecz niepojęta. Wczoraj to widzenie ukazało się po raz pierwszy, nie chciałem wierzyć mu, mimo śladu na piasku. Otóżem dziś na nie własnemi oczyma patrzył.

Zniżywszy głos począł się już Barciński spowiadać przed żoną i wygadał się ze wszystkiem, zaklinając tylko, żeby przed kasztelanem tak się trzymała, jakby o niczem nie wiedziała. Stolnikowa drżała, płakała, modliła się, gadali długo, naradzali się, narzekąli, boleli, naostatek gdy pierwsze kury zapiały, pani Barcińska odeszła po cichu, a stolnik kląkł i sen go zmorzył już na modlitwie. Dopiero o białym dniu ranny chłodek przebudził, i rozebrawszy się położył do łóżka, ale w łóżku sen nie brał i gdy słońce się się ukazało, zawołał chłopca aby mu polewki przyniósł.

Od niego się dowiedział, że Żeliga pieszo poszedł o świcie do Chełma, tak wesół

i w dobrym humorze, jak go oddawna niewidziano.

Na stole w oficynie leżała kartka:

„Proszę z objadem nie czekać, a na wieczerzy się odrobię za oboje, bo mi piesza przechadzka da apetyt."

Pół roku upłynęło od tego pamiętnego wieczoru, a w Barcinie się prawie nic nie zmieniło, mieszkał sobie Żeliga w oficynie obłożony ogromnemi foljałami, na stoliku stosy papierów, po kątach olbrzymie rulony genealogji; cały Boży dzień w tym trudzie, z piórem, i dziwna rzecz gdy drudzy od tej stęschlizny i ślęczenia chudną i żółkną, on jakby odmłodniał przy zajęciu. Prawda że kilka godzin w dniu było na przechadzkę, na rozmowy z gospodarzami, a niekiedy też i sąsiad zawitał.

O owej nadzwyczajnej wizji, objawieniu, rozmowie z duchem nieboszczki, rzadko kiedy napomknięto; unikali oba zarówno rozmowy o tym przedmiocie. Nikt też już ich nie śmiał o to badać, nawet stolnikowa milczała. Na dobry rachunek trzy osoby tylko wiedziało co to było i jak się przytrafiło, a przecież mimo, że wszystkie zdawały się utrzymywać tajemnicę, po sąsiedztwie chodziły jakieś głuche wieści, nie wiedzieć zkąd początek biorące, o ukazywaniu się ducha nieboszczki kasztelanowej w Barcinie.

Ale że stolnikostwo oboje milcz li i na insynuacje o tem nie odpowiadali, nie śmiano

ich badać. Wiedziało jednak sąsiedztwo, że jakaś tam była tajemnica, szanowano ją. Tylko z domysłów, półsłówek, podchwyconych dworskich gawęd, podsłuchanych przez sługi może rozmów, zbudowała się bajka dziwaczna o widmie na ulicy, o wyciśniętym śladzie stóp, o tem że dusza nieboszczki prosiła o modliwy. Niektórzy dodawali, że ukazała się obciążona kajdankami, ze swędem siarki, że wyznała jakiś ciężki grzech itd. i t.d. Ale z czasem nawet cuda i dziwy się pospolitują; gdy nikt nie mógł dotrzeć do gruntu, dowiedzieć się istoty rzeczy, powoli poszła cała historja rzeczy w zapomnienie, a silniejsze umysły śmiały się z niej jako z babskiego konceptu. We dworze jednak, po zachodzie słońca, szczególniej zaś o księżycu do szpaleru nikt nie śmiał zajrzeć oprócz kasztelana, który tam spokojnie zwykł by pacierz odmawiać.. Nawet stolnik unikał tej przechadzki Miejsce gdzie na piasku wyryły się były stóp ślady, tak instynktowo omijali wszyscy, że do jesieni porosło naprzód trawą, a potem niewiedzieć zkąd, pewnie od wiatru przyniesione nasienie pospolitej lilji szafirowej, która rośnie po ogrodach, rozkrzewiło się na niem i poszanowane wybujało w kwiat piękny.

Stolnik miał podejrzenie na kasztelana, że go tam zasadził, kasztelan posądzał stolnika. stolnikowa ich obu, ale się wzajem o to nie rozpytywali.

Późną jesienią, jakoś już po ukończonej siejbie, gdy liście z drzew się sypały, kasztelan był zupełnie przyszedł do siebie skutkiem swego zażytego lekarstwa — pracy. Bywały takie dnie, że wcale wesół rozmawiał o dawnych dziejach, w nich się teraz ciągle grzebał, codzień prawie natrafiając na coś ciekawego; stolnik też wiele umiał podań i znał tradycyę, nieprzebrane więc mieli źródło do dysput, rozpraw i opowiadań. Dawniej więcej też wagi przywiązywano do tych domowych legend, które dzisiejsze pokolenie lekceważy i wyśmiewa.

Płynęło więc sobie życie w Barcinie po bożemu, a cud ów tak się z nimi zespolił, zrósł, tak się pamięci codziennej pracą wcielił w przeszłość, że choć dziwnie od całości odbijał, już do niego wtajemniczeni przywykli. Bardzo rzadko sam na sam będąc stolnik z kasztelanem mówili o tem jako o rzeczy zwykłej, z uczuciem tylko jakiegoś religijnego poszanowania.

Badając przeszłość i podania familijne, kasztelan natrafiał na mnóstwo wypadków jemu nieznanych, już za Stanisława Augusta podawanych; tylko, iż ocenić zdala co było rzeczywistością, a co być mogło fałszem lub przesadą, niezmiernie mu było trudno, i trzeba było wielkiej bystrości umysłu, aby stanowczy sąd wydawać o tem, co z pod warunków powszednich wychodzi i przedstawia się oku odosobnione, wyrwane, bez wszyst-

kiego, co je w życiu otaczało i prawdopodobnem czynić mogło.

Z sąsiadów Barcina, których odkrycie w Żelidze znakomitego rodu kasztelana, najmocniej skłopotało, podobno najprzykrzej dotkniętym był kuternoga Achinger. Zajścia jego z Żeligą kazały mu się obawiać zemsty, której oprzeć by się nie potrąfił chudy pachołek przeciw takiemu magnatowi.

Zaraz w początkach drżał o siebie niezmiernie, póżniej jednak ochłonął, gdy nie doznawszy najmniejszej przykrości, ujrzał kasztelana wynoszącego się z okolicy, i zdającego się zapominać o dawnej urazie.

Już sądził, że go może nigdy w życiu nie ujrzy. gdy znowu Żeliga zjawił się w Barcinie. Achinger był już naówczas żonaty ze swoją włościanką, i po ożenieniu tem, które choć niby szczęśliwe dziwnie sie wiodło, podupadł i postarzał strasznie. W umyśle też jego zaszły zmiany, temperament znacznie zwolniał, zamiłowanie spokoju się wzmogło. Począł był ukazywać się wprzódy w Barcinie, gdzie go stolnikowa choć dosyć dumnie ale grzecznie i ludzko z jego jejmością przyjmowała, ale teraz dowiedziawszy się, iż Żeliga tam osiadł, musiał dawny stosunek zerwać. Przez całe to półrocze nie było go w Barcinie widać; nie bardzo też po nim zatęskniono.

Przypadł jakoś jarmark w Chełmie, a że Barciński wołów kilka par potrzebował,

ruszył nań. Tu najniespodziewaniej stanąwszy u Szmula na dole zetknął się zaraz w progu z Achingerem, który wprzód zajechał też do tego domu. Wychodząc do sieni spotkali się sąsiedzi. Kuternoga witał.

— Com ja jegomości takie wieki nie widział? zapytał stolnik — aż mi już tęskno. Wilczysko się ożeniło, uszy spuściło, ani was teraz zobaczyć. Ale bo komu dobrze, ten swego kąta pilnuje.

— A żebyś jegomość wiedział, panie stolniku, com ja się za wami natęsknił — zawołał gorąco Achinger. Mój Boże! dałbym ogon mojej herbownej wiewiórki, żeby kogo z Barcina najrzeć! ale ba! ale ba!

— O! o! czemużeś waszeci do Barcina po tę *raritas* nie przyjechał.

— No tak... gadajcie zdrowi.. — mruknął sąsiad — a Żeliga!

— A cóż on wam teraz szkodzi?

Achinger głową potrząsł.

— Stolniku kochany — rzekł — mów sobie co chcesz, ta sałata co z głowiastego szlachcica w słup na pana wyrosła, to inny gatunek ludzi. My to się i pokłócim, i wybijem, i wytargamy, i pokrwawim, i pocałujem i zapijemy sprawę i zgoda, ale z nimi jest rzecz inna. Jak tam w to pańskie serce żółci szlachcic zaleje, to mu dziesiątego pokolenia nie zapomną i nie przebaczą, to darmo. Miałem gruby zatarg z kasztelanem, kiedym wcale nie wiedział kto on był, może

mi to przebaczyć na oko jak się upokorzę, ale żeby mi miał sprzyjać i w sercu nie chować nienawiści, to nie może być. Na to on magnat z magnatów, jest to u nich we krwi.

Stolnik począł się śmiać aż się za pas trzymał.

— Pluń waszeć na te przywidzenia — odparł — Żeliga to Żeliga, a nie jakiś tam magnat, choć ma kroplę krwi ich w żyłach. Hodowało go nieszczęście, uczyła go bieda, hartowała pokuta, pozbył się nałogów pańskich, a co się tyczy uraz starych, to tak zapomina łatwo jak nikogo w świecie nie znam. Już na to wam szlacheckie słowo daję, że gdybyście jeno przyjechali a podali mu dłoń, uściśnie was i wszystko pójdzie w niepamięć. Nie wiem nawet zgoła czy jeszcze przypomina sobie tę historję dawną, bo nigdy o niej i nie bąknął.

— Ale ba! przerwał Achinger.

— Słowem szlacheckiem waści ręczę, że ono tak jest — rzekł stolnik. — Co bym za powód miał kłamać, a do domu sobie naprowadzać niepokoju, gdybym się go choć najmniej obawiał?

— Czy to stolnik tu sam? spytał,

— Sam przybyłem woły kupić i wracam zaraz do domu.

— A ja tu z moją jejmością — rzekł ciszej Achinger — bo ja bez niej nie stąpię, jadę na jarmark i ją z sobą biorę; zawsze

to bezpieczniej, weselej chciałem powiedzieć. Jeżeli stolnik pozwoli, na przekąskę? mam z sobą bigos i kiełbasę, a jajecznicę Rózia usmaże taką, że palce oblizywać. Ej namów się stolniku!

— Ale ba! do trzech nie gadaj, głodny jestem jak po czterdziestodniowym poście, tylko się boję abym waści nie zrobił kłopotu. Jużem myślał sobie kazać dać Szmulowej ryby po żydowsku, ale to pieprzne u nich takie, że potem w gardle jakby świecę zapalił.

— A mój ojcze i dobrodzieju!—zawołał Achinger—toć mi honor zrobisz i łaskę, wstąpiwszy do mnie na bigos. Jużci się u mnie nie strujesz, za to ci ręczę. Rózia gospodyni nie lada.

Stolnik szepnąwszy coś faktorowi, którego po woły posyłał, sam się spokusił, i gdy Achinger drzwi mu otworzył do izby, poprawiwszy pasa i wąsa wszedł w bardzo dobrym humorze.

Przy stole, na którym stała kobiałka podróżna z owym bigosem przyobiecanym, siedziała właśnie pani Achingerowa. Stolnik który jej nie widział od kilku miesięcy, byłby może nie poznał, tak się zmieniła, a prawdę rzekłszy wyładniała i wyszlachciała. Już to się i strój wykwintny do tego przyczyniał. Wyglądała całkiem na idealną pastuszkę z obrazka Boucher lub Vatteau. Choć do małego jechała miasteczka, wzięła przecie

pod sukienkę robron, który jej kibic i tak wysmukłą, jeszcze bardziej do osy czynił podobną. Miała na nim sukienkę jasną w bukiety kwiatów rzucaną z gorsecikiem wciętym i zręcznym, na wierzch jubkę karmazynową aksamitną z ſuterkiem, na szyi ſontazik czarny, włosy utrefione do góry zamaszysto, jasne, a na nich czarną też koronkową osłonę spiętą pod brodą; trzewiczki haſtowane, na koreczkach, i pończoszki kolorowe, które dość krótkie ubranie dozwoliło oglądać.

W tem wszystkiem dziwnie jej było do twarzy, twarzyczka też bez różu i bielidła biała i różowa, usteczka z dołkami na uśmiechy, oczy duże szafirowe z rzęsami które się spać kładły na licu, gdy powieki przymknęła, czyniły ją podobną do obrazka na cukierku nęcącego oczy. Pomimo że się tak w niej wszystko uśmiechać chciało, a do wesela zdawało stworzonem, mimo tych dołków, mimo tych oczu trochę figlarnych, mimo wyrazu twarzy całej, przygotowanej aby po niej igrała młodość ochocza, wyglądała pani Achingerowa zakłopotana, smutna, zaſrasowana, przelękniona, a trocha tej nieśmiałości wieśniaczej, którą zachowała z dawnego stanu, czyniła ją jeszcze ponętniejszą, nadając urok niewinności niemal dziecięcej.

Na widok stolnika zmięszała się jeszcze więcej, powitała go wyuczonym niskim ukłonem i spojrzała na męża niespokojnie, zabie-

rając się sprzątać ze stołu zarzuconego zapasami z kobiałki dobytemi.

— Otóż nam Pan Bóg dał miłego gościa choć na popasie — rzekł Achinger — kochana moja panno zajmijże się byśmy go czem przyjąć mieli; ja już w waszem imieniu przyobiecałem jajecznicę.

Rózia żywo się chwyciła, zarumieniła niezmiernie, nie wiedziała co począć, miała straszną ochotę sama zaraz zabrać się do kuchni podróżnej, ale sobie przypomniała, że mąż gderał często gdy zbytecznie się zapomniawszy, nie dość godność swą szlacheckiej małżonki szanowała. Była więc między młotem a kowadłem, chcąc usłużyć, a bojąc się rozgniewać. Stolnik, ktory choć stary, był galant i lubił ładne twarzyczki, które oczy rozweselają, pocałował jejmość w rączkę sporą, różową, ale ładną; bo Achinger nauczył żonę, że powinna była mieć tem piękniejsze ręce, iż ludzie na nich złośliwie szukać będą pewnie śladów dawnej pracy. Rózia nie mogła ich wprawdzie zmniejszyć, ale ucywilizowała tak, że miło było na nie spojrzeć; młodość tylko jeszcze je zbyt żywym krasiła kolorytem.

Słowo się jeszcze z ust zmięszanej pani Achingerowej dobyć nie mogło, za to uśmiechała się twarz temi dwoma dołkami, oczy przymrużone lśniły, a lekkie drżenie oblicza zdradzało przestrach, który ją ogarniał. Stała

tak w niepewności, gdy mąż wesół i więcej na ten raz pobłażający, odezwał się:

— Już to moja panno trzeba zrzucić pychę z serca i samej się wziąć do roboty.

Na kominie palił się ogień wesoły, rynka do bigosu była przygotowana, trzeba było widzieć, z jakim pospiechem rzuciła się Rózia do podróżnej kuchni.

— Siadaj panie stoiniku mam tu wódkę gdańską podróżną, napijemy się aby skrócić chwilę oczekiwania; a nim zakąsim twardem jajem, które jest też w pogotowiu, i nadejdzie pora na *bis repetita*, moja Rózia się uwinie z przekąską, nie prawda? — rzekł zwracając się do żony.

— O! nie zabawię! — odpowiedziała głosem nieco drżącym — tylko zawołam aby mi podali czego braknie, a zrobię w momencie.

Chłopak zjawił się w progu, wnet posłano po materjał żądany, a w rynce już się bigos przysmażał.

Stolnik czując jego zapaszek mile się rozchodzący po izbie, aż się uśmiechnął; był dobrze głodny.

— Bigosu to nie ma na świecie jak podróżny, — rzekł. — „Kto chce dobry jeść musi z sobą wieźć,“ mówi przysłowie; dopiero gdy się przetrawi drogą i przysmaży, jest bigos jak należy.

— To prawda — potwierdził Achinger śmiejac się.

Oba oczy mieli zwrócone ku kominowi, przy którym gosposia się krzątała tak żwawo a tak jakoś zręcznie, że Achinger sam się jej zdumiewał, choć nieco niespokojny, aby na szlachecką żonę nie nazbyt się wydawała z umiejętnoscią kucharki. Ale położenie było wyjątkowe.

Wszczęła się rozmowa o cenie wołów, o wschodach oziminy, o prawdopodobnej ostrej zimie zapowiadającej się wcześnie, i ani się spostrzegli, gdy bigos był już na stole, a powtórzenie gdańskiej wódki stało się koniecznem.

— Moja dobrodziejko siadajże z nami, to nam będzie weselej pożywać twe dary— zawołał stolnik. — Najlepsza to przyprawa do jedzenia miła twarzyczka u stołu.

— Jeszcze państwu służyć nie mogę— odpowiedziała Rózia — dopiero gdy moja druga potrawa na stół przyjdzie; spaliła by mi się, gdybym jej nie pilnowała, jedzcie państwo.

Szczerze się oba zabrali do półmiska, i byliby rychło pokonali, gdyby im nie przerwała biesiady niespodzianka.

Żeliga, który był został w Barcinie, w godzin parę po wyjeździe stolnika postrzegł się, że mu kroniki jakiejś zabrakło, którą przed parą dniami odesłał XX Bazyljanom, a że dzień jarmarku ludzi rozpędził, pojechał do Chełma, spodziewając się ze stol-

nikiem tam spotkać i z nim razem powrócić.

Przybywszy do Szmula, gdy spytał o Barcińskiego, chłopiec mu drzwi izby, w której właśnie do bigosu się zabierano, otworzył, i w progu jak niespodziany ów wilk z za płota gdy o nim była mowa, ukazał się zdumionym oczom Achingera pan kasztelan.

Oniemiał nieborak kuternoga, a stolnik przytomny pochwycił zręcznie za uszy. zerwał się ze stołka i pobiegł naprzeciw przyjaciela.

— Kasztelanie! — zawołał, drugim kieliszkiem gdańskiej wódki ośmielony — nigdy bardziej nia mogłeś w porę przybyć. Choć się zdumiewam, podziwiam rozum trafu, który cię tu zesłał. A tożeśmy tylko co o was z panem Achingerem mówili, bo miły sąsiad frasował się, żeście sobie jeszcze dłoni nie podali, że żal do niego w sercu chowasz. Jam ręczył że nie, nieprawdaż?

— Co za żal? — zawołał podchodząc kasztelan i rozglądając się ciekawie, nie ma między nami nic, prócz wspomnienia dawnej znajomości. Witam was panie sąsiedzie, mówię sąsiedzie, bom ja w Barcinie parafię zasiedział, objadając tych nieszczęśliwych Barcińskich moich.

Achinger ściskając podaną dłoń, zrobił się maleńkim, pokornym, a ze śmiechu, do którego się zmuszał, podszytego strachem,

stał się poczwarnie brzydkim. Prawdę rzekłszy nigdy pięknym nie był, ale chwilami udawało mu się być okropnym.

Szczęściem osobliwszem jajecznica smażąca się w kominie uratowaną została, gdyż pani Achingerowa na widok nowego przybylca, o którym tyle słyszała, którego była niesłychanie ciekawą, straciła prawie przytomność; a tu gdy się chciała skryć przed nim w kątek, mąż ją właśnie na środek wyjść i ukłonić się przymusił.

Spojrzał na ten kwiatek różowy Żeliga, i z wdzięku jego prawie się musiał uśmiechnąć, tak dziwnie zakłopotanej było do twarzy. Gdyby był nawet nie wiedział kasztelan. o pochodzeniu Achingerowej, może by się go był domyślił; coś w niej mimo właściwego wdzięku było silniejszego, żywszego, bujniejszego nad krew szlachecką, można by rzec i dzikszego i szczerszego razem. Pomimo że się młoda jejmość hamowała jak mogła, aby się nazbyt wieśniaczką nie wydawać, znać było naturę pierwotną, przywykłą do objawiania w inny sposób, raźniej, otwarciej szczerzej.

— A to moja żonka! rzekł przedstawiając ją kuternoga i z podełba spoglądając zaraz, jakie też zrobi wrażenie na kasztelanie.

Pani Aehingerowa, która wiele słyszała o Żelidze, aż widocznie była wzruszoną, spojrzała nań z uwielbieniem, a Żeliga niemal osłupiał, widocznie był olśniony niepospolitą

jej pięknością i wdziękiem dusznym, ktory z niej promieniał.

To zapoznanie trwało mgnienie oka, ale djabeł, który nie spi sprawił, że kuternoga postrzegł wrażenie, jakie na sobie uczynili wzajemnie i rzekł w duchu:

— Ażeby też stary zaszłapał, ot to bym go dopiero pociągnął.

Ta obrzydliwa myśl, jak pocisk w ranie, utkwiła w głowie Achingera.

Kasztelan niemal zmięszany, po grzecznem przywitaniu, nie wiedząc co począć dalej, chciał się wycofać, czując że wpadł niepotrzebnie na przyjęcie i mógł przyczynić kłopotu. Stał mrugając na stolnika, ale stolnik od bigosu nie miał się ochoty oderwać, a kuternoga nie rad był opuścić zręczności wciąż sobie powtarzając w duchu: A! żeby go zdurzyć potrafiła!

— Ani śmiem ani bym się ważył pana kasztelana prosić na szlachecką i do tego podróżną przekąskę — odezwał się Achinger nabrawszy odwagi od złej myśli, która go opanowała, — ale oto mi stolnik uczynił tę łaskę, że ubogiem śniadaniem nie pogardził, gdybyś j. w. pan...

— Będzie nas tu już za wiele pono niespodziewanych gęb — odparł Żeliga.

— O to się proszę nie troszczyć, to moja rzecz — zawołał Achinger uszczęśliwiony — bigosu wzięliśmy zapas nie zły,

a z jajecznicą stanowiącą drugie danie, moja jejmość musi sobie dać radę.

Kasztelan się zawahał, ale szlachcicowi odmówić, nie zasiąść i nie przełamać z nim chleba kawałek, to śmiertelna obraza, tem bardziej że dawna waśń byłaby odmowę uczyniła jeszcze więcej znaczącą.

— Boję się, żeby jejmość dobrodziejka nie gniewała się na mnie — rzekł Żeliga — bo to zawsze cały kłopot przyjęcia spada na gospodynię.

— Ale proszę kasztelana — odezwała się żywo z wdzięcznym uśmiechem pani Achingerowa — ja sobie radę dam, i miło mi będzie że się to na coś przyda; niech p. kasztelan siada... ja wrócę do kominka...

— Zgoda na śniadanie—rzekł Żeliga,— ale mam jeden warunek moja mościa dobrodziejko, i od tego nie odstąpię.

— O warunki proszę mówić z moim mężem — szepnęła Rózia.

— Warunek ten, że jejmość dobrodziejka siędziesz zaraz z nami, a ja zgotuję jajecznicę sam po węgiersku.

Achinger aż ręce załamał, kasztelan żeby jajecznicę smarzył... o tem jeszcze jak żyw nie słyszał, nie wiedział nawet czy ma wierzyć uszom swoim.

— Ale, panie kasztelanie...

— Nie ma ale, albo mi zaufacie do tyla, że mi oddacie kuchnię, a ręczę że was nie potrzebuję, albo nie siadam do stołu.

— Do węgierskiej jajecznicy — przerwał stolnik — czegoś braknie.

— To moja rzecz — rzekł Żeliga.

— Panie kasztelanie — ośmielając się odezwała piękna pani Achingerowa, chociaż ze wstydu i ze wzruszenia i od ognia stała cała w płomieniach jak wiśnia różowa, — na wszystko zgoda, ale ja w takim razie kuchtą będę, i muszę się choć nauczyć jajecznicy po węgiersku.

Stolnik począł się śmiać, Achinger był uszczęśliwiony.

Już dłużej nie sprzeczając się i przyjmując spółkę pięknej pani, Żeliga rzucił czapkę i futro w kterem wszedł, zatoczył rękawy i klasnął w ręce na progu. Zjawił się żydek faktor, który za nim zawsze w ślad chodził, bo choć nic nie robił, dostawał zawsze coś odczepnego.

— Słuchaj Moszku—zawołał Żeliga — na jednej nodze, ale rozumiesz na jednej nodze biegnij mi do księdza Onufrego do klasztoru i proś go, aby dla mnie przysłał natychmiast tej bryndzy węgierskiej, którą ma odemnie, — no tak sporo, jak na cztery, pięć osób, obwinąć ją czysto i żywo!

Żydek zastrzągł mimo zapowiedzi, że miał iść na jednej nodze, nie zrozumiał bryndzy... musiano mu ją wytłumaczyć, dopiero się ruszył.

Rozmowa najprozaiczniej w świecie poczęła się od jajecznicy i różnych sposobów

robienia jej, co należało dodawać, aby była kruchą, jak jej przydać smaku itp. Żeliga rozwinął w tym przedmiocie zadziwiającą erudycję, której pani Achingerowa z poważaniem i podziwieniem nadzwyczajnem słuchała. Achinger bardzo był uszczęśliwiony tem, że jego żona tak bardzo się zajęła kasztelanem a kasztelan nią. Parę razy wmięszał się niefortunnie do rozmowy, ale utknął zaraz i wycofał się aby nie przeszkadzać.

— Nie ma się co dziwować — mówił Żeliga — że ja to znam i wiem; długom się włóczył po świecie sam, bywałem w przygodach różnych, potrzeba było sobie radzić, nieraz zgotować samemu. Zyskało się na tem, że się do wszystkiego zwykło.

Nie będziemy opowiadali jak się węgierska owa jajecznica usmarzyła i zjadła; że była wyborną świadczyło najlepiej to, iż z niej cząstka dla chłopaka nie została, który też rad był skosztować jajecznicy po węgiersku przez senatora zrobionej, bo dotąd innej nad zwykłą z kiełbasą nie jadał. Pani Achingerowa przyznała, że kasztelan przeszedł ją w sztuce kucharskiej, przypiąwszy fartuszek krzątała się koło niego uśmiechnięta, zajęta nim, ciekawa, a nie kryjąc się wcale z jakąś dziecinną dlań sympatją.

Po przekąsce, gawędce, stolnik i Żeliga pożegnali gościnnego Achingera i piękną gosposię. Kuternoga szczęśliwym był, że się przejednał i uspokoił, a może nad niego

szczęśliwszą była Rózia, której się kasztelan bardzo a bardzo podobał. Swoboda i grzeczność jego obejścia, niewymuszoność, szczerość, chwyciły ją za serce. Taki wielki pan dla niej prostej chłopki, tak był miłym i serdecznym... tego pojąć nie mogła. Pamiętała, że nie z wszystką drobną szlachtą równie jej było łatwo i swobodnie, i wdzięczną musiała być za to.

— Teraz — rzekł Achinger w drodze do domu spowiadając się przed żoną jak był nie zwykł nigdy — teraz kiedy już spokojny jestem o kasztelana, i do Barcińskich mogę ciebie zawieźć i zbliżyć się do senatora. Ponieważ się przegniewał i urazy nie pamięta, łatwo z nim można zawiązać stosunek... To też Barciński z jego łaski dostał Św. Stanisława, do licha czemuż bym znowu i ja nie miał coś sobie wyrobić, czy tytulik, czy orderzynę? Stare to przysłowie szlacheckie, trzymać się pańskiej klamki, i nie głupie. O to tylko idzie, czem się mu przypodobać i zasłużyć, ale to pomyślawszy się znajdzie. — I dodał parę razy półgłosem: żebyś to ty miała rozum!

Naturalnie jejmość na to nic nie odpowiedziała, była bowiem przywykła słuchać, potakiwać, ale nie wolno jej było odpowiadać, rozumować i pytać. Pomyślała tylko w duchu, że nowi ludzie, to zawsze rozrywka jakaś... a w domu było tak nudno! tak ciężko biednej kobiecie!

Cała wieś jej zazdrościła niesłychanego szczęścia, ale kto by w serce jej zajrzał, podpatrzył łzy ukrywane, odgadł tęsknicę, ten by użalił się nad istotą, która szczęścia na ziemi dotąd nie znała i była milczącą ofiarą.

Długo bardzo kuternodze, mimo jego starożytnej prozapii i wcale nie złego majątku, nie wiodło się w konkurach, gdzie się posunął tylko, częstowano go czarną polewką, lub innny brał mu z pod nosa upatrzoną pannę.

Z latami Achinger coraz pod skromniejsze schodził strzechy, coraz do uboższych zalecał się szlachcianek, tak że ostatnia czynszowego szlachcica była córką; ale i tę mu ekonom ze wsi poblizkiej podchwycił. Naówczas w sercu wzgardzonego zrodziło się pragnienie i powiedział sobie:

— Bierz was licho, ożenię się z chłopką! ale się ożenię.

Rózia była córką wdowy po gospodarzu, we wsi Achingera osiadłym, bardzo majętnym; jedynaczka u matki, pieszczotka ojca, nadzwyczaj ładna, roztropna i żywa, oddawna wpadła była w oko marcowemu kawalerowi, ale jak się tu było odważyć na krok stanowczy, tak niezwyczajny! takiego mający narobić hałasu.

Maciejowa Szyszkowa, matka Rózi, sługiwała niegdyś we dworze, i jak na wieśniaczkę, była wcale wykształconą, a niezmier-

nie ambitną. Roiła ona zawsze dla córki los świetny, to jest ekonoma lub pisarza, który z czasem mógł wyjść na dzierżawcę a potem... z Bożą pomocą na dziedzica. Ale to były sny i marzenia; to sobie założyła tylko, że córki za pańszczyźnianego chłopa nie wyda; a strzegła jej i wychowała z nadzwyczajną pilnością. Rózia na krok z domu oddalić się sama nie mogła, nie wolno jej było zająć się robotą, na to były dziewki, byli parobcy najęci. Matka sama nauczyła ją czytać, trochę pisać, tkać w krosnach, szyć czerwone wzory na ręcznikach i śpiewać ładne pieśni ludowe; a że Szyszkowa była herod baba, energiczna, z gębą wyparzoną, śmiała i pracowita, jak postanowiła, tak dokonała wychowania córki.

Bywało, gdy razem w świątecznych strojach, na pół miejskich, świeżych, zręcznych, szły do kościoła z matką, wszyscy się im kłaniali jak paniom. Szyszkowa miała naówczas lat nie więcej czterdziestu kilku, była jeszcze dosyć świeża, figurę miała piękną, włos czarny, wzrost słuszny, wyraz twarzy szlachetny, ale razem groźny nieco. Nie jeden młody parobczak byłby się poswatał do samej pani Maciejowej, w której chacie tylko ptasiego mleka brakło, ale ona jednem spojrzeniem od siebie odganiała, a do córki przystępu nie było.

Kumoszki usłużne nieraz jej dawały do zrozumienia, że mogłaby była jeszcze użyć

świata póki służą lata, ale Szyszkowa surowo je karciła.

— Dajcie mi z tem spokój—mawiała—jam już moje na świecie miała i odbyła, moja przyszłość to Rózia... Było mi z nieboszczykiem jak w raju, po co mam piekła szukać. Oj! oj! młody mąż to wielkie nieszczęście dla starej baby... dużo łez ją kosztuje, a więcej w tem grzechu i obrazy Bożej, niż szczęścia.

Stręczyli się wdowce i tych puszczała prędzej jeszcze z kwitkiem i śmiechem, aż gdy ludzie się przekonali, że wcale za mąż iść nie myśli, dali jej spokój. Do córki już, znając matkę, nie tak się kto łatwo kusił; rosła Rózia, patrzali na nią, jak w gwiazdę, ale parobczaki sobie wcześnie powiedzieli, że z nich żaden jej nie weźmie; z daleka tylko wzdychali do niej, a w piosenkach, Rózia świeciła jako ideał wioskowy. Była nim ona w istocie, nawet wówczas jeszcze, kiedy sukienek jedwabnych nie nosiła, prześlicznie jej było z długiemi kosami, w białej jak śnieg koszulce, w koralach i szkaplerzu, w fartuszku wzorzystym i trzewikach, które matka zawsze z miasteczka dla niej sprowadzała. Wyglądała jak przebrana panienka i złośliwi ją pannusią wielmożną przezwali.

Pierwszy co się do niej zgłosił był organista dla syna; sam on poszedł do Maciejowej ubrany jak od święta, rachował na wymowę, na dobre syna wychowanie, na tro-

chę talarów w kuferku, ale gdy Szyszkowej przedłożył swe życzenia, potrzęsła głową.

— Mój jegomość, — rzekła — Rózia młoda jeszcze, to jej tam poczekać nie zawadzi, będzie potem na życie silniejsza, a nieuwłaczając wam, cóż to dla niej za los... zostać organiściną, a na starość może księżą gospodynią. Jużbym wolała gospodarskiego syna, to by choć grunt nie upadł i chudoba.

Organista był wymowny, ale Maciejowa uparta, spocił się biedak darmo i wyszedł zły narzekając, ale musiał swoją biedę schować do kieszeni, aby się z niego nie śmiano.

Rozeszło się to jednak po wsi i drugich uczyniło ostrożniejszymi.

Maciejowa była rozumną kobietą i stateczną, ale pamiętała, że się na dworze wychowała, że się otarła o szlachtę, że w młodości, jak mówiono, miała nawet wielką wziętość u swego pana i całem jego gospodarstwem trzęsła... została jej na późniejszy wiek ambicja wielka. Córkę wychowała nie na wieśniaczkę pewnie, a gdyby ją los minął, który się zdarzył, nie łatwo by piękne dziewczę cięższej doli podołało. Rózia była żywa, nad wiek i stan roztropna, choć mimo starań matki i otaczającego dostatku od młodości nieszczęśliwa, jak wszystkie istoty wyrwane z właściwej sfery, a nie mogące sobie wynaleźć innej, w którą by się wcieliły. Dziwne uczucie jej towarzyszyło prawie od ko-

lebki, surowo utrzymywana, zamykana, odstręczana od pracy i powszedniego życia Rózia za niem tęskniła. Dla niej największem szczęściem było wyrwać się cicho do siana, na łan, do krówek i owieczek, zastąpić w czem jedną z dziewcząt, podsłuchać ich śpiewu, i nauczyć się go, przez szczelinę popatrzeć na wiejską zabawę, na którą tylko z matką pojść mogła na chwilę. Serce jej się rwało do tej swobody ubogich rówieśnic, które zgrzane, uznojone, w wiankach z bławatków, ze śpiewami na rumianych ustach powracały z pola. Rózia wybiegała przeciw nim, słuchała śmiechów i pieśni, a potem ze łzami zamykała się w komorze. Lecz tego smutku matka nigdy po.ąć nie mogła, nie rozumiała tęsknoty dziecięcia. Ile razy się domyśliła tej skłonności w córce, ganiła ją, usiłując przekonać, że i do tego nie była stworzoną; ale im bardziej wysilała się matka na poprawę Rózi, tem ona serdeczniej przywiązywała się do tego, co dla niej miało urok zakazanego owocu...

Za to w ogródku mogła sobie gospodarzyć Rózia jak chciała: siać rutę, hodować barwinki, słoneczniki, astry, lilje, nogietki; mała jednak z tego była pociecha, nie starczyły jej kwiatki, serce uciekało w pole... Nieraz letniego dnia wstawszy od krosien, gdy się robotnicy w polu przypóźnili, a śpiew wracających dochodził ją zdala, stojąc u przełazu zasłuchała się, zadumała aż do płaczu.

Ale niech no by broń Boże te łzy zobaczyła Szyszkowa Rózia tak była strzeżoną i bojaźliwą, że się nawet w żadne dziecinne miłostki wdać nie mogła, i uczucie to znane jej było tylko z pieśni i obleczone w ten wdzięk jaki nadaje poezja. Byłaby się może zakochała w jakim chłopcu, gdyby który z nich domyślił się tajemnicy, przez jaką serce jej pozyskać było można; wszyscy zbliżali się do niej z uśmiechem na ustach, dla niej kochanek, jak w pieśni, powinien był być zadumanym i smutnym. Żadnego takiego nie spotkała na szczęście.

Maciejowa nie była w bardzo dobrych ze dworem stosunkach, kuternoga znał ją jako babę śmiałą, wygadaną, rezolutną, a że wszyscy ją we wsi szanowali i obawiali się, on też po troszę musiał jej oszczędzać. Rózi, że była strzeżoną pilnie, prawie nie widział p. Achinger. Dorosła do ośmnastu lat niepostrzeżona, gdy raz powracając z matką z kościoła napotkał. Uderzyła go jej niezwyczajna piękność i szykowność. Pierwsze myśli złe być musiały; ale gdy się dobrze o Maciejowę gumiennego rozpytał, wyrzekł się ich raz na zawsze.

Twarzyczka Rózi go prześladowała ciągle, niepokoił się, walczył z sobą, nareszcie jednego wieczora powracając z pola pod pozorem kubka wody wstąpił do chaty. Wyniosła mu sama pani Szyszkowa ową żądaną wodę i to w szklance na misce na próg,

ale tu poczęła się rozmowa gospodarska od słowa do słowa, dziedzic jakoś sam nie wiedząc jak, wszedł do chaty. Nie powstydziła się zamożna wdowa swego mieszkania, rada była pochwalić z niem, wyglądało w istocie całe obwieszone obrazkami, wieńcami, bardzo schludnie i zamożnie. Przy krosnach siedziała Rózia, której kazano pana w rękę pocałować i wyjść do alkierza.

Rozmowa trwała z pół godziny, dziewczę się już więcej nie pokazało. Maciejowa rada była odwidzinom, wygadała się z całym swym rozumem, znajomością świata, dworów, odprowadziła pana za wrota aż, i choć to jej dumę połechtało, żadna jeszcze myśl nie przyszła.

Achinger też się wahał bardzo, lecz po tygodniu namysłu i walki, z postanowieniem stałem zaszedł już wieczorem powtórnie do Maciejowej.

Tknęły ją te drugie pańskie odwidziny. Rózia była w ogródku.

Maciejowa po wiejsku, nie długo czekając, natychmiast wypowiedziała co jej na serce padło.

— Bardzom ja panu wielmożnemu rada, że moją ubogą chatę nawidzić raczycie — odezwała się dworka stara na samym wstępie — ale... ale...

Tu mu się pochyliła do kolan.

— Tyś pan nasz i ojciec, nie rób że nam wstydu i szkody?

— Albo co? — obruszył się pan Achinger,

— Jakże bo wy pomyśleć o tem nie chcecie, że wyście nie starzy, a u mnie dziecko w domu... Ludzie wezmą na języki, choćby nie było za co, i los jej znieważycie...

Achinger siadł za stołem i podparł się na ręku.

— Siadaj no moja Maciejowa — rzekł po chwili — pogadajmy rozumnie.

— Ojcze dobrodzieju, nie ma o czem mówić, — zawołała kobieta — gdyby mi tu król sam przyszedł do dziewczyny się zalecać, to bym mu powiedziała: omyliłeś się najjaśniejszy panie, nie tędy droga przez kościół...

Achinger się trochę pogniewał.

— Zapominasz moja Maciejowa — zawołał — że ja to pan, a gdybym był zły i chciał złego, to czyż nie mam siły...

— Macie ją, macie — zawołała kobieta — ale myślicie, że ja też jej nie mam. — Podparła się w boki. — Jest i Bóg i król i ksiądz nad nami, ja was szanuję, ale bym sobie krzywdy też zrobić nie dała.

— Któż ci u licha powiedział, że ja o tem myślę, — krzyknął dziedzic stukając pięścią o stół, — Jeszcześ nie wysłuchała, a już puściłaś język...

— Darujcie i przebaczcie kobiecie — poczęła Szyszkowa — jam wdowa, jednę mam moją gołąbkę, jednę pociechę, dla niej

życie gotowam postradać. Ej! mój panie! byłąm ci i ja młodą, bywałam po dworach, żyłam, odpłakałam nie jedno; dał Bóg córkę, wiem jak jej strzedz i czego jej życzyć!

— Moja Maciejowa, dajże mi też choć przemówić:

— Paneczku, gdybyście złotem pluli, na nic się to nie zda. Drugi raz do dwóch tygodni jesteście u mnie w chacie, myślicie to, że już z tego nie uplotą ludzie czarnej przędzy na moją żałobę.

— Siadaj Maciejowa i słuchaj raz jeszcze — odezwał się Achinger.

Stara ruszyła ramionami.

— No, panie wielmożny, chcecie to posłucham, toć ja wasza poddanka, choć i ja za młodu rozkazywałam... — westchnęła.

— Jam ci tu nie myślał wstydu przynieść — rzekł przychodząc do słowa dziedzic, — ale z innym poczciwszym zamiarem. Ot co ci powiem moja Maciejowa, nie jestem już pierwszej młodości, ale jeszczem też nie stary, znudziło mi się życie samopasne; do szlachty nie mam szczęścia, a z poczciwą dziewczyną chciałbym się ta jeszcze ożenić. Cóżbyście powiedzieli, gdybym ja się tak po bożemu na męża do waszej córki swatał... ha?

Jakkolwiek Maciejowa wysoko patrzała, nigdy może oko jej tak znowu daleko nie zaszło, stanęła jak osłupiała, zdało jej się, że się jak mówią przesłyszała.

Achinger widząc milczącą powtórzył.

— No cobyś powiedziała, gdybym ja się z twoją Rózią myślał ożenić?

Stara byłaby mu do nóg padła z radości, tak jej szczęście to zawróciło nagle głowę, ale się jakoś wstrzymała od tej oznaki.

— Ale czyż to być może? — spytała po cichu.

— Ot tak, na złość tej szlachcie paskudnej, chcę się ożenić i ożenię się z chłopką. Córka mi się wasza podobała, jeśli nie ma narzeczonego i kochanka, no, krótko mówiąc Maciejowa, żenię się.

— Już za to przysiądz mogę, że jej w głowie kochanek nie postał, toć to jeszcze dziecko. Chowałam ją jak oka w głowie strzegąc, a komu się to dostanie, ten już musi być z nią szczęśliwy, bo pewnie żadne choćby pańskie i szlachetne dziecko, lepiej być wypieszczone nie mogło! I to mogę powiedzieć, że tyle umie, iż nie powstydzi we dworze siąść, a główka, panie wielmożny, a rozumek! czyta w książce, czyta z pisanego, napisze lepiej niż stary organista.

Byłaby śpiewała te pochwały do nieskończoności, gdyby niecierpliwy Achinger jej nie przerwał.

— Ale ja nie chcę ją uczynić nieszczęśliwą, ani przymuszać, ani patrzeć na łzy, ani obojgu nieszczęścia przysporzyć... pierw-

sza rzecz, że ona musi na to pozwolić sama.

— Cyt że... cicho, — oglądając się do koła, rzekła matka — to mnie zostawcie, dajcie mi tydzionek czasu, a już się nie frasujcie, ja to sama zrobię. — I pocałowała go w rękę. — Ale słuchaj panie wielmożny — dodała — nie róbcież mnie i jej nieszczęśliwą. Jeżeli macie tę wolę postanowioną, ja pewnie się jej sprzeciwiać nie będę, bo wiem że dziecko tego szczęścia warte; ale jeśli byście się mieli rozmyśleć i zerwać, a ją słomianą wdową zostawić, żeby potem ludzie się z nas śmieli, a ja dla niej męża przepłacała...

Uklękła stara przed nim ze złożonemi rękami:

— Nie zaczynajcież lepiej niżelibyście zwodzić mieli...

— Byle ona chciała, przysięgam wam, że to moje niezmienne postanowienie — zawołał Achinger. — Słowo się wyrzekło, a słowo szlacheckie święte.

— No, toć wierzę, — odparła znowu całując go w rękę Maciejowa, przez trzy dni jegomościuniu, posłuchajcie mnie, nie zaglądajcie do nas, potem sobie przychodźcie, to ją tu zastaniecie przy mnie, na pogawędę, aby się dziecko oswoiło, a reszta to już moja rzecz; pokryjomu żadnych starań nie róbcie bo...

Na te słowa Rózia weszła niespodzianie,

Maciejowa mrugnęła na Achingera, urwała, kazała córce pocałować go w rękę, poczem dziedzic wstał, pożegnał się i wyszedł.

Ale wejrzawszy teraz na dziewczynę, z tą myślą, że ona ma być jego, mało nie oszalał... wydała mu się taką, jaką była w tej chwili, cudnie piękną; porównywał ją z temi dziewczętami o które sie starał, wyobrażał sobie jak ją przystroi, jak ona w pańskich sukienkach wyglądać będzie, jak mu jej będą zazdrościć, jak tryumfować będzie, dostawszy ten świeży pączek różany. Zeby jeszcze była szlachcianką, no! ale na to już nie ma rady!

Tak go nieboraka, gdy do domu powrócił, język świerzbiał, iż przed gumiennym zaufanym doradcą, z kluczami wieczorem przybywającym po dyspozycję, nie wytrwał, i wypaplał się zaraz.

Gumienny ów była to już kapotowa figura, pół szlachcica, wyga stary, a miał Julkę córeczkę nieszpetną, którą sobie dawno w myśli z panem był poswatał; niezmiernie go to zmięszało, gdy się pan począł z Rózią chwalić.

— Ej, wielmożny panie — rzekł — jak tam wola pańska, ale choć Maciejowa teraz porządna kobieta, nic powiedzieć nie można, przecież o jej młodości różnie tam ludzie gadali, a nie daleko pada jabłko od jabłoni. Piękne to cacko, ale tem ci gorzej, a pieszczone, a wyrachowane...

Nie przekonał tem Achingera gumienny, ale po wsi rozpaplał niepotrzebnie, a kując żelazo, córkę niby dla pomocy klucznicy wystroiwszy, podesłał do dworu. Julce daleko było do Rózi, Achinger na nią ani spojrzał. Wieczorem Maciejowa przybiegła po cichu z żalem do pana, że rzecz rozniosła się, że córka przed czasem dowiedziała się, i prosiła, żeby przez tydzień noga jego w chacie nie postała. Domyślił się Achinger kto mu tej kaszy nawarzył, zamilkł, nie wypędzał natrętnej Julki ze dworu, nawet się i ludziom i klucznicy zdawało, że na nią począł patrzeć dosyć względnem okiem, ale nadzieje zawiodły. W tydzień przyszła dać znać Maciejowa, że córka przygotowana i że dziedzic przyjść może. Achinger poleciał. Znalazł ją, przy krosienkach dość wesołą, śmiejącą się i choć nieśmiałą, ale swobodnego umysłu. Nie zważając na matkę począł się przysiadać, mówić, nawrócił rozmowę jak było potrzeba, obudził miłość własną, a za trzecią bytnością zaręczynne pierścionki zamieniono przy proboszczu bez głośnego płaczu. Gruchnęła też po sąsiedztwie wieść jak piorun, że Achinger się żeni z chłopką, ale on się wcale tego nie wypierał. Gdy przyszło do ślubu jechać, kościół był pełniuteńki, ludzie aż się dusili: wieśniacy, szlachta, ciekawych tłumy. Szlachcic umyślnie ten raz pozwolił się nazeczonej przybrać po chłopsku, sam wdział paradny strój i spinkę i guzy

z drogich kamieni i pas złotolity, a wystąpił poszóstno — znaj pana — była i kareta. Maciejowa, która córce towarzyszyła, wydobyła z kufra węzełek i nie pożałowała sto talarów dać za swoje ubranie, a dęła się jak wojewodzina.

Do oryginalności tego wesela należało, że drużkami były dziewczęta wiejskie, a drużbami Achingera dwóch szlachty, ubogich prawda ale herbownych. Ale z kościoła do dworu na wesele mało kto pojechał prócz czynszowych, a z kobiet ledwie kilka; ze wsi były tylko drużki i Maciejowa.

Sprowadzono jednak skrzypki i tany miały się rozpocząć, gdy nagle zaczęto krzyczeć: „gore!“ W istocie palił się dwór od węgla podłożony, szczęściem, że wcześnie pożar postrzeżono i ugaszono go zaraz, ale to zmięszało wesele, popłoch rzuciło i dużo zajęło czasu, tak że po wieczerzy już się wszyscy rozjechali.

Chodziły głuche wieści, jakoby owa Julka, która z niewiadomych powodów miała się za zdradzoną, ogień ten podłożyła. W kilka dni też gumienny się gdzieś z całą rodziną cichaczem wyprowadził.

Tak się rozpoczął żywot małżonki Achingera. Maciejowa wcześnie sobie wymówiła, że przy córce mieszkać będzie, a do gości nie wyjdzie; wyniosła się więc do dworu, i jej był winien mąż, iż piękna Rózia pogo-

dziła się ze swym losem, który nie był w istocie do zazdrości.

Maciejowa była niewiasta wytrawna i rozsądna. Nieszczęściem nie była nieśmiertelną, a lubiła węgorze, po którym napiwszy się wody, dostała gorączki i umarła. Rózię ledwie oderwano od jej ciała, tak srogim żalem była zdjętą; czuła ona, że bez matki sierotą samą biedną będzie na świecie. Achinger sprawił pogrzeb wspaniały, gromady ze wszystkich wsi sąsiednich zeszły się na stypę... ale od tych dni żałoby i w życiu i w domu małżeństwo wielce się zmieniło. Małżonek trochę się lękał matki, szanował ją mimowolnie, słuchał chętnie, córka też miała w niej doradcę i przyjaciela; dopiero po śmierci Maciejowej okazało się, jak ona była potrzebną na świecie.

Rózia posmutniała, tęsknota jakaś chmurna, dziwna owładła nią, całe dnie siadywała w oknie słuchając pieśni wiejskich, gwaru wioski. Mąż znajdywał ją często płaczącą, chciał ją wprowadzić w szlacheckie towarzystwo, ale tu ją i jego karmiono tak gorzko, że wytrwać nie mogli. Nie miała więc Rózia nikogo, a że Achinger nie był zabawny, zgryźliwy, nudziarz i gdera, życie się wlokło ciężko, łzami oblewane.

Nie kłócili się, bo Rózia na to nie miała odwagi, wolała się wypłakać, ale mąż za łzy gderał, za wesele łajał, nic mu się nie podobało; spokoju nie dał, musztrował,

często słowem nierozważnem obraził: był nieznośny. Żona jedyny ratunek widziała w milczeniu, tak ją nauczyła matka, nie odpowiadała nic, a pokora ta zamiast rozbroić jątrzyła dziwaka; wkrótce te potoki słów, które na nieszczęśliwą wylewał ofiarę, jak po skale zaczęły spływać po odrętwiałej kobiecie. Myślą, sercem, tęsknotą uciekała od tego cierpienia, broniąc mu się obojętnością rozpaczliwą. Mąż krzyczał, milczała; gniewał się, uśmiechała; groził, nie uważała; ale koniec końcem musiały się tą walką niecierpliwą siły jej wyczerpać. Od niemożliwego życia zewnętrznego, Rózia schroniła się w głąb duszy, zamykała się z krosienkami w pokoiku i tam albo płakała, albo śpiewała tęskno, albo dumała tak, że czasem ją zszedł Achinger i musiał po grubijańsku huknąć nad uchem, aby ją z tego snu na jawie przebudzić.

I w tem skorzystała z nauk matki pani Achingerowa, że jakkolwiek źle jej było w domu, starała się ukrywać cierpienie, aby się obcym ludziom nie podawać na szyderstwo. Przy gościach była prawie wesołą, a łez jej nikt nie widział, nawet dziewczynka służąca.

Z tęsknotą w początkach nieokreśloną, bezcelną, później połączyło się przypomnienie lat młodych, tęsknot dawnych do wiejskiego, chłopskiego prostego żywota. Teraz

się jej wydawało jeszcze w kraśniejszych barwąch, po spróbowaniu innego.

Ale mąż jak najsurowiej zakazał był raz na zawsze wszelkich zwrotów do tej przeszłości, nie wolno było chodzić w sukience dawnej, ani pobiedz w pole, ani nawet własnemi rękami coś zrobić w ogródku, musiała być panią! zawsze panią...

Obrzydło jej to państwo ciężkie jak kajdany, a gdy w czasie dożynek zdejmowała wieniec z głowy dziewczęcia, serce jej biło do szarych koszul, do sukmanek ciemnych, jak do szczęścia marzonego. Czasem zamknąwszy się na klucz, wdziewała strój swój młody, który głęboko schowany był na dnie kufra, i przeglądając się w zwierciedle płakała.

Ta odzież była jej skarbem, najdroższą z pamiątek, namilszą zabawą, ale najstraszniejszą z tajemnic... Gdyby się mąż domyślił, dowiedział się o sukmance i fartuszku, o koralach i trzewikach, byłby je pewnie popalił. To też zamknięte to było jak najdroższa materja, a ukryte na samym spodzie.

Kiedy los z sobą skuje takich istot dwoje, nie stworzonych dla siebie, a zbliżonych na to tylko, aby wzajemną żarły się męczarnią, jeśli fatalność jeszcze je osamotni, odsunie od ludzi, rzuci wśród życia próżniaczego na przeżuwanie wszystkich godzin z jedną przyprawą trucizny... albo ten łań-

cuch, co łączy nieszczęśliwych, zerwać się musi, lub skóra którą ociera stwardnieje jak żelazo.

Łatwo jest przecierpieć burzę gwałtowną kilku godzin, ale przenikającą słotę kilku miesięcy, lat kilku pod ołowianem niebem, na którem nigdy nie widać słońca? Rózia w odrętwieniu swem miała oręż dany jej przez Opatrzność przeciwko cierpieniu, wychodząc uzbrajała się w niezmożony chłód i odwagę, traciła czucie, myśl, prawie przytomność, a dopiero w chwili spoczynku i samotności rozmarzały jej łzy i płynęły swobodnie; nikt ich nie widział, Bóg liczył.

Pojąć łatwo jej życie, w które nawet żadna namiętność nie wrzuciła ognia, coby zakłócił je, ale pożreć mógł prędzej.

Spiewała, gdy jej nikt nie słuchał, o miłym, słowami wiejskich dziewcząt, ale ten miłeńki był dla niej z mgły i chmur postacią. Wyobrażała go sobie różnie: raz rycerzem jasnowłosym, to znów rolnikiem spokojnym, to poważnym; łagodnym, rozumnym, a umiejącym kochać i upieścić mężczyzną.

Wśród tych długich chwil, które jej zostawały wolnemi od obowiązków, zresztą bardzo nie ciężkich na pozór, choć dręczących w istocie, posłużyła jej wiele umiejętność czytania, którą winna była matce. Było to więcej jedną po niej pamiątką. Z początku nie wiedziała nawet, że inna książka istnieć mogła nad tę, na której się

do Boga modlono; przypadek dał jej w ręce kilka innych. A stało się to w wcale niespodziany sposób.

W sąsiedztwie pana Achingera i Barcińskich była majętność pańska, Chwalewo, od bardzo dawna opuszczona i chodząca z rąk do rąk dzierżawców. Dziedzic mieszkał w Warszawie i żył na bardzo wielkim świecie, nosił on imię sławne, ale go nie bardzo szanował.

Znano go naówczas w Koronie całej i za granicą pod nazwiskiem Krajczyca, gdyż ojciec jego piastował urząd krajczego koronnego czy litewskiego; syn zaś wcale ani do dworu, ani do służby krajowej się nie kwapił, i innego tytułu nie miał. Jedynak u ojca, wychowany na pół po francusku, pan znacznej fortuny i pięknego imienia, Krajczyc wiedział tylko jedno z dziecinnych lat: że przyszedł na świat aby używał. Wiedział i o tem, iż były inne klasy ludzi, stworzone do pracy, do nędzy, do upokorzenia, jak woły do orania, a konie do noszenia jeźdźców; ale jego posłannictwo ograniczało się do tego, by być miłym, łagodnym, szczęśliwym i bogatym. To mu już Pan Bóg w kołebce przyrzekł i powinien był dotrzymać, nie było mowy... Z tem przekonaniem idzie się lekko po świecie, z zupełnem bezpieczeństwem, że się człowiekowi nic stać nie może... nie troszczy się o grosz, o popełnione głupstwa, o szwanki na sławie, do Pana Boga

należy to naprawiać i dostarczyć, co fantazje pańskie wymagać mogą. Krajczyc też zrozumiał zadanie swego życia wybornie i używał go wspaniale.

Ale zdaje się, że w rachunkach Opatrzności zaszły jakieś omyłki; fortuna poczynała niedopisywać, humor się popsuł, zawód doznany przykro się czuć dawał... Krajczyc czuł się nadewszystko obrażonym tą niesłownością losu, który przecie powinien się by znać na swoich obowiązkach.

Ale nie mógł znowu dla takich bzdurstw wstrzymywać tryumfalnego pochodu; nadrujnowany, robił długi śmiało i szedł dalej. Miał obrachowanych w najgorszym razie siedm ogromnych sukcesyj do wzięcia. Żył więc godnie, jak panu takiego imienia przystało.

Za młodu pokwapił się był ożenić, ale w półtora roku się rozwiódł: pierwsza żona jego wyszła w trzy miesiące za mąż i potem już tylko parę razy się rozwodziła; Krajczyc więcej się nie żenił. Miał tej pierwszej próby dosyć. Tak mu zeszło do lat czterdziestu kilku w swobodnej lataninie po kwiatach... Ale starsze motyle łatwo się złapać dają; dziwnym trafem rozwódka i wdowa, osoba dojrzała, choć przy świecach wyglądała na młodziuchną, tak usidłała Krajczyca, że się z nią ożenił. A że pani ta i z pochodzenia i z powszechnej opinji, i z fortuny wątpliwej, nie zdawała się rodzinie

Krajczyca stosowną dla niego partją, wszyscy się od niego odsunęli, on z gniewu postanowił jak Achilles zamknąć się w namiocie, wyjechać na wieś. Nagle kazano stary dwór zrestaurować, i Krajczyc z żoną przybył w zapadłe okolice Chełma.

Krajczycowa była wychowanką wieku XVIII, w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu, samo się więc przez się rozumie, że wszystkie ideały stanu natury, niewinności błogiej, złotego wieku pastuszego, gdy piękne panie, mając u stóp ufryzowanego pasterza w złocistych falbanach, gnały na paszę baranki różowemi wstążeczkami pozaplatane, były najulubieńsze Krajczycowej.

Proszęż sobie wyobrazić, gdy znudzona posłyszała o prześlicznej chłopce zaślubionej przez Achingera i wziętej z tego stanu natury... co się z nią dziać musiało, dopóki jej nie poznała! Heloiza (było to imię pani) postanowiwszy sobie, dla rozrywki wśród wiejskiej samotności, czynić studja nad kobietą ze stanu natury, jej sercem i uczuciami, tak się do tego wzięła zręcznie, że zapoznała się z Achingerami i wciągnęła Rózię do siebie. Ale w bardzo prędkim czasie zrodził się niesmak i obawa. Krajczyc bowiem zobaczywszy panią Achingerowę, dawnym swym obyczajem śmiertelnie się w niej rozkochał. Starał się ukryć przed żoną ten kaprys, jak go nazywał, ale oczy kobiety są w takim razie nieomylne. Heloiza się

ulękła; bliższe jednak poznanie bohaterki natchnęło ją odwagą, przekonała się bowiem, że Rózia nie jest wcale zalotną, i nie ma najmniejszej ochoty żeglowania po *fleure du tendre*.

Do studjów pani Krajczycowej należało i to, jakie wrażenie na istocie świeżej uczynią książki rozbudzające myśli i uczucia dla niej nieznane. Nie było wprawdzie polskich pod ręką, ale napisano do Warszawy, przywieziono nieco nowości. Heloiza spodziewała się ogromnego wrażenia; w istocie ciekawość wieśniaczki wyrównała oczekiwaniom, ale sąd jej o dziełach zawiódł zupełnie. To co czytała wydało się jej niedorzecznem; przy całem poszanowaniu, jakie miała dla drukowanego słowa, do którego wdrożyły ją książki pobożne, Rózia krytykowała pisarzy w sposób tak niespodziany, naiwny, dziwny, iż Krajczycowa często sile umysłu tego świeżego wydziwić się nie mogła.

Chciwa czytania Rózia znajdowała w niem nadzwyczajną przyjemność, chwile upływały prędzej, dzień schodził niepostrzeżenie, a dla biednej męczennicy już i to było dobrodziejstwem. Ale książki, w większej części tłumaczenia romansów, dramata, poezje, oddziaływały na wrażliwą duszę kobiety, ukazały jej światy i ludzi niebywałych, uczucia nieznane, namiętności gwałtowne, pragnienia nienasycone, jakieś kraje ducha, o ktorych dotąd nie miała pojęcia. W główce jej mą-

ciło się, czuła wtem fałsz zmięszany z prawdą, coś, co wysnute było z rzeczywistości, i jakąś ludzką fałszywą robotę, która tkała z nici życia płótno fantastycznych wzorów.

Z tej znajomości z sąsiadką, która jakoś wprędce odjechała za granicę, potem wróciła znowu do Chwalewa, Rózia skorzystała wiele, poczuła się silniejszą, pewniejszą siebie, zbrojną do walki, której tylko bierny opór przeciwstawiła.

Achingerowi pochlebiały stosunki z Krajczycem i miłem było to książkowe żony zajęcie, rad był że się uczyła, zajmowała i kształciła, nie domyślał się wcale, jak rozwinięcie tego umysłu i serca wpływało na poniżenie jego w oczach żony.

W rozmarzonej główce i pustem sercu kobiecem, jakże się nie miała zrodzić chętka doznania tego uczucia, o którem nieustannie czytała wszędzie, które przepełniało wszystko, a które dotąd było jej obcem... Romanse dowodziły, że małżeństwo wcale nie broniło od miłości, że było przeszkodą dodającą uroku; ale piękna Rózia z ideałów cudzych, z ksiąg i serca stworzyła sobie człowieka do kochania takiego, iż do jego miary ludzie widywani codziennie wcale nie dochodzili. Była więc i ona bezpieczną z tej strony, i Achingerowi nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo. Po niejakim tylko czasie, gdy czytanie wywarło skutek, poczuł mąż w pięknej Rózi (raczej niż doświadczył) siłę

oporu i wyższość taką, iż się zląkł, aby go nie podbiła i nie opanowała.

Całą nadzieją jego było, że czuwaniem, gderaniem i okazywaniem kiedy niekiedy nieograniczonej swej władzy, utrzyma się przy niej.

Ze wszystkiem się człowiek oswaja, można spać we młynie, gdy się w nim mieszkać nawykło; pani Achingerowa znosiła burze i hałasy z rezygnacją prawie wesołą.

Po owem spotkaniu w Chełmie, z którego nadzwyczaj rad był kuternoga, postanowił on korzystać ze zbliżenia, i wedle wyrażonej teorji wejść w ściślejsze z kasztelanem stosnnki. Chciał też swoim obyczajem pokazać i jemu i Barcińskim, że choć żona jego była sobie prosta chłopianka, ale główkę miała nie lada, umysł otwarty i potrafiła się znaleźć między ludźmi, jak tylko pierwszą obawę zbliżenia się do nich przemogła

Pilno mu było do Barcina, zacierał ręce, roił że do siebie zaprosi, jak przyjmie, i usiłował wmówić w nią, aby była nadzwyczaj śmiałą i rezolutną, szczególniej z Żeligą.

Rózię ten świat i człowiek ten nowy dość nęcił. Na pierwszy rzut oka poczuła niezmierną różnicę wartości pomiędzy nim a Krajczycem; domyśliła się potęgi umysłu i serca bardziej, niż je odkrywała w kasztelanie.

Jest to pierwszem znamieniem wyższości człowieka, gdy ma instynkt oszacowania

ludzi; są podniebienia, dla których strawa pół zgniła, siano i kwiatki, gałęzie i liście smakują jednakowo; nie umieją one rozróżnić istotnej wyższości od najpospolitszego jej udawania. Rózia miała właśnie ten wielki dar Boży jasnego widzenia w człowieku. Dla każdej innej kobiety w jej położeniu taki Krajczyc zcudzoziemczały, komedjant, byłby się wydał może wyższym nad kasztelana, a przynajmniej świetniejszym daleko; ona od razu oszacowała Żeligę i postawiła go po nad wszystkimi dotąd znanymi ludźmi.

Trzeciego dnia po jarmarku, zaraz z południa, Achinger zapowiedział żonie, aby się w najnowszą suknię przybrała, i kazał konie przygotować do Barcina; spodziewał się, jak zwykle w razach podobnych oporu, trochę łez, ociągania się, zdziwił się nieco znalazłszy dosyć ochotną gotowość. Jejmość nic mu nie odpowiedziawszy skłoniła główką i poszła się ubierać.

Achinger rzekł sobie w duszy:

— To osobliwsza rzecz... gdyby trochę zbałamuciła kasztelana! hm! ja bym dopilnował, że nicby mi się nie stało, a taką rybę grubą złowić w sieci... wcale byłoby nie szpetnie.

Szlachcic był okrutnie zazdrośny, ale położenie było wyjątkowe, a Żeligi się nie lękał jakoś, czując w nim uczciwego człowieka.

Zatarł ręce.

Rózia poszła do swego pokoju, i dumała jak się ubrać; dobyła suknię seledynową, niebieską, turkusową, piaskową, *gorge de pigon* bardzo ładniuchną, lilja blada z różowem, nakoniec czarną... czarna się jej wydała najprzyzwoitszą. W istocie było jej tak do twarzy w czarnem, że mogła pozawracać głowy nawet na reducie w Warszawie, w Radziwiłłowskim pałacu... Miała przytem niebieską wstążkę we włosach przy koronkowej czarnej chusteczce, a na szyi i białych ramionach także narzuconą koronkę z niteczek, z których różowe wyglądały palce i wachlarz malowany w kwiaty.

Achinger, którego despotyzm sięgał nawet aż do ubioru żony, w pół godziny opamiętał się, że stroju jej nie podyktoweł, pobiegł więc do niej i znalazł już wystrojoną przed zwierciadłem. Miał na myśli ową materję seledynową, ale spojrzawszy na Rózię i znalazłszy ją tak uroczyście piękną, oniemiał. Jedną tylko ośmielił się uczynić uwagę, aby balsamkę ze złotym łańcuszkiem wzięła do wachlarza.

Przybyli do państwa Barcińskich w samą porę na kawę; woźnica choć domorosły, zajechał zręcznie, z bata wypalił trzy razy jak należy, w oknie pokazała się głowa pani stolnikowej, a i Barciński wyszedł na ganek. Przyjęcie było uprzejme... pani Marcinowa wprawdzie nie mogła się oswoić z tą myślą, że to była prosta chłopka, szukała

w sąsiadce jakichś poszlaków jej pochodzenia, ale zmuszona była wyznać bądź co bądź, iż wieśniaczka ta wcale nie była pospolitą, a w towarzystwie najlepszem chyba jej tylko jednej francuzczyzny brakować mogło. Przyszła i Justysia, która dotąd bawiła przy matce, tylko kasztelan się nie zjawił, siedział jak mól w oficynie. Trochę to rachuby pana Achingera zmięszało, ale był cierpliwy. Wyczekawszy dobrą godzinę, spytał o Żeligę Barcińskiego; podawano właśnie kawę, stolnik poszedł prosić na nią do oficyn. Kasztelan siedział przy Niesieckiego herbarzu...

— Mamy gości — rzekł u progu Barciński, — trzeba się panu rozerwać, prosimy na kawę.

— A któż to tam taki?

— Ale ba, owa śliczna Achingerowa, z którąśmy się poznali w Chełmie na popasie, a powiadam kasztelanowi tak dziś wygląda gdyby róża.

— A mąż przy niej?

— Jak żółty nagniotek — odparł stolnik. — Osobliwsza rzecz jak to się wykształciło, jak nabrało prezentacji, maniery, uwierzyć trudno, że to z prostej chaty przeszło do dworu. Powiadam kasztelanowi ósmy cud świata.

— Stolniku! — śmiejąc się zawołał Żeliga, powiem jejmości.

— Ała ja i sam się przyznam, że admiruję ją... — rzekł Barciński; — rzuć wać-

pan suchą księgę, a choć patrzyć na żywy twór Boży, nad który o piękniejszy trudno.

— Tak mnie asindziej napastujesz, że się oprzeć nie można — odparł kasztelan zamykając księgę — no idę.

Achinger dostrzegłszy przez okno kroczącego kasztelana, mimowolnie ręce zatarł, szepnął był żonie, żeby go na następny piątek na postny objad prosiła razem z Barcińskimi; układał sobie, że musi ich wszystkich pobałamucić.

Gdy Żeliga wszedł, zarumieniła się pani Achingerowa, poczuła się daleko mniej śmiałą, ale po krótkiej chwili odwaga wróciła; ma to do siebie jasny umysł i czyste serce, że z niemi wkrótce czuje się człowiek bratersko oswojonym i pociągniętym ich siłą. Ludzie fałszu odpychają tylko i niepokoją, nawet największą sztuką nie mogą obudzić zaufania, a gdy je pozyskają, zostaje zawsze w człowieku obawa niewytłumaczona, która jest przestrogą.

Żeliga wszedł wesół i dobrej myśli, powitał Achingera, uśmiechnął się do Justysi i przysiadł z drugiej strony przy pani Achingerowej.

— Jakżeście tam państwo do domu naówczas dojechali? — zapytał kasztelan,— kawał drogi i nie dobry, nie obawiałaś się pani?

— Ja? — odpowiedziała Rózia rumieniąc się; ja staram się nie lękać niczego, a

z wielu strachami jestem od młodu oswojona. Konie mamy spokojne, gościniec do Chełma tak znajomy, że i po nocy nie straszny.

— Myśmy też dobili się do Barcina bez wypadku — dodał kasztelan — choć u nas w porze zimowej nocą, nie zawsze to szczęście spotyka.

— A nasze lasy — dodał Achinger — mają od wieków złą dosyć reputację. Lasy i góry jest to właśnie, czego rozbójnikom potrzeba.

— Z dodatkiem jeszcze jednej rzeczy, rzekł kasztelan — żeby mieli kogo rozbijać, a przyznam się panu, że u nas wędrowców objuczonych złotem po gościńcach nie wielu, na faseczkę bigosu i puzderko z gdańską wódką nie są łakomi.

Poczęto się śmiać.

— Nasz kraj w ogóle nie sprzyja awanturnikom i awanturom — dodał Żeliga — płaski jest, widny, nie ma się gdzie skryć chyba w krzaki, a połowę roku nawet rozbójnik nie wytrzyma w tym klimacie. I życie też i umysły i namiętności nie potemu... W południowych krajach wcale inaczej, próżnowania więcej, na powietrzu łatwiej żyje się choćby rok cały, a umysł nieujęty szaleje i i pcha do wybryków.

— Dla tych co swoją tylko ziemię znają, — odezwała się nieśmiało pani Achingerowa, wielce to dziwną jest rzeczą dowiedzieć się, że człowiek, nie wszędzie jest

jeden i jednakowy... że tak ogromne są różnice między mieszkańcami krajów i części świata.

— Gdyby to nie było poważną rzeczą o takich przedmiotach rozprawiać, ozwał się kasztelan — dodałbym, że człowiek jest leniwego umysłu pospolicie, a stworzenie Boże, świat, nieskończony i nieustannie inny. Ztąd dla nas też dziwów jest pełen. My sobie wystawiamy, że to co znamy jest już wszystkiem, a życie ledwie starczy na rozpatrzenie się w cząsteczce. Kraje, ludzie, zwierzęta, rośliny, niby jedną formą wszystkie a jak rozmaite... i wiek wiekowi niepodobny, i jeden człowiek w różnych latach jest wcale odmienny, słowem wszystko przemija, mieni się, ginie, wyrasta co chwila, a jeden Bóg, którego siłą się to wszystko stało i trwa, pozostaje zawsze sobą i niezmiennym.

— Za pozwoleniem kasztelana — przerwał Achinger rad się wmięszać do rozmowy — co się tyczy człowieka, żeby się on miał w życiu tak bardzo zmieniać, nie sądzę...

— I zmienia się mój dobrodzieju, i sobą pozostaje — rzekł kasztelan — przynosi miarę na świat, do której rosnąć może, rośnie więc ale w swej formie. Ot tak uderzmy się w piersi, kto z nas, w przeszłość swoją zajrzawszy nie przyzna, że przynajmniej parę razy skórę zmieniał i wyleniał jak wąż...

— A szczególniej — dorzucił stolnik — kto się ożeni to się odmieni.

— O! o! czy jegomość pijesz do mnie? spytał szlachcic.

— Ale jak żywo! — tłumaczył się Barciński — do nas wszystkich się to stosuje. Zresztą mój moci dobrodzieju, gdybyś się jegomosć i zmienił, to pewno nie na gorsze, mając taki wonny kwiatuszek u boku. Jego zapach musiałby i waści zaprawić swą wonią...

Pani Achingerowa tak się zmięszała wypowiedzianym jej w oczy komplimentem stolnika, że się zarumieniła, oczy spuściła i chustką musiała zasłonić; kasztelan się rozśmiał, Achinger napuszył, stolnikowa nie była rada.

Ta chwila zamięszania małego nadała inny obrót rozmowie. Justysia przybliżyła się do pani Achingerowej i poczęła z nią szeptać, mężczyźni się nieco oddzielili, Barcińska kawą zajęła.

— Dziękuję za sprawiedliwość oddaną mojej żonie — rzekł Achinger — w istocie to nie jest pospolita niewiasta... codzień się jej zdumiewam.

Kasztelan zwrócił się na chwilę do p. Marcinowej, której kwaskowate usposobienie postrzegł.

— Stolnikowo dobrodziejko — szepnął jej na ucho — bez uprzedzeń! bez uprzedzeń...

— Wszyscyście głowy potracili od zapachu tego kwiatka! — szydersko odpowiedziała pani Barcińska — tylko ja jedna nosem kręcę.

— Ale to przejdzie — rzekł Żeliga całując ją w rękę — boś pani dobra i sprawiedliwa.

— Nie bierz mnie kochany przyjacielu na pochlebstwo, słodyczy nie lubię.

— Patrzże pani, jak Justysia nawet do niej przylgnęła, to już dobry znak, sądzę... rzekł Żeliga. Justysia ma sąd i instynkt trafny, nigdy się na ludziach nie myli.

— Ależ mi daj pokój, a kiedy ci smakuje, ruszaj sobie do niej — pół żartem, pół gniewnie odpychając go ozwała się Barcińska.

Kasztelan uśmiechnąwszy się w istocie poszedł ku pani Achingerowej, a mąż patrząc z daleka zatarł ręce z radości.

Walczyła w nim zazdrość z ambicją, ale ostatnia zwyciężyła.

— Niech mu głowę zawróci, — mówił w duchu — nie mam się czego obawiać, a skorzystam z tego wiele... człek w świat przecie wejdzie i kto to może wiedzieć, do czego to doprowadzi; gdyby tylko zaszłapał, pociągnąłbym go dobrze.

— Stolniku—dodał nagle nieco—ja do was mam prośbę.

— A no mówże sąsiedzie.

— W piątek na postny objadek z ca-

łym domem do mnie. Nie mogę tego przenieść, żem was licho przyjął w Chełmie, trzeba sobie sławy poprawić! Jak mi co dobrego życzycie.

— A będzie węgorz.

— Będzie.

— No proścież drugich, mnie już macie.

Achinger posunął się do stolnikowej, która zdala dosłyszała o co chodziło, i powtórzył zaproszenie.

— Z miłą chęcią bym służyła, ale wierzcie mi jestem cierpiąca, a na to zimno narazić się nie mogę. Jeśli mąż i kasztelan pojadą, to i Justysia z nimi, mnie uwolnijcie.

Nie chciał Achinger nalegać, ale na dany przezeń znak, Rózia przyszła z kolei prosić wszystkich na piątkowy objad. Zgodzili się chętnie prócz pani Barcińskiej. Stanęło na tem, że stolnikowa nie pojedzie obawiając się chłodu...

Chwilę potem jeszcze rozmawiał kasztelan z młodą panią, zdumiewając się naturalnemu jej rozsądkowi, a gdy zmierzchać poczęło, sąsiedzi pożegnali Barcińskich i ruszyli do domu.

Po odwidzinach, wszyscy zebrani przy kominie pozostali czas jakiś milczący, szanując niedobry humor samej pani Barcińskiej, z tego uciszenia już wnieść było można, że rozmowa będzie burzliwą...

Stolnikowa siedziała przy kominie na-

kwaszona (jak zwykł był mówić mąż,) ręką brodę podparłszy, nachmurzona...

— No, no! puśćcież sobie waszmość oba cugle i chwalcie tę chłopiankę, bo widzę że wam już języki świerzbią... — odezwała się po chwili Barcińska — ja nie przeszkadzam chórem, chórem... Najlepsi nawet mężczyźni, zawsze mężczyźni, jak im świeże liczko oczy olśni, pogłupieją z pozwoleniem...

— Gdybyś pani chciała mnie cierpliwie posłuchać to bym coś powiedział — odezwał się kasztelan łagodnie — zaczepieni musimy się bronić.

— Czem wy się obronicie — mówiła ciągle niechętnie jakoś Barcińska — bałamuty jesteście i po wszystkiem.

— I ja? spytał kasztelan.

— Jakto, i ja? toś waszmość co lepszego odemnie, a ja to już zdesperowany wisus na starość? — ofuknął się stolnik.

— Otóż i waszmość panie kasztelanie— dodała Barcińska. — Coście w tej sroczce upatrzyli? Wyglądała dziś w tej czarnej sukience fertycznie jak sroczka! jak sroczka! ale sroczka młoda i ładna, a szczebiotliwa też...

— Aleśmy nic nie upatrzyli! — zawołał kasztelan. — Ładna i rozsądna kobiecina, ot i koniec.

— I rozsądna! tfu! — mówiła stolnikowa — a gdzież to ona tego rozumu nabrała? w chłopskiej chacie? a ja waszmo-

ściom powiadam, o sto mil bym zwąchała w niej, że nie jest szlachcianka! Wygląda na przystojną garderobianę... a że Krajczycowa ją trochę wymusztrowała i książkami ladajakiemi głowę napchała... ot, to już wielkie rzeczy! A dosyć tego, dosyć!

Żeliga począł się śmiać, pocałował w rękę jejmość i rzekł:

— Jesteście niesprawiedliwi, ale ponieważ macie nas za skorumpowanych sędziów, apeluję do Justysi.

Powołana dotąd milcząca Justysia przypadła do nóg matki, uklękła, pocałowała w kolana i szepnęła.

— Matuś kochana, mnie się nie godzi tobie zaprzeczyć, ale Achingerowa, chłopka czy kto tam ona jest, do serca mi przypadła!

— I tobie!

— A co? zawołał kasztelan i stolnik.

— Przekupiliście mi ją! — rzekła Barcińska; — co wy tam w niej widzicie?

— Ja to powiem asińdźce — przerwał Żeliga — choć nie wiem czy się dobrze wysłowić potrafię. Oto są dwa rodzaje ludzi, co się najlepiej rozumieją i zgodzą... lud i szlachta... ci których Bóg stworzył a świat nie zepsuł, z tymi co za światem dążą też nie zepsuci; w pośrodku między nimi są różne ludziska do którch przystać trudniej, bo mięszaniny... ni to Boże stworzenie, ni owoc świata zdrowy... dużo pychy, wiele

zazdrości, żółci pełno. Lud prawdziwy tego nie ma, ani prawa szlachta. Chłopa ja lepiej rozumiem, niż mieszczanina, i mniej się go też boję.

— Otoś się waszmość w chamskiem plemieniu nagle rozkochał — zawołała stolnikowa gniewnie — ale dajcie mi pokój, dla mnie ludzie to ino nasza szlachta..., a reszta mój dobrodzieju małpy, którym się zbiera na to, i zachciewa czemś być, ale daleko jeszcze... o daleko!

— Jejmościuniu—przerwał Barcinski — a co Chrystus Pan powiedział: że wszyscy ludzie braćmi.

— Daj że ty mi pokój, są bracia i braciszki; nie wypieram się pokrewieństwa, ale cóżem winna, że mi ono śmierdzi...

W śmiech to poszło.

— Oj świat! świat! — rzekł kasztelan — co to sobie ludzie potworzyli... miły panie! Stolnikowo kochana wszyscy bałamucimy... i ja i wy. Ludzie wszędy ludźmi... ten lepszy co więcej wart...

— Tak! tak! a czemuż to ta jejmość ma być warta wiele? — spytała stolnikowa — poszła młodo za pół zgniłego kuternogę przez ambicję... to to pięknie?

— Matka ją wydała przecie! —wrzucił stolnik.

— A posłuchajcież jej jak się wyrobiła — dodał kasztelan — z jakim talentem, skromnością...,

Tych pochwał pani Barcińska już wytrzymać nie mogła, porwała się aż z krzesła.

— A no dosyć — zawołała — bo my tu przy niej wszystkie na czupiradła wyjdziemy... dosyć, śliczna, rozumna, doskonała, ino dosyć...

Zamilkli tedy. Była to środa, we czwartek mowy o tem nie było aż nadszedł piątek i ów postny objad u Achingerów. Stolnik poszedł do stajni sam konie wybrać, a że to się w owych czasach wcześniej wszystko czyniło i godziną objadową było południe, po dziesiątej wszyscy już byli gotowi, tylko Barcińska trwając w swem postanowieniu, nie ruszyła się od pończochy i komina.

Kasztelan acz skromnie i żałobnie przybrał się świąteczno, przypasał szablę czarno szmelcowaną, wziął pas jedwabny turecki, czapkę z barankiem białym aksamitną, postawę miał pańską i piękną. Justysia chciała być strojną i wystąpić, czego matka nie broniła i wyglądała na młodą królowę. Stolnik dla uhonorowania gospodarza wziął pod kontusz wstęgę a do boku przypiął gwiazdę.

Dzień był chmurny i słotny, ale droga jeszcze niezbyt popsuta, około południa stanęli przed dworem, w którego ganku oczekiwał kuternoga wystrojony niesmacznie, w palonych butach, w pasie zbyt zawiesistym do jego postawy, ze swieżo jak rzepa wygoloną głową. Nawet wąs, ta ozdoba

twarzy nie pięknych, która je znośnemi czyni, jemu nieborakowi. nie dopisywał, cienki był jakby powysmykiwany i najeżony dziwacznie. Ale na żółtem licu malowała się radość z przyjmowania dostojnych gości. Podał rękę Justysi i wprowadził ją do salki, w której oczekiwała gosposia na ten raz w mienionym robronie, w klejnotach, przystrojona wedle dyspozycji pana męża, więc dosyć niesmacznie a błyszcząco. Zmięszana była widocznie...

Dom Achingera nie był urządzony zbyt wykwitnie i niezwykły do przyjęć uroczystych, kłopotu było więc nie mało z nim, ludzie biegali jak poparzeni, kadzidło czuć wszędzie, nieład razem i zmięszanie. Kadzono trociczkami po pokojach, rożkiem w sieni, a więcej było dymu niż zapachu. Na dobitkę ten zbytek pachnideł kazał się domyślać jakiejś niewonnej ich przyczyny, która lada chwila zwycięzko objawić się mogła.

Gosposia się rumieniła co chwila, Achinger perzył i niecierpliwił, we drzwiach to się rozczochrana pokazała dziewczyna, to mignął jakiś przybór zakulisowy, który nie miał pozwolenia ukazywać się gościom. Jegomość i jejmość wybiegali na przemiany, dawali sobie znaki, brzęczały klucze, w pospiechu leciały talerzy na ziemię, chłopcy poubierani w nieswoją odzież chodzić nie umieli... słowem utrapienia z początku więcej było niż pociechy. Ale podano przekąskę

i jakoś już potem wszystko weszło w karby, gdy pierwszy przestrach przeminął.

Rózia wybiegła jeszcze zajrzeć na stół i wydać rozkazy ostatnie do kuchni, a tymczasem mężczyźni poczęli w ręce asana dobrodzieja gdańską wódkę przedziwną.

Wędliny godne jej były... Justysia pomagała ochotnie Achingerowej, naostatek drzwi się otwarły i poprowadzono do stołu nakrytego z całą elegancją, na jaką stary kredencerz, który po dworach bywał, mógł się zdobyć. Szczególniej figlarne ułożenie serwet na talerzach dowodziło, że mu pańskie obyczaje nie były obce. Obrus też misternie karbowany w desenie, gdyby nie tabaka, którą go autor nieco posypał, uszedłby za prawdziwe dzieło sztuki.

Ale z temi proszonemi objadami na wsi, zawsze jedna historja: jedno się przysmali, drugie przydymi, trzecie niedopieczone; im gospodarz by bardziej chciał wystąpić, tem pewniej kopce i dymy zawiodą. Choć Rózia była sama w kuchni, choć kucharz miał zapowiedziane piętnaście bizunów, jeśliby sobie podchmielił, objad był nieosobliwy, tylko węgorz udał się paradnie. Oblano go dobrem winem węgierskiem, naprzód słabszem, potem starem wytrawnem. Achinger, który się wzmagał niezmiernie aby ugościć, najpierwszy sobie podchmielił. Wstali wszyscy w dobrych humorach, tak że zgryzoty z powodu różnych półmisków chybionych zostały zapomniane.

*

Rózia tego dnia była mało mowną, zafrasowaną, ale mimo stroju niesmakownego wydawała się piękną jak zawsze, smutniejszą, tylko niż innych dni.

Achinger, mający w tem myśl swoją, tak po objedzie kierował, aby żonę z kasztelanem na rozmowie zostawić. Udało mu się nadspodziewanie nawet; Żeliga przysiadł się do jejmości, oboje się zapomnieli... i dopiero o zmierzchu gdy stolnik wziął za czapkę, ocknęła się pani Achingerowa, a Żeliga zmiarkował, że zadługo przy niej przesiedział.

— Jeśli w tym człowieku jest jeszcze choć kropla krwi i odrobina serca niewyschłego, to musi się głowa zawrócić! — rzekł sobie w duchu szlachcic stojąc w ganku po odjeździe gości. O moją jejmość się nie obawiam, jest stateczna, sama nie wie co czyni, jaki ma urok... ale Żeligę złapałem... no! i już go nie puszczę.

To mówiąc śmiał się i ręce zacierał. Wszedłszy do pokoju zdziwił się, żonę zastawszy jak słup stojącą i zamyśloną; ale to sobie wytłumaczył tem, że się zmęczyła. Chciał ją pocałować, ale odskoczyła od niego przelękła, aż się śmiać począł z niej, i uciekła do swojego pokoju.

Achinger zajął się jak zwykle obrachowaniem szkód, czerepów potłuczonych, wypitych flaszek, wymierzeniem kar na winowajców, łajaniem kucharza i następstwami zwykłemi, które objad taki ciągnie za sobą

zawsze; to go przyjemnie zajęło aż do dnia następnego, i już Rózi nie widział tego wieczora. Zdaje się, że ostateczne rachunki z ludźmi ukończył nazajutrz rano gumienny na toku.

Wiosna w tym roku spóźniona, poczęła się dopiero pierwszych dni kwietnia zwiastować; ale jak to zwykle bywa, po tęgiej i długiej zimie sybirskim sposobem śniegi stopniały, trawa zazieleniała, leśne kwiatki pootwierały pyszczki w ciągu dni kilku, a po plutach, zamieciach, mrozach, gdy ten pożądany gość zawita: ciepło, słońce, zieloność i rajskie wonie liści, nie ma duszy ludzkiej, któraby się nie radowała powrotowi do życia.

Choć pod naszem niebem często się prawdzi przysłowie. „do świętego Ducha nie zrzucaj kożucha, a po świętym Duchu, chodź zawsze w kożuchu,“ jednak i u nas bywa ciepło i śmieje się ziemia choć chwilę. W Barcinie wielkanocne święta razem z wiosną powołały do czynych zajęć panią Barcińskę, a trochę nawet ciężkiego stolnika. Żeliga bawił u nich ciągle, ale że mu tu jakoś było dobrze, swobodnie, cicho, że miłował oboje starych, choć się z nimi czasem pokłócił, a ciężarem znowu być nie chciał, zaprowadził sobie rodzaj małego osobnego gospodarstwa w oficynie, trzymał parę koni, wierzchowca, stajennego, służącego i chło-

paka. Stolnikowa mimo kłótni to o panią Achingerowę, to o inne różne zdania kasztelana, z któremi się pogodzić nie mogła, kochała go bardzo i mawiała teraz, że jakby go im w Barcinie uchowaj Boże zabrakło, to by i ona w nim nie wytrzymała.

Ze wszystkich jednak uraz, jakie miewała do Żeligi, najmocniejszą może była wspomniana właśnie o sąsiadkę.

Achinger po owym pamiętnym objedzie piątkowym nie zaniedbał wciągać kasztelana, narzucać mu się prawie, zapraszać, odwidzać. Gniewało to niepomału stolnikowę.

— Ależ na miłego Boga, — mawiała cicho do męża, — głupi człowiek, albo już oczów nie ma, czy co? Ciągnie go do żony, a to jakkolwiek stateczny, poważny, i nie bardzo młody mężczyzna, ale dalipan jabym za niego nie ręczyła, że się w niej nie rozmiłuje.

— E! cóż to jejmość pleciesz znowu! wołał Barciński śmiejąc się.

— Plotę albo i nie plotę — mówiła stolnikowa — ja mam dobre oczy, lubią się bardzo i rozumieją z sobą najlepiej. Nie ma w tem grzechu, ale po co kusić licho kiedy spi? Rózia mało nie szaleje za kasztelanem, a kasztelan widzi w niej więcej niż jest, I trochę za często tam bywa, i wiem że grzeczności robi, książki posyła, prezenciki...

Barciński bronił zawsze do upadłego kasztelana; stolnikowa go podejrzywała mocno.

— Jejmości to się śni nie wiedzieć co... — powtarzał — dałabyś pokój. Czyż nie znasz człowieka... a i Achingerowa uczciwa kobieta. Cóż to już i przyjacielem zamężnej kobiety być nie wolno?

Stolnikowa ruszyła ramionami.

— A ja tego nie lubię — mówiła — ja tego nie lubię. Czemu, jak się ich zejdzie dwoje czasem i cały wieczór przy sobie przesiedzą, a ona go słucha, a ten jej prawie, jakby lekcje dawał.

— No to co? albo Justysi naszej nie uczył? pytał stolnik.

— To było co innego, a to co innego, tamto dziecko.

— I to dziecko.

— Już daj mi jegomość pokój.

Na tem się zwykle kończyła rozmowa, ale przy pierwszej zręczności z małemi odmianami powtarzała. Nie był stolnik ślepy także, widział, że kasztelan miał słabość do Achingerowej, ale w tem nie upatrywał nic złego.

Szlachcic zazdrośny okrutnie o innych, który jak oka w głowie żony pilnował i młodzież odganiał na wsze strony, co do kasztelana był nader pobłażającym i ślepym; zostawiał go z żoną godzinami, nastręczał mu widywanie się z nią, słowem grał jakąś rolę dziwaczną. To jeszcze bardziej rozjątrzało stolnikowę, która mu] tej, jak ją po

prostu nazywała, podłości darować nie mogła.

Miała słuszność; czuła ona w żółtym kuternodze rachubę przewrotną i niegodziwą; szczęściem od jej urzeczywistnienia bronił szlachetny charakter kasztelana, który wcale ze swobody jaką mu dawano, korzystać nie chciał. Ale któż nie jest słabym w obec uczucia tego, które największy skarb człowieka na ziemi stanowi? Żeliga bardzo niewinnie przywiązał się do Rózi i bez złej myśli uczęszczał do Achingerów.

Stolnikowę to niepokoiło, umiała ona badać przyjaciela, który nigdy nie kłamał, wiedziała i liczyła ile razy tam był, kiedy męża zastał lub nie i jak bawił długo.

Naostatek, gdy w ciągu tygodni samych roztopów, wypytała się, że cztery razy w najgorszą drogę jeździł Żeliga do Achingerów, a dwakroć męża nie zastał i bawił mimo to po kilka godzin, poczęła się bardzo frasować.

Weszła do męża wieczorem tego dnia, gdy Żeliga późno wrócił z sąsiedztwa, i poczęła wyrzekać.

— Ja ci powiadam, mój jegomość, że to jest łajdak ten Achinger, on sobie rachunek zrobił na niego i nie chybi... chce mu sprzedać żonę... nie pierwszy to raz i nie ostatni takie się rzeczy trafiają. Mało do tego było przykładów, że panowie rozwodzili żony mężom, za to opłacając... Ja kasztelana nie

posądzam o postępek tak nie moralny, ani tę sroczkę nawet, ale Achinger nań rachuje. Po co wyjeżdża z domu umyslnie i samych ich z sobą zostawia, zaklinając kasztelana aby bawił? toć to bije w oczy.,.

To mówiąc, obejrzała się po za siebie, poczuwszy jakby przytomność trzeciej osoby, i spostrzegła dopiero Żeligę, który stał za nią i rozmowy słuchał... Krzyknęła pani stolnikowa ze strachu, ale co się rzekło, tego odwołać było niepodobna.

Kasztelan stał smutny i zamyślony, ale nie gniewny wcale.

— Moja zacna przyjaciółko — rzekł po chwili — siadaj, uspokój się i jako obwinionemu pozwól mi się więc wytłumaczyć.

— Ale ja cię kochany kasztelanie wcale nie obwiniam.

— Obwiniasz moja dobrodziejko, boć gdybym dla swej satysfakcji domowe szczęście sąsiada zakłócał, zawsze bym był winien sądu i kary. Ale rzeczy się mają inaczej... Ja nad losem tej nieszczęśliwej kobiety boleję i strzegę jej, aby nie zeszła z drogi obowiązków... Stolnikowo nie potępiaj, nie macie pojęcia co ta Achingerowa z mężem znosi, to męczennica... Gdyby nie ja, albo by od niego dawno uciekła, lub oszalała.., Wiele złego mówiliście o kuternodze, ale to wszystko jeszcze mało. A potrzeba, aby się bezsilna przewrotność tego niecnika rozbiła o wytrwałość, o zacność tej niewiasty. Wie-

działem i wiem, że mnie posądzaliście i posądzacie, czułem że tracę część szacunku, jaki miałem u stolnikowej, alem spełniał powinność. Pamiętajcie, że ta kobieta jest sierotą, że jest samą bez rady i opieki, i że Achinger czyni z nią co chce. Gdyby ją religijne słowo, otucha jakaś, wreszcie pewna opieka nie osłaniała... ta kobieta mogłaby zgubić duszę swą. Korzystam z tego, że mnie Achinger ma za rozmiłowanego, że mnie może ciągnie w sidła, które dobrze widzę; ale w sposób uczciwy daję jej rady ojcowskie, umacniam słabego ducha, podtrzymuję, wierzcie mi, na drodze prawej; a jeśli przyjdzie mi zdać sprawę przed Bogiem z uczuć i postępków moich, stanę na sąd czysty, z sumieniem spokojnem, wierzcie mi nie kłamałbym i nie kłamię. Otóż cała prawda moja stolnikowo dobrodziejko. Ale z drugiej strony, żebym miał ze strachu ludzkich plotek, z obawy sądów ludzkich, rzucić na pastwę nieszczęśliwą kobietę, którą ratować mogę, tego nie uczynię. Starczy mi spokój mojego sumienia, a że mnie inaczej osądzą niżem wart, że mnie potępią, że przyjaciele nawet może nie ocenią i nie rozumieją, może to być nieszczęściem. nie powinno jednak być w żadnym razie pobudką do zmiany w postępowaniu.

Stolnikowa była poruszoną do głębi.

— Mój kasztelanie — rzekła — zważ sam, czy wszelkie pozory nie były przeciw

tobie, szanuję cię i pewnie wierzę jak nikomu więcej. Ale tyś człowiek... i ty słabość mieć możesz. A z drugiej strony powiedz, jeśli postępowanie dwuznaczne jest złym przykładem dla drugich, jeśli na ciebie patrząc, męża poważnego i znanego z cnoty, będą się tłumaczyć twoją mniemaną słabością ze swych istotnych występków? Co tu wybierać, czy dalej brnąć dla wybawienia jednej, szerząc zgubę drugich...

— Stolnikowo — przerwał Żeliga — to coś teraz powiedziała, męczyło mnie; zadałaś pytanie, które sam sobie czyniłem nieraz, nie umiejąc na nie odpowiedzieć. Ale bądźże sędzią chłodnym do ostatka, powiedz czy z każdej czynności ludzkiej nie biorą ludzie pochopu do złego kiedy chcą? czy jam dlatego powinien nie spełniać obowiązku, że oni mogą sobie mój postępek tłumaczyć fałszywie?

Stolnikowa zamilkła zamyślona...

— Abym wam jaśniej się wytłumaczył — dodał kasztelan — opowiem o dzisiejszych odwidzinach u Achingerów. Pojechałem tam czując się potrzebnym, alem sądził że jego zastanę w domu. Wiecie, że na tej długiej grobli, która do dworu prowadzi, widać na przestrzał i pół godziny wprzód poznać można gdy kto jedzie. Ledwie byłem wjechał na nią, patrzę, wyjeżdża biedka ode dworu, bliżej poznałem żółtego kuternogę; stanąłem. — A! panie kasztelanie dobro-

dzieju! rzecze mi, darujcie, przebaczcie, pilny nader interes do młyna, za kwadrans będę nazad... jedźcie do dworu, ja wnet przybywam. Proszę i błagam. Chciałem koniecznie zawrócić, jak zaczął zaklinać, prosić, męczyć, przysięgać, że powróci wnet, dałem się skłonić, pojechałem... a on zaciął konie, i ze swą biedką ruszył do młyna. Przyjeżdżam do dworu, słudzy już wiedzieli na grobli, żem pana spotkał, puszczają do sali, mówiąc że pani czeka. Jakoż zastałem ją chodzącą wielkiemi krokami, zamyśloną; jak tylko mnie postrzegła, przybiegła prawie płacząc. Ojcze mój — rzekła — dobrze że przebyłeś, ratuj mnie... Nie, ja dłużej tego życia z nim wytrzymać nie będę mogła... On mnie nie kocha, je do niego przywiązania, ani szacunku dlań nie mam; ja ucieknę, pójdę do klasztoru, dam się wykraść... wolę wstyd, hańbę, sieroctwo, nędzę, niż to życie. — Widząc ją tak rozgorączkowaną, począłem zwolna badać, co, jak... ale nic się nie stało nowego; miara tylko cierpliwości jaka jest dana człowiekowi, przebrała się, biedna kobieta znękana, czuła się do rozpaczy przyprowadzoną. Chcecie wiedzieć, jakie to życie z nudziarzem gderliwym, który ma czasem napady złości i gniewu, i który bije ją za to, że milczy i słucha cierpliwie osłupiała jego łajań i znęcań? Wystawcież sobie od rana do wieczora wyrzuty, wymówki, przekąsy, zmaganie się na to aby gniew wywołać, ską-

pstwo najobrzydliwsze, a razem chęć popisu przed obcemi i posądzenia najbrudniejsze, domysły szkaradne, niewolę upokarzającą, naostatek w dodatku sługi wciągnione w szpiegowstwa, donoszenia, uzuchwalone do postępków względem niej, najboleśniej dotknąć mogących. Z tem wszystkiem cierpiała ona i cierpi wytrwale, ale gdybyś stolnikowa wiedziała co się z nią stało, jak zmieniona, zbiedzona, znędzniona.

Kasztelan westchnął.

— Posądzam—rzekł — tego łajdaka, że podwaja surowość i staje się nieznośniejszym coraz, aby ją zmusić do szukania opieki u mnie, a mnie do stanowczego kroku. Muszę więc zdobyć się na krok istotnie i dla mnie stanowczy... wyjadę.

Oboje Barcińscy zakrzyknęli.

— Dodawszy jej ducha, zachęciwszy do cierpliwego znoszenia tego krzyża, który Pan Bóg na jej ramiona włożył, przyrzekłszy, że wy mnie tu u niej zastąpicie, oznajmiłem już pani Achingerowej, iż na czas oddalić się muszę. Pojadę do mojej pustelni, a później, później może kiedyś do was znów powrócę.

— Kasztelanie — zawołała stolnikowa głosem, w którym płacz i łkanie czuć było, a cóż my nieszczęśliwe sieroty bez ciebie poczniemy? Przywykliśmy do was, nie wyżyjemy już sami. Zostawisz nam pustkę... zlituj się.

— Ja nie puszczę — rzekł stolnik.

— Nie mówmy o tem — odparł Żeliga — muszę jechać, potrzebuję się w ciszy i samotności z mojem też rozmówić sumieniem, uspokoić się i pokrzepić na duchu. Położę się znowu spać w tę moją trumnę, która ziemskiego żywota troski odpędza; będę się modlił, słuchał szumu drzew starych i patrzał na moje niedźwiedzie.

— Ale my na to nie pozwolimy, my cię ubłagamy.

— Nie — rzekł stanowczo Żeliga — com był powinien czynić, uczynię, co teraz należy, dopełnię. Przyszedłem się wam wyspowiadać, pożegnać was, a jutro do dnia już śladu w oficynach nie będzie.

Próżne były namowy, perswazje, prośby, kasztelan milczał smutny, ale trwał uparcie przy swojem, zostawiał im tylko na pociechę nadzieję, że wróci może, a zaklął stolnikowstwo oboje, aby Achingerowej byli opiekunami.

Smutnie więc skończyła się rozmowa, a przeciągnęła długo w noc. Gdy Barciński poszedł odprowadzić swego Żeligę do oficyn, znalazł już wszystko popakowane, pokój ogołocony i gotowość do podróży zupełną. A że na wiosnę świt wczesny, nim znów rozpoczętą gawędę skończyli, zaczęło dnieć, i cicho konie Żeligi zaszły z tyłu po niego. Rozstali się więc ze stolnikiem przy bryczce,

a Barcin znowu wydał się straszliwą pustką obojgu biednym starym.

Naturalnie wieść o tym nagłym wyjeździe kasztelana gruchnęła natychmiast po sąsiedztwie, rożne o nim chodziły pogłoski, przyznawano powodom najrozmaitszym to oddalenie niespodziane.

Drugiego dnia po objedzie, siedzieli Barcińscy oboje w ganku, gdy się biedka Achingera zatoczyła ku oficynom. Kuternoga wylazł z niej, popytał ludzi, i wkrótce z zakłopotaną twarzą ukazał się w dziedzińcu. Stolnik się go prawie spodziewał, ale nie tak prędko.

Po pierwszych przywitaniach Achinger siadł, otarł pot z czoła, popatrzał na stolnikowę i zaprosił gospodarza na słówko pilne do jego pokoju.

Mając się na baczności, aby się z czem niepotrzebnem nie wypaplać, ostrzeżony jeszcze przez żonę, aby był wstrzemięźliwym, Barciński rad nie rad powlókł się do sypialni.

— Stolniku dobrodzieju — zawołał ledwie przysiadłszy Achinger — cóż to się stało kasztelanowi, ani się pożegnał, ani powiedział nic, ani się dał domyślać wyjazdu swojego, a tu nagle dowiaduję się, że znikł jak kamfora. Co to jest?

— Ja tego dobrze nie rozumiem — odezwał się stolnik — musiał mieć jakieś ważne interesa.

— A nie mówił nic?—spytał szlachcic.

— Wyraźnie mi tak nie powiedział — odrzekł Barciński; naturalnie rozpytywałem o powody tak nagłego postanowienia, ale niepodobna było nacierać. Może miał jakieś polityczne racje status, senator... czasy są krytyczne... rada...

— I nie przyznał się po co jedzie?

— Tak głucho mi tylko mówił, że ma pilne interesa... że potrzebuje być w domu.

— A kiedyż powróci?

— Wcale tego oznaczyć nie mógł.

— Ale mniej więcej, obiecywał? nie?

— Stanowczo mi nic nie przyrzekł, odpowiedział Barciński. — Miarkujesz waćpan, że mi też bez takiego przyjaciela, któregom nawykł za domowego uważać, bardzo tęskno... więcem prosił, nalegał, ale to nic nie pomogło.

— Ale cóż mu się stało? spytał Achinger — nie domyślacie się?

— Głowę łamiemy z żoną, nie mogąc dojść przyczyny.

— To niepojęta rzecz, żeby mi też był na odjezdnem choć do zobaczyska powiedział; zerwał się; nie rozumiem.

— Ani ja! — rzekł Barciński.

— Nie domyślasz się? — powtórzył szlachcic.

— Nie umiem, nie potrafię nic dojść, to był człowiek otwarty...

Achinger chodził długo ze spuszczoną głową po izbie.

— A czy pisywać do niego będziecie? spytał.

— Adresu mi swojego nie zostawił.

— Gdzież go szukać? spytał szlachcic, — wiatru w polu.

— Myślę, że się zgłosi do mnie...

Achinger usiadł zakłopotany.

— Ej stolniku, ojcze dobrodzieju — rzekł — gdybyście się ze szlachcica nie naigrywali, powiedziałbym coś...

— A no co? spytał Barciński.

— Ja to coś wiem, co go tak spłoszyło.

— Doprawdy? myślicie...

— Ale to musi *sub rosa* zostać pomiędzy nami.

— Naturalnie, gdy tego żądasz.

— Ją wam powiem na ucho — szepnął Achinger, on... on się w mojej żonce na zabój pokochał.

Barciński odskoczył śmiejąc się.

— Ale co znowu! świta wam w głowie, on, człek poważny, surowy! w zamężnej kobiecie... gdzieżby to być mogło.

— Było, mówię wam, było... — szeptał Achinger tajemniczo — ja się na tem znam, mego oka to nie ujdzie... po póty... po póty...

Szlachcic ręką pociągnął po szyi.

— I od tego to on drapnął! — dodał śmiejąc się.

Barciński udał oburzonego i zdziwionego razem

— Już wy mi tego z głowy nie wybijecie — mówił Achinger — od pierwszego spotkania, gdy się zeszli z nią, całemi godzinami nagadać się nie mogli. Dojeżdżał do jejmości i kiedym był i gdy mnie nie było, bałamucił co się zowie, a postrzegłszy że ja się domyślałem... umknął.

Stolnik nie mogąc wytrzymać, buchnął strasznym gniewem, tupnął nogą i począł burząc się wymyślać, a Achinger śmiechem tylko odpowiedział:

— Cyt stolniku, — rzekł chwytając go za rękę — nie gniewaj się, nie ma czego, przypadki chodzą po ludziach... Zacny człowiek mógł też zaszłapać... ale szczęściem miał do czynienia ze mną, którego ocenić nie umiał... Bylibyśmy tę sprawę połatali.

Stolnik zaczął machać rękami, nie chcąc słuchać takich herezyj, aż gość go wstrzymał.

— Ale mnie bo asińdziej nie rozumiesz — rzekł gwałtowniej—albo to nie ma konsystorza i rozwodu? Jam nie tyran, mogliśmy się byli jakoś ułożyć ze sobą... coś... w pewien sposób... byłyć przecie praktyki podobne... zgodnym sposobem, bez gniewów, fuków, jabym znowu go nie odarł jak drudzy...

— Słuchaj Achinger — przerwał mu stolnik wrząc —albo ci się przyśniło, alboś ty zwarjował! Nie znasz człowieka... żonę

swą poczciwą ogadujesz. Do czego to podobne! Gdzieby między poważnymi ludźmi, szlachcicowi senator żonę bałamucił... i potem dał koziołka?

— To tak mu na sucho nie ujdzie — dodał szlachcic—ja mu nie popuszczę... on mi się musi...

Barciński nie dał mu mówić.

— Jakież masz dowody tego bałamuctwa?

— Mam, słuchali moi ludzie pode drzwiami ich rozmów o miłości i djabli wiedzą o czem, postawię świadków, że się schodzili, że mieli konszachty, że ona pisywała do niego, że...

— A gdy on postawi świadków, żeś waszmość wyjeżdżał z domu umyślnie, gdy on przybywał, to co?

— No, to co? — spytał Achinger — gdyby i tak? Już mi to kością w gardle siedziało, robiłem zasadzki, chciałem raz skończyć... A chciał jej, niech rozwodzi i żeni się. Rozwód może być, bom ja ostrożny człeczek! — rozśmiał się kuternoga, jest jedna formalność niedopełniona umyślnie, i ślub mój z nią jak ja chcę to dobry, a jak ja zechcę, nic nie wart.

Barciński popatrzał na niego i ukłonił się.

— Co to ma znaczyć? — spytał Achinger.

— Kłaniam uniżenie,—rzekł gospodarz

i postąpił ku drzwiom, które otworzył, kłaniam uniżenie.

Achinger zbył ten afront śmiechem, a drzwi zamknął.

— Kochany stolniku — rzekł — ty znowu jesteś świętym... a my ludzie słabi... nie perz się tak strasznie. Powiesz mi, żem szelma, ale kto nie zrobił szelmostwa ten nie da sobie rady na świecie... anim lepszy anim gorszy od drugich, bliższa ciała koszula niż kaftan. Łaj mnie, łaj, ale co miałem robić, musiałem być ostrożnym.

— Już ja z waszmością nie gadam — rzekł stolnik.

— A ja kochanego stolnika czczę, wielbię, miłuję i poważam, a tych małych jego przycinków nie biorę do serca, przyjmuję jak od ojca. No... szelma jestem... jak mnie widzisz tak mnie pisz, ale szczery i bez obłudy!

Barciński parsknął śmiechem nie udanym, kuternoga swą podłością go rozbroił.

— Gadajże już sobie co chcesz, — odezwał się — ale nie na kasztelana, że ci żonę zbałamucił, raczej ty próbowałeś czy ci się nie uda poczciwej żony użyć do niepoczciwego frymarku... i oto poszedłeś z nosem długim, bo cię rachuba zawiodła.

Achinger westchnął, rzucił czapką o ziemię z pasją.

— Kroć sto tysięcy djabłów — zawołał — albo zawiodła, albo nie zawiodła!

No tak... co mam lepszego udawać niż jestem, rachowałem na starego że mi się opłaci, byłbym mu Rózię oddał. Cóż to ja pierwszy? albo to generał W. nie sprzedał swojej? albo to książę... nie odstąpił za dwa kroć sto tysięcy matki swoich dzieci? Każdy jak może pcha na świecie. Ja powinienem był wziąć pół miljona; ale to stary wyga, noszony ptak! ho! ho! No tak noszony, ale i jam nie głupi — rzekł Achinger uspakajając się nieco. Napiszcie do niego, że skandaliczny proces mu zrobię, a moi świadkowie poprzysięgną co zechcę, nawet to co nie było. Ultimatum musi zapłacić.

Barciński znowu zawrzał, ten stał spokojny.

— Albom to ja tyle czasu miał na niego darmo polować? hę? — spytał — to moje ma przepadać! Nigdy na świecie... Powiecie sobie żem szelma, to mi wszystko jedno... a ja go zedrę... i musi mi się opłacić.

— Jak ci nie wstyd! bezbożniku ty jakiś... — krzyknął stolnik, — mnie uszy więdną słuchając.

— No to dość — odparł szlachcic biorąc czapkę pod pachę — wiecie już o co idzie i na co się ważę. Wasza rzecz dać znać kasztelanowi, jaki ja mu przysmak gotuję. Dalipan lepszy od tej węgierskiej jajecznicy, od której to się zaczęło. Mam przy konsystorzu adwokata rozwodowego i takiego

co małżeńskie sprawy prowadzi, pozwę go do nuncjatury, do... gdzie tylko pozwać można, a co będzie to będzie, oszkaluję go i owalam co wlezie.

— Ale z nim i żonę, — krzyknął Barciński.

— Abym ja jej pewny był, to co mi tam, że ludzie gadać będą, a zresztą rozwód to zagładzi... Tymczasem jejmość wpakuję do klasztoru na chleb i wodę. Napiszcie mu to wszystko, bo jeśli uczciwej rezolucji nie będę mieć do trzech tygodni, proces rozpocznę. Ludziom pociechę narobię! o narobię... Kłaniam uniżenie!—dodał w końcu czapką prawie zamiatając ziemię. Do stóp się ścielę stolnika... Interesiczek mój łasce jego powierzając, mam honor submitować się... służeczka, służeczka!

Barciński stał osłupiały, Achinger był już za drzwiami, dopadł swej biedy i pojechał.

Gdy stolnik wszedł potem powoli do pokoju żony, tak był blady, wzruszony, dotknięty widocznie wrażeniem rozmowy z sąsiadem, że pani Marcinowa spojrzawszy na niego przestraszyła się, myśląc że zachorował. Musiał się chwycić za stół aby nie padł.

— Co jegomości jest, na rany Chrystusowe? — zawołała.

Stolnik mówić nie mógł, sapał tylko, nie rychło przyszedł do siebie, a żona z za-

łamanemi rękami stojąc nad nim wciąż tylko powtarzała:

— Co ci się stało? co za nieszczęście?

— A! to ten rozbójnik! — zakrzyknął nareszcie, pięścią o stół bijąc Barciński — wielem się po tym łajdaku spodziewał, ale takiej przewrotności, bezwstydu, wytartego czoła... no! po prostu zbójectwa...

— Cóż on chce? co zrobił?

Stolnik dopiero powoli opowiadać zaczął swoją z Achingerem rozmowę i groźby jego przeciwko kasztelanowi. Barcińska struchlała.

W głowie uczciwej kobiety podobna sprawa pomieścić się nie mogła, sądziła, że mężowi się przywidziało, musiał jej własne wyrazy kuternogi powtarzać.

— Mówże jejmość co ja tu mam robić! radź! — zawołał stolnik — czy posyłać natychmiast z oznajmieniem do kasztelana, czy zdać wszystko na wolę Bożą i czekać trzech tygodni? a nuż się ten rozbójnik zawstydzi i opamięta? sumienie go ruszy może? Kto wie czy nie były to tylko strachy próżne, aby kasztelana zmusić do okupienia się.

— Mój jegomość — rzekła — z człowiekiem, który takiemi rzeczami grozić miał bezwstydnie, nie ma co żartować, znasz dobrze rzecz całą, potrzeba nie strasząc Żeligi poczciwego, naradzić się z adwokatem. Adwokat jak spowiednik dotrzyma ci tajemnicy,

nie rozpaple, a najlepiej oceni, czy istotnie to rzecz groźna, czy strachy na Lachy.

— Dobrze by to było, moja jejmość, ale co pomoże adwokat? on szaleniec wygra czy nie, dość że skandalu narobi, hałasu, i uczciwego człowieka splami. Czemu zapobiedz potrzeba, to nie przegranej, ale rozgłosowi i zgorszeniu. Wszak ci po troszę i na nasz dom to spadnie, bo nas oczernią żeśmy o tem wiedzieli dopomagali, i pośrednikami byli do niecnej intrygi.

— A! Boże litościwy! co począć! co począć! — zawołała załamując ręce stolnikowa — widzicie jam zawsze patrząc na tę Achingerowę miała złe przeczucie.

— Ale cóż ta biedna kobieta temu winna! — westchnął stolnik, — winienem ja, żem temu łajdakowi domu nie zamknął, do którego on wstyd i hańbę wniósł z sobą.

Biedni Barcińscy zgryźli się tak i rozmyślali nad tem co począć do późnej nocy, ale trudno przychodziło postanowić coś w tej mierze, i kasztelana uwiadomic w każdym razie zdawało się obowiązkiem. Pisać do niego nie wypadało, gonić nie wiedzieć było dokąd? Dwa czy trzy dni zeszły w niepewności, naostatek stolnik pomyślał o podróży, a piątego ruszył do pustelni na wypadek wszelki. Z ostatnich słów Żeligi domyślał się, że go tam znajdzie. Barcińska pożegnała ze łzami, przeżegnała i powróciła do swej komorki modlić się i płakać.

Z niepokojem w duszy pojechał stolnik, a w drodze co mu się różnych projektów w głowie naprzewracalo, tego by na wołowej skórze nie spisał. Czwartego dopiero dnia stanął w karczemce, w której się spotkali byli pierwszy raz z Żeligą i tu się o niego rozpytywać począł, ale mu nic powiedzieć nie umiano. Wypocząwszy, pod noc puścił się do pustelni.

Wrota znalazł zatarasowane i nie rychło się z za nich głos odezwał przez odsunięte okienko. Stolnik był nawet na to przygotowany, że mogą nie wpuścić, podać więc tylko kazał kartę wcześnie, przysposobioną, przez ów otwór, który natychmiast się zasunął. Dobre pół godziny stała bryczka u bramy, nim nareszcie posłyszano brzęk łańcucha, którym drzwi były znać zaciągnięte i wrota się powoli otworzyły i Barcińskiego wpuszczono. W ganku postrzegł ze swym papierem stojącego Żeligę. Chociaż go tak niedawno widział, znalazł w nim zmianę niezmierną, tak był wymizerniał i wychudł, policzki mu wpadły, oczy się czernią obwiodły; zdawał się nawet złamany w barkach i jakby przygarbiony ciężarem jakimś.

— Kasztelanie! na miłość Boga, czyś nie chory? zmizerniałeś przez tych parę tygodni.

— Ale nic mi nie jest przyjacielu, rzekł Żeliga — nie, nic. Ujmij ciału obroku, a dusza będzie syta, powiadają duchowni,

no! spełniłem przepis i nic więcej. Ciała ubyło, duszy przybywa!

— Nie spodziewałem się widzieć cię tak rychło — dodał Żeliga — wdzięczen jestem za pamięć i przyjaźń, ale cóż się to tam stało? co tak pilnego mogło cię tu zwabić do mnie?

— Będziemy o tem mówili — rzekł Barciński nie chcąc na wstępie uderzyć go tą wiadomością jak obuchem, — jest racja, bo bym bez niej się nie przywlókł.

— Zła? spytał kasztelan.

— No, nie dobra.

— A zatem dawaj gorąco na stół, oczekiwanie złego często gorszem jest niż ono samo, bo otwiera pole niezmierzonym domysłom. Chodź siadaj i mów. Cokolwiek zeszle na mnie ręka Boża, niech będzie błogosławioną.

Wahał się Barciński, ale kasztelan posadziwszy go, kazawszy przysposobić wieczerzę, naległ; naówczas ze łzami prawie w oczach i oburzeniem stolnik począł opowiadać jak najwierniej całą swą rozmowę z Achingerem i zakończenie jej wreszcie.

Kasztelan stał milczący, bladł, wzdrygał się, lecz wypił cierpliwie kielich do dna. Gdy gość ostatnich słów domówił, nastąpiła długa cisza. Żeliga łzy miał w oczach.

— Przypominasz sobie asińdziej — rzekł nareszcie po długim namyśle, owo cudowne widzenie moje w Barcinie i rozmowę z du-

chem nieboszczki? i pamiętasz co ona mówiła i polecała?

Barciński oniemiał z razu, związek teraźniejszych wypadków z owem zjawieniem dotąd mu ani na myśl nie przyszedł, olśnił go teraz dopiero nagle.

— Uważasz, że to było przepowiedzeniem? — rzekł Żeliga — żem był przestrzeżony, że drogę mam niemal wytkniętą, że tej niewiasty nieszczęśliwej na pastwę temu łotrowi rzucić nie mogę.

— Ale ona jest jego żoną! — zawołał Barciński.

— Ani też ja myślę między małżeństwo wchodzić, a przecież muszę tak postąpić, aby ją ratować...

— E! po ludzku — krzyknął stolnik oburzony na Achingera, jabym wprost łajdaka powiesił i byłby koniec.

— Zostaw Bogu karę — rzekł kasztelan — a my litościwą dłoń wyciągnijmy tym, co niewinnie cierpią...

— Jak? w jaki sposób? bo ja nie rozumiem... — zawołał Barciński.

— Widzi mi się — zawołał Żeliga, — że ja nie zważając na kalumnie żadne, muszę powracać do Barcina, i tam z odkrytą twarzą w pogotowiu do odpowiadania za moje postępki.

— A przekupieni świadkowie? a rozgłos?... Nie lepiejżeby unikając zgorszenia...

— Co myślisz? spytał kasztelan.

— Ułożyć się z tym rozbójnikiem i gębę mu zatkać.

— Myślisz że to możliwe? Jużciż ja do rozwodu kobiety przywodzić nie będę... tego nie uczynię. Małżeństwo jest sakramentem, rozwód naigrywa się z niego; co Bóg połączył, człowiek rozdzielać nie ma prawa.

— To niech sobie trzyma i żonę i pieniądze — zawołał stolnik — byle milczał...

— Nie wiem czy i to na co by się przydało. Jakże z nim się układać? możnaż go potem, gdy zechce tę sztukę powtórzyć dla wyłudzenia znowu pieniędzy odeprzeć tem że sobie raz kazał zapłacić? Czyż zapłacenie nie jest oszkalowaniem kobiety i przyznaniem się do winy? a w jego rękach dowodem że miał słuszność?... Naostatek... nie! nie! — rzekł kasztelan — tak nic się nie zrobi!

— Więc jak? zapytał Barciński.

— Nie wiem — odpowiedział gospodarz — ja jak ty jestem przybity, znękany, nie umiem myśli zebrać i zgłębić tej przepaści i podłości i bezwstydu. Nie jestem przywykły sięgać w kałużę i z błotem mieć do czynienia, a to kał i paskudztwo. My oba kochany stolniku, mimo żeśmy grzeszni ludzie, jesteśmy jeszcze za prości, za szczerzy, za niewinni, ażebyśmy sobie dali radę teraz, gdzie kresu niegodziwości oznaczyć nie potrafimy. Na to potrzeba człowieka co by

z chorobami namiętności i upadków często miewał do czynienia, trzeba duchownego lub prawnika oswojonego z trupiarnią i zgnilizną. Zatem nie łamiąc sobie głowy próżno, jutro siędźiemy na bryczkę z waszmością i pojedziemy do Warszawy. Mam tam człowieka wielkiej zacności, biegłego w znajomości praw i wypadków wszelkich... udamy się do niego. Jak na spowiedzi wyznam mu wszystko, bo tu nie ma czego bym się miał wstydzić, a co on wyrzecze, usłucham. Na dziś dość żółci przelewać.

Wieczór zszedł na obojętniejszych rozmowach, chociaż stolnik nie mógł wytrzymać, kilka razy wtrącił coś o Achingerze i klął go nielitościwie, a samo wspomnienie tego imienia całego burzyło. Kasztelan choć tu o niego szło, był daleko spokojniejszym.

Noc minęła prędko, o świcie korzystając z chłodu puścili się w drogę, a na noc zajechali do pałacu kasztelana, który wszakże oznajmił ludziom aby o bytności jego najgłębszą zachowali tajemnicę.

Tegoż wieczora wyprawiono kartkę poufną do mecenasa Opoczyńskiego, a marszałek dworu przyniósł odpowiedź, że nazajutrz o naznaczonej godzinie służyć będzie. Barciński zamówiony był także na ósmą, jako świadek rozmowy. Kończyli jeszcze ranną kawę gdy drzwi się otwarły i wszedł pan mecenas Opoczyński. Był to mężczyzna średniego wzrostu, twarzy zawiędłej, na której pierwszy

rzut oka nie wyśledziłby był rozumu błyskającego w chwilach ożywienia; więcej na niej znać było znużenie życiem i smutek. Niepozorny człowiek wszedł milcząco i usiadł pokornie.

— Wiele to lat jak my się znamy, panie Antoni? — spytał kasztelan spokojnie.

— Jeśli się nie mylę dwadzieścia dochodzi — rzekł mecenas.

— Spodziewam się, że mnie kochany panie Antoni znasz dosyć, nieprawdaż? — mówił gospodarz. Jakbyś też sądził, czy gdyby ci kto powiedział, żem ja małżeństwo skłócił, uczciwe stadło chciał poróżnić, cudzą sobie żonę przywłaszczyć, lub w pokątne bawić się miłostki, uwierzyłbyś ty temu?

— Właśnie panie kasztelanie, nie dalej jak dnia wczorajszego — odparł zimno mecenas — gardłowałem że to być nie może.

Kasztelan osłupiał.

— Jakto? Waćpan... broniłeś mnie? a ktoż obwiniał?

— Jeden z moich towarzyszy z palestry radził się mnie.

— Więc już ktoś poczynił kroki? zawołał przelękły Barciński.

— Żadnych jeszcze kroków nie zrobiono, ale ujęto prawnika i naradzono się *de probabili ewentu* sprawy.

Niespodzianym uderzony ciosem Żeliga, padł na krzesło milczący, stolnik chodził rwąc włosy z głowy.

— Otóżem się spóźnił! A nie byłoż mi jechać drugiego dnia! zaraz! tegoż wieczora!

— Wiesz waćpan całą rzecz? spytał po chwili ochłonąwszy kasztelan.

— Tyle tylko co mi z tamtej strony powiedziano, radząc się poufnie.

— Ażebym sam nie był własnym obrońcą, kochany stolniku — rzekł kasztelan — uzbrój się w cierpliwość i ty opowiedz panu Antoniemu jak się rzeczy miały.

Nie prędko się zabrał Barciński, ale naostatek począł mówić i dokazał cudu, bo czując w sobie wrzenie hamował je tak, że chłodno sprawę całą aż do ostatniej swej rozmowy z Achingerem opowiedział.

Opoczyński słuchał uważnie nie okązując po sobie ani zdziwienia ani zgryzoty ani płochej ciekawości, znać było że badał ranę i szukał sposobu uleczenia jej. Wrzucił kilka pytań nawiasem, zamyślił się, milczał.

Gdy się ten rodzaj inkwizycyj ukończył, mecenas spuścił głowę i długo nie mówił słowa.

— Szanowny kasztelanie — odezwał się nareszcie — znam pana dawno, i mogę powiedzieć, że o wszelkiej czynności przypisywanej mu, *a priori* potrafię osądzić czy jest możliwą czy nie, czy mogła się stać lub jest niepodobieństwem. Zatem dla mnie wątpliwości nie ma najmniejszej żeś

pan niewinny, ale w oczach ludzi, ogółu, dla świata, który rychlej wierzy w złe niż dobre, dla złych, co radziby świętego pochwycić na grzechu, aby sami się mniej występnymi wydawali... dla zgrai ulicznej i opinji publicznej, pan się nieochybnie wydasz winnym, Złe się wyraziłem... okażesz się słabym przebaczą ci, co gorzej poklasną nawet, a ich aplauz panu będzie najsroższym, najdotkliwszym ciosem. Sprawa jest zła... pan byłeś poczciwym, poszedłeś za sercem, ulitowałeś się niedoli, aleś to uczynił nieostrożnie, dałeś się pochwycić niegodziwcowi. Co zrobimy jeśli postawi świadków, którzy przysięgną żeś pan uwodzicielem? Prawo przewiduje wiele występków, ale są głębiny niegodziwości, do których nie sięga nawet przypuszczeniem, aby ludziom do nich nie pokazało drogi. Pozory są wszystkie przeciwko panu.

— Jakże się mam ratować? — spytał chłodno kasztelan.

— Jeżeli proces ma być, strawić życie uczciwe i czoło jasne przeciw potwarzy i krzywoprzysięztwu... Drobnych sposobów obrony jest tysiące, ale to są może takie środki, których może byś pan nawet w poczciwej sprawie użyć nie chciał; kto inny starałby się pozyskać ludzi tych co mogą być za świadków użyci, przekupić ich, rozproszyć, złamać niegodziwego, odejmując mu moc szkodzenia. Ale na to potrzebaby je-

chać na miejsce, działać potajemnie, przekupywać.

— W istocie — rzekł kasztelan, — ja tego się chwycić nie mogę, myśl o innych sposobach...

Opoczyński milczał zafrasowany, ramionami zżymał, tarł włosy, milczenie jego było zastraszające.

— Achinger przysłał czy przyjechał tu sam ?— spytał kasztelan.

— Zdaje się, że tu sam być musi — odparł mecenas — wczoraj przysłał mi swojego obrońcę, wiedząc że ja się interesami kasztelana trudniłem, polecił on mi, abym panu zaraz o tem znać dał, dopóki strona nie uczyni kroków i gotową jest jeszcze do cichego ukończenia sprawy.

— Cóż się stało z żoną? — przerwał Żeliga — jeśli on wyjechał. Zostawić jej sam nie mógł.

— Z tego co mi mój towarzysz mówił wnoszę, — odpowiedział Opoczyński — że żona jest jeszcze na wsi pod strażą sług, w rodzaju niewoli i zamknięcia. Jak skoro sprawa się rozpocznie, odwiezie ją do panien Brygidek do Lublina.

Kasztelan zadumał się.

— Radź co robić! — spytał mecenasa — ratując kobietę niewinną bo mi o mnie najmniej chodzi, mamże mu zapłacić? Byłoby to przyznaniem się do jakiejś winy.

Opoczyński spojrzał z ukosa na kasztelana.

— Jeszcze raz powtórzę, — rzekł, — że znam pana, że mu wierzę, ale daruj mi, ludźmi jesteśmy; powiedz mi pan jak na spowiedzi...

Kasztelan ukląkł, złożył palce na krzyż i pełnym wzruszenia głosem uroczyście zawołał:

— W imię Boga w Trójcy świętej jedynego, na zbawienie duszy mojej przysięgam, że ona i ja jesteśmy niewinni potwarzy na nas rzuconej.

— Gdyby sąd dopuścił się panu odprzysiądz — rzekł mecenas — sprawa byłaby skończoną... ale to być nie może. Zapłacić mu, jak to pan słusznie powiedziałeś, jest uznać siebie winnym i niewiastę zbezcześcić—to niepodobna. Proces zdaje się nieuniknionym.

— Przyjmuję go więc jako krzyż na barki, ręką Bożą na nie wrzucony... Fiat!— rzeł kasztelan. — Brakło mojemu życiu nie potwarzy, bo te miotano na nie już nieraz, ale tego oklasku złych, od którego się zarumienić będę musiał; uśmiechy pobratymstwa jakiemi mnie powitają, uwięzną w piersi ale cóż począć?... znieść trzeba i ofiarować Bogu.

— Przyjmujesz waćpan sprawę moją? spytał kasztelan.

Opoczyński się skłonił tylko.

— Z największą wdzięcznością, że mi ją jaśnie wielmożny pan raczysz powierzyć, dla mnie jest to szczęśliwem prawie, bo mnie podnosi, ale wyrzekłbym się jej, byle nie przyszła do skutku.

— Teraz jest ona w twem ręku — dodał Żeliga — zdaję się na ciebie panie Antoni, jak na przyjaciela.. Rób z tem co chcesz, pamiętaj tylko, że mi nie idzie o spokój, ale o obowiązek, nie o uwolnienie siebie, ale o sprawiedliwość, a wreszcie o los nieszczęśliwej istoty, która pada ofiarą niegodziwca.

Po krótkiej naradzie rozmowa się skończyła.

Mecenas wyszedł prosząc kasztelana aby się w mieście zatrzymał.

Najściślejsze wydane były rozkazy w pałacu, ażeby bytności pana nie zdradzono; zdawało się nawet iż *incognito* da się utrzymać, bo Żeliga nigdzie nie miał wychodzić, i z nikim oprócz Opoczyńskiego widzieć się nie chciał. Jednak około południa marszałek dworu, wielce zafrasowany nadszedł sam, niosąc kasztelanowi bilecik zapieczętowany sygnetem królewskim, zaadresowany nawet nie ręką Piatolego, ale własną Jego królewskiej Mości.

Kasztelan rozerwał z niecierpliwością pieczątkę. Bilet był następującej treści w języku francuskim.

„Kochany kasztelanie! Wiem że jesteś

tu incognito i na chwilę, że wydany sekret twej bytności może ci sprawić chwilową nieprzyjemność, jednakże nie mogę oprzeć się chęci widzenia cię i pomówienia kilka słówek."

W końcu król podpisał się przyjacielem.

Żeliga pobladł.

— Zaczyna się męka! — rzekł — ale nie ma ratunku, uniknąć jej byłoby słabością

— Kto oddał bilet? — spytał kasztelan.

— Paź królewski. Płotnicki.

— Czy dodał co ustnie?

— Mówił, że król oczekiwać będzie pana kasztelana w Łazienkach, o ósmej wieczorem, na prywatną audjencję.

Nie było sposobu, wytłumaczenia się; uścisnąwszy stolnika, który pozostał sam w pałacu jako dobrowolny więzień, kasztelan pojechał.

Około posągu Sobieskiego czekał Płotnicki, domyślił się powozu, zatrzymał i grzecznie podjął się zaprowadzić do króla, który przechadzał się w ogrodzie.

Poszli więc pieszo bocznemi ulicami po za amfiteatr.

Stanisław August wracał od swych łabędzi sam jeden, w letnim ubiorze wieczornym, blady, smutny i zamyślony, postrzegłszy kasztelana powitał go ręką i uśmiechem, polecił Płotnickiemu aby nikogo nie wpuszczano i zostawiono ich samych na sam, a

na ostatek ujął pod rękę przybyłego i pociągnął z sobą.

Pierwsze wyrazy rozmowy w tym wieku, który jeszcze wielką do komplementów przywiązywał wagę, były wymianą słodkich i nudnych grzeczności, zapytaniami o zdrowie, rodzinę itp.

Ukończywszy te preliminarja, król ścisnął rękę kasztelana i odstąpił kroków parę z uśmiechem.

— Spodziewam się — rzekł słodziuchno z tym wdziękiem głosu i słowa, jaki mu był właściwym, gdy chciał sobie kogo pozyskać — spodziewam się kochany kasztelanie, iż nie wątpicie i nie wątpiliście nigdy o moim dla siebie szacunku i przyjaźni. Nie weźmiecie mi więc za złe, gdy powodowany temi uczuciami zapytam co to za jakiś dziwny interes od wczoraj sobie szepcą do ucha? tyczący się was, jakiejś kobiety... nie wiem... jakiegoś grożącego procesu rozwodowego? Chciałbym być o tem przez was samych uwiadomionym dla tego właśnie, ażebym lekkomyślnym potwarcom mógł zamknąć usta.

Kasztelan, który się potroszę czegoś podobnego spodziewał, bo nigdzie przysmak skandalu nie był milszy jak na dworze króla, a usłużni przynosili tam codzień zapasy plotek na pokarm powszedni, odrzekł z uśmiechem:

— N. Panie! spotkało mnie wprost nieszczęście, jakie od złego człowieka spotkać

może każdego, kogo chcą obedrzeć. Postrachem i groźbą skandalu chcą mi wyłudzić pieniądze. W rzeczy samej winy mej nie ma wcale, chyba ta, żem losu nieszczęśliwej kobiety ulitował się i starał się być jej przyjacielem i doradcą. A że ludzie nie łatwo wierzą w czyste intencje, a chętnie w słabości. naturalnie mogę być spotwarzony.

— A nie lepiejże byłoby ubić sprawę? spytał król.

— Nie mogę, bo bym się uznał winnym, a nim nie jestem.

Król się uśmiechnął.

— Ejże! szepnął cicho.

— N. Panie! — surowo odparł kasztelan — jestem niewinnym.

Król spoważniał.

— Smutna to rzecz — rzekł — gdy uczciwego człowieka spotka oszczerstwo i napaść, ale któż od tego wolny?

— Nie pojmuję tylko — dodał kasztelan — zkąd się już wieść o tem mogła rozpowszechnić po Warszawie, gdy nic jeszcze dotąd nie ma, prócz gróźb i intymidacyj.

— Plotka, mój kasztelanie, rozlatuje się jak pierze w powietrzu, a złe rychlej niż dobre... Gdybym waszmości mógł być pomocnym, z duszy serca się ofiaruję...

— N. Panie wdzięczen jestem W. K. Mości, ale proszę tylko byś wierzyć raczył, żem niewinien, i był łaskaw mnie bronić

z tą pełną wiarą, z jaką ja obronę moją w ręce W. K. Mości oddaję.

Na te słową król począł ściskać kasztelana i powtarzać zapewnienia najgorętsze, najżyczliwsze. Ofiarował się sam w to wejść, zapobiedz itd. ale znalazł Żeligę nad podziw twardym i nieugiętym, i nie zdającym się lękać wcale.

To posłuchanie dało tylko kasztelanowi miarę rozgłosu, jaki już sprawa mieć poczynała... wiedzieli o niej wszyscy... zapobiegać więc, było to także do pewnego stopnia uznać się winnym. Kość była nieodwołalnie rzucona, kielich pełny stał do wypicia... odwrócić go niepodobieństwem.

Gdy w pałacu Żeliga, wróciwszy z Łazienek, spokojnie już opowiadał swą bytność u króla Barcińskiemu, przybyły do Warszawy od kilku dni Achinger, wygadawszy się z zamiarem przed dwoma prawnikami, którzy go wzięli w obroty, (bo dla nich sprawa podobna była wielce pożądaną gratką) chodził po najętej izdebce gospody na Tłumackiem i ważył rozpoczęte dzieło. Nie było mu też lekko na duszy choć się dobrze wprzód porachował. . Czekał on swojego adwokata, którym był sławny Bajkowski mecenas, sztuka wygadana, z wymowy ceniony, umysłu bystrego, i nie przebierający w środkach pokonania przeciwnika, gdy szło o zapasy u kratek. Mało którą sprawę Bajkowski przegrał zupełnie, adwer-

sarzy nie szanował, stosunki miał wielkie, obawiano się go powszechnie, a płacić sobie kazał sumy bajeczne. Często nawet tak kierował nawą procesu, że go nie wiodąc przed trybunały, korzystną komplanacją umiał skończyć.

Wielka ludzi znajomość, umiejętne korzystanie z ich złych i dobrych przymiotów, popędów szlachetnych i namiętności, czyniły go niezwyciężonym. Do pomocy w ciężkiem zadaniu przybrał sobie z woli Achingera lubelskiego prawnika Żeleźca, przyjaciela szlachcica i jego *alter ego* od bardzo dawnych czasów.

Bajkowski miał naturalnego przeciwnika w Opoczyńskim, były to dwa różnych charakterów typy i dwie osobistości, mimo pozornie przyzwoitych stosunków, sobie niechętne.

Stosunek w świecie niemal przyjacielski dwóch panów mecenasów, ich wzajemne dla siebie względy, sposób pochlebny, w jaki się jeden zawsze o drugim wyrażał, nie przeszkadzało im w duchu uważać się za nieprzyjaciół. Nie miał większej przyjemności w życiu Bajkowski, jak gdy Opoczyńskiemu wedle jego wyrażenia, kurtę skroił; Opoczyńskiego twarz się rozjaśniała na chwilę, gdy Bajkowskiemu niespodziankę taką spłatał, że ten, pełen przytomności adwersarz, choc na chwilę zaniemiał i zmięszał się. Nigdy głuchy ów bój obu przeciwników nie przechodził

w waśń widoczną, w namiętną kłótnię; oba przesadzali się w delikatności postępywania, ale chwytali zawsze zręczność podkopania się na wzajem. W gotującej się więc sprawie dla obu przysmakiem było, że się na polu tem spotkać mogli, gdzie z całą swą zręcznością, talentem, rozumem popisać się mogli.

Bajkowski czuł wyższość przeciwnika swego w tem głównie, że Opoczyński prawością i czystością charakteru go przechodził; Opoczyński mimo niepospolitego talentu, nie miał tej co tamten bystrości umysłu i przebiegłości; stosunkowo wyglądał on przy towarzyszu na ciężką artylerję, która gromi i burzy, ale nie wszędzie przejść i dostać się może, bo dla niej są drogi nieprzebyte, gdy dla innej broni lada ścieżyna i manowce starczą.

Były sprężyny, środki i sposobiki, których Bajkowski byle do celu wiodły, używać się nie wahał! gdy Opoczyński, nawet skutek z nich dobry, przewidując, posłużyć się niemi i wzdragał i brzydził. Bajkowski wypotrzebował więcej słabości człowieka, Opoczyński jego szlachetności; tem głównie różniło się ich postępowanie. Pierwszy nie wahał się użyć kłamstwa, Opoczyńskiego słowo starczyło za przysięgę. Pełnomocnik Achingera był szczęśliwy ze sprawy, między innemi dlatego też, że na człowieka, za nieposzlakowanego dotąd mianego, cień rzucić

miała, a wszelka surowa cnota nieugięta, była dlań z natury rzeczy — przeciwnicą.

Achinger, który się na wszystko ważył, mimo zuchwalstwa, z jakiem postępował, potajemnie zawsze karmił nadzieję, że do procesu nie przyjdzie, że sam rzucony postrach skandalu zmusi do jakichś układów. Nie taił on przed sobą, iż z trudnością przyjdzie mu walczyć przeciwko człowiekowi wysoko postawionemu w szacunku powszechnym, mającemu stosunki potężne, poparcie najpierwszych rodzin w kraju, łaski u dworu, i imię nieposzlakowane. Wolałby był nawet czemś mniejszem się zadowolnić, byle wyjść z interesu, który wiele kłopotów i kosztów obiecywał, a rezultat niepewny, i nie bez strony dlań sromotnej. Po naradzie więc dwukrotnej ze swym panem Bajkowskim, oczekiwał wiadomości od niego niespokojnie, i chodząc po izdebce stękał i narzekał, planując sobie jak na wszelki wypadek postąpić. Gdy godzina w której mecenas miał do niego wstąpić nadeszła, Achinger coraz niecierpliwszy wyszedł aż na ulicę, doczekując się wiadomości.

Nareszcie ów spodziewany długo doradca przybył, ale na twarzy jego wyczytał klient zaraz, że się tam coś nie najlepiej święciło.

Achinger przypadł do niego dysząc z niecierpliwości.

— A co, ojcze mój, a co? cóż słychać?...

— Źle, nie będę waćpanu taił, widziałem się z plenipotentem kasztelana, który mi wręcz odpowiedział, że na wszystko są gotowi i bronić się będą. Kasztelan już był zdaje się przez Barcińskiego zawiadomiony o postanowieniu pana, w sposób może aż nadto otwarty... podobnoś się tam jegomość niepotrzebnie wygadał i odgrażał. W żadne układy wchodzić nie myśli i czeka pozwów.... gotów na wszelkie następstwa.

— A to tak! to tak! — zawołał mięszając się nieco, lecz fantazją nadrabiając Achinger, — to tak! no! to dobrze! to dobrze!

Bajkowski wszedł do izdebki, i ocierając pot z uznojonego czoła, (był bowiem barczysty i otyły dosyć) dodał:

— Rzecz więc stoi na tem, że serjo się potrzeba naradzić i rozważyć wszelkie środki nasze, bo porwać się i utknąć ja nie mogę, powiem panu szczerze, nie tyle mi idzie o pana, choć najlepiej życzę, jak o mnie samego. Niepewnej sprawy, w którejbym padł na cztery nogi, przyjąć nie mogę, chodzi o reputację. Przeciwko sobie będę miał potęgę — Opoczyńskiego, tem więcej pilnować się muszę. Zatem powinniśmy rzecz dobrze wprzódy strutynować, niżeli się ja jej podejmę.

Achinger był widocznie zafrasowany.

— Ha! no, chcą rozgłosu, chcą rozbębnienia, ja ani siebie ani ich żałować nie będę. Człek się ważył, to pójdzie do końca. Stracę wioskę, wyprzedam się do ostatniej koszuli, ale pokażę magnatowi, że bezkarnie po szlacheckich dworach plądrować nie można.

— A cobyś waćpan powiedział na to, — przerwał Bajkowski — gdyby Barciński zaprzysiągł, jako świadek strony przeciwnej, swoją rozmowę z waćpanem. Wszakże się to tam pono wygadało nad miarę?

— Ja tam tego nie pamiętam, co gadałem w pasji, — rzekł Achinger — człek w gniewie słów nie waży... ani one wagę u sądu mieć mogą. Ale czyż to podobna, żeby oni nie starali się ułożyć i zapobiedz skandalowi?

— Prawdę rzekłszy — odparł Bajkowski — możeby skłonni byli do ułożenia się, ale dziś to się im już na nic nie zdało. Rzecz nie wiem jak, ale roztrąbiona po mieście, od ucha do ucha poniosło się pono aż do dworu. Kasztelan już oczerniony, naturalnie tedy chce zmyć plamę, bo mówi, że jest cale niewinnym.

— A! niewinnym! niewinnym!—krzyknął tupiąc kulawą nogą Achinger, śliczne niewinniątko, które cudze żony bałamuci; ja mu jego okażę niewinność! ja mu dowiodę!

— Otóż tu właśnie o to idzie, abyśmy

nasze dowody porządnie na sznurek zniząli, zebrali i przygotowywali się, bo walka będzie nie lada i obrona rozpaczliwa... a rozgłos niesłychany. Można powiedzieć, że kraj cały zwróci na to oczy... jest to dlań *Testum primae classis* taki przysmak słony i pieprzny. Więc szanowny mój kliencie, nie żartem do roboty.

— Tak... do roboty...—zawołał Achinger i siadł za stół, radźmy!

Można już sobie wystawić wrażenie, jakie w stolicy i u dworu świeża uczyniła nowinka! Nie wiem czy co ludziom, zwłaszcza zepsutym, więcej do smaku być może, nad upadek tego, który ich swą cnotą upokarzał. Zacierają ręce z radości gdy do tej konfraternji kaleków mogą zapisać nowego członka; cieszą się, śmieją, czują podniesieni a każdy naówczas swą ranę mniej więcej odsłaniając bezwstydnie, szepce sąsiadowi do ucha z wewnętrznem zadowoleniem: — Takiej żem ja przecie szkarady nie zrobił... a toć był luminarz! toć świetna gwiazda! to uosobienie cnoty!

Z takiemi pogadankami latano po Warszawie, gdy wieść się rozeszła o historji kasztelana; ciekawi szukali Achingera, dowiadywali się o niego, radzi zaczerpnąć u źródła, napadano na Bajkowskiego, wyszukiwano Żeleżca, próbowano wyciągnąć coś nawet z twardego Opoczyńskiego, który jak opoka milczał. Król z wielkim taktem uda-

wał, że nic nie wie, ale dając do zrozumienia że mu wiedzieć o tem nie wypada, bronił on kasztelana w tak żarliwy sposób, że gorącość obrony niemal przekonywała o wielkości winy.

W całej tej gmatwaninie ludzkich słabości i nędz żywota zepsutego fałszem, dla zimnego postrzegacza był przedmiot ciekawy do badania.

Oblizywano się na samą nadzieję tej sprawy, chociaż powszechnie twierdzili wszyscy, że do niej pewnie nie przyjdzie, że się to przeciągnie, że jak w bajce: albo osioł, albo nauczyciel zdechnie, a plama tylko zostanie.

Potwarz jest jak błoto; choćby na niewinnego padła, ślad po niej przetrwa.

Kasztelan znajdował właściwem, nie kryc się w chwili tak krytycznej przed światem; po namyśle otworzył dom, oznajmił w gazecie swój przyjazd, przyjął pocisk piersią obnażoną.

Społeczność, która wszystko zawsze wytłumaczyć umie po swojemu, powiedziała na to: zręcznie! bardzo zręcznie, ale zuchwale... za kąty! Przyjaciele prawdziwi Zeligi milczeli, z powagą ludzi obrażonych, którzy nawet tłumaczyć się nie widzą potrzeby.

Takie było usposobienie ogółu i stan rzeczy w Warszawie; rósł niepokój i oczekiwanie. Achinger się gotował do walki, gdy jednego poranka odebrał z domu umyśl-

nego posłańca i list od głównego dowódcy tej straży, którą otoczył żonę.

Z listu wyczytał ze zdziwieniem i niepokojem, z którego sobie sam rachunku jeszcze zdać nie mógł, że pięć dni temu, nocą pani Achingerowa w jednej koszuli i przyodziewku, wyłamawszy okno od alkierzyka, uciekła i niewiadomo gdzie się podziała. Szczegóły, które na dwóch arkuszach najniedorzeczniej spisał ekonom, nie naprowadzały na najmniejszy ślad, jak się to stać mogło. Warty co noc stawiono około dworu, w pokoju pani spała nieodstępna dziewczyna służąca: okno było drewnianą kratą i okiennicą dębową uzbrojone. Nadedniem alarm dany był przez dziewczynę przestraszoną, która przebudziła ekonoma; w jednej chwili konnych i pieszych rozesłano na wszystkie trakty, strzęsiono budynki, szukano gdziekolwiek szukać było można, nie znaleziono jednak najmniejszego śladu, nie pochwycono wieści. Ekonom nie bez pewnej słuszności przypuszczał, że włościanie litujący się nad losem kobiety, którą pochodzenie do nich zbliżało, ułatwić musieli ucieczkę. Jednakże mimo energicznych śrdoków użytych przez rezolutnego ekonoma ku wybadaniu prawdy, nie odkryło się nic, żaden słowa nie pisnął. Ci, którzy tej nocy byli na straży u dworu, chodzili już w kłódkach. Dziewczyna była przytrzymaną, klucznica podejrzana także, połowa wsi pilnowała drugiej; doniesienia naj-

sprzeczniejsze pozbierane w różny sposób, spisał referent wypadku nader troskliwie, ale z tego wszystkiego żadnego światła wydobyć nie było można. Pani Achingerowa jak w wodę wpadła, a byli tacy, którzy istotnie utrzymywali, że pod bliskim młynem rzuciła się w potok. Staw był głęboki i oparzelisty.

Przeczytawszy to doniesienie, nie wiedząc jeszcze czy cieszyć się z niego czy rozpaczać, Achinger skoczył do Bajkowskiego.

Nie zastawszy mecenasa w domu, czekał na niego do północy; wrócił luminarz palestry trochę pod dobrą datą, ale znany był z tak tęgiej głowy, że gdy kilka garncy węgrzyna wypił, jeszcze jaśniej wtedy i potężniej argumentował. Tyle tylko, że go pod ręce przed kratki prowadzono i stawiano tam, a gdy czuprynę potarł i odchrząknął, pod hełmem miał swadę najpiękniejszą. I tym razem dobrze cięty, jak tylko się do krzesła dobił, siadł, mokrą chustką łysinę przykrył, bo to był jego sposób trzeźwienia się w nagłych razach, i gotów był najzawilszą sprawę badać.

Dostawał czkawki tylko, i po tej poznawano zwykle, że już sobie podchmielił.

Achinger, który go z tej strony nie znał, zatrwożył się, ale wprędce pokrzepiony został, gdy głos usłyszał.

— Nie zważaj waść — rzekł mu Baj-

kowski — to są minima, bagatele, mów... co się stało.

Za całą odpowiedź Achinger wziął się do czytania listu, którego Bajkowski bardzo bacznie wysłuchał, nie dając żadnej oznaki po sobie.

Achinger skończył dysząc niepokojem, a Bajkowski z głową na piersi spuszczoną, siedzi zadumany, nie mówiąc słowa, jakby o sprawie nie myślał, Zadzwonił tylko i kazał sobie podać gorącego ponczu szklankę do poduszki, bo ten go ratował zawsze od skutków węgierskiego wina, poczęstował nawet klienta, zalecając mu to dla konkocji i nie rychło się odezwał:

— Otóż to jest rzecz śliczna! i nic się nam lepszego, pomyślniejszego, szczęśliwszego przytrafić nie mogło. Zważ wąćpan... śladów nie ma ucieczki... *fecit cui prodest* — axioma, a komuż *prodest?* naturalnie kasztelanowi niby... Kto mógł tak dokonać tej sprawy mimo czujności mimo straży, mimo sług, jeżeli nie magnat, potentat, człek co grosza nie żałował.. Presumpcja ogromna winy, gdy winowajca nie czekając wymiaru sprawiedliwości ucieka. Wszystko to daje nam nową siłę, jest wyborne, a jegomość dopiwszy ponczu... co do sumienia jego należy, idź spać i mnie się daj położyć, bo jest godzina *ni fallor*, pierwsza z okładem.

To mówiąc zadzwonił Bajkowski na chłopaków swoich, aby go do łóżka przepro-

wadzili, bo nogi miał w takich razach słabe, i pożegnał bez ceremonji Achingera, solwując sesję do jutra.

Nazajutrz raniej niż zazwyczaj do pokoju Barcińskiego wszedł kasztelan; szlachcic dopiero był rozpoczął ablucje zwykłe z konewką zimnej wody, gdy gospodarz ukazał się na progu. Po twarzy jego poznał stolnik, że coś nowego i przykrego zajść musiało; ale kasztelan usiadł milczący i podparł się na dłoni, długo nie mogąc przyjść do słowa.

Gdy się Barciński przyodział, ujął go pod rękę i rzekł:

— Przyjacielu mój, dziwne się rzeczy plączą w życie moje, potrzebuję się zwierzyć, abym i sam uwierzył. Lękam się znowu by mi się słaba głowa nie pomięszała.

— Cóż to tam znowu takiego? — spytał stolnik niespokojnie — czy nie uchowaj Boże jaka nowelacja z drugiego świata.

— Jakbyś wiedział — rzekł cicho kasztelan. — ale to może być efekt podburzonej imaginacji tylko. Sądź... wczoraj wieczorem nierychło odprawiwszy modlitwy począłem usypiać. W pokoju zwyczajem moim paliła się tylko lampka przed obrazem N. Panny, oczy miałem przymrużone nawpół, gdy mi się jakby coś białego przed niemi przesunęło. Otwarłem powieki zupełnie i postrzegłem stojącą w środku pokoju Agnusię. Milczący i przelękły nie śmiałem się odez-

wać, gdy usłyszałem wyraźnie wymówione, jak szmer ciszy, jej słowa:

— Ostatni raz przychodzę abym cię uspokoiła, troski twe zbliżają się do końca Nietrwoż się, jeśli cię nowy cios dziś dotknie, ten będzie ostatni. Odetchniesz i będziesz szczęśliwym jeszcze. Nie opuszczaj biednej istoty... nie trwoż się napróżno. Czystem sercem zwycięża się wszystko, a sprawiedliwość przychodzi po próbach.

Tak mówiąc coraz cichszym głosem, widmo się rozpłynęło i znikło. Siedziałem długo — mówił kasztelan — drżący, niepewny, oczekując więcej jeszcze, ale cisza panowała dokoła. Na modlitwie dotrwałem do dnia. Jaki nowy cios jeszcze a ostatni miał by mnie dotknąć, nie wiem i nie rozumiem, ale przyjmę go z rezygnacją.

W tejże prawie chwili dano znać o przybyciu Opoczyńskiego, który znając stosunki stolnika z gospodarzem, wszedł pospiesznie do mieszkania Barcińskiego.

Mimo wielkiej siły jaką miał nad sobą prawnik, twarz jego wydawała niepokój.

— Wiesz już pan cokolwiek? — spytał żywo kasztelana.

— Ja? nic a nic... czy się co stało?

— A stało się i nie dobrze się stało — rzekł Opoczyński — pani Achingerowa uciekła z domu...

— Jakto? Uciekła? Dokąd? Kiedy? — poczęli oba razem stolnik i kasztelan.

*

— Nikt nic nie wie, ale naturalnie Achinger przypisuje to panu i jego staraniu, przemocy i przekupstwu magnata. W dodatku uciekający zawsze zciąga na siebie podejrzenie winy.

Długie milczenie nastąpiło. Żeliga padł na krzesło.

— Skąd o tem wiecie? — spytał.

— Od mecenasa Bajkowskiego.

— Szczegóły?

— Żadnych nie mam; śladów zbiegłej nie odkryto, Achinger z tego bierze asumpt do jeszcze straszniejszego pozwu, w którym na czernidłach zbywać nie będzie. Wspomną w nim i przeszłość ową, którą pan odpokutowałeś nie będąc jej winnnym, i pokutę, w dziwnym przedstawiając ją świetle... Nieprzyjaciele rodziny, ludzie nowych przekonań, demagogi i wolnomurarze, wszystko to przyczepi się do sprawy, zachaczą o Jezuitów, o wszystko co się da pociągnąć, skandal ogromnie wzrośnie. W osobie pańskiej ścigać będą wszystkich tych, których przekonania w jakikolwiek sposób przedstawiasz lnb mógłbyś reprezentować. Rośnie to jak na drożdżach. Achinger cieszy się i ręce zaciera.

Kasztelan siedział przybity... nie mówił nic, nareszcie rzekł tylko:

— Stań się wola Twoja.

Ciężki to był dzień ze wszystkich względów dla biednego Żeligi, ale mimo to serce

dźwigało brzemię, a czyste, mogło mu podołać.

Achinger i wszyscy ci co się do niego przyczepili, robiąc z prywatnej napaści tendencyjny proces, mogący przybrać znaczenie społeczne latali z nowiną, zacierali ręce. Z drugiej strony przyjaciele kasztelana zbiegali się co chwila dowiadywać, rozpytywać, radzić, nie mogąc pojąć stoickiej jego obojętności. Sprawa jeszcze nietknięta nabierała nadzwyczaj groźnej fizjognomji.

Król przysłał generała Komarzewskiego zaufanie z zapytaniem, czyliby nie mógł w czem kasztelanowi być użytecznym; odpowiedział, że niezmiernie jest wdzięczen N. panu, ale że czekać będzie wymiaru sprawiedliwości spokojnie.

Trzy dni upłynęło w oczekiwaniach, szeptach i tej trwodze, która poprzedza dotknięcie wszelkiego interesu tyczącego czci człowieka, mającego rodzinę okryć sromem. Opoczyński niemniej był zafrasowany od innych, ale spokojny przytomności nie tracił, tajemniczy był i milczący.

Czwartego dnia Bajkowski do niego przyjechał. Bystrem okiem zanim jeszcze wszedł zmierzył przeciwnika, na którego twarzy znalazł pocieszający wyraz niepokoju i usiadł, przybierając, jak na przyzwoitego człowieka należało, oblicze kondolencyjne zafrasowane.

— No, kochany kolego — rzekł wy-

ciągając doń rękę, zbliżamy się tedy do fatalnego terminu, w którym się gra rozpocznie. Obowiązkiem moim było, mimo że mi sprawa ta jest smacznym ze wszech miar kąskiem, polem popisu, i walką z tak znakomitym jak wy zapaśnikiem, żebym jeszcze raz zrobił krok do zgody. Jesteśmy gotowi na wszelkie możliwe układy.

— Szanowny mecenasie — rzekł Opoczyński, — mam zupełne umocowanie do prowadzenia procesu, a wyraźny rozkaz nie przyjmowania żadnych układów.

— A! no w takim razie tem lepiej — ozwał się Bajkowski — będziemy się próbować. Sam los na nasze koło wodę prowadzi, kiedy i pani Achingerowa uciekła, to mi daje broń wielką.

— Obosieczny to oręż — rzekł Opoczyński, — dopóki pani Achingerowa niewiadomą jest z pobytu, póki przypuszczenie wam służy, że winna starała się ukryć przed mającą doścignąć jej sprawiedliwością, macie prawo się cieszyć... Ale przypuśćmy panie mecenasie, że nagle pani Achingerowa się zjawia i to w klasztorze, gotowa pod przysięgą odeprzeć wszystkie fałsze i potwarze wasze... Cóż w takim razie?

Opoczyński czynił to przypuszczenie wcale nie wiedząc co się stało z panią Achingerową, wprost tylko jako prawnik, który zwykł wszystkie drogi badać; ale Bajkowski go posądził, że coś wie, spojrzał mu bystro

w oczy, nic z nich wyczytać nie potrafił, bo były mgliste i chłodne i trochę się uląkł.

— W takim razie — odpowiedział Bajkowski powoli — gra się równoważy... Czy w istocie to tak by było?

— Nie wiem — rzekł Opoczyński — ale to wiem, żeście wy podjęli się interesu nie dobrego; może on zjednać wam rozgłos, wsławić imię, ale zostawi w sumieniu ślad czarny. Mecenasie kochany, znam i ręczyć mogę za kasztelana, że to jest napaść niegodziwa na niego, prosty rozbój na gładkiej drodze. Bronicie człowieka bez czci i wiary, który obrony waszej wart nie jest.

— Kolego — rzekł Bajkowski — szanujcie mojego klienta, dotykacie mnie w nim.

— Jesteśmy sami — odezwał się Opoczyński — mówmy otwarcie, bracie, życie jest krótkie, poczciwe imię, które człowiek po śmierci zostawia, trwa dłużej nad nie!... Sława nie opłaca lekkości charakteru. Gdybym był na twem miejscu, ja sprawy bym się nie podjął.

— Kochany bracie — rzekł na to mecenas — i ja ci powiem, że życie krótkie, a sława i niesława króciej podobno nad nie na ziemi goszczą. Trzeba się pchać jak można, aby nam było nieco lepiej. Ja jestem doktor, jaką mi ranę przyniesie chory kuruję... Cóż więc ze zgodą? nic?...

— Ani mowy być o niej nie może, jedyna zgoda, którąbyśmy przyjęli, to, żeby klient potwarz starym obyczajem odszczekał pod ławą.

— Tak jesteście siebie pewni?—spytał Bajkowski.

— Najzupełniej.

— I środków obrony?

— Są przekonywujące i starczą nam.

— Na Boga, ojcze mój! — zakrzyknął pierwszy — gdybym był tchórz, tobym się tego mógł nastraszyć.

— Nie, kochany kolego, spokojnie dorzucił Opoczyński — nie, złe sprawy to mają do siebie, że ich dwudziestu czterema sposobami bronić można, gdy dobrej, jeśli się sama nie obroni, niepodobna inaczej ocalić, jak odwołaniem się do prawdy i cnoty, do sumienia sędziów.

— No, i nie zawadzi, gdy magnat ma kiesę nabitą... — uśmiechając się dodał mecenas.

— Na to wam słowo szlacheckie daję — rzekł Opczyński — iż złota nie użyjemy wcale... bezcześciło by to nas.

— Tem lepiej, równiejsza gra będzie.

Zamilkli, Bajkowski wstał, niby chcąc od jść.

— Jak mi Bóg miły, gdybym ja był na miejscu kasztelana, dałbym rozbójnikowi odczepne.

— Tak — rzekł Opoczyński — kaszte-

łan zrobił by to może gdyby był wami, ale...

— Docinasz! — zawołał Bajkowski — ale bez gniewu bracie... *ad videndum* przed kratkami.

— Żegnam was.

Tak się rozeszli.

Wieczór już był późny, kasztelan chodził wielkiemi krokami po sali pałacu z Barcińskim, gdy na palcach zbliżył się marszałek dworu.

— Jaśnie wielmożny panie! jakaś kobieta domaga się, aby mogła chwilkę rozmowy otrzymać.

— Kobieta? cóż to za jedna?

— Bardzo jakoś nędznie wygląda, twarzy nie widziałem, ale strój niemal chłopski. Chciałem ją odprawić do jutra, ale z płaczem się domaga, aby trzy słowa powiedzieć mogła.

Kasztelan wyszedł natychmiast do sieni, na ławie otaczającej ją, ze znużenia czy osłabienia siadłszy, zsunęła się na ziemię przybyła nieznajoma niewiasta, i zdawała omdlałą. Strój w istocie był włościanki, wielka tylko chusta pokrywała go z wierzchu.

Osłabła padła tak na jeden bok twarzą na ziemię, pochylona cała, że jej lica widać nie było.

— A! na miłego Boga, zemdlała czy co? — krzyknął marszałek, posuwając się by ją podnieść.

Słudzy rzucili się także, wniesiono świecę na hałas wybiegł Barciński, i gdy omdlałą dźwignięto, krzyknął bardzo nieostrożnie przy sługach:

— Jezus, Marja! Achingerowa...

W istocie ona to była. Znużenie, niepokój, boleść, niebezpieczeństwo, od którego uciekała, niewygody doznane w podróży, wyczerpały jej siły do ostatka... leżała blada jak marmur bez czucia.

Kasztelan posłał natychmiast po doktora, a Barciński ważący już następstwa tego wypadku, w drugą stronę po mecenasa Opoczyńskiego.

W pierwszej chwili Żeliga wiedziony litością tylko, nie zastanowił się nawet, jak przybycie tu wprost Achingerowej dla procesu może się stać groźnem. Stolnik to poznał, i dla tego w tej chwili wysłał nagląc po adwokata.

Tymczasem nadbiegła żona murgrabiego pałacowego z trzeźwiącą wódką, octem, ze słynną swą biegłością w sztuce lekarskiej. Piękną panię, której twarz wychudła była do niepoznania zmienioną, złożono na szerokiej ławie, a stara Mollerowa rada, że samego kasztelana mieć będzie świadkiem popisu, jęła się żywo cucić biedną omdlałą.

Kasztelan chciał, aby ją natychmiast przeniesiono na łóżko i zmieniono ubranie, ale się Barciński stanowczo temu sprzeciwił.

— Na to nie pozwolę — rzekł — tro-

chę wygodniej lub mniej dobrze, o to nie idzie, chodzi wielce o to, aby nikt powiedzieć nie mógł że tu dłuższe schronienie znalazła. Przybędzie Opoczyński, każecie przygotować karetę, ja natychmiast odwożę ją jak stoi w tym stroju do panien Wizytek. Przełożona jest mi znajomą, tam na żadnem staraniu i troskliwości nie zbędzie.

Kasztelan uścisnął jego rękę, tymczasem Achingerowa dzięki pani Mollerowej otwarła oczy, wejrzenie jej spotkało tuż stojącego kasztelana, i obie ręce wyciągnęła z okrzykiem ku niemu.

— A! tyś tu panie, znalazłam cię, znalazłam... ty obronisz mnie, nie dasz prześladować i nękać... ulituj się!

— Bądź pani zupełnie spokojna — odpowiedział Żeliga z cicha; w istocie gdy tu już jesteś, niczego się obawiać nie możesz, za chwilę będziesz w miejscu bezpiecznem.

— Jakto? gdzie? — spytała strwożona kobieta, nie pozwolicież mi tu zostać, spocząć, ja się boję...

Kasztelan nie mógł przy ludziach mówić wyraźniej, powtórzył tylko.

— Bądź pani spokojną.

— Kiedy głos twój słyszę, kiedy ty to mówisz panie, już nią jestem — odpowiedziała słów nie ważąc kobieta.

Stolnik zafrasowany spojrzał na kasztelana; Żeliga spuścił oczy smutnie.

Achingerowa po chwilowem omdleniu,

gorączkowo odzyskiwała życie i siły; doktor nadjechał zaraz, odprawiono więc ludzi i panią Moller która nadzwyczaj zostać sobie życzyła; posłano do apteki po jakieś przepisane lekarstwo, bo ówczesna medycyna bez recepty i medykamentów stąpić nie mogła. Stolnik przysiądł na krześle i począł rozpytywać troskliwie.

— Powiedzże pani, jak potrafiłaś uciec z pod tak pilnej straży?

— O! nie przyszło mi to łatwo — odpowiedziała smutnie, ale są serca litościwe. Ekonom był nieubłaganym, dziewczyna spiąca przy mnie złośliwa... ale reszta litowała się, ratować mię pragnęła. Winnam oswobodzenie ludziom naszej wioski, mnie nawet na myśl nie przyszło, że mogę się uwolnić; oni to ułożyli i wykonali. Spojono ekonoma dano coś na sen dziewczynie... zbudziłam się przerażona łoskotem, gdy wyłamywano kratę od okna, ale mi dano znak. Jak stałam, wyskoczyłam oknem, ludzie stojący pochwycili mnie ze ręce, wynieśli podając jedni drugim aż do chaty, gdzie znalazłam odzież wieśniaczą i wóz gotowy, który manowcami popędził. Trzy czy cztery razy przesiadałam na gotowe furmanki aż do gościńca bezpiecznego, na którym czekała mnie bryka furmańska, stara kobieta i dziewczynka mała. Jechałam nocami unikając pogoni, czując się chorą, płacząc a nie wiedząc dokąd się udać, by was znaleźć.. bo gdzieżbym się była

schroniła? Ja wiem — dodała cicho — że z sobą przynoszę wam prześladowanie, boleść, potwarz może, nieszczęście, ale nie miałam do wyboru... utopić się lub przyjść tu i powiedzieć wam: Postanówcie, róbcie ze mną co chcecie.

Zaczęła płakać, Żeliga był mocno poruszony, ale się powstrzymał od okazania wszelkiego współczucia

— Bądź tylko pani spokojną — rzekł — ufaj w Bogu. Na teraz nie możesz tu pozostać.·. potrzeba dobrowolnie udać się do klasztoru, dopóki się rzeczy nie wyjaśnią...

Na ten wyraz klasztor, nieszczęśliwa Achingerowa porwała się przerażona, twarz jej znowu pobladła śmiertelnie: zaczęła płakać.

— Panie mój, gdzie każecie, ale nie do tego grobu — rzekła — ja się lękam... ja nie wyjdę już ztamtąd... Bóg sam nie wymaga tego, gdy mi powołania nie dał.

— Ale szanowna pani — przerwał stolnik — nikt też pani nie radzi klasztoru ani namawia, jest to tylko chwilowe dla niej najstosowniejsze schronienie. Pani wyjdziesz, gdy zechcesz.

— Dla czegóż mam się tam schronić? Achingerowa nic dotąd nie wiedziała o sprawie, kasztelan nie mógł ją objaśnić, stolnik rad nie rad pochylił się do jej ucha i w kilku słowach opowiedział rzecz całą.

Krzyk wyrwał się z jej ust, pochyliła się i omdlała znowu.

Nadjechał też wreszcie Opoczyński, a gdy mu na progu oznajmił o swej przygodzie kasztelan, stanął z założonemi rękami odrętwiały. Cieszyło go zapewne, że pani Achingerowa się znalazła, ale fakt ten że przyszła wprost naprzód do kasztelana, oddając się pod jego opiekę, nie mógł być utajony, miał on znaczenie w każdem razie nie dobre. Potrzeba było co najrychlej odwieść Achingerowę do PP. Wizytek, podjął się tego stolnik. Ona sama już się nie wzdragała wcale.

Wstała zbierając siły, obwinęła się tą chustą i siermięgą w ktorej przyszła, a chwiejącym krokiem zbliżyła się do Żeligi i uklękła przed nim składając ręce...

— Mój ojcze! mój panie! — zawołała głosem pełnym łkania — przebacz mi, daruj, zapomnij... Tyś jeden był mi litośny, dobry na ziemi... ty jeden miałeś odwagę wskazać mi drogę i nauczyć cierpieć... Błogosławże mnie sierotę, a nie opuszczaj, abym nie zginęła i nie upadła... Tobiem winna spokój duszy i cnotę... Pozwól, abym myślą i sercem zwracała się zawsze ku tobie... i była twoją, twoją sierotą... twojem dziecięciem.

To mówiąc, gdy chciała mu upaść do nóg, kasztelan pochylił się, podniósł ją w sil-

nych dłoniach, i zapominając na wszystko, na bladem czole ojcowski złożył pocałunek.

— Bądź spokojną, nie opuszczę cię — rzekł — chybabym umarł.

Kareta stała u ganku. Żeliga jak trzymał ją bezwładną, zmęczoną, osłabłą, tak zaniósł do powozu, i oddając stolnikowi, dodał jeszcze:

— Nie opuścimy cię pani, ufaj mi i nie obawiaj się niczego.

Gdy kareta potoczyła się po bruku, biedny Żeliga sam potrzebował już aby go kto podtrzymał, bo się chwiał na nogach... słaniając się, poszedł milczący do swego pokoju.

Opoczyński zasiadł ze stolnikiem w sali zasępiony mocno.

— *Fiat voluntas tua!* — rzekł — ależ gorzej się trafić już nie mogło, jak że ona tu przyszła wprost... Chybaby jakim cudem ludzie o tem nie wiedziali, ale złe wycieka wszystkiemi szparami, tajemnica się wyda.

— Tak — dodał stolnik — jest to nowy cios ale też i posiłek: Achingerowa żyje, wolna i powie prawdę.

— A prawdzie nikt nie uwierzy, szepnął Opoczyński, ale wojna to wojna... więc naprzód.

Dlaczego jegomość pana Dydaka Bożawolę przezwali źli ludzie onuczką, trudno było dośledzić; to pewna, że choć nosił nazwisko swego herbu i był acz ubo-

gim, ale z prapradziadów *natus* i do dziś dnia po troszę *possessionatus*, bo miał dwóch chłopów tuż obok wsi Achingera, znała go okolica tylko pod tem imieniem dosyć wzgardliwem onuczki.

Wiadomo obyczajów starych i ludowych świadomym, że tak zwią chustę, którą się noga do buta okręca. A że ta część stroju nie bywała ani zbyt biała ani bardzo wytworna, nazwać kogo onuczką nie miało pochlebnego znaczenia.

Że Dydak Bożawola na wzgardę i lekceważenie nie zasługiwał, to wszystkim wiadomo, ale są po świecie złe języki. Trzeba wiedzieć, że jak z dokumentów się okazywąło i z tradycji stałej, wszyscy słyszeli o tem, okolica na mil trzy dokoła z ogromnemi lasami należała do tej znacznej i majętnej niegdyś rodziny Bożawolów. Ale fortuna kołem się toczy, rozrodziła się familja, wyrosły procesa, narobiło się długów i majątek ogromny topniejąc, zszedł na dwóch chłopów ostatniego dziedzica.

Wcale dla tego jednak szlachcic rezonu nie stracił, owszem z ubywającą majętnością Bożawole podnosili czoło, nastrzępiali wąsa coraz lepiej, a w panu Dydaku tyle było serca, męstwa i szlachetności, że starczyłoby i na największą fortunę.

Pracował on ze swymi dwoma chłopami około roli ale przy szabli, lub folgując sobie szablę wtykał na miedzy. Dydak

nikomu nie przebaczył, śmiały był i weredyk straszliwy. Za młodu sługiwał w kawalerji narodowej, i od parady kładł starą mundurzynę zawsze;- a choć granatowy kontusz z amarantowym kołnierzem mocno się wyszarzał, był on dlań relikwią najdroższą.

Gdy przy dwóch chłopach da komu Pan Bóg pięcioro dzieci, żonę chorą, gradobicie co drugi rok, nieurodzaj co trzeci, a jeszcze jak Florjanowi Szaremu złego sąsiada, nie można się dziwić, że skwaśnieje mu życie i wyłysieje mu głowa zawczasu. Dydak miał wąsy spadające aż na piersi, ale czaszkę jak kolano. Był budowy kościstej, żelastej, na której nie wiele się mięsa trzymało, chodził nieco przygarbiony i miał zwyczaj lewą ręką pod bok się brać, a prawą często wąsy poprawiać. Szanowano pana Dydaka, ale trochę się zaś z jego buty i pańskiej fantazji śmiano; miał bowiem pojęcia rycerskie, które przy łatanym kubraku rzadko razem chodzą. Sąsiadując o miedzę z Achingerem, który mu bydło zabierał, w łąki się wkaszał i nieustannie jadł, znienawidził Dydak tego człowieka. On to pierwszy posądzając, że Achinger, który go raz pod Chełmem spotkał idącego boso z butami i onuczkami na plecach, nazwał go Onuczką, odwdzięczył się przezywając go kuternogą. Na dobitkę, karczemka Onuczki i austerja kuternogi stały naprzeciwko siebie na gościńcu z Chełma do Lublina wiodą-

cym, i z powodu propinacji nieustanne kłótnie się mnożyły, niekiedy aż do zbrojnych wystąpień przychodziło. Achinger miał za sobą gromadę swej wioski, Onuczka na zawołanie całą szlachtę okoliczną.

Słowem nienawidzili się jak pies z kotem. Przychodziło do tego, że się sobie spotkawszy na gościńcu, odgrażali gębą, ręką, pluciem i łajaniem w żywe oczy.

Z resztą sąsiadów dalszych jak i z całem sąsiedztwem żył pan Dydak w bardzo dobrych stosunkach; folgowano nawet jego słabości gdy utrzymywał, iż cała okolica aż po Bug do jego przodków niegdyś należała. Po cichu śmiano się z tej pociechy nieboraka, któremu pozostało dwóch chłopów tylko i pięcioro dzieci. Szczególniej z Barcińskimi, stolnikiem a potem Żeligą, za tych czasów, gdy nie wiedziano jeszcze, kto był, Dydak się przyjaźnił. Kasztelan zjeżdżał do niego, rozmawiał a później dużo mu dopomógł, tak że cząstkę we wsi z pięcią poddanymi mógł pan Dydak kupić. To też poprzysiągł wdzięczność dozgonną kasztelanowi.

Ile razy mógł, zajeżdżał zawsze do Barcina pokłonić się pogawędzić, ducha pokrzepić, jak mówił, napatrzyć się ludzi poczciwych. Gdy ostatnie wypadki zaszły, pan Dydak leżał chory, spadł był z barci i potłukł się szkaradnie.

Ale miał na to smarowanie osobliwsze,

którego przepis znalazł w starym kalendarzu pradziadowskim, i gdzie inny by był może rok chorzał, on wprędce jakoś się dźwignął.

Dopiero mu rozpowiedziała żona wszystko, co się stało, o wyjeździe kasztelana, Barcińskiego, o podróży Achingera, o ucieczce żony; a że sprawa ta miała dziwny rozgłos, wystawiła ją pani Dydakowa jako prześladowanie ze strony farmazonów na poczciwego kasztelana wymierzone.

Dydak się za głowę pochwycił.

— Ten cierpi, a mnie tam nie ma! — krzyknął — a pfe mospaneńku.

— A cóżbyś ty tam robił? — zapytała żona.

— No! to już mnie wiedzieć! — odparł szlachcic — alem tam powinien być.

Drugiego dnia Dydak w podwórku nogi prostował, próbował kości, poszedł do stajni i obejrzał podjezdka. Był to jedyny koń, jakiego miał pod siodło: niepokaźny, mały, bo go pono najeżdżać zaczęli w niespełna piątym roku, ale wytrwały i zawiędły jak jego pan. Szerść miał brudno kasztanowatą, a konie takie często bywają słabowite, ale gdy się między niemi trafi dobry, to najlepszy. Za tego, z daleka patrząc, nikt nie dał by kilkunastu talarów, a naprawdę wart był dla znawcy choć sto.

Nie było tam w budowie wdzięku, ale przymioty wielkie, noga gruba ale sucha, łeb nieco ciężki, ale skóra i kość, że żyły

policzyć było można na niem, pierś szeroka. tylko że się chudo trzymał.

Ale co koń ten mógł wytrwać, to prawie nie do wiary, w wozie chodził zbyt gorąco, pod siodłem wyśmienicie, choć nieuczony, w gębie smak taki, że każde drgnięcie zrozumiał, Galopa jak się puścił, musiałyby za nim inne truchtać. Z tem wszystkiem jeden go pan Dydak znał i cenił, a nazywał go dobrodziejem. Dobrodziej w gorący czas, wstyd przyznać, bronę włóczył... ale na małem gospodarstwie trudno było inaczej.

Pogadali z sobą u żłobu, pan z koniem.

Pani Dydakowa czegoś się dorozumiewała z niepokoju męża, ale się go badać strzegła, nie lubiąc się spowiadać tylko raz w rok około wielkiej Nocy przed księdzem. Jak też co sobie w głowie osnuł, i cztery pary wołów nie wyciągnęły. Spostrzegła żona, że wieczorem szablę dobył, słomiany powróz, którym od rdzy była okręcona, rozwinął, potem i mundur wytrzepał i jakiś węzełek zrobił, i do spiżarni poszedł. Tu podpatrzono, że spory garniec jagły w sakwę nasypał albo i więcej słoniny wędzonej sztukę dobrą oderznął. kiełbas kółek kilka zdjął z drąga, i wszystko to do nagotowanej sakwy pościągał.

— Gdzie on się tak wybiera? — mó-

wiła sama do sienie pani Dydakowa.—co to takiego jest?

Ale w domu był rygor taki, że pytać się uchowaj Boże; jak sam co powiedział, dobrze, jeśli nie chciał, to z niego tylko połajanie dobyć było można. Najczęściej o zamiarach swych milczał, dopiero gdy się rzecz stała i skończyła, lubił rozpowiadać.

Nie było więc sposobu badać, dzieci i żona wiedziały czem to pachnie.

Nazajutrz raniusieńko pan Dydak wstał, poszedł dobrodziejowi owsa zasypać, piwa sobie sam zagrzał, siodło począł opatrywać i zawołał z alkierza jejmości.

— Moja panno — rzekł — mam to ja interes, muszę to ja pojechać, sumienna rzecz, święta sprawa, choć kości bolą, a muszę... Otóż chciałem ja asińdzce powiedziec, że się mogę zabawić, abyście się nie frasowali, wszystko będzie dobrze jejmościuniu, bo kto z Bogiem Bóg z nim.

To mówiąc jejmość pocałował.

— A gdybyś ty się Dysiu nie bardzo bawił! — rzekła z cicha.

— Djabła ja tam na zabawę jadę! — odparł kręcąc głową — a no, bądźcie spokojni, sprawię się żywo... tylko mi domu dobrze pilnujcie, i jejmość mi jak Achingerowa oknem nie uciekaj. Chłopcy! — zawołał na dwóch synów dorastających, którzy się stawili zaraz. Słyszycie! słuchać matkę bo bizun będzie w robocie... A nie próżno-

wać! Przywiozę po obwarzanku, i po jabłku jak Bóg da powrócić.

Takie było pożegnanie pana Dydaka, który na dobrodzieja wsiadł objuczywszy go; bizunem krzyż na ziemi wprzód zakreślił i sam się przeżegnał. Potem wąsa pokręcił i ruszył kłusem z kopyta. Dzieci stojąc z jejmością we wrotach tyle tylko widziały, że kędyś w stronę Chełma podążył.

Łatwo się domyślicie, dokąd poczciwy Onuczka spieszył. Dobrze zmachawszy dodobrodzieja przybył do Warszawy, wprost do pałacu kasztelana i włożywszy mundur kawalerji, zameldował się do niego.

Niedobrze wprawdzie zrozumiał Żeliga kogo mu oznajmiono, bo ludzie Dydaka Bożawolę, przekręcili na Bobaka Dążygolę. Przyjął jednak szlachcica.

Stał on u drzwi przy szabli w postawie żołnierskiej.

— Melduję się jaśnie wielmożnemu kasztelanowi — rzekł salutując go — zasłyszawszy, że źli a przewrotni ludzie najgodniejszego obywatela rzeczypospolitej nękają i prześladują, wedle rycerskiego obowiązku osobą moją stawię się ku obronie świętej sprawiedliwości. Przyjechałem umyślnie z Bożej Wólki.

Kasztelan prawie oczom i uszom wierzyć nie chciał, ale przekonawszy się, że poczciwy człek tak jego sprawę wziął do serca, iż się aż o kilkadziesiąt mil dla niej

turbował, nie wiedział jak go ugościć, gdzie posadzić, i czem mu zawdzięczyć.

Drugiego dnia wypocząwszy dobrze w pałacu, spytał na dole murgrabiego wychodząc na miasto w pełnej formie:

— Mój dobrodzieju, gdybyś mię raczył objaśnić, gdzie ten szelma Achinger stanął kwaterą?

— Na Tłumackiem — rzekł Moller, — to wiem, bo mi mówiono?

— Bóg zapłać za informację.

Dydak poszedł, po drodze pytał o Tłumackie, na Tłumackiem o Achingera, i tak wreszcie trafił do drzwi. Było około południa, otworzywszy sobie Bożawola wszedł w czapce, ręka w bok i stanął w progu. Achinger skurczony siedział nad papierem, gdy go zobaczył, zerwał się jak oparzony.

Szlachcic nie witał, patrzał tylko.

— Cóż ty tu jucho jakaś, — począł z góry — puściłeś się na bruk miejski z ludzi poczciwych skórę odzierać? hę?

Na takie *dictum* nie było odpowiedzi tylko do szabli skoczyć, tak też uczynił kuternoga, ale Dydak się śmiać począł.

— Daj pokój, nie tu miejsce... *non est locus*... przychodzę tylko waszeci oznajmić że go wyzywam na rękę za pokrzywdzenie na honorze mojego dobroczyńcę, za oszczerstwo i potwarz. Wyzywam waszeci nie dla pomsty ale na sąd Boży, aby przez ręce nasze objawiła się prawda. Jeśli się czujesz czystym

na sumieniu, nic ci się nie stanie. Przyjacioły i świadki sobie dobierzecie jakich się wam podoba. A to wam jeszcze dodać muszę, że przybyłem za tem umyślnie,.od żony, dzieci i gospodarstwa, czekać i układać się nie mam czasu i nie będę. Jeżeli mnie wasińdziej zechcesz kręcić, to porąbię wśród ulicy na gorzkie jabłko. Dixi.„ i kłaniam uniżenie.

Nie słuchając odpowiedzi, a raczej bełkotania Achingera, pan Dydak czapki poprawił, wąsa pokręcił i pomaluteńku wyszedł. Ale zwrócił się jeszcze.

— O mnie się dowiecie u murgrabiego Mollera w pałacu na przedmieściu, to raz, powtóre jeszcze przestrzegam o pospiech, bo czekać nie lubię.

Achingerowi się wcale nie chciało ciąć ze znanym rębaczem, ale cóż było począć, pobiegł na radę tam i sam, wszyscy mu zgodnie odpowiedzieli: Musisz wyjść.

Pan Dydak dobrał sobie za przyjaciela Rymszę, Litwina, który się był z mieszczanką ożeniwszy, w Warszawie osiadł, i miał tu kamieniczkę przy Senatorskiej ulicy; był to zawołany rębacz, do wszelkiego rodzaju spraw szablą się przecinających używany, człek nosa rubinowego, milczący i żarłok sławny. Znał go niegdyś jeszcze w kawalerji Bożawola i zaprosił na te gody.

Achingerowi trudno było znaleźć znajomego, ale gdy się rzecz rozgłosiła, napra-

szało mu się mnóstwo ludzi. Z tych dwóch sobie wybrał za przyjaciół, niejakiego Przypkowskiego i Wyjatkowskiego, obu nie pierwszy raz już służących w takiej sprawie. Kuternoga nie był rębaczem wprawnym, ale złożyć się umiał niegdyś i nie był ostatnim, tylko pole zależał.

Umówiono się zjechać w lasku na Bielanach, nad rzeką, gdzie miejsce oznaczyć miano.

Przyjaciele do pierwszej krwi tylko rąbać się dopuszczali, ale pan Dydak z góry oświadczył że do ostatniej bic się będzie.

— Ja mospaneńku tego — rzekł otwarcie — nie rewindykuję honoru, który się zmywa kropelką, ale chcę zgładzić ze świata łotra kuternogę, który na to żyje, aby ludzi uczciwych szatańsko męczył i zmęczył już ziemię, co go zadługo nosiła. Zabije on mnie, no, w dobrej sprawie zginąć nie wzdragam się, o sierotach poczciwi ludzie pomyślą, a nie, to poczciwszy od wszystkich Pan Bóg. Do pierwszej krwi! — powtórzył — tere fere! tego to nie będzie.

Przeprzeć go nie było podobna. Musiano ukryć czas i miejsce spotkania, bo jak gruchnęło o Dydaku po mieście, byłoby się ciekawych zebrało nad miarę, a możeby i marszałkowska straż w to weszła, aby zapobiedz pojedynkowi.

Pan Rymsza pojechał najętym powozikiem, wioząc z sobą szarpie, bandaże i pla-

stry, szable zapaśne i małą przekąskę zimną. Dydak nie chciał inaczej jak konno, okulbaczył dobrodzieja i małym kłusikiem za nim podążył. Godzina była ranna, dla chłodu wybrana.

Achinger z przyjacioły przystawił się punktualnie; plac obrano na piasczystym wzgórku między rzadkiemi sosnami tak, aby nikt słońca w oczy nie miał. Dydak mundur swój kawalerski zrzucił żeby, jak mówił, niepoczciwa krew go nie pobryzgała, stanął w żupaniku z rękawami ząkasanemi, z szkaplerzem na piersiach, plunąwszy w dłoń, a gdy się Achinger zbliżył, i żółtszy jeszcze niż kiedykolwiek, z dobytą szerpetyną, prosił o głos.

— Mości panowie a bracia — rzekł donośnie — ponieważ jam wyzwał tego jegomością na ręce, a losy walki wszelkiej niepewne, a sądy ludzkie dosyć bywają głupie, mam sobie za święty obowiązek zaprotestować w obliczu nieba i ziemi, żem nie uczynił tego przez złość i zemstę osobistą, ani z namowy niczyjej, ale pozywając niegodziwego przed *judicium Dei*. Ponieważ nie obudziło się w nim sumienie, trzeba być narzędziem Bożem do poprawy złego, które bruździ bezkarnie. Z jegomością panem Achingerem stojącym tu przedemną sąsiaduję o miedzę, znam go z lat dawnych jak zły szeląg, ile mi krwi napsuł, szkód wyrządził, życia struł, to Bóg policzył tylko, a ja mu

w tej uroczystej godzinie odpuszczam, tak jako pragnę, aby mi Wszechmogący moje winy przebaczył. Ale nie mogłem znieść równym umysłem wyrządzonej krzywdy kobiecie niewinnej i cnotliwemu mężowi spotwarzonemu w obliczu świata przez tego jegomości dla wydarcia grosza. Patrzałem się ja na wszystko i mogłem czystem sumieniem rzec, że pan Achinger nieuczciwie postąpił. A że go ludzkie prawo niedosięże i owszem broni, trybunały będą bezsilne a wyparzone gęby adwokatów bezkarność mu wyszczekają trzebać było by ktoś za cnotą i prawdą się ujął, Nie było nikogo, staje Dydak Bożawola, towarzysz kawalerji narodowej, i pozywa żelazem na ten sąd Boży, który niechaj rozstrzyga, kto czysty, kto praw, a kto nieprawy i winien sądu kary i śmierci, amen. — Ponieważ się tu — dodał — odbywa nie pojedynek między ludźmi rozjątrzonymi ale obyczajem dawnym sąd Boży, wzywam ichmościów, abyśmy pobożnie naprzód poklęknąwszy, odmówili litanję do Orędowniczki naszej.

To mówiąc pokląkł, a szlachta rada nie rada, poszła za przykładem jego, oprócz p. Przypkowskiego, który jako Kalwin odsunął się na bok ramionami ruszywszy.

Dydak litanję odmówił głosem czystym i wyraźnem, poczem wstał, i połą żupanika otarłszy szablę, tak się odezwał jeszcze:

— Ponieważ mam mocne przekonanie

w świętość sprawy ufając, iż jegomości pana Achingera o śmierć przyprawię, a w stanie grzechu zgładzić go nie pragnę, wyzywam go o to jeszcze, aby uznał się kłamcą, potwarcą, winnym i żałującym za niecne postępki swoje, a natenczas protokularnie przy świadkach spisawszy zeznanie, będę go ze spotkania kwitował.

Achinger widocznie był zaniepokojony tym długim przyborem, gniewem wrzał, bladł, ale milczał, szablę podnosząc, a Przypkowski splunąwszy zawołał:

— Nie przyszliśmy tu gadać, ale się bić. Waszmość kazania prawisz, litanje odmawiać każesz, wymyślasz androny, daćby temu pokój, a począć co trzeba.

— Będzie na wszystko czas — odrzekł Dydak — jam tu posłem sprawiedliwości, ale nie lada jakim warchołem, o duszę ludzką mi chodzi, choćby nawet taka była z pozwoleniem kiepskiego gatunku jak pana Achingera, zawsze to Boże stworzenie. Na co się ma cieszyć piekło, że ją pochwyci

— Dajże już pokój i panu Bogu i lucyperowi—przerwał Przepkowski—to próżna gadanina.

— Zobaczysz waszmość, że nie próżna — zawołał Dydak. — Jeszcze raz mosanie Achinger, przyznajesz się, żeś zgrzeszył i winien, czy nie?

Achinger usta zaciął tak, że mu krew

pociekła z warg, drżał cały, ale szablę podniosłszy sadził już na przeciwnika.

Dydak był w swoim żywiole, a szabelką począł jak wirtuoz robić, ledwie parę razy machnął, a poznali wszyscy co to się święci. Nie upłynęło i Zdrowaś Marja ciął dwa razy Achingera, przyjaciele chcieli rozejmować, ale huknął tak, że odstąpili.

Igraszką dla niego był taki przeciwnik.

— Teraz waszmości płatnę po pysku — wołał Dydak i ciął jak powiedział — teraz w ucho — i oberznął go jak Malchusa — teraz w ramię...

Na ostatek ogromnym głosem zawołał: A teraz ręka, co fałsz podpisywała precz!

Jednem cięciem pięść z szablą odpadła na ziemię, jak od topora.

— Ot i dosyć! — rzekł Dydak patrząc już na szablę, nie na przeciwnika. — Boży sąd dokonany. Życie zostawiłem na to waszmości, abyś do pokuty miał czas i przejednania się z Bogiem i z ludźmi. Reflektujże się.

Achinger jęcząc leżał na ziemi, ale Przypkowski poskoczył na plac cały zaperzony.

— Mospaneńku — zawołał — żeś podołał jeszcze nie osobliwość, ale ja proszę... ja proszę, ze mną się spróbujcie.

Dydak stanął, podniósł głowę.

— Za co się będziemy bić? — spytał.

— Ja biorę jego stronę. Co to sąd Bo-

ży... jaki sąd Boży, rzecz była przewidziana, bo ten się licho bije, chcecie sądu... na to macie mnie.

— A! to waszmość chcesz djabła stronę brać? — spytał szlachcic.

— Djabła czy nie djabła, ja pomszczę przyjaciela.

— Ale mospaneńku, ten przyjaciel był nicpoń... ą jam go wyzwał na *judicium Dei.* Bóg osądził, czy pan dekretowi Bożemu chcesz się sprzeciwiać?

— Co tu ma pan Bóg do tej sprawy — wyrwał się Przypkowski — sądź jak chcesz, mów sam co ci ślina do gęby przyniesie, a bij się.

— Ja tylko jednego słowa proszę — spokojnie dodał Dydak — czy jegomość apelujesz od sądu Bożego? hę?

— Apeluję.

— Zatem w imię Ojca i Syna staję w obronie wyroku przez najwyższą sprawiedliwość ferowanego.

Z niezmierną ciekawością otoczyli pana Przepkowskiego i Dydaka. Jakkolwiek nie ułomek, szlachcic był o pół głowy niższy od przeciwnika, który jeszcze i tę miał wyższość, że się na niewielkiej piasku kupce umieścił i górował nad Bożawolą.

W milczeniu złożyli się raz, drugi raz, szable brzęknęły i Dydak głową kiwnął.

— Dobrze się bije, ale *contra Deum* to nic nie pomoże! — zawołał.

— Hej! hej! czy masz waćpan żonę i dzieci? — zapytał bijąc się ciągle.

— Wdowiec i bezdzietny — rzekł ktoś z tyłu — ale ma kochanicę.

— A! to w rachubę nie wchodzi — mówił Dydak zcinając się wciąż tak, aby poznać grę przeciwnika, jego ruchy i chody.

— Teraz mospaneńku przez łeb.

Raz był taki, że od wierzchołka głowy przekroił skórę do nosa i koniec nosa rozciął na dwoje,

Przypkowski się lęwą ręką pomacał tylko, a nie zawołał o pardon.

— To mało jegomości? — spytał Dydak — a no! jak wola! ja nie zwykłem odmawiać... tylko poczekajcie, żebym mógł to zrobić co mi wypada.

Krew lała się po twarzy przeciwnikowi, a szlacic przyspieszając już koniec, dobrał chwili i na odlew płatnął go tak, że dwa cięcia zrobiły krzyż.

— Dosyć! — krzyknął Dydak.

Przypkowskiemu też było dość, rzucił szablę klnąc wściekły, i gdyby go nie pochwycili, z pięściami by się był może i zębami puścił na szlachcica.

Tak dokonawszy tego co nazywał wyrokiem Bożym, Dydak ukląkł i odmówił cichą modlitwę, poczem wstał, poszedł po kontusz, z kieszeni dobył onuczkę, którą szablę dobrze wyszurował, i nie zważając na nic i na nikogo i nie wdając się w gawędy za-

dne, kroczył do dobrodzieja, który stał przywiązany do drzewa. Mało kto uważał, iż dobrodziej był objuczony jak do drogi.

— Kochany Rymszo! — rzekł obejmując go Dydak — niech ci Bóg płaci żeś mi wygodził... nagrodę otrzymasz od tego, który sercami ludzkiemi włada. Bywaj zdrów kochanie, bo mi do domu pilno.

— Jakto... a do kasztelana nie wstąpisz? spytał Rymsza.

— A po co? — rzekł szlachcic—żeby mi jeszcze dziękował. Albom to ja dla niego zrobił! nie, dla miłości Boskiej. Bywaj zdrów, mnie tam żonisko czeka, dzieci pewnie szaleją, a w polu robota... muszę jechać, ino przez Warszawę się przemknę i do domu.

Począł tedy ściskać Rymszę, całować, i zaraz do pakunku boć trzeba było mundur do mantylzaka włożyć a kubrak przywdziać a i buty na starsze przemienić.

Przebranie odbyło się na piasku, a choć o parę kroków stali poranieni i wrzawliwie się tam krzątano i rozprawiano, już na nich Dydak nie spojrzał, swoje zrobiwszy. Nikt też go teraz bardzo zaczepiać nie myślał, i gdy na dobrodzieja wsiadł, jeden mu Rymsza rękę podał, on czapkę zdjąwszy pożegnał przytomnych i stępa sobie ruszył ku miastu.

Przypkowski dostał dwie dobre kresy przez łeb, które kości nie nadwerężyły, ale było dla szlachcica ignominią zostać w ten

sposób naznaczonym naumyślnie; więcej się też tem desperował niż raną, którą mu zalepiono plastrami. Gorzej daleko było z Achingerem, bo ten był posiekany niesłychanie, ucho się mu jedno trzymało tylko na skórze, gęba kawałkami porąbana, a co najgorzej że prawą rękę całkowicie stracił, bo ją natychmiast odjąć było potrzeba i doktor bardzo wątpił czy się rana da wyleczyć przy tylu innych mniej znacznych ale zawsze ciężkich. Smętne były twarze wszystkich i dziwne wejrzenia, Achinger płakał. Milcząco położyli go na wóz i ruszyli jak z pogrzebem. Wypadek walki był fatalny i wielkiego znaczenia. Dydak wprawdzie bił się wybornie, ale ci co na rębaninę jego z obu przeciwnikami patrzyli, zaręczali, że nic podobnego w życiu nie widzieli: razy padały jakby nie ludzką dłonią zadawane ale jakąś fatalnością i siłą niepojętą kierowane. On sam ani razu tknięty nawet nie został mimo że Przypkowski bił się bardzo dobrze i kilka razy zdawało mu się że go ciąć był powinien. Cały ten dziwny pojedynek zrobił wrażenie wielkie na patrzących, a obejście się osobliwsze Dydaka jeszcze mu dodało dziwaczności. Odbyło się to dosyć prędko, tak, że Rymsza, któremu Bożawola polecił oznajmić o skutku i całem przejściu kasztelanowi, przed południem stanął w pałacu. Kasztelan nie spodziewał się wcale nic podobnego, pragnął nawet szlachcica odciągnąć od tego, zdziwił się więc

mocno, gdy mu oznajmiono naprzód że z rana odjechał, a potem do niego się zaanonsował pan Rymsza.

Siedzieli ze stolnikiem w salce na dole gdy Rymsza wszedł i przedstawił się kasztelanowi.

— Przychodzę tu w imieniu dawnego towarzysza broni, pana Dydaka Bożawoli do jaśnie wielmożnego pana, abym mu zdał sprawę.

Począł tedy opowiadać szczegółowo jak się rzecz miała. Kasztelan za głowę się chwycił dowiedziawszy, ale choć nie rad spotkania, płakał z radości słysząc relację o pojedynku, ktory Rymsza opisał jak należało.

— Achinger — dodał w końcu — bodaj czy się wyliże, ręka szpetnie ucięta; a że nie chirurg z Dydaka, pono kości jednej niepotrzebnie zaczepił. Doktor źle wróży. Przypkowskiemu nic nie będzie.

— Ale gdzież Dydak? co się z nim stało.

— Pojechał do domu—rzekł Rymsza— mówiąc że mu bardzo już pilno do żony i dzieci. Pokłon tylko złożyć kazał jaśnie wielmożnemu panu i submisję znajdując niestosownem aby się sam prezentował, kiedy rzecz szczęśliwie dokonaną została.

Można sobie wystawić zdumienie kasztelana ale zarazem frasunek. W mieście bardzo różne były opinje o tem, jedni cudowności pełnem widzieli to spotkanie, drudzy utrzy-

mywali, że szlachcic rębacz nasłany był umyślnie na Achingera przez magnata aby niewygodnego nieprzyjaciela uprzątnął.

Rzecz się więc jeszcze pogorszyła oburzeniem przeciw kasztelanowi, a pozory były wielkie bo i pan Dydak stał w pałacu i zdawał się jakby wezwany był na to by wroga zgładził. Na ucisk magnata wołano o pomstę do Boga, rozjątrzenie było ogromne. Przyszedł Opoczyński nad wieczór bardzo smutny.

— Nie taję panu — odezwał się do kasztelana — że nam fatalnie idzie, gorzej być nie mogło, pani Achingerowa uciekła, dokąd? chroni się naprzód do pana... za nią licho przynosi zawadjakę szlachcica, który męża obcina tak, że mu ledwie życie zostało... Pozory są takie, że trzeba dobrze znać was i sprawę aby nie posądzać o złe. W opinji publicznej, która na sędziów już działa mimo ich woli, jesteś pan potępiony.

Żeliga westchnął.

— Mój Opczyński — rzekł — Bóg widzi; zsyła na mnie Opatrzność krzyże ciężkie, próby wielkie, mogęż ja co przeciwko temu? Tylko się z pokorą poddać woli bożej. Ludzie się kiedyś przekonają o prawdzie... a ja gdy się to skończy zamknę się w pustelni mojej, i dożyję wieku jaki mi Bóg przeznaczył spokojnie, bo bez zgryzoty.

Opoczyński patrząc na Żeligę, na po-

godne jego czoło, niewzruszone oblicze, w którem się malowała cała potęga niezłomna ducha, nie mógł się wstrzymać od uwielbienia. Niestety! czuł on iż uczuć swych w drugich przelać nie potrafi. Z każdym dniem odsuwano się widocznie od człowieka, na którym zdawało się ciężyć jakieś przekleństwo Boże, wszyscy aż do rodziny okazywali wstręt, obojętność, nieufność. Stolnik tylko pozostał wiernym i Opoczyński, który bliżej znał Żeligę. Upłynęło tak dni kilka w głuchej jakiejś ciszy; kasztelan raz tylko był w zamku gdzie z twarzy króla i otaczaczających go poznał, że byli stanowczo przeciwko niemu. Sprawa ta mająca obudzić różne namiętności, nie na rękę przypadała dworowi, wszyscy pragnęli aby ją kasztelan kończył, aby się opłacił. Namawiano go na to, ale napróżno, czuł się niewinnym, tymczasem oczekiwane pozwy nie wychodziły, sprawa o której tyle mówiono nie rozpoczynała się, a z wieści ulicznych i przez lekarzy wiedziano że Achinger coraz się miał gorzej. Zepsuta krew i zgryzota rozjątrzały rany. Ukazywała się gangrena, rosła gorączka.

Achinger leżał na Tłumackiem, miał przy sobie siostrę miłosierdzia, jednego z przyjaciół dawnych, ubogiego szlachcica, lekarza który dojeżdżał i Bajkowskiego, który z nim wciąż konferował. Ale przy gorączce narady już iść nie mogły.

Bajkowskiemu srodze żal było interesu, który śmierć szlachcica mogła w nic obrócić. Często też dojeżdżał na Tłumackie, dowiadywał się i kuracją rannego sam się troskliwie opiekował.

Mimo starań widocznie się pogorszyło. Jednego ranka Bajkowski swoim zwyczajem przybył odwidzić klienta Siostra Felicja siedziała przy jego łóżku, chory spał ale ciężko i niespokojnie.

— No, a co słychać? — spytał po cichu mecenas.

— Źle, bardzo źle, w ręku gangrena się szerzy, wycinano, palono, wysypywano, nic nie pomaga.,. Jeżeli tak dalej opuchnienie pójdzie a dosięgnie piersi, nie ma ratunku.

— Cóż doktor mówi?

— Doktor nie ma nadziei.

— O! o! o! nie ma nadziei! — powtórzył Bajkowski — więc i mnie tu nic tak dalece robić nie ma.

— Ale zatrzymajcież się, chory od rana — rzekła siostra Felicja — koniecznie się z wami widzieć domaga, przebudzi się pewnie zaraz, bo sen ma przerywany.

Jakoż po chwili w istocie Achinger oczy otworzył, jęknął strasznie i zwrócił głowę obwiązaną ku Bajkowskiemu.

— Kto to jest? Holofernes? — zapytał.

Bajkowski przywitał go.

— Jak się macie?

— Głowę mi ucięto! — rzekł Achinger niewyraźnie — okropnie cierpię.

— Nieprzytomny!—zawołał Bajkowski do siostry Felicji.

— To mu chwilami przychodzi — odpowiedziała — pocznijcie doń mówić to go oprzytomni.

Mecenas tedy z cicha zaczął o sprawie, Achinger słuchał odwracając się od niego, ustami poruszał, poprosił wody... podano mu napój przygotowany. W oczach widać było, że obłęd uchodził i odzyskiwał przytomność.

— At, co ty mi tam bredzisz o sprawie — odezwał się ponuro i jękliwie — daj mi pokój, przyszlij księdza, trzeba się z Bogiem porachować.

Bajkowski zamilkł.

— Moglibyście przecie zdać interes na rodzinę, gdyby nawet w najgorszym razie...

— Idź precz kusicielu, idź precz.

Mecenas się zerwał.

— Znowu gorączka, przyjadę gdy będzie przytomnym.

— E! nie fatyguj się — dodał Achinger — nie ma po co... zrobi się inaczej.

Ale mecenas już nie słyszał tych wyrazów, wyniósł się z przykrem wrażeniem.

Zaledwie wyszedł, Achinger ku siostrze Felicji.

— Poszlijcie po księdza — rzekł —

czuję wewnątrz za życia płomienie piekielne, pali mnie... strasznie pali...

Ponieważ niedaleko było do Kapucynów, siostra Felicja, której spowiednikiem był słynny naówczas z pobożności ojciec Serafin, posłała natychmiast po niego.

W pół godziny siedział już przy łożu chorego i cicha spowiedź trwała długo bardzo przerywana tylko łkaniem i płaczem. Wyszedł z izdebki starzec jakby złamany, uznojony, potrzebując piersią chwycić świeżego powietrza, tak go ona znużyła.

— Siostro Felicjo — rzekł — słaby cię potrzebuje, wracaj do niego.

Achinger podniósłszy się na zdrowej ręce nieco, patrzał po izdebce, szukając oczyma opiekunki.

— Moja dobra siostro — rzekł — zrób mi tę łaskę, poszlij nie tracąc chwili do pałacu kasztelana, aby do mnie przyszedł stolnik Barciński. Niech mu powie, kto pójdzie, że go wzywa w imię Boże umierający... nie powinien odmawiać.

To mówiąc padł na łoże i po chwili znowu majaczyć począł, skarżąc się że mu głowę ucięto.

Wielkie było podziwienie stolnika, gdy go wezwano pilno do jakiegoś chorego, który prosił aby natychmiast przybył jeżeli chce go znaleźć żywym. Nie mógł się wcale domyśleć ktoby to był taki, a gdy dobiegł zadyszany do owej przyciemnionej izdebki,

schylił się nad łoże i poznał Achingera, aż się cofnął.

Szlachcic poczuwszy instynktowo przy sobie kogoś, podniósł się także i chwycił za rękę stolnika zdrową dłonią.

— Barciński? — rzekł — wszak tak? Barciński... sąsiad, stolnik? wszak tak! przyszedłeś do umierającego. Bóg ci zapłać. A! to dobrze żeś przyszedł... żyło się źle, trzeba skończyć lepiej .. Nie chcę w piekle siedzieć. Zlituj się... proszę cię, błagam, niech tu przyjdzie kasztelan, żona moja, ty, wszyscy, kto chce... abym odwołał, oczyścił się i prosił o przebaczenie. Ksiądz mnie inaczej nie da rozgrzeszenia i Bóg nie przepuści. Stanie się zadość publicznem odwołaniem za wyrządzoną krzywdę. Ale spieszcie się, bo ja ranka niedożyję... Puchlina idzie do piersi, czuję ją jakby wrzątek posuwającą się coraz dalej. Zaklnijcie kasztelana, niech przychodzi, żona moja także i ktokolwiek chce... Odwołam, przeproszę, może Bóg jeszcze życie ocali.,.

Barciński nie mógł słowa przemówić, tak był poruszony tym cudem łaski Bożej, ścisnąwszy za rękę Achingera rzekł tylko

— Idę i spełnię twoje żądanie natychmiast.

— Sprowadź rejenta niech zeznanie spisze, chcę tego—dodał chory.

— Stanie się wedle woli.

Ciężkim był trochę Barciński, ale niecierpliwość, radość, wzruszenie, jakby mu

skrzydła przypięły, porwał powóz jaki się nastręczył, poleciał w galop do pałacu kasztelana i wpadł do sali jak bomba.

— Kasztelanie — krzyknął — Bóg jest wielki.,. stał się cud. Siadaj ze mną i jedź, weźmiemy Bajkowskiego, Opoczyńskiego i rejenta. Achinger umiera, a umierając chce uroczyście potwarz odwołać. Prosił też, aby żona jego przybyła.

Żeliga stał niemy, ale złożył ręce jak do modlitwy.

W pół godziny gotowe było wszystko. Rejent, Opoczyński, dwóch świadków z dworu królewskiego, doktor, ksiądz; ale najgorsza bieda była z Bajkowskim, który utrzymując że chory majaczył, że nie był przy zdrowych zmysłach, jechać nie chciał. Szło zaś o to, aby i on mówić przeciw zeznaniu temu nie mógł.

— Śliczna rzecz — zawołał w ostatku mecenas, a któż mi finalnie zapłaci za trud, kłopot i koszta.

— Kasztelan — rzekł Barciński — ja za to ręczę, w ostatku jeśli waszmość chcesz to ja... starczy mnie przecież na to.

Rad nie rad Bajkowski mrucząc się zabrał.

Mała izdebka na Tłumackiem ledwie gości tych pomieścić mogła; na przodzie najbliżej łoża stał ojciec Serafin i kasztelan, w nogach drżąca wybladła, zapłakana żona, której twarz kwefem była osłonięta. Doktor dał

chłodzący napój choremu, który nieco pomilczawszy tak pocżął:

— Biorę panów wszystkich za świadków i zeznaję niniejszem uroczyście, jak człowiek bliski chwili, w której stanie przed sądem Bożem, iż nigdy mej żonie tu przytomnej w postępowaniu jej nic zarzucić nie mogłem, jeślim to uczynił, powodowany byłem grzeszną chciwością. Przeto proszę o przebaczenie dla miłości Boga, tak ukochaną żonę i przytomnego tu kasztelana na którego rzuciłem potwarz... uznaję i przysięgam, że czystym jest od wszelkiego zarzutu, żem go pokrzywdził niegodnie i oszkalował. Z pokorą błagam was darujcie mi, zapomnijcie uraz, winy, grzechu, występku mojego, który publicznie spowiadam abym z nich był oczyszczony; chcę i proszę by rejent słowa moje spisał, aby podane były do wiadomości publicznej, wszelkie kroki prawne, wstępnie poczynione kasuję i unieważniam, niszczę i anihiluję. Żonie mej tu przytomnej, jeśli mię Bóg powoła do siebie, majątek mój cały bez wyjątku zapisuję, prosząc jedynie, aby za duszę moją corocznie dziesięć mszy świętych przed obrazem Marji Łaskawej na górze Chełmskiej odmawiać kazała...

I spojrzał na Ojca Serafina, jakby badając go czy ma mówić jeszcze; kapucyn skinieniem ręki go zachęcił.

— Przebacz mi żono — rzekł chory — daruj kasztelanie, raz jeszcze uznaję zupełną

twoją niewinność a moją winę do której mię niecna chciwość powodowała. Powiedzcie że mi przebaczacie, ulży to duszy mojej.

Rózia poklęknąwszy u łoża, zaczęła płakać wymówiwszy kilka słów niewyraźnie, a potem głośniej dodała:

— Winnam ci panie mój żeś mnie z ubogiego stanu wydźwignął i za towarzyszkę sobie obrał; niech ci za to wdzięczność choć teraz wypowiem... alem grzeszna że mnie duma do oddania ci ręki wiodła gdy miłości w sercu nie miałam co i moje i twe życie zatruło. Niech ci więc ulży na sumieniu ta szczera spowiedź moja bośmy wszyscy grzeszni!

I skryła twarz w dłoni.

Po krótkiem milczeniu kasztelan podniósł głos.

— Ja wszelką urazę moją i osobistą krzywdę odpuszczam wam, tak jak pragnę aby mi Bóg grzechy moje darować i niepamiętać raczył. A dziękuję ci żeś mimowolnie był narzędziem próby w rękach Boga, żeś mi dał przestrogę i naukę. Nie mam urazy i wszystkiegom już zapomniał... a jeśli ci śmierć przeznaczona przedemną, obowiązuję się do zgonu o duszy twojej pamiętać.

Naostatek przemówił Ojciec Serafin.

— Wielki, piękny przykład dał nam ten umierający chrześcijanin: z głębokiego grzechu powstając zrzucając pychę i fałszywy wstyd, zeznając winę; uroczyście dając mu

rozgrzeszenie proszę was przytomnych poklęknijcie ze mną i proście Boga o jego uzdrowienie.

Z zakonnikiem razem schylili się wszyscy, cichą odmawiając modlitwę, chory uspokojony płakał cicho. Każdy z odchodzących podał mu rękę. Kasztelan pocałował w czoło i po cichu wyszli wszyscy, ksiądz tylko i żona została.

Mimo chwilowego polepszenia Achinger wszakże żony nie przeżył; około dwunastej stracił przytomność, a przededniem skonał w wielkich miotając się boleściach.

Nazajutrz chodziła po Warszawie historja tej spowiedzi odwołania i dziwnej śmierci Achingera, podawana z ust do ust z takiemi nawet szczegółami, które zupełnie były zmyślone, mianowicie że on sam rękę kasztelana z ręką żony swojej połączył. W istocie trafiło się że sięgając po dłoń Achingera obie ich ręce przypadkowo się spotkały... z tego upleciono owo bajeczne błogosławieństwo umierającego.

Kasztelan był oczyszczony i wychodził zwycięzko. Pogrzeb też Achingera, który on swym kosztem (nie mówiąc o tem) sprawić kazał, pociągnął ogromne tłumy za sobą. Ciśniono się za trumną, szczególniej może dla zobaczenia żony, która szła za nią zakwefiona; opowiadano bowiem o jej pochodzeniu, piękności, rozumie istne dziwy, i gdyby nie gruba żałoba i zupełne odsunięcie

od towarzystwa, które ze wszech miar właściwem było, najpierwsze salony Warszawy byłyby się otwarły przed nią i najpierwsze partje Rzeczypospolitej byłyby się o wdowę stręczyły.

Z porady przyjaciół, pani Achingerowa jeszcze czas jakiś postanowiła zostać u PP. Wizytek w klasztorze, w którym sobie nadspodziewanie upodobała nie znajdując go wcale tak strasznym jak jej w ogóle klasztory opisywano.

Tymczasem stolnik Barciński podjął się zarządu majątkiem, a kasztelan zaraz po pogrzebie wyruszył znowu do swojej pustelni.

Epilog.

Blisko lat dwa dobiegało od opisanych wypadków a ludzie, których pamięć nie jest trwałą, dla żywszych i świeższych spraw, zupełnie prawie zapomnieli o Achingerze, kasztelanie, nawet o pięknej Rózi, której tak z razu byli ciekawi, że się w parlatorjum PP. Wizytek cisnęły odwiedziny w nadzieji zobaczenia jej twarzy lub posłyszenia czegoś o niej; a trwał ten zapał niespełna parę miesięcy. Zrodził on nawet modę jakiegoś paska *á la belle Rose*, skórzanego, nabijanngo gwoździkami, choć go pani Achingerowa nigdy w życiu nie nosiła.

Pół roku spocząwszy u Wizytek wybrała się na wieś, i spokojnie w domu osiadła. Ale tu młoda i piękna, a w dodatku i majętna wdowa, takżeby spokoju była nie miała od zalotników, gdyby od razu jak najzupełniej domu była nie zamknęła. Była parę razy u Barcińskich, tylko z niemi żyła, nie widując więcej nikogo. Pobyt w klasztorze przyzwyczaił ją do samotności, dał jej zamiłowanie w książkach i kwiatach.., pamięć na dawny stan zwróciła ją do wieśniaków dla których chciała być istotnie siostrą i matką. Miano jej to za dziwactwo, że ;rzuciwszy w półtora roku żałobę, przebrała się po chłopsku; ona odpowiadała na to: w tym stroju było mi najlepiej. Suknie te staranniej były zrobione, cieńsze, wykwintniejsze, ale krojem, barwą podobne do tych jakie nosili włościanie. W kościele bywając pani Achingerowa stawała w pośród nich, nigdy się nie napierając do pierwszych ławek. Lud też nietylko jej wioski, gdzie miała krewnych, ale i okolicznych kochał ją i szanował nad wyraz. Była lekarką, pocieszycielką, siostrą miłosierdzia dla braci, a tak jej było ślicznie z tym ubiorem pokornym krzątających się po chatach, że ją chłopi świętą Rózią nazywali. Czy była szczęśliwą, któż powie, możnaż być szczęśliwym będąc samotnym, i nie mając nikogo; to pewna, że była spokojnie smutną, a czasem w Barcinie, gdy się sze-

rzej rozgadała. jakoś bardzo łatwo na łzy jej się zbierało.

I nieszczęście i ta pokora i dobroć Achingerowej rozbroiły zupełnie poczciwą panią Marcinowę, która znieść jej nie mogła póki chodziła w sukni i robronie, ale pokochała ją w sukmance. Sadzała ją przy sobie na kanapie, całowała, ściskała, przejednała się z jej pięknością i zrozumiała przyjaźń serdeczną Justysi dla niej.

Przez całe te dwa lata kasztelan siedział, jak mówiono zamknięty w swej pustelni, nie dając znaku życia. W święta tylko odbierali od niego Barcińscy zwierzynę, owoce, książki, małe przypomnienia i listy z powinszowaniem. Uważał to stolnik, że Achingerowa nigdy o niego nie zapytała, a gdy przypadkiem w rozmowie trafiła się wzmianka, rumieniła się nadzwyczajnie.

— Ja ci mówię — szeptała p. Marcinowi do męża — no zobaczysz, że oni się jeszcze znajdą i pobiorą.

— Ale, gdzie zaś — oponował Barciński — kasztelan ani dla familji tego zrobić nie może, ani dla niej, ani dla siebie, bo by z tego zaraz gadaniny urosły, że taki coś między niemi było.

— Nic nie było niepoczciwego — mówiła stolnikowa — ale że się bardzo polubili, to już mi tego nie zaprzeczysz, ja mam dobre oczy.

Jakoś przed samemi Zielonemi Świąt-

kami, stolnik siedział pod lipą z przybyłym kwestarzem, który był nieprzebrany w dykteryjkach i śmiał się jak nigdy z różnych jego ucinków, aż zatętniało na mostku, na grobli. Mostek ten był istny zdrajca, nie widać go było, bo stare drzewa zasłaniały drogę całkiem, ale żeby kto przezeń pieszo przeszedł, we dworze zaraz słychać było. Stolnik nastawił ucha.

— Ktoś jedzie — rzekł.

— Wóz chłopski — odezwał się kwestarz.

— Nie, nie, bryczka, cztery konie... ja poznam po turkocie.

Braciszek się uparł.

— Wóz, ręczę że wóz.

— Ale bryka.

— Chcesz iść w zakład póki nie widać — spytał Barciński.

— O cóż, chyba o niuch tabaki?

— O barana!

— Baran należy do konwentu.

— Ale o barana... służę dwa przeciw jednemu.

Braciszek pomyślał...

— Dobrze — rzekł — z tym warunkiem, że o rozstrzygnięcie zakładu spytamy kogo ja wskażę...

— Zgoda.

— Zgoda.

Ledwie tych słów domówił, wtoczyła się w dziedziniec ni to wóz ni bryka, dłu-

giego coś, wysłanego wygodnie... cztery konie u lic, a stolnik zapomniawszy jako żywo o zakładzie, baranie i wozie, rzucił się poznawszy Żeligę.

— A cóż to dla mnie za święto! — krzyknął — a co za fest, a co za zielone, rajskie świątki, gdy mojego dobrodzieja oglądać mogę.

Otworzył ręce, śmiał się, czapkę do góry podrzucił, oszalał starowina.

Aż kwestarz go za rękaw pociąga.

— Wóz, panie stolniku dobrodzieju.

— Wóz! wóz! i trzy barany!

— To dla mnie, a dla konwentu? — zapytał figlarnie braciszek.

— Dla konwentu drugie tyle, i hura niech żyje kasztelan.

Żeliga już wysiadał, a tu i stolnikowa na ganek wybiegła i co żyło we dworze, bo go wszyscy kochali niezmiernie. Ledwie mu dali wysiąść z wozu, ten ściskał, ów za kolana chwytał, ci po rękach całowali, aż się trochę rozczulił kasztelan, bo by go rodzeni nie witali serdeczniej.

Kwestarz także był w humorze niepoślednim zyskawszy sześć baranów i natychmiast przy opowiadaniu o zakładzie otrzymał drugie sześć od kasztelana, z dodatkiem assygnacji obfitszej do blizkiego majątku.

Stolnikowa się tylko sturbowała, że już na ulubiony krupniczek z półgęskiem było za późno, a na wieczerzę nic prócz

kaszy i krążków szczupaka nie dysponowano. Przyrobiono wszakże naleśniki z powidłami, ktore na wsi każdego niemal niespodziewanego gościa spotykają.

Wieczór upłynął na pierwszej żywej wymianie pytań, opowiadań wyznań, na których nigdy nie zbywa przyjaciołom po długiem niewidzeniu. Stolnikowa bacznie wpatrywała się w przyjaciela, znalazła go opalonym bardzo ale dziwnie czerstwo, silnie i zdrowo wyglądającym. Pokój ducha malował się na jego twarzy.

Żeliga zajął swe dawne mieszkanie w officynach bo innego nie chciał i zdawało się znowu w Barcinie, że stare dobre czasy wróciły,

Wieczorem zasiedli pod lipą.

Barciński uścisnął Żeligę popatrzał nań i szepnął cicho:

— Daruj mi ojcze, przyjacielu, dobrodzieju, ale ja ci coś powiem.

— No cóż mój panie Marcinie, mów.

— E! boję się żebym z dobrego serca głupstwa nie powiedział.

— A choćby... śmiejąc się rzekł kasztelan.

— Darujesz?

— O! z serca także.

— Otóż powiem... nie gniewaj się... jak mi Bóg miły wdówka na ciebie czeka...

Schwycił go za rękę Żeliga.

— Cyt stary co plecisz i czy to my

do kobierca, mój drogi, czy młodszych nie ma na świecie do złotego jarzma Myśmy poddeptani, a jarzmo lat już nam cięży, pocóż śnić o młodości, gdy jej nie ma.

— Zresztą... niewiem czyby to przystało dla samych ludzkich języków.

— A niechby tam te ozory wilki pojadły — krzyknął Barciński — żeby uczciwi ludzie mieli dla nich pokutować. Chcesz kasztelanie wiedzieć, oto ci powiem, żeś tę kobietę oczarował. Z mowy, z milczenia, z rumieńca, ze wszystkiego widać, że jest tak do was przywiązaną, że chyba równej miłości w takim składzie rzeczy jeszcze świat nie widział. Za to ręczę, bom ja wypróbował, a stolnikowa szyję daje, że się pobrać musicie. Tylko jedno głupstwo zrobiła, że zrzuciwszy żałobę przebrała się po wieśniaczemu i tak chodzi. Raz że to zakrawa na komedję, powtóre, że ją to od was niby oddala, bo jakże senator... i chłopka.

— A! mój przyjacielu — odparł Żeliga — gdyby to tylko było na przeszkodzie.

— Ale ja sobie myślałem tak — mówił Barciński — że jest tam jakiś gatunek szlubu zagranicznego dla królów, książąt i panów, gdy się żenią z osobami nierównego stanu, co się zowie organtyczny.

— Morganatyczny, stolniku kochany, ale takiego ślubu jabym nie wziął, a nie ożeniłbym się z kobietą, która by nań zezwoliła.

*

— Ale ſamilja...

— Moja rodzina, bylebym się ożenił, czego pragnie, nic mi już nie powie zkim.

— A więc? — spytał ochoczo Barciński.

— Więc panie Marcinie pono nic nie ma i nic nie będzie.

Na tem się to skończyło ten raz.

W parę dni stolnikowa się niezmiernie uradowała ujrzawszy przybywającą Achingerowę.

Panowie byli w ogrodzie, umyślnie jej nic nie powiedziała o kasztelanie, posadziła na kanapie, a sama wybiegła uprzedzić sługi, by nie oznajmili nic o gościu. Konie z przed ganka usunięto zręcznie. Udało się Barcińskiej całkowicie, bo gdy kasztelan wszedł, oniemiał na progu, a Achingerowa krzyknęła z radości I tak się niebożątko zapomniała, że wyciągnąwszy ręce, rzuciła się ku niemu. Żeliga zawahawszy się chwilę jakby ze wstydu, podbiegł i gorąco ucałował jej ręce. potem odstąpił i począł patrzeć.

— Miły Boże — zawołał — gdybym nie wiedział, że to pani dobrodziejka uczyniła z innych pobudek, powiedziałbym, że się tak ubrała dla tego, aby jeszcze wydawać się piękniejszą.

— Kasztelanie — odpowiedziała Rózia żywo — wierzcie mi, że jeśli mi nie jest szpetnie w tym ubiorze, to dla tego, żem

w nim wzrosła, że moim jest, że ja stworzoną byłam do niego.

I tak się poczęła rozmowa długa serdeczna, w której czas ubiegł niepostrzeżenie do wieczora. Barcińscy jak prawdziwi intryganci uszydzali się mrugając na siebie tak, aby jak najmniej poufałym zwierzeniom się przeszkadzać... To on ją, to ona jego wywoływała, a ciągle coś było do czynienia w drugim pokoju. Ani kasztelan, ani Rózia nie uważali na to, tak sobą byli zajęci.

Nie wypadało kasztelanowi samemu jechać do wdowy, ale go tam zaraz zawieźli Barcińscy i wnet ją zaprowadzono do Barcina, a wkrótce znalazł się powód spotkania, raz, drugi, trzeci i dziesiąty.

Upłynęło parę miesięcy, a stolnik się już niecierpliwił choć słowa nie rzekł.

Jednego rana poszeptali sobie coś z żoną i Barcińska sama pojechała do Achingerowej. Ale że jej było zawsze pilno, i choć nie młoda, niecierpliwą była bardzo, zaraz ją wzięła z sobą do ogrodu. Usiadły na ławce pod gruszą.

— Moja dobrodziejko — rzekła stolnikowa — ja widzę, że jeśli my baby ładu tu nie zrobimy, to go nigdy nie będzie. Kasztelan się w tobie kocha na zabój, ale utrzymuje, że stary, że to, że owo, że ty go poślubić nie możesz, że byłabyś z nim nieszczęśliwą... i boji ci się oświadczyć. Mów szczerze, chcesz go czy nie?

Achingerowa zakryła oczy i padła na kolana przed stolnikową.

— Dobrodziejko, matko moja! czyżbym ja śmiała myślą nawet sięgnąć tak wysoko. Ja go kocham więcej, powiem że go czczę, ja bez niego żyć już nie potrafię... ale czyż to może nawet być, żeby on myślał się ze mną ożenić! A! nie! to niepodobna. Powiedzcie mu, niech mię sobie weźmie choćby za sługę, za klucznicę, abym się na niego patrzeć i głos jego słyszeć mogła.

— Ale dajże ty pokój z tą pokorą, zakrzyknęła stolnikowa, a resztę zostaw mnie... bylebyś go kochała a reszta nic. Ja to doprowadzę do końca.

Ani się nawet na kawę nie dawszy zatrzymać, Barcińska siadła na wózek, kazała prędko jechać, choć po trzęskiej grobli i na obiad stanęła w domu. Stolnik choć z nią sam na sam mówić nie mogł, z twarzy poznał zaraz że się wszystko powiodło... była rozpromieniona tryumfująca, szczęśliwa.

Po obiedzie stolnik się wysunął zostawując żonę z kasztelanem, mrugnąwszy na nią tylko nieznacznie. Barcińska siadła z pończochą naprzeciw gościa i poczęła:

— Mój kochany tatku Żeligo — tak go zawsze nazywała — no, pogadajmy otwarcie, jabym ciebie chciała ożenić.

— A to znowu co?

— Ot fantazja starej baby, a wiecie jak się baba uprze.

— Na ten raz będzie trudno.

— Gdzietam, kasztelanie. łatwiuteńko, daj mi tylko plenipotencją.

— Nie mogę.

— Dlaczegoż?

— Bobyś jejmość dobrodziejka z gorącej dla mnie przyjaźni mogła mi wypłatać figla jakiego, a ja nie bardzo mam ochotę żenić się.

— A cóż u kaduka — żywo zawołała stolnikowa — kobietom głowę zawracasz.

— Ja?

— A ty, ty, tatku Żeligo... krótko węzłowato powiem ci com dziś rano na moje uszy słyszała. Chciałam sobie pożartować z Achingerowej i mówię jej: Ej coby to też było gdyby kasztelan chciał się z wami żenić.,.

Kasztelan zerwał się blady od stołu.

— Ale siedźże. siedź tatku Żeligo niech dokończę. Wiesz co mi ona odpowiedziała, nauczyłam się na pamięć, powiem ci: „Dobrodziejko, matko moja! czyżbym ja śmiała myślą nawet sięgnąć tak wysoko? Ja go kocham, więc j powiem, ja go czczę, ja bez niego żyć już nie potrafię... ale czyż to może nawet być, żeby on pomyślał ze mną się ożenić. Ą! nie! nie! to niepodobna! Powiedzcie mu, niech mnie sobie weźmie choćby za sługę, za klucznicę. abym się na niego patrzeć i głos jego słyszeć mogła,“

Kasztelan począł w ręcę całować Bar-

cińską, ale głosu mu brakło na odpowiedź, rzekł tylko.

— Mogęż ja jej szczęście zapewnić?!

Tak począwszy już Barcińscy łatwo doprowadzili do tego, że się Żeliga oświadczył, że małżeństwo omówionem zostało, i w miesiąc potem w wiejskim kościołku przy świadkach niewielu stanęli do ślubu. Sam Żeliga żądał aby żona jego w włościańskim swym stroju przyszła do ołtarza. Wdowie wesele odbyło się jak zwykle cicho i bez wystawy, państwo młodzi zaraz na zajutrz do dóbr kasztelana odjechali.

W Warszawie dziwiono się dosyć nowemu małżeństwu kasztelana, ale nie wiele o niem mówiono, gdyż i o samym kasztelanie ludzie nieco zapomnieli, od lat kilku go nie widując. Wielu się zdumiało posłyszawszy nazwisko to, bo byli pewni że umarł.

Tylko biednym Barcińskim wyszło to nie na dobre, bo się sami jedni zostali, ale stolnikowa miała teraz do opowiadania: jak to ona zręcznie potrafiła zbliżyć ich i niemal zmusić do ślubu, — do którego gdyby nie ja — mówiła — dalipan i za lat dwa by jeszcze nie przyszło. A stolnik dodawał: — Pani Marcinowa z niczego tak nie jest dumną, jak że chłopkę wydała za senatora, a bodaj czy to nie pierwszy przykład, daj tylko Boże szczęśliwy.

Koniec.